

0

Alb. Krak. 5850 III

~~130~~

110

Kalina





11720



PT 260



50490



Prenumerata miejscowa wynosi: rocznie 6 zlr., półrocznie 3 zlr., ćwierćrocznie 1 zlr. 60 c. w. a. — Z przesyłką pocztową: rocznie 7 zlr. 20 c., półrocznie 3 zlr. 60 c., ćwierćrocznie 1 zlr. 80 c. — Prenumerata zagraniczna bez mód i bez nut rocznie 8 zlr. 30 c. w. a.

Mody i kroje rocznie 3 zlr. 30 c., półrocznie 1 zlr. 70 c., ćwierćrocznie 90 c. w. a.
Nuty rocznie 1 zlr. 25 c., półrocznie 65 c., ćwierćrocznie 35 c. w. a.

W Krakowie prenumerować można w biurze redakcyi: ulica żydowska, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni Wgo. Czecha.

We Lwowie można prenumerować i odbierać w agencji Hercoka i Arnolda na Hallickiem.

Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c. następnie po 4 c. Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

Słowo wstępne.

Rozpoczynając wydawnictwo nowego pisma, uważamy za obowiązek wytłómaczyć się pokrótce przed Publicznością, co nas skłoniło do tego, jaki nasz cel, jakimi drogami dążymy do niego i z jakimi zasobami.

Niepotrzeba — zdaje nam się — nikomu udowadniać, jak ważne jest stanowisko kobiety w społeczeństwie. — Kobieta jest natchnieniem mężczyzny; im więc wyższe jój wykształcenie, tém natchnienia te wznioślejsze, czystsze, tém wpływ jój szlachetniejszy. Wykształcenie więc (ale nie uczość) kobiet leży w interesie społeczeństwa. Z drugiej jednak strony trudno wymagać, aby kobieta równo z mężczyzną przebywała długą drogę studyjów, sam czas na to jój niepozwała — za ścianami pensjonatu czeka na nią nawał zajęć i obowiązków równie ważnych jak koniecznych, które po ślubie mnożą się coraz bardziej. Tu niema co mówić o systematycznych studyjach — to, czego niedoczyła się na pensyi kobieta, chwyta teraz dopadkowo bądź w towarzystwie, bądź w książkach, bądź w pismach peryjodycznych. A że o towarzystwa kształcające umysł często trudno, popularnych ksiąg niewiele — więc w znacznej części dopełnienie wykształcenia kobiety zostaje udziałem pism peryjodycznych. Tak pojmujemy ważność pism.

Tymczasem pism takich brak u nas, bo te, które wychodzą w Warszawie pod naciskiem cenzury moskiewskiej, nieodpowiadają potrzebom i wymaganiom naszych niewiast.

Sądziliśmy, że ktoś równie jak my zapatrując się na tę rzecz, podejmie to ważne wydawnictwo. Czekaliśmy dotąd napróżno, podejmujemy je więc sami, przynosząc do niego i doświadczenie nabyte przy współpracownictwie „NIEWIASTY“. Nie ludzimy się łatwością zadania, czujemy cały ciężar odpowiedzialności, biorąc na siebie kierunek ruchu umysłowego niewiast, ale nie cofamy się, ufni w pomoc szlachetnych. Komu się zdaje, że źle idziemy, niech przestrzeże, da radę, a przyjmiemy z wdzięcznością każdą, jeżeli jój nie podyktuje prywatata, jadowita złośliwość; ale piecza o dobro publiczne.

Nie przylepimy na czele naszego pisma całego szeregu współpracowników, którzy nam łaskawą pomoc przyrzekli — nadużyto tego sposobu i nikt weń nie wierzy. Dość wspomnieć, że mamy zapewnioną pomoc i współpracownictwo znanych autorek i autorów, otwierając zarazem pole dla nowej generacyi piszących. Szereg ich prac, zajmujących się szczegółowo życiem kobiety i stanowiskiem jój w społeczeństwie, z przyszłym numerem umieszczają rozpocniemy.

ŻONY NIEWOLNIKÓW.

I.

Niespodziewani.

Jest wieczór jesienny, księżycowy — ciemno-seledynowe niebo, na niem gdzie-niegdzie emalia z białych obłoków, srebrnych po krawędziach. Na tle tego nieba czerni się dwór na wzgórzu, otoczony topolami i ogrodem — przez poplątane czarne pnie drzew i przez drobne dygotające liście przeziera złota tarcza księżycy a okna dworu jasno oświetlone. Poniżej dworu przy topolowej alei stoi kuźnia i mieszkanie kowala — drzwi chaty otwarte — widać ogień na kominie wijący się koło garnków okopconych — w progu chaty na tle ogniska rysuje się głowa kobiety, siedzącej z dzieckiem uśpionem na ręku.

W takiej cichój sielance zaczyna się powieść nasza, zanim ją zmaci zawierucha bólów i namiętności.

Za rzeką we wsi psy zaczęły ujadać mocno, na gościńcu dał się słyszeć turkot wózka. Na wózku siedziało dwóch mężczyzn, jeden młodzieniaszek prawie, drugi już u schyłku męskiego wieku. Młody przytrzymał za skórzaną obrozę dużego czarnego psa, który mu się niespokojnie wił pod ręką.

— Mera, siedź cicho.

Pies przycupnął, ale nie przestał skomleć i bić ogonem, a wzrokiem zdawał się mówić do swego pana: puść mnie.

— Jak ona wymownie prosi — no leć, leć!

Pogłaskał psa i puścił. Pies wskoczył z szelestem między bujny rzepak pokryty szronem i wnet zniknął z oczów, tylko radosne, urywane skowyczenie słyhać było to po jednej, to po drugiej stronie drogi. Pies sobie przypominał przeszłość. Czasami wracał do wózka, zaszczekał kilka razy, jakby coś opowiadał, jakby się chciał dzielić radością z panem i znów odlatywał.

— Patrz pan — odezwał się młodszy — po tylu latach jak ona poznała te strony. Pocziwe zwierze. Nieraz tam w obczyźnie, kiedy tęsknota za krajem lży mi wy-ciskała, ten pies patrzył na mnie takim wzrokiem współ-czucia, jakby miał duszę i serce.

— Dla czego pan mówisz „jakby“. Wątpiąc w to, musiałbyś pan uczucia miłości stron rodzimych, przywiązania, żalu nazwać czysto zwierzęcym popędem. Widziałem psa, co skonał z żalu na grobie — ludzie to rzadko umieją.

Mówiąc to, rozśmiał się trochę szydyczko, trochę boleśnie.

Przejeżdżali koło rzeki szerokiém płynącej korytem — w księżycowym oświetleniu za mgłą niebieskawą miała podobieństwo do olbrzymiego zwierciadła, przesłoniętego gazą. Pies stanął nad rzeką i zawył.

— Poznała i te miejsca. Tu ją wyratowałem od

śmierci. Było to podczas wielkiego wylewu rzeki: wśród mnóstwa sprzętów, które mętna woda ponosiła, zobaczyłem psią budkę płynącą, ta suka przykuta do łańcucha siedziała na dachu budy, trzymając się silnie łańkami, pysk podniosła w górę i wyła boleśnie z rozpaczy, że nie mogła ratować ani siebie, ani swych szczeniąt, które spadając z mokrego daszku w rzekę tonęły. Ostatnie trzymało się jeszcze matki, łapkami spinało się z wysiłkiem na brzeg daszku, wtem buda uderzyła o pal mostowy i ostatni szczeniak skomląc, spadł w mętne bałwany. Nie uwierzysz pan jak tragiczną była ta scena, jak rozdzierającą serce boleść tego zwierzęcia. Żał mi się go zrobiło — obiecałem ludziom stojącym na brzegu nagrodę za wyratowanie psa i odtąd mam go przy sobie. Bywały chwile, w których on był jedynym moim towarzyszem i przyjacielem, dziwnie przywiązał się do mnie i rozumiał mnie. O patrz pan — teraz biegnie ścieszką od mostu, tam, ku temu okopconemu kominowi, co sterczy wśród gruzów — to szczątki chaty, w której się urodziłem — tam często chodził on ze mną.

Przestał na chwilę mówić i patrzył.

— Jak dziwne wrażenie robi na mnie zawsze ta kupa gruzów i gliny, pamięć buduje z nich napówrót przeszłość. To jedyne pamiątki po moich ojcach — w płomieniach palącej się chaty zginęli oboje — sieroty zabrał dziedzic do dworu. Tam druga część moich wspomnień.

— Równie smutnych?

— O nie.

— Jakaś uroczystość dziś musi być we dworze — w oknach światła tyle.

— Dziś imieniny mojego opiekuna.

— Czy ma dzieci?

— Ma córkę.

Ten, który pytał, spojrział badawczo w twarz mówiącego, pokiwał smutnie i mówił najprzód zwolna i cicho, potem twarz jego się rozogniała i głos silniał.

— O ja rozumiem takie chwile, jaką ty masz teraz mój młody przyjacielu, i ja kiedyś miałem takie chwile rozkosznego drzenia. Nie byłem tak potwornym jak teraz, byłem nawet przystojnym, — Aniela kochała mnie bardzo. I ja ją kochałem, ale bardziej niż ją, kochałem wolność narodu — pożegnałem więc ją i poszedłem się bić. Pod Ostrołęką dostałem się do niewoli — zapędzono nas w Sybir. Niechcąc wiązać losu dziewczynie, odesłałem jej zaręczynowy pierścionek i zwolniłem z danego słowa. Bóg widział co się działo wtedy w mojej duszy, zrywałem ostatnie nitki wiążące mnie z życiem; okropnie to pomyśleć, że tam w kraju ani jedno już serce nie będzie za nami gonić myślami, nie zapłacze, nie zatęskni; ale darmo, sumienie nakazywało mi tak zrobić. Sybirskie mrozy wygryzły lży z mojej twarzy — uspokoilem się, raczej obumarłem.

Po kilku miesiącach dostałem list — list od niej, w liście pierścionek — pisała mi, że nie będzie tylko moją. O! to był jedyny dzień w życiu, w którym mogłem oszaleć z radości — jeden — jedyny.

Po kilku latach staraniem jej rodziny uzyskałem pozwolenie wrócenia do kraju. Wracałem, ale zmieniony do niepoznania. Niezwykle mrozy szkodliwie podziały na moje ciało, potworzyły się jakieś wrzody, skorupy, z pod których twarz moja wyszła w tej potwornej formie, w jakiej ją teraz widzisz. Zdrętwiałem, ujrawszy się pierwszy raz w zwierciadle, ale znalazłem pociechę w przypomnieniu jej ostatniego listu. Kobieta, która się zdobyła na takie postanowienie, ukochała zapewne sercem nie oczami. Ta nadzieja mnie ożywiła. Drżałem z radości, jak ty teraz drzysz może, kiedy się zbliżał do miejsc, w których ona mieszkała.

Opowiadający przerwał opowiadanie, oczami zawiśnął jakby nad jakąś czarną przepaścią i patrzył w nią ponuro.

— No i cóż?...

Pytanie zbudziło go.

— Co? Zobaczywszy mnie, zemdląca — to była zbyt wymowna odpowiedź, bym mógł nie zrozumieć. Potem przymuszała się patrzeć spokojnie na moją brzydotę, ale ja czytałem wyraźnie odrazę i przymus na jej twarzy — oddałem jej więc pierścionek i wyjechałem. — Widzisz co to jest kobieta — umiała się zdobyć na wielkie poświęcenie, na długie lata wyczekiwania, może wiecznego staropanieństwa, ale nie umiała kochać człowieka z oszpeconą twarzą. Ona kochała się tylko w piękności. Nie dziwiłem się temu wiele. W pół roku potem poszła za mego brata. — To było już urągawisko zbyt bolesne, ból mój zamienił się w wściekłość, bo trzeba ci wiedzieć, że brat był podlec: gdy odjeżdżał do powstania, na przypadek niefortunnych wypadków, chciałem zabezpieczyć mój majątek od konfiskaty, zrobiłem więc formalne zrzeczenie się praw moich na niego. Wróciwszy z niewoli, zażądałem zwrotu majątku, lotr pokazał mi mój zapis i powiedział mi: nie masz nic. I ten sam brat został mężem mojej narzeczonej. Pomyślisz ty co się tam wtedy dziać musiało we mnie, burza najdotkliwszych boleści i najszkaradniejszych namiętności szalała we mnie i tłukła się po piersiach. O, granitowa to pierś być musi, że ją ta burza nie rozwalila w gruzy. Ale cóż mogła wściekłość biednego wygnańca przeciw temu, którego broniło prawo i bagnety moskiewskie? Do kraju wrócić nie mogłem. Uczucie zemsty nie szkodząc jemu, mnie samemu tylko piersi paliło. Posłałem mu raz wyzwanie — nie odpisał, pod tarczą wroga czuł się bezpieczny. Ale teraz czas się zmienił, trybunał rewolucyjny będzie nas sądził, wracam aby się mścić.

— Ja sądziłem, że pan wracasz bić się za wolność.

— Chcę walczyć z tym co złe, co podle, co nas krzywdzi — a on do nich należy. Ja przebaczać nie umiem.

Wózek zatrzymał się przed karezmą, młody człowiek wyskoczył z niego i rzekł:

— Pójdę naprzód, przywitam moją siostrę — czekam tam pana.

I poszedł w górę ku dworowi.

Kobieta siedząca w progu chaty, słysząc szelest kroków po zwiędłych liściach, ruszyła się.

— To wy Marcinie?

Chciała coś mówić dalej, niedokończyła, zobaczywszy obcego człowieka przed sobą.

— Teresko — odezwał się przybyły serdecznym głosem — nie poznałaś mnie? Twój brat — Jan.

— To wy? — zawołała kobieta radośnie i zerwała się na powitanie. Rzewne było powitanie sierót — on był wzruszony, ona trochę do niego nieśmiała.

— I cóż tu nowego u was? — spytał wchodząc z nią do izby.

Rozsunęła fałdy chustki, w którą była okryta i za odpowiedź pokazała mu uśpione dziecko. Jan pocałował je ostrożnie, by nie przebudzić i przyglądał mu się z uczuciem.

(Ciąg d. nast.)

Z PAMIĘTNIKA WIĘZNI.

Niewiem ile tam naliczyć musieli
Dni ci, co wolni — tu w więzienną celi
Czas się tak wlece, że choć nie daleki
Tu rachowany, uczyniłby wieki.
Jakże to dawno, że przypomnieć trudno,
Jak wprowadzono mnie w tę celkę brudną
I drzwi zamknięto. — Po odejściu ludzi
Cisza jak olów gniołła pierś wzburzoną —
Letargnikowi tak być musi pono,
Kiedy się w trumnie zapóźno obudzi
I słyszy łoskot rzucanej na wieko
Ziemi i dzwonów pogrzebowych bicia —
O! jak to straszny taki grób za życia.

Cały mój widok — to ten nieba skrawek
Jak szklanna szyba oprawiony w mury —
Czasem błękitny, czasem po nim chmury
Żeglują szare, albo stada kawek
Przeleca z krzykiem; — czasem nad zachodem
Kiedy się niebo przeczysto wygładzi,
Wypłynie księżyc złoty — gwiazda przodem
Jak dziecko małe, co ślepeca prowadzi.
Ha! i to dobre — i to sercu błogo,
Że oczów okuć w kajdany nie mogę.

Warta przechadza się przez korytarze
 Miarowym chodem w kamienie uderza
 Jak stukające wachadło w zegarze —
 Czasem łańcuchy brzękną, czasem wieża
 Godzinę powie i znów cisza spora —
 Tak będzie jutro i tak było wczora —
 Dzień za dniem. A nie! prawda! wczoraj rano
 Krzyk przeraźliwy przerwał ciszę głuchą,
 Podobno drobnym dzieciom matkę brano...
 Do drzwi okutych przyłożyłem ucho,
 Słyszałem piskląt krzyki przeraźliwe,
 Słyszałem matki płacz taki, że w drzewiem
 Uczułem, jak gdyby drzenie litościwe —
 Czy serca ludzi tych zadrzały — niewiem.

I wyżebrała u nich tyle przecie,
 Że zostawili ję najmłodsze dziecię.
 Śliczne dzieciątko — oczka ciemne, duże
 Jak dwa fiołki rzucone na róże —
 A kiedy główkę na krat brzegi składa
 I sploty włosów rozrzuci bogate,
 Tobys przysięgał, że tam, gdzie włos pada
 Najczystsze złotem ktoś pozłocił kratę.
 Żal ścisnął serce patrzącym na oną
 Dziecinę u krat rączką uczeponą,
 Jak się oczkami smutnemi nieśmiała
 Po tych posępnych murach rozglądała.
 Może szukała kwiatków i zieleni —
 A zobaczyła pod oknami strażę,
 I za kratami zwiędłe więźniów twarze,
 I nie — nie więcej w koło — prócz kamieni.

Boże! jakże ty dziwną wiedziesz drogą
 Dzieje onego ludu w przeznaczenie,
 Którego dzieciom zabawką być mogą
 Więzienne kraty i kajdan brzęczenie —
 A czoło matki, gdzie boleść wryta —
 To pierwsza książka, z której dziecko czyta.
 I strój święteczny jego — strój żałoby
 A pierwszy spacer z piastunką — na groby.

ELPIDON.

Z PRZYRODY.

Olbrzymi postęp, jaki nauki przyrodnicze zrobiły
 w ostatnich czasach, pokazał nam, że bardzo mało je-
 szcze znamy przyrodę, że z ję nieprzebranych tworów
 ledwie cząsteczkę znamy. Poruszamy się wśród mirjad
 stworzeń, których nie widzimy, stąpamy po roślinkach
 ledwie dojrzanych okiem; przepływamy morza, niemy-
 śląc nieraz, że pod nami rozwija się bogata roślinność,
 że się krzewią olbrzymie, przepyszne podmorskie ogrody
 i lasy, rośliny, których długość dochodzi do 338 stóp

paryskich (*Macroctis pyrifera*). Człowiek dopiero po-
 woli z pomocą chemii i z mikroskopem w ręku zdoby-
 wa sobie znajomość tych nieznanych światów, z podzi-
 wem rozpatruje się w tój nieprzebranęj różnaitości, stu-
 dyjuje prawa ich bytu i często te mikroskopowe twory
 szepeczą mu wielkie prawdy filozoficzne, szepeczą mu
 o olbrzymiej potędze maluczkich. Przyroda bowiem pra-
 cuje nieustannie w najmniejszych swoich tworach — małe
 ledwie okiem dojrzane porosty wodne, na których ani
 liści, ani kwiatu, ani owocu dotąd odkryć się nie udało;
 których całość składa się z jednéj komórki, a rozmna-
 żanie dzieje się przez rozdrabnianie i rozrost tójże: te
 małe roślinki siłą swęj niesłychanej płodności (według
 obliczeń Ehrenberga jedna taka roślina w 4ch dniach
 rozmnaża się w 140 bilionów) podnoszą pokłady ziemi,
 i w długie wieki pokazują nam dopiero wielkie rezul-
 taty tój bezustannęj pracy. Innych działanie jest jeszcze
 więcej szybsze i widoczniejsze. Według podania Göp-
 perta w okolicy miasta Swidnicy w kanałach, któremi
 odprowadzano wodę z gorzelnii, potworzyła się taka
 mnogość białych płateczków w wodzie, że zatamowała
 ję odpływ. Był to tak zwany *len wodny*, mleczno-biały.
 W skutek tego woda poczęła gnić i nieprzyjemnie cu-
 chnieć, co jeszcze bardziej sprzyjało rozmnażaniu się
 tych roślinek — do tego stopnia, że choć każda z nich
 była ledwie cieniutką niteczką, łącznie uformowały
 masę, podobną do wełny owczej, i nią całe dno ka-
 nału wyłożyły w rozległości 10,000 stóp kwadratowych,
 i nawet zima rozrostu ich wstrzymać nie mogła. Tych
 parę przykładów pokazuje nam niesłychaną płodność
 natury i pracę ję w najdrobniejszych tworach. Tam,
 gdzie my śmierć widzimy, zaczyna się życie, tylko pod
 inną postacią, gnijące ciała są kolebką nowych two-
 rów. Na zwęglanych pokładach przedpotopowych palmo-
 wych lasów powstają nowe lasy, nowe ziemie — niema
 śmiertelności w naturze. Podnieśmy np. z ziemi uwiędłą
 i złamaną łodyżkę maku — mak już odrobił swoje,
 usechł i skonał. Ale na tój łodyżce powstały czarne
 plamki, przypatrzmy im się przez mikroskop, a rozwina-
 nam się w bujne lasy, w gęszcze drzew poplątanych.
 Każde drzewko podobne trochę do palmy, składa się
 z komórek, niby nawiązanych perełek; po bokach i koń-
 cach gałązek są punkciki, niby ziarenka, służące do
 dalszego rozwoju i wzrostu. To, co widzimy na łodyżce
 maku, powtarza się na pruchniejących pniach, na opa-
 dłych liściach, na konających częściach roślin, na cia-
 łach organicznych, które są w stanie rozkładu, gnicia,
 burzenia. Porosty te i pleśnie, to niby miriady liliput-
 ków, które wszędzie wleżą i nie im się nie oprze. Po-
 zwolono im żeby żyły — to dosyć dla nich, nie poradzi
 im ani graca ogrodnicza, ani nóż, obsiędą ziemię w wa-
 zonie, wazonik sam, rozplenią się na terasie, w piwnicy,
 dziesięć razy wyniszczone, sto razy odżyją; a wleżą
 i do słoików i na słodkich konfiturach rozciągną się

jako pleśń zielonawa. Ciekawe i zajmujące są dzieje tego liliputkowego świata, cóż dopiero mówić o większych tworcach. Człowiek z każdym dniem bardziej podpatruje tajemnice przyrody, więc odkrywa dziwów i ciekawsze robi spostrzeżenia. Za granicą jest mnóstwo dzieł i wykładów w tym przedmiocie — pragnęliśmy i my obznajmić z nim czytelniczki nasze, dla tego i dla badań przyrodniczych poświęcimy od czasu do czasu parę szpalt naszego pisma; będziemy się starali artykuły te uczynić przystępnymi i zajmującymi. Rozpocznemy „wędrówkami roślin“; damy następnie „obraz świata roślinnego w Tatrach“; zestawimy tropik i bieguny, wprowadzimy czytelniczki w czarodziejskie ogrody podwodne, które się nam otwarły pod zaklęciem nauki, i przez mikroskop przypatrzmy się dziwowi niewidzialnego świata. —I.—

KOBIETA

(podług BOGUMILA GOLTZA).

I.

Coraz więcej przybywa dzieł traktujących o kobietach, to ze stanowiska prawnego, to etycznego, to fizjologicznego, to literackiego. Wszystkich celem jest zbadać i określić naturę kobiety i wyznaczyć jej stanowisko w społeczeństwie odpowiednie do jej zasobów fizycznych i duchowych. Oprócz tego w znaczniejszych stolicach odbywają się wykłady publiczne w tym przedmiocie. Poprzestaniemy na wyliczeniu kilku dzieł, jakoto: „Ostatnie słowo o kobietach“ (par L. J. Larcher); „Poeci i kobiety“, (von Karl Frenzel); „O zbytku kobiet, obyczajach, literaturze i cnocie“, (par Feydeau); „Galerye portretów kobiet“ itd. Pomówimy kiedyś o nich obszerniej, tym razem zatrzymamy się przy dziełku Bogumila Goltza, odnoszącem się „do charakterystyki i historii naturalnej kobiet“. Czynimy to ze względu na rozgłos, jaki to dziełko w Niemczech uzyskało. Czy u nas byłoby równie popularnem — jest inne pytanie; pisane jest bowiem nazbyt po niemiecku, tj. w stylu filozoficznym, przeciążonym definicyjami; określeniami, gmatwającemi się bezładnie; wiele rzeczy się powtarza, mięsza i główny przebieg myśli autora potrzeba dopiero z mozolem wydobywać z pstrocinny i przesady stylu. Niemniej jednak książeczka ta ma zalety, a choć autor w niej surowo i bez należytej względności odślania i podnosi wszystkie ujemne strony natury kobiecej i zestawia je wrażającą sprzeczność z dodatnimi przymiotami mężczyzn; to jednak ta niegrzeczność — że tak powiem — ze strony p. Goltza zamiast być wadą, stanowi urok jego dziełka, kobiety bowiem, chociaż lubią komplementa, ale się nimi przesycają; gdy przeciwnie opozycya choć rozdrażnia, ale zajmuje.

Streścimy w kilku ustępach to dziełko, pełne trafnych uwag, spostrzeżeń i charakterystycznych rysów.

Autor utrzymuje, że w stanie dzikości niema wybitnej różnicy między mężczyzną i kobietą, odnośnie do ich zajęć i usposobień, dopiero ze wzrostem uprawy i cywilizacyi, przeciwieństwo coraz bardziej występuje. Im więcej z postępem czasu rozwija się to, co stanowi istotę męża, tj. rozum formalnie wykształcony, przedsiębiorczość, energia, surowość i otrząsanie się z wpływów zmysłowych — tém więcej zachodzi potrzeba, aby tę jego nienaturalną jednostronność przywracały do harmonii i uzupełniały przymioty czysto i wyłącznie kobiece: wdzięk, bierność, łagodność, usłużność, miłość i ów przeczućowy, poetyczny instykt. Mimo starań i wychowania, kobiety zawsze będą miały mniej formalnego rozumu a więcej rozumnego sprytu. Pochodzi to właśnie stąd: że w ustroju świata przedstawiać one muszą naprzeciw teorii mężczyzn praktykę i uszlachetnioną przyrodę. Na tém polega właściwa kobiecość i ztąd też pochodzi jej zagadkowość, jest bowiem równie jak przyroda niewyczerpaną i pełną niespodzianek. Nieprzewidziane przejścia i przemiany leżą w naturze kobiety, gdy przeciwnie jednostronność i typowość mężczyzn jest nierównie łatwiejszą do przejrzania. Ztąd też geniusz kobiet zależy nierównie więcej od ustroju ciała, klimatu, szczepu, wychowania niż geniusz mężczyzn, który umie się siłą swoją wydobyć z tych stosunków krępujących, sięga działalnością swoją po za rodzinę. Na połączeniu więc tych dwóch odmiennych geniuszów polega szczęście rodzinne. Mężczyzna jest ogniwem wiążącym kobietę z ludzkością, ztąd jej przywiązanie do niego.

W zajmujący sposób autor dalej tłumaczy trudność przyjaźni między kobietami, a nawet utrzymuje, że kobieta bez niej obejść się może, co u mężczyzn jest prawie niepodobnem. Motywuje w ten sposób:

Każda kobieta może przedstawiać swój rodzaj w zupełności, wszystkie jego rysy, cnoty, zręczności. Uczona i literatka potrafi w danym razie zająć się gospodarstwem, ręczną robotą, umie być matką. Przeciwnie żaden mężczyzna nie może przedstawiać w sobie głównych cnót i przyrodzonych zdolności swego rodzaju, przedstawia jedną ich część tylko. Ztąd pochodzi, że tak trudną i rzadką jest prawdziwa przyjaźń między kobietami. Nie owe do znudzenia powtarzane trywialne i małostkowe zawiści są tego przyczyną, jest inny powód zasadniczy, leżący w naturze rzeczy. Przyjaźń powstaje z potrzeby uzupełnienia się między osobami jednej płci. Tymczasem kobieta w zakresie swojej płci sama się uzupełnia i wystarcza sobie. Matka czy to właścianka, czy królowa, czy cyganka, zawsze jest matką jedną i tą samą; przeciwnie chłop, cygan, uczony, prawodawca, są to wszystko odmienności potrzebujące się nawzajem, bo to,

co stanowi ich istotę, jest zupełnie różnym. Kobiety najodmienniejszego wychowania i zatrudnień, pozostają co do istoty zawsze temi samemi. Zaniedbana dziewczyna miejska lub wieśniaczka bez oglady, przedstawiają często w całej pełni i piękności wdzięk i powab swój płci — tego nie można powiedzieć o parobku lub małomiejskim kawalerze.

Z tego założenia wychodząc, autor robi różne ciekawe postrzeżenia.

Dziewczyna górnje nad młodzieńcem równego wieku ukształceniem, charakterem i praktycznością; mężczyzna w sile wieku, przeważa nad kobietą i dopiero podeszła matrona odzyskuje znowu przewagę nad zgrzybiałym starcem. Kobieta bowiem nie wyczerpuje się tak prędko. U mężczyzn zwykle jeden kierunek pochłania wszystkie siły i krzywdzi je; u kobiet jest przeciwnie większa równowaga władz ciała i duszy, ztąd nabierają wytrwałości upornej, cierpliwości, i w najkrytyczniejszej chwili kobieta często łatwiejszy ma wybór i stanowczość. Nie idą bowiem za teorią, za ideą, za prawem i prawdą jak mężczyźni, ale folgują instyktom, upodobaniom i naturalnym sympatyjom; nie sądzą według powodów, ale według miłości. Płytkość ich rozumowań jest ogrzana sercem, dla tego jest pełną życia, różnaitości i ruchliwości; dla tego lubi być bierną i ofiarą; wybujałość zaś i twórczość mężka potrzebuje samodzielności obok wypoczynku i ciszy.

Kobieta jest porywającą, wdzięczną, dla tego, że jest naturalną, bezładną w sobie, oddaną wrażeniom chwili, nieuchwyconą co do właściwości swego charakteru. Mężczyzna jest nieznośnym, szorstkim, pedantycznym dla tego, że charakter jego i obyczajowa wartość wyraziściej jest naznaczona.

(Ciąg dal. n.)

KAPRERA.

(USTĘP Z PAMIĘTNIKÓW.

I.

Wyjazd z Genui. — Ciekawy egzemplarz jenerała. — Hrabia Sandor T. — Towarzystwo na pokładzie. — Livorno. — Mistryfikacja. — Brzegi Sardynii. — Wieczór na morzu.

Po niedoszłej wyprawie w Bergamo, mówiono o zamiarze nowej wyprawy, różne o tém chodziły wieści; by się czegoś pewniejszego dowiedzieć, postanowiłem na jakiś czas jechać na Kaprerę, aby zwiedzić wyspę, jakoteż poznać lepiej człowieka, dla którego oddawna największy powziąłem szacunek. Zamiar mój znanym był innym rodakom bawiącym tak w Turynie jak w Genui. Razu jednego donosi mi Piotr Z. w liście z Genui pisany, że przybył z kraju pewien jenerał moskiewski, Polak, i bardzo sobie życzy mnie poznać, że przyjadą do Turynu, prosi więc, by mu donieść, czy będę w domu.

W parę dni po tym liście otrzymuję wizytę tych panów. Pan jenerał był rzadkim egzemplarzem żołnierza. Średniego wzrostu, w peruce, mimo lat 50ciu jeszcze zwinny, fanfaron jakich mało, a do tego bardzo uczuciowy człowiek. Duże złote bransolety zdobiły jego ręce, nosił on je, by się zabezpieczyć od przecięcia pulsów, kresy na nich świadczą, że mu dobrą były w bitwach i pojedynkach obroną; prócz tych bransoletek i wielu na palcach pierścionków, trzy z nich rozciekawiały oryginalnością swoją. Były to bowiem pierścionki, w które zamiast drogich kamieni, oprawiono zęby ludzkie, dwa z nich były zębki ukochanej córki, pierwsze które straciła, trzeci duży spruchniały należał niegdyś do nieboszczki żony, a biegły badacz archeologicznych zabytków, ileżby nocy i dni przebolałych w ruinach jego odczytać nie potrafił?

Nieszczęśliwy ciekawy, któren zapytał coby to były za kamienie w tych pierścionkach, musiał wysłuchać historyi wszystkich trzech zębów, którą z płaczem poczciwy jenerał opowiadał, a którą ja czytelnikowi daruję. W ogóle jenerał żyjąc wiele w towarzystwie wyższem, do którego ze względu na swój stopień był przypuszczonym, nauczył się dobrego tonu i nim nieźle pokrywał nie bardzo gruntowną edukacją. Wziawszy dymisyą i bawiąc za granicą, a mając wielką ochotę widzenia wszystkiego, o niczem nie myślał jak o zabawach. Po naszym zaznajomieniu jak tylko dowiedział się, że mam zamiar udania się na Kaprerę, prosił koniecznie, bym podróż tę przyspieszył, gdyż zemną pojedzie.

Zabrawszy z sobą Władysława R., pojechaliśmy razem do Genui, z kąd pierwszym odchodzącym statkiem, utrzymującym związek między ładem włoskim a Sardynią, mieliśmy się udać w zamierzoną podróż.

W Genui dowiedziałem się, że kilku oficerów wyższych ze sztabu Garibaldeggo, oraz kilku znajomych Włochów również się tam wybiera. Prócz tych Włochów także i jeden Węgier pułkownik hrabia Sandor T., wielki przyjaciel Polaków, ten sam co należał do owego sławnego w swym czasie mazura w Hiszpanii, a w roku 1849 tak szczęśliwie uniknąć potrafił wyroku śmierci.

Po złożeniu broni pod Vilagos, skazanym on został na karę śmierci. Nie traci jednak czasu ani przytomności, będąc na wolnej nodze, przebiera się za żokeja Anglika i przyjmuje służbę do koni u samego jenerała Hainau, i w czasie, kiedy go wszędzie poszukiwano listami gończemi, jenerał chlubił się swym Anglikiem przed innemi oficerami, którzy mu go zazdrościli i odmówić chcieli. Anglik stał się ulubieńcem oficerów, nareszcie razu jednego pojechawszy na spacer, z końmi nagle znika, a w jakiś czas jenerał odbiera list od hrabiego ze Stambułu z załączonym wekslem na wartość koni. Łatwo sobie wyobrazić radość jenerała Hainau.

Podróż ta wiele obiecywała przyjemności. Ażeby zapoznać z tymi nowymi towarzyszami jenerała, mieliśmy

się zejść w kawiarni Concordii, nazajutrz bowiem z rana mieliśmy odpłynąć.

Prawdę mówiąc, postać pana generała nie bardzo się spodobała oficerom włoskim, ale za to hrabia T. lubiący żarty, przyczepił się od razu do generała, obiecał że mu będzie ciceronem całą drogę. Temu byliśmy bardzo radzi, bo znając hrabiego jako człowieka wielce dowcipnego i znającego świat, niejedną przyjemną chwilę naprzód obiecywaliśmy sobie.

Na drugi dzień o godzinie 7mej z rana byliśmy już na statku parowym, na którym prócz nas liczne było grono kobiet. W pół godziny po naszym przybyciu odpływaliśmy, łódki, które nas do okrętu przywiozły wracały, opuszczaliśmy port.

Port genueński samemu tylko neapolitańskiemu ustępuje w piękności. Patrząc nań od strony miasta, nieokazuje nam się w całej świetności, lecz dopiero wypłynawszy z ćwierć mili na morze. Hrabia T. doradzał zasłonić oczy i na umówiony znak dopiero podziwiać to piękno. Lubo nie pierwszy raz tę drogę odbywałem, usłuchawszy tej rady, jakiegoż nie doznałem wrażenia? Ta zatoka ubarwiona banderami rozmaitych narodów, ten wdzięczny okrąg stanowiący nadbrzeże; powyżej pyszne miasto, wznoszące się w kształcie amfiteatru, przedtém jeszcze latarnia morska zbudowana śród portu, wreszcie dwie olbrzymie groble posuwające się w morze, jakby ramiona rozłożone na przywitanie przybywających,—kogożby zachwycić to nie potrafiło? Na jakie pare mil od Genui całe nadbrzeże jest jednym tylko ogrodem, posianym wiejskimi pałacami, zbudowanymi z jak największym zbytkiem. Wszystko to zachwycało oko i duszę, patrzałem długo, długo; niknęły najprzód gmachy jeden za drugim, później cały krajobraz zniknął jak we mgle, pozostało tylko niebo, morze i okręt a na nim my i kobiety zachwycające się również tym malowniczym widokiem.

Niemając na teraz prócz nich nic więcej do podziwiania, zrobiliśmy rekonesans, a rezultatem jego było dowiedzenie się, że to jest trupa aktorów, płynąca na teraz do Cagliari na Sardynią, a ztamtąd później do Konstantynopola.

Panie te były prawie wszystkie jak to mówią *entre deux ages*, tak między 18tym a 40tym rokiem. Za to choć nie tak bardzo młode, posiadały jednak tyle dowcipu i pewnego rodzaju agasujących wdzięków, które nie tylko z niemłodej, ale nawet i z nieładnej robią jeszcze *une femme desirable*. Odznaczała się między nimi Judyta, prima donna, licząca się do młodszych, jeszcze piękna i postaci dobrzej, łączyła w osobie swój i twarzy tyle jeszcze gracy i piękności, żeby inne swe koleżanki podróży niemi wyposażyć mogła. Widać było, że musiała być kiedyś ozdobą sceny i ideałem eleganckiej młodzieży. Zapoznanie z temi paniami było prędkie,

byliśmy jak dobrzy i dawni znajomi, na jenerale Judyta niepospolite zrobiła wrażenie.

Statek nasz szybko pruł powierzchnię morza, dążyliśmy do Liworna. Niebo uśmiechało się serdecznie, modre szczyty gór dawały się już coraz lepiej widzieć. Wzrok napotykał wysepki Capraja i Gorgonej, później rozpoznać było można port Liworna; widać było wzgórze wznoszące się od południa i północy miasta, pokryte oliwnymi drzewami, drogę do Montenero, miejsca pobożnych Liworneńczyków, wijące się nad brzegiem morza po lewej stronie miasta, łańcuch pagórków pokrytych winnicami. Minęliśmy skałę z latarnią morską i wpłynęli do portu, którego cytadela i dobre warownie bronią. Port ten jest bezpieczny, dla powiększenia go rozpoczęto roboty, bo ruch handlowy jest tam duży.

Niezmordowany generał chciał korzystać z dwugodzinnego tu przystanku i zobaczyć miasto, niepomogły nasze przedstawienia, że w tém mieście niema nic do widzenia. Siedliśmy w łodzi, zabrawszy dwie z tych pań — ma się rozumieć Judytę. Pułkownik Brucei zaprosił nas na lody. Przy wsiadaniu do łodzi, generał chciał być *cavaliere servante* Judyty, padał jej rękę, lecz w téjże chwili hrabia T. wskoczył z połowy schodów do łodzi, ta poczęła się chwiać, a nieprzyzwyczajony generał o mało nie wpadł do morza, skończyło się jednak na spadnięciu jego kapelusza i skrzywieniu peruki.

Mimo bogactwa miasta Liworna, nikt w niem nie szuka wspomnień historycznych, niema tam ani obrazów, ani dzieł rzeźby; jedna grupa bronzowa postawiona przy wnijsciu do portu zasługuje na jakąkolwiek uwagę, choć nie mile robi wrażenie, wyobraża bowiem czterech niewolników w kajdanach u stóp wielkiego księcia Ferdynanda I.

Wszystkie budowle miasta są tegoczesne i niema żadnego gmachu, którenby imponował lub przynajmniej zwracał uwagę. Obszerny rynek zajmuje środek miasta, wchodzą weń szerokie ulice, pod sznur prowadzone. Ulica Ferdynanda, ognisko handlu, zawsze ludna i bogatemi ozdobiona sklepami. Część miasta przerznęta kanałami, któremi prowadzą towary aż do bram składow, nazwaną została nową Wenecją.

Powróciliśmy z miasta na okręt, prawie na śniadanie, które rozpoczęło się z wyruszeniem parowca w dalszą podróż. Śniadanie ożywiała rozmowa hrabi T. z jeneralem, któren zgrabnie naciągnął rozmowę o pierścionkach, wysłuchaliśmy historyi zębów, a lzy rozczulenia które ronił, tém ciekawszym zrobiły go w oczach naszych towarzyszek podróży. Judyta siedziała między mną a jeneralem, tyle naprawiła mu grzeczności, że generał mógł być szczęśliwym nawet i bardzo szczęśliwym. Między pierścionkami generała był także jeszcze jeden z główką kobiety, rzniętą z safiru; zapewniał nas, że lubo wartość jego nie wielka, za żadne skarby

świata by go nie oddał, bo to pamiątka pierwszej jego miłości, którą nam również chciał opowiadać. W oczach Włoszki błysnęła chęć posiadania pierścienka, nie dla wartości, ale dla pokazania siły resztek ulatujących wdzięków, których próbę postanowiła zrobić na jenerale. Robione mu przez nią grzeczności, utwierdziły mnie w tém, za to też już jenerał nie widział nic, prócz oczu Judyty, — próżnemi były uwagi hrabi T., żeby się patrzył na nowy dający się nam coraz lepiej widzieć krajobraz.

(Ciąg dal. n.)

Opis ryciny, mód i krojów.

Pora jesienna znaczny już wpływ wywiera na zmianę toalety, bo chociaż jeszcze się nam niejeden piękny dzień dostanie, jednak trzeba już myśleć o cieplejszych ubiorach. Podajemy obecnie w tabeli krojów z połączeniem żurnalu paryskiego piękny wybór jesiennych wzorów. — Główną rolę odgrywać będzie paletot i jego pokrewne kaftany i żaczki; ale w tak nowych oryginalnych krojach, że się zupełnie różnią od dawnych, dowód tego daje dzisiejszy żurnal (Fig. 1, 2 i 4), które już oznaczają dzisiejsze stroje jesiennie. Kaftan Fig. 1. jest z mocnej podwójnej materii, wąskimi jedwabnymi wstążeczkami bogato ubrany; przodek, plecki i boczki tworzą dołem znaczne wycięcia; z przodu pod wyszywaniem idącym od ramienia, jest wygodna kieszonka; przodki aż do dołu spięte na guziki.

Fig. 2. przedstawia jesienny żaczek z kapiszonem. Po bokach są wcięcia, a naokoło końce, przy których umocowane bogate kutasasy, jak również u trzech końców kapiszona. Jak się składa i przykrawa, łatwo poznać według tabeli krojów N. 9. Żaczek ten z takiej samej materii jak suknie, bardzo ładnie ubiera.

Fig. 3. przedstawia toaletę spacerową lub wizytową. Zgrabny żaczek złotym sznurkiem obszyty w koło, jest jak zwykle skrojony wcięto, dla tego nie dajemy osobnego wzoru.

Fig. 4. przedstawia już ubiór zimowy. Paletot z podwójnej materii, z szerokim kołnierzem; przybory w guście greckim z wyrobów szmuklerskich lub roboty maszynowej. Zresztą przedstawia nasz żurnal najnowsze kapelusze, które wyjąwszy okrągłych, są jeszcze bardzo małe. Będą też używane wszelkie wyroby z włóczki, tak na głowę, jakoteż do ubierania płaszczów, kaftanów itp.

Przed opisem krojów, podajemy raz na zawsze objaśnienie, w jaki sposób można z łatwością formy te powiększyć do naturalnej wielkości. Główną podstawą jest miara, którą zastósowawszy do osoby, trzeba oznaczyć numerami, w sposób, jak na tabeli są oznaczone, potem odrysowawszy model, według tej miary go zwiększyć, przez co z łatwością do każdej figury może być zastósowany; najlepiej jest wziąć miarę u góry w ramionach, a według tej wszystko się da obliczyć. Każda z podanych form dla osoby proporcjonalnie zbudowanej, może być śmiało powiększona 48 razy.

Fig. 1. do 5. Kaftan jesienny zastósowany do Fig. 1. żurnalu. Fig. 1. plecy; Fig. 2. przodek; Fig. 3—4. boczki. Co się tyczy wyrobów czyli obłożeń tego okrycia, odsyłamy do Fig. 1. żurnalu. Na tabeli krojów jest obłożenie potrójną linią oznaczone, nawet na rękawie N. 5. Rozumie się, że niezupełnie można się stósować do rysunku ale koniecznie do wzrostu i figury osoby dla której się robi, co się da ściśle osiągnąć przez miarę wziętą w plecach, w piersiach, boczkach i szyi. Także szczególnie uważać potrzeba przy sukniach wciętych, czy wcięcie ma być wyżej lub niżej, według wysokości osoby.

Fig. 6. do 10. żaczek jesienny z kapiszonem według Fig. 2. żurnalu. Żaczek ten dosyć długi, jest pół wcięty, tj. że tylko nie-

znacznie określa figurę; po bokach jest dosyć wysoko rozcięty. Bardzo ładnie wygląda kapiszon z trzema końcami, przystrojonem jak równie i końce boczne w bogate kutasasy. Formę łatwo wyciąć według Fig. 9., przypatrzawszy się zarazem dobrze Fig. 2. żurnalu.

Fig. 11. do 16. jesienny i zimowy paletot, z kołnierzem według Fig. 4. żurnalu., w grecki sposób naokoło ubrany. Krój zwyczajny, niepotrzebne osobnego objaśnienia. Połowa przodka szerokiego kołnierza Fig. 15. zeszywa się z tylną połową N. 16., która jest w koło i od dołu tym samym deseniem greckim przystrojona; tak samo i rękaw Fig. 14. Fig. 17. do 24. jesienna suknia z kapiszonem, model paryski. Forma ta głównie się stosuje dla młodszych.

Fig. 20. i 21. kapiszon z długimi jedwabnymi kutasami, wielkimi kieszeniami i guzikami.

Fig. 25. do 29. jesienny i zimowy paletot, w guście angielskim, według żurnalu z Londynu; da się tylko użyć z grubiej wędzianej materii.

Fig. 30. do 38. Forma stanika z różnemi wyrobami, model wiedeński.

Fig. 33. do 38. przedstawia różne sposoby przyrządzania tych staników.

Fig. 39. do 43. Paletot jesiennie dla pańienek od lat 10 do 13.

Fig. 44. do 47. Pasek z połami tak zwany peplos, jest to toaletowy przedmiot, coraz więcej używany przy sukniach takiej samej materii i koloru. Jeżeli suknia spięta do góry i obszyta w kształcie paleta, to trudno rozróżnić czy poły peplosa nie są rzeczywiście paletotem, do którego przymocowany pasek, są bowiem przymocowane do paska i spięte z przodu.

Korespondencja „Kaliny“.

Zamierzamy zaprowadzić stałą kronikę ruchu towarzyskiego, umysłowego i sztuk w całej prowincyi naszej. Upraszamy więc o zasillanie nas potrzebnymi wiadomościami, bez czego ta rubryka jest niemożliwą.

— Pani J. Si. w Wenecyi. Powieści pańskiej drukować nie możemy, brak jej oryginalności. Natomiast opisy zwyczajów i sportrzeżeń z tamtych stron byłyby nam bardzo pożądane. Egzemplarzy „Kaliny“ posłać nie możemy w kopercie, chyba na koszt.

— Pani Z. H. w Ciesz... Artykułu prywatnie nam przyslanego jeszcze nieotrzymałimy. Za rady łaskawie nam udzielone, dziękujemy.

— Pani S. P. w Krakowie. Artykułu przeciw kronice „Czasu“ umieścić nie możemy. Za ciasne są ramy naszego pisma, by je otwierać polemice tehnającej osobistością.

Przy dzisiejszym numerze załącza się dla Prenumerujących: rycinę mód i arkusz krojów. — Nuty załączone będą przy Nrze 3.

Numer 2. „Kaliny“ zawierać będzie: „Patryjarchalność polska“, p. X. Wojciecha z Medyki. — „Żony niewolników“ (ciąg dalszy). „Pogrzyb dziecka“, wiersz przez Amelią P. — „Wyprawa do fotografa, humoreska. — „Stanisław Muniuszko“, przez St. Dunieckiego. — „Kaprera“ (ciąg dal.). — „List“ do Redakcyi Ludwiki Leśniowski. — „Wiadomości bieżące“ itd. itd.

W biurze Redakcyi można nabyć:

SZKOŁY W POLSCE

przez ALFREDA SZCZEPAŃSKIEGO — przegląd od początku do dzisiaj, stron 49. — Cena egzemplarza 50 c.

Główni współpracownicy: MICHAŁ BAŁUCKI i ALFRED SZCZEPAŃSKI. Odpowiedzialny redaktor: TADEKUSZ WOJCIECHOWSKI.



Wychodzi co sobota o godzinie 9. rano.

Prenumerata miejscowa wynosi: *rocznie* 6 złr., *półrocznie* 3 złr., *ćwierćrocznie* 1 złr. 50 c. w. a. — Z przesyłką pocztową: *rocznie* 7 złr. 20 c., *półrocznie* 3 złr. 60 c., *ćwierćrocznie* 1 złr. 80 c. — *Prenumerata zagraniczna* bez mód i bez nut *rocznie* 8 złr. 30 c. w. a.

Mody i kroje *rocznie* 3 złr. 30 c., *półrocznie* 1 złr. 70 c., *ćwierćrocznie* 90 c. w. a. *Nuty* *rocznie* 1 złr. 25 c., *półrocznie* 65 c., *ćwierćrocznie* 35 c. w. a.

W Krakowie prenumerować można w biurze redakcyi: ulica żydowska, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni Wgo. Czecha.

W Ławowie można prenumerować i odbierać w agencji Hereoka i Arnolda na Halickiem.

Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c. następnie po 4 c. Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy

Patryjarchalność polska

przez

X. Węjciecha z Medyki.

I.

Jak miłe nam wspomnienia świętego i niewinnego dzieciństwa w domu rodzicielskim, tak miłe nam obrazy społecznego pożycia naszego narodu na pierwociu. Gdzie słońko miłości świeci i grzeje, tam wszystko radośnie i szczęśliwie żyje i rośnie! W dzieciństwie kochani od matki i ojca i od wszystkich, upojeni samą miłością, nosimy też te błogie wpływy najgłębiej wryte w pamięci, i w późniejszych latach zwracamy się ciągle ku tym miejscom, gdzie była izba naszych zabawek, gdzie był dziedziniec, ogródek albo morawa przeznaczona do naszego biegania po świeżem powietrzu.

Coś podobnego powtarza się w życiu narodu — pieśniami poetów naród tęskni do dawnych wspomnień, do dawny enót. Przebiegnijmy cały szereg poetów od Reja począwszy — wszędzie i zawsze słyhać tę strunę. Jakiż cel takiego ciągłego obglądania się za siebie? Zaiste czas byłby stracony, gdyby szło tylko o dogodzenie potrzebie serca, smętnemu uczuciu. Kto idąc obgląda się, opóźnia się w drodze; ale jest inny cel i powód. Oto naród mówiące przez usta poetów o swęj przeszłości, przypomina sobie to, na czém się uchował i urósł, wśród zamętu politycznego i moralnego są dla niego te kardynalne podstawy tém, czém dla człowieka wspomnienia dzieciństwa. W chwilach zepsucia i upadku

najsilniej zawsze jęczą harfy poetów tą elegijną nutą wspomnień dawnych enót — patryjarchalnego wieku naszego. Piastowska epoka była rzeczywiście patryjarchalna. Na tę patryjarchalność złożyła się biblia i duch słowiański, więjący jeszcze dość silnie. Historyja zapisała nam z owych czasów burzliwe wojny książąt i królów, i fundacyje biskupstw i kościołów — a o tém życiu patryjarchalném bardzo mało szczegółów — przechowały się one więć w tradycyi (którą pochwycili potem poeci), więć się ich domyślamy przez analogią, raczej przecuciem odczytujemy ułamkowe wiadomości kronikarzy. W cieniu tego patryjarchalnego życia krzewiły się cnoty rodzinne i narodowe. Pomimo przemian jakie od tego czasu naród nasz przeżył, te cnoty nie znikły z pośród nas, przytarły się tylko, wybladły, zmalały; ale tkwią w naszej krwi. Nie jest to ezczy panegiryk patryjotyczny, com powiedział. Przejedźmy się tylko za granicę, poznajmy tamtych ludzi i porównajmy potem ich zimy rozum, ich rachunkowość w stosunkach familijnych i sercowych — z uczuciowością, serdecznością i gościnnością polską — a uwydatni się nam cała różnica i z chlubą mówię, cała wyższość nasza. Kto zachował świeżość i że tak powiem, dziewiczość serca — ten ma dużą jeszcze przyszłość przed sobą. Wieszczo wie nasi przysięgli nam na natchnienie swoje, że my mamy taką przyszłość, a zarobiliśmy na nią cnotami oddziedziczonymi z przeszłości i mękę życia porozbiorowego, to nas uszlachetniło.

Dla tego idąc z innymi odami po drodze postępu, nie idźmy owezym r bierzmy to co się układa

do harmonii z usposobieniem narodowem, z pierwiastkiem rodzimym, z tém co nam w testamencie patryjarchalne czasy nasze przekazały. Nie zatracajmy tego w sobie co nas stawia wyżej po nad inne narody. Szczególniej niewiasty nasze powinny pamiętać o tém, ich serca powinny być skarbcem cnót narodowych, któremi mają obdzielać i mężów i dzieci, powinny jak słusznie, trafnie program niniejszego pisemka powiedział: uczoność i wykształcenie swoje zużytkować na korzyść i szczęście rodziny.

(Ciąg d. nast.)

PRZEZNACZENIE.

Są w życiu chwile napiętnowane,
Są fatalizmu epoki,
W których pociechy nam obiecane
Jak mgły pierzchają w obłoki;
Nie ciesz się serce, choć promień w górze
Różowo przestwór maluje,
Nie ciesz się próżno, już pędzą burze,
Czarna je chmura zwiastuje.
Ani wiesz zkąd się odezwą gromy,
Gdzie wichrów skrzydło cię zwieje,
Wtrącając w przepaść jak zdziebło słomy
Ciebie i twoje nadzieje —
Wtenczas człowieku nie podnoś czoła,
Ugnij kolano do ziemi,
Bo głos silniejszy od burzy, woła:
„Zgódź się z wyroki Boskiemi!”

A. Pruszkowa.

ŻONY NIEWOLNIKÓW.

I.

Niespodziewani.

(Cią dalszy.)

— Nazwaliśmy je twojem imieniem — rzekła Tereska.
Jan podziękował jej wzrokiem.
— Gdzież Marcin?
— Bóg go wie — odrzekła skarżąc się.
Brat spojrział na nią pytająco, z zadziwieniem.
— Jakto, czy może źle żyjecie ze sobą?
— Uchowaj Boże, Marcin dobry dla mnie jak zawsze, ale...
— Ale cóż?
— Od jakiegoś czasu zaniedbał się w robocie, chodzi Bóg wie gdzie, czasem bywa, że go pare dni niema.
— Może pije?
— Nie. —
— I nigdy ci nie powiedział, gdzie chodzi?
— Mówił, że za robotą, ale ja temu nie wierzę,

bo mówiąc to, nie patrzył mi w oczy. A kiedy widział, że zaczęłam lamentować, przyszedł do mnie, pogłaskał mnie po głowie i powiedział wtedy: nie trap się Teresko, bądźcie nam wszystkim kiedyś lepij. Nerozumiałam, a on więcęj powiedzieć nie chciał. Mnie strach o niego...

— Czy się domyślasz czego?

— Słuchaj! — rzekła tajemniczo, i przysunawszy się do niego, poczęła mówić stłumionym głosem.

— Od niejakiego czasu pokazują się koło boru jacyś ludzie nieznanymi — we wsi mówią, że to rabusie, że będą palić wsie.

— Gadający, przewidzenia.

— Nieśmięj się — sama ich widziałam na własne oczy. Kilka dni temu wracałam z jarmarku już późno wieczór: — za wsią koło stawów zobaczyłam w sitowiacz kilku tych ludzi. Gdy mnie zobaczyli, cofnęli się chyłkiem ku lasowi. To jeszcze nic: ale zbliżając się do wsi, zobaczyłam Marcina — zmieształ się, zetknawszy się ze mną, powiedział, że wróci zaraz i kazał mi iść do domu. Ale mnie coś nie dało odejść, przystanąłam za drzewem i patrzyłam za nim. On idąc, oglądał się często, potem zsunął się między zarośle i poszedł także ku lasowi. Na drugi dzień gadano po wsi, że z tamtej strony lasu jacyś ludzie w nocy napadli na dom leśniczego i jego samego powiesili. I cóż ty brać na to? —

Jan nie wiedział, jak sobie to wszystko tłumaczyć, jak uspokoić siostrę. Przed chatą zaturkotał wózek.

— Odchodzisz już? — spytała Tereska brata, a w zapytaniu jej drżała ukryta miłość siostrzana.

— Jadę do dworu. —

— Tam dziś uroczystość. —

— Wiem, imieniny opiekuna. —

— I wesele jego córki.

Jan zdrewniał, zbezwdniał z przerażenia — słowa siostry jak piorun uderzyły w jego nadzieje i strząsały je.

Machinalnie jak lunatyk wyszedł do wołającego i siadł na wózek. Gdy konie ruszyły, on jakby przebudzony chwycił za rękę towarzysza i rzekł zmienionym głosem:

— Wróćmy!

— Czemu?

— Tam wesele.

Syberyjezyk pokiwał smutnie głową:

— Więc i tobie przeznaczenie taką niespodziankę przygotowało. Podaj mi rękę mój przyjacielu — lata nas różnią, nieszczęście nas łączy. Pojedziemy tam, spojrzysz w twarz twemu losowi — to cię zahartuje. Wiesz dobrze, że nie dla gołębic gruchań jechaliśmy w te strony, dla wielkich celów trzeba wiele ponieść na ofiarę, ponieś ty boleść twoją, ucisz namiętne drgania serca i chodź naprzód — jedźmy.

Wjechali w dziedziniec — uprzedźmy ich w sali. Mnóstwo było gości z okolicy, weselne gody odbywały się cicho, poważnie — ale wystawnie. Wśród gości nie trudno odszukać pannę młodą: poznać ją po tym blasku, jakim promienieje w dzień wesela twarz oblubienicy, poznać po wianku myrtowym i długiej gazowej zasłonie. Siedzi niedaleko okna, zapatrzona w ziemię, płonie słuchając pierwszych słów męża, i skubie kwiaty oleandrów nie rumieńsze od niej.

Nagle łoskot się zrobił u drzwi, jakiś czarny, duży pies przewrócił lokaja z taca, wpadł między przestraszone panie i czegoś szukał. Znalazł pod oleandrem i rzucił się ku panie młodej skomląc z radości i szalejąc prawie.

— Mera — szepnęła Anna i drgnęła lekko — pies przypomniał jej coś może z przeszłości. Ona chowała się razem z Janem — lubili się bardzo, Jan był dla niej tak dobry zawsze, ale o miłości nigdy nie mówił. Potem musiał uciekać za granicę. — Annie z początku było bardzo smutno, potem mniej i pocieszała się mówiąc sobie: „nie wróci“, albo „kto wie czy mnie kocha“ — i poszła za męża — nie była stworzoną na heroinę smutnych romansów. Tak samo zrobiłaby każda — tém się tłumaczyła przed sobą. A jednak w tej chwili ten pies zbudził w niej jakieś niespokojne drżenie, zmusił ją, że pobladła i trwożnie spojrzała ku drzwiom.

Wszedł ojciec jej prowadząc do sali Jana i kogoś drugiego, odrażająco brzydkiego: oczy czarne miał w głąb pod czaszkę wsunięte i szydercze, na oszpeconej i pokrzywionej twarzy był rzadki zarost. Annie się zdało, że Jan prowadzi ze sobą szatana, by się mścił.

— Proszę panów — mówił gospodarz — poznam was z rodzicami mego zięcia — i prowadził ich do stołu i chciał przedstawiać. Ojciec pana młodego był zagadany z kimś mocno, trącony przez gospodarza, odwrócił się, spojrzał na syberyjczyka i obydwaj ci ludzie skrzyżowawszy spojrzenia, odskoczyli od siebie nagle, jak armaty po wystrale.

W sali zrobiło się wielkie zamieszanie.

— Co to jest? — zawołał zdziwiony gospodarz. Syberyjczyk twarz miał jak jedną krwawą ranę, oczy rzucały płomień, chwycił za rękę Jana i ścisnąwszy ją silnie w swych dłoniach, rzekł ochrypłym głosem:

— Patrz! to ten łotr, którego niegdyś nazywałem bratem moim.

(Ciąg d. nast.)

STANISŁAW MONIUSZKO

w świecie muzycznym.

przez St. Dunieckiego.

W chwili, gdy przelotna muzyka Offenbacha wyuzdana swoją lekkością zajęła tak żywo całą prawie

Europę, jak niegdyś równiej wartości utwory Pawła de Kock i młodszego Dumasa, opór stawiony przeciw modzie staje się podwójną zasługą kompozytorów. W istocie wpływ Offenbacha okazał się pomimo pewnej dobrej strony, którą zaraz oznaczę, wielce szkodliwym dla muzyki dramatycznej — i wywołał rozlicznych naśladowców, którzy niemając talentu kompozytora „Orfeusza“ — osiągnęli równe prawie powodzenia wyuzdaniem, umysłowością i zdeptaniem prawdziwych pojęć w muzyce. Nie konieczność nauki, a nawet talentu, skusiła wielu muzyków — którzyby zresztą z problematyczną swą wiedzą nie śmieli byli wystąpić w szranki — do klejenia rozlicznych lekkich operetek — bez wartości i siły żywotnej. Powiedziałem, że muzyka Offenbacha ma jednak dobrą stronę. Oddawna już daje się czuć potrzeba w sztuce coraz bardziej nagląca wylamania się z pod krępujących form — lecz kiedy poezja — w utworach Szekspira, Kalderona, Byrona, Szylera, Getego, Wiktora Hugo, Mickiewicza, Słowackiego, Krasńskiego już poniekąd z nich się wylamała, muzyka aż do bardzo niedawnego czasu — a nawet i teraz musi się stosować do reguł tak ciasnych, jak pamiętne przepisy Arystotelesa. Spopularyzowanie więc muzyki stało się konieczną potrzebą, a pod tym względem i Offenbach ma swoją zasługę.

W dawniejszych utworach muzyka jego zwinna, lekka, melodyjna, instrumentacja zręczna — wolna od uczonych frazesów nieprzystępnych dla ogółu — z szyderckim cynizmem zdawała się spoglądać na zabazgrane kontrapunktyczne partytury Niemców i zostawiła doskonałą naukę dla wielbicieli ciemnej gmatwaniny niezrozumiałej w muzyce. Rzeczywiście nierówniej zasługi trzech kompozytorów największe w naszej epoce wywarli wpływy: Hektor Berlioz, Ryszard Wagner i Offenbach.

Pierwszy obalił misterny budynek instrumentacji podług reguł, wyrzekłszy śmiały aksjomat: „wszystko dobre w muzyce, co dobre robi wrażenie“. — Drugi potęgą swego ducha potępił lekliwość form. Trzeci idąc drogą Bokaccia i Pawła de Kock, utworzył muzykę dla ludu, muzykę gryzetek i słuchaczy prawa, uwrierów i loretek, — upoetyzował *café chantant* i wcisnął muzykę ulicy do salonów arystokracji.

Każdy z nich jednak poszedł za daleko. Berlioz zatopiony w bujnym lesie swjej instrumentacji, zapominał o muzyce i polepił utwory bez duszy, bez melodyi. — Drugi Wagner, zrzucając słusznie krępujące więzy, starał się wpoić w muzykę swoją filozofję spekulacyjną Hegla, przez co popadł w niejasność i niezrozumiałość. — Trzeci nareszcie oszpecił cynizmem swoich utworów to, co było w nich pięknem i popularnem. Dążność jednak została. Dążność wielka, której Offenbach pewno nie rozumiał, ale którą jak

Iwią skórą się okrył: przystępność, popularność. Prawda, która coraz bardziej się rozszerzać musi, gdyż sztuka nie powinna być własnością pewnej kasty, ale własnością wykształconego ogółu.

Niemając sławy tak rozgłośnej jak tamci, niedbając o imię reformatora, ale gorąco poświęcający się idei, Stanisław Moniuszko umiał utrafić w strunę, która poruszyła serca nasze. Nie silił się na formy szukane, klasycznym jest tylko siłą swoich pomysłów a na wskrós ludowym, bo z nim czuje, z niego czerpie, bo mimowolnie dla niego pisze. Niepotępiając zasłużonych prac Kurpińskiego, przeciwnie, oparł się o niego i umiał rozwinąć piękny kwiat rodzimój muzyki czystej, szlachetnej i głębokiej, podnosząc melodyje ludowe do wysokości sztuki, zrobił to na polu muzyki, czego Mickiewicz dokonał na polu poezji.

W szeregu swoich oper: „Halka“, „Flis“, „Hrabina“, „Verbum nobile“, „Straszny dwór“, obdarzył nas prawdziwym skarbem muzyki ludowej. Równie jak Weber Niemcom przekazał nam w spuścień drogę, którą nam pójść wypada; od wystąpienia jego dopiero uwierzono w muzykę polską. Zważywszy teraz zasługi tego męża z powodzeniem i uznaniem, jakiego doznaje, pokaże się wielka nierównowaga, wypadająca na naszą niekorzyść i potępienie. Powodzenie Moniuszki ograniczało się prawie wyłącznie na Warszawie, ścieśnionej kleszczami cenzury. Dziś, gdy w skutek tak misternie przez rząd przygotowanego rozprzężenia poważna opera polska upada — ustępując miejsca protegowanej przez tenże rząd operze włoskiej i lekkim operetkom — zamknięto Moniuszce ostatnią arenę, opery jego skazano na ostracyzm. Zamiast nich, dyrektorowie teatrów skuszeni łatwością wystawienia, wcisnęli muzykę Offenbacha na nasze sceny, która też od razu olśniła publiczność naszą, łaknącą muzyki scenicznej, tak dalece, że ją przełożyła nie już nad poważną muzykę, ale nad wiele utworów dramatycznych narodowych. Różnica rzeczywiście między kazaniem dramatycznymi Korzeniowskiego i innych a Offenbachem była zbyt wielka, by jej nie ujrzała publiczność. Było to coś podobnego jakby jej ukazano w zamian za okulary maga i czarną tablicę — uroczy obraz „balu mabille“, „Prado“ lub „pré catélan“. Za Offenbachem mającym przecież obok rozwiązań pewne zalety i oryginalność, wcisnęły się obrzydliwe farsy ciężkich niemieckich naśladowców Offenbacha, mających jego rozwiązłość a niemających gracyi itd. i zalewają nasze sceny. „Dziesięć cór“, „Junacy“, „Żaloga okrętowa“, „Pensionarki“ robią furorę! a dyrektorowie teatrów na wszelkie przedstawienia odpowiadają: „ha! to robi pieniądze!“

Temi śmieciami, tęp błotem zepsucia zasypano, zarzucono melodyjną lutnię naszego śpiewaka. Czyż samo uczucie wstydu i dumy narodowej nie powinno nas

skłonić do postarania się już raz o instytucję liryczną, któraby Moniuszkę godnie przedstawić mogła? Czyż wsłuchanie się w jego melodyje rzewne i szlachetne nie będzie najlepszym środkiem — aby oczyścić smak zepsuty, kretyniczny, który nas opanował do operetek? Możemyż pozwolić, aby kompozytorom naszym obojętność narodu pisała straszne dantejskie słowa: „lasciate ogni speranza!“ — Odwołuję się w tym względzie do ludzi serca i sumienia, a ci mi z pewnością przyznają, że muzyka jest potrzebą serca. A jeżeli tak jest, to sądzę: że lepiej otworzyć pole popisu narodowym kompozytorom niż rozwiozłym operetkom. Nie wiele potrzeba do utrzymania polskiej opery — potrzeba tylko, byśmy zamiłowaniem do niej nie położyli na samym ostatku przyjemności naszego życia, ale przynajmniej w tym samym szeregu upodobań, w jakim się mieszczą modne kapelusze, nowe okrywki, komety itd. — a wtedy pewny jestem powodzenia. Rzecz prawie nie do uwierzenia, że z tamtąd właśnie, z kąd powinno wyjść poparcie instytucji lirycznej, tj. ze strony pp. Recenzentów, wyszedł głos opozycyjny w tonie politowania i niemal pogardy. Jestto coś podobnego jakby kapłan utrzymywał, że kościół niepotrzebny. Zamiast wszelkimi sposobami starać się wyjednać pole dla kompozytorów — ci panowie ruszają ramionami, patrzą na kompozytorów jako na rzecz, która im zawadza, z którą nie wiedzą co zrobić. Zaiste schlebia to nam, gdy rodak za granicą dobieje się sławy — wołamy po śmierci: oddajcie go nam, on nasz, on nosił polskie nazwisko, miał babkę lub prababkę Polkę — ale wychodować talent, wesprzeć i pomódz, choćby słowem zachęty, na to nas nie stać. To oburza. Nie wchodzę w to, jakie pobudki składają panów recenzentów do podobnego wystąpienia, bo możebym się domacał braku wszelkiego smaku artystycznego u ludzi piszących o sztuce, braku dobrej woli — a może i czego więcej. Zostawmy więc lepiej ich i ich poglądy, a zwróćmy się do publiczności, która ostatecznie decyduje w tej sprawie. Dla jej wiadomości dodam, że sił muzycznych nam nie braknie; zważmy tylko, że takie mnóstwo naszych śpiewaków i śpiewaczek błąka się za granicą. To małe zboczenie od przedmiotu uważałem za konieczne, zanim przystąpię do szczegółowego oceniaenia Stanisława Moniuszki.

(Ciąg d. nast.)

KAPRERA.

(USTĘP Z PAMIĘTNIKÓW.)

(Ciąg dalszy.)

Przylądek korsykański widać już było, a panująca cisza dozwalała przypatrzeć się wygodnie krajobrazowi zwolna rozwijającemu się przed naszymi oczyma. Wyspa wznosiła się pod czystym błękitem nieba. Długi i

wielki przylądek posuwał się ku genueńskiej odnodze, myśmy płynęli do końca przylądka. Wówczas ujrzałem widowisko, mogące zachwycić każdą wyobraźnię: Kapraja, Elba, Monte-Christo wznosiły się po prawej stronie. Cudowny ten widok zdołał nawet generała oderwać od Judyty.

Jest to pewnem, i wiem o tём również jak i drudzy, że to, co się widzi, nie wyrównywa temu, o czém się marzy; ale to właściwie można tylko zastosować do sztuk i dzieł ludzkich. Bóg, jako największy mistrz tworzy dzieła przekraczające granice wyobraźni człowieka. Takie jest moje zapatrywanie się, wprost przeciwne starym teoryjom sztuki, znajduję zawsze naturę nieskończenie piękniejszą od tego co przewiduje.

Byliśmy wszyscy na pokładzie, bo widać już było okolice miasta Bastia. Natura zmieniła swoją szatę, ciemny liść drzew oliwnych łączył się z błękitem morza. Co za różnica od nagich skał przylądka! Obok lasów oliwnych widać pięknie utrzymywane ogrody. Nie miałem ażeby Bastia przedstawiła tak malowniczy widok. Wystawcie sobie górę, której przerzniete boki wznoszą się w amfiteatrze, stoją na nich warownie, klasztory, domy wiejskie, jest to postać wojenna, złagodzona połączeniem winnic, drzew pomarańczowych, cytrynowych.

Wniście do portu nie jest łatwe, skała ścieśnia je i podczas mocnego wiatru przystęp czyni niebezpiecznym.

Okręt nasz powitało mnóstwo ciekawych stojących na brzegu, hrabia T. wiedząc, że generał zapewne wysiadzie, zaprosił nas wszystkich razem z paniami do miasta. Lubo między nami wielu było oficerów wyższych, między nimi generał Corte, to jednak naszemu generałowi jako najstarszemu wiekiem, wszyscy przy wsiadaniu i wysiadaniu z łodzi robiliśmy honory. Wymówione zaraz w porcie pare nazwisk znanych z otoczenia Garibaldeggo były przyczyną, że towarzystwo nasze coraz bardziej od mieszkańców miasta było oblegane. Sądziło, że generał któremuś robili honory, jest Garibaldym; zresztą hrabia T. ażeby nowy żart zrobić, powiedział pocichu paru krajowcom: „ecco e il generale Garibaldi“. Widać że wieść ta rozeszła się po mieście; zaledwo usiedliśmy przed kawiarnią, kiedy pełno postrojonych dam przechodziło koło nas z ukłonami. Wmówiliśmy w generała, że jest do Garibaldeggo podobny, a choć zrazu niechciał wierzyć, mówiąc że nie nosi brody, przecież kiedy przy wsiadaniu z powrotem do łodzi otrzymał od paru kobiet, do tego jeszcze pięknych, kwiaty, kiedy te stojąc na brzegu powiewały długo chustkami, póki parowiec portu nie opuścił, uradowany uwierzył. Był już zupełnie szczęśliwym, między tyłu mężczyznami daleko młodszymi od siebie odniósł zwycięstwo, bo zyskał zupełne względy Judyty, która gdy ją hrabia T. poprosił, żeby koniecznie dostała ten pier-

ścień, o którym tak głośno mówił, że go za nic w świecie nie odda, a on go od niej nabędzie za cenę, jaką sama naznaczy, już nie szczędziła swych względów, a temi zaskarbiła sobie łaskę generała; rozmawiali ciągle o muzyce, o śpiewie, w końcu bawiła się widokiem zadrzości, którą umyślnie w nim wzbudzała.

Od ostatniego północnego cyplu Korsyki, która zdaleka zdaje się składać z Sardynią jedną tylko wyspę, żaglowaliśmy wzdłuż pasma wysokich gór, których brzegi przerzniete licznymi zatokami widać było ubarwione purpurą zachodzącego słońca; potem wszystko nikło w mgłę wieczorną i oddaleniu; panującą na pokładzie ciszę przerwał śpiew Judyty. Ucieszyliśmy się tём niezmiernie, myśląc że dłużej potrwa, był to początek arii z *Trovatore*, którą generał, jak sam mówił, bardzo lubił. Śpiew zaraz ustał i daremnemi były próby nasze, śpiewać więcej pani nie chciała, mówiąc, że mgła by ją nabawiła chryпки, spacerowała tylko po pokładzie a za nią generał, który ciągle o śpiew dalszy błagał.

Śpiew rozpoczęty przez Judytę, znalazł naśladowców, kilku mężczyzn zaczęło śpiewać i wywiązał się wieczór nader przyjemny. Do śpiewaków przyłączyły się towarzyski Judyty. Generał kazał przynieść wina, humory poczęły być weselsze, w końcu rozochocony generał chcąc odegrać rolę młodego chłopca, przy śpiewie razem z Władysławem R. tańczył na pokładzie mazura, by taniec ten pokazać Włochom. Trzeba przyznać, że mimo lat swych i życia obozowego, żwawo się jeszcze uwijał. Pani Judyta bawiła się dobrze, była coraz lepiej z generałem, jednak więcej już śpiewać nie chciała. Przy przedłużającej się w noc zabawie nikt nie myślał o spaniu, podano nam *punsch à la romain*, a rozweseleni coraz bardziej korzystaliśmy z znajdujących się na statku dwóch muzykantów podróżnych i w jak najlepsze rozpoczęli tańczyć. Wśród tój zabawy zobaczyłem, że Judyta chodzi z hrabią T. i coś się bardzo śmieją, po chwili dowiedziałem się, że ów pierścionek, owa pamiątka pierwszej miłości generała przeszła już do Judyty a od niej do hrabiego. Wkrótce potem usłyszeliśmy śpiew Judyty; głos silny i jeszcze czysty; dopiero późno w noc udaliśmy się na spoczynek.

II.

Przybycie na wyspę Śtęj Magdaleny. — Charakterystyka miejscowości i ludzi. — Niektóre zwyczaje tój wyspy. — Kuzostwo Śto-Jańskie. — Panidura. — *Se porta de sa robba*. — Pogrzeby. — Piękna Marieta.

Wstawszy dość późno, wyszedłem na pokład, gdzie dopiero dwóch zastałem towarzysów, byliśmy niedaleko wyspy Ś. Magdaleny, tam w porcie okręt staje pół godziny, a jadący na Kaprerę, wysiadają. Widać już

było nagie góry skaliste, pojedyncze grupy skał wystawały z morza, o które fale się rozbijały. Na niektórych skałach wyciosane pomniki z napisem dnia i roku rozbicia okrętów. Takich pomników wiele można było liczyć, bo burze są tu częste, a przepłynięcie wtenczas tych miejsc bardzo niebezpieczne.

Widzieliśmy pasmo gór Sardynii: po prawej naszej stronie wysepka ś. Szczepana najpierwsza przedstawia się oczom naszym, na niej stare opuszczone zameczysko, po lewej wystająca część wyspy ś. Magdaleny, także z starą zameczyskiem; także same dwa jeszcze widać w głębi wyspy. Pizańczykowie za czasów swego panowania wzniesli tu te forty.

Natura poczęła przed nami rozwijać przepych klimatu, łączącego własności Europy i Afryki. Podróżny nawykły do zwyczajów miast naszych, już niewidząc śladów europejskiej cywilizacji, mniemałby, że się dostał na koniec świata. Ażby mieć wyobrażenie o tych wyspach, dosyć jest wystawić sobie mnóstwo gór urwistych i dzikich, a pomiędzy nimi zostawić obszary wody. Jednakże z posunięciem się dalszym okrętu w głąb zatoki, z zbliżeniem do portu — widok się urozmaica, widać małe miasteczko zbudowane na pochyłości wzgórza; czerwonawe skały łącząc się jedne z drugimi, powiększają wrażenie tego widoku. A te tak na pozór gołe i dzikie skały, z bliska inny przedstawiają widok, pod wypogodzonym zawsze niebem, wśród ogrodów zawsze kwiatem i owocem pokrytych, stają się uroczym siedliskiem gdzie powietrze najczystsze przedłuża życie człowieka za kres zwyczajny. Zielone kawałki pola rozciągają się wzdłuż brzegu i tworzą ciche miłe odnogi zieloności obok kołyszącego się błękitu fali.

Po czułych pożegnaniach, po życzeniach tym paniom szczęśliwej podróży i powodzenia, podziękowaliśmy za tę tak miłą, choć krótko spędzoną chwilę, wsiedliśmy w łódź, a wysiadłszy na ląd, znaleźliśmy znów wrzawę i ruch nadmorskiego miasteczka. Menotti Garibaldi oczekiwał nas z kilku swymi kolegami. Jenerał i hrabia T. chcieli zamieszkać na wyspie Magdaleny i robić dziennie wycieczki do Kaprery, ja wolałbym być zamieszkać w Kaprerze, jednak dla towarzystwa, zostałem razem z nim, zamierzając więcej czasu spędzać na Kaprerze. Zanim Menotti wyszukał dogodny dla nas pomieszkanka, rozpatrywaliśmy się po wyspie, w czym nam dopomagał major Bedeschini, bawiący ciągle na Kaprerze i znający tak miejscowość jak wszelkie zwyczaje i obyczaje wyspiarzy.

Ktoby przybył na wyspę Magdaleny w celu zobaczenia tego, co tak obficie znalazł we Włoszech, tojest miast i pomników, odpłynąłby zaraz z odchodzącym parowcem. Lecz tu przybywają jedynie ludzie albo w interesie jakim handlowym, lub ci, którzy jadą na Kaprerę, by poznać lub odwiedzić rzadkiego w świecie człowieka i miejsce jego pobytu. Zawsze jednak warto

poznać lud tutejszy, o którym nigdzie nie pisano, wy badać opóźnioną cywilizację i zastanowić się nad obyczajami, których oprócz w Sardynii, nigdzie indziej nie znajdzie.

Wyspa Magdaleny niema odrębnej cechy, jako miasteczko mało się różni od innych włoskich, położenie w kształcie amfiteatru, czyni go wesołym i dość przyjemnym. Port mały ale bezpieczny. Nad samym brzegiem stoi obszerny murowany dom na piętro, starego jakiegoś admirała; kościół jeden, na końcu wyspy od strony Kaprery stoi nieduży pałacyk jednej Angielki, która ma grunta na Kaprerze, pałacyk ten otoczony jest ogrodem z pięknymi drzewy owocowymi, a pod samym domem stoją dwie piękne palmy.

Ludność nie donosi tysiąca dusz, handel tu jest znaczny winem, owocami i oliwą, która jest najważniejszym produktem; prócz tego prawie wszyscy trudnią się rybołówstwem. Klima jest umiarkowanym, wiatry morskie ochładzają powietrze. Postęp pór roku dosyć regularny, w lecie nie często padają deszcze i grady. Zwierzyny do polowania prawie żadnej, bo wyspa obfituje tylko w dzikie koty. Rośliny po większej części takie same jak we Włoszech, obfitość wielka kaktusów czyli fig indyjskich.

Wyspiarze mają czynny umysł, lubią poezją, spory i rozprawy; mężczyźni są w ogólności dobrego wzrostu, korpusy ich atletycznie proporcjonalne, cera ogorzala, włosy czarne, fizyonomia dowcipna, żywe ruchy i gesta. Kobiety odznaczają się szczególnie wielkimi czarnymi oczyma i piękną kibicią. Są one roślejsze i więcej imponujące jak kobiety na stałym lądzie we Włoszech. Twarz u nich klasycznej regularności wyraża pojętność, oko bystrość. Słusznie też są one uważane za najpiękniejsze z całych Włoch. Są gościnni z natury, polowanie na które płyną łodziami do Sardynii, rybołówstwo, tańce, biesiady są główną po pracy ich rozrywką, lubią zbytek w ubiorze; pobożność ich chociaż przesadna, jest szczerą i pochodzi z głębi duszy. Zawiązanie stosunków miłosnych jest na pozór łatwym, kobiety tam zupełnie ufają mężczyźnie, niedopuszczają możebności zdrady, bo ta zwykle kończy się śmiercią uwodziciela lub uwiedzionej. W zemście przechodzą Korsykanów. Zwyczaje i obyczaje mieszkańców zachowały się bez zmiany. Pomiędzy najciekawszymi zwyczajami dwa zasługują na uwagę, jeden zwany kumostwem Śto-Jańskim, a drugi Panidurą.

Dwie osoby zamężne różnej płci wyszukują się wzajem na kuma i kumę Śto-Jańską, umowa zawiera się na dwa miesiące wprzód; przy końcu maja, przyszła kuma bierze wielki kawał kory, zwija ją w kształcie naczynia, napełnia ziemią i zasiewa garścią pszenicy najpiękniejszego gatunku Ziemię skrapia najtroskliwiej, pszenica rośnie więc bardzo szybko, tak, iż po dwudziestu dniach jest już piękna kępa, którą zowią wów-

czas *nenieni*. — W dzień Ś. Jana kum i kuma biorą to naczynie, a w towarzystwie licznego orszaku idą do kościoła. Skoro tam przyjdą, jedno z nich rzuca naczynie o drzwi, a potem wszyscy jedzą jajecznicę ze szczypiorkiem. Po takim posiłku całe towarzystwo biorąc się za ręce, śpiewa kilkakrotnie: kum i kuma Ś. Jana. Tańczą kilka godzin i kończy się uroczystość.

(Ciąg dal. n.)

LIST DO REDAKCYI.

Myślenie 20 września.

Wezwaliście mnie łaskawie do współpracownictwa — Bóg wam zapłać. Wzniosły i piękny jet cel waszego pisma! I słusznie macie prawo żądać od nas starych, abyśmy choć zdala wskazywały ścieżki pochodu ludzkości niewieścięj; — przestrzegały gdzie się znajdują kolce i ciernia, gdzie strome pagórki, a gdzie i przepaść. My już prawie kończymy tę drogę, na którą młode dopiero wstępują. I cóż im mówić o tej drodze w pielgrzymce, nazwanej życiem. — Prawdę? Nie — pióro mi zadrzało — żal mi młodych, straciłyby chęć pielgrzymki na samym progu życia, a one je widzą w tysiące kwiecica i rozkoszy przybrane; jeszcze raz mówię, żal mi ich — zamilezę przeto, — i będę im jeno rozpowiadać, w co przybrać się mają, w tę pielgrzymkę — w jakie szaty oblec, aby wygodniej stąpać i nie zachaczać o kolce i głogi, aby nie upadać przy strasznych górach, omijać przepaście. Taki więc będzie program mego współpracownictwa, jeżeli go przyjmiecie — zgoda. Obwinę radę w słodką powłokę, wystawię: że jest, że było dużo złego na świecie, ale że jeszcze więcej jest dobra i piękna w przyszłości — w którą młode wstępują.

Cel nasz przeto będzie: oświecać i zachęcać naprzód, a postępować samym. Oby Bóg poszczęścił waszją pracę i zamysłom!!!

L. Leśniowska.

Wyprawa do fotografa.

(RAMOTKA.)

Podczas włóczęgi mojej po Galicyi trafiłem raz na rzecz arcyciekawą i rzadką — znalazłem dworek szlachecki, w którym nie było ani fortepianu, ani albumu z fotografiami. Zamiast pierwszego, wisiała nad kanapą stara gitara na niebieskiej wstążce, przy której mama dobrodziejka jeszcze nuciła „o uśpionych psach“ — a teraz córki kaleczyły paluszki swoje; — stary portret, na którym ręka czasu i pokojówki starła ślady oczów

i nosa aż do szarego płótna, zastępował miejsce fotografij.

W całym domu znajdowała się tylko jedna fotografia pani Baronowej, sąsiadki dobrodziejki.

— Gdzież macie tę fotografiję? — spytał papa córki — pokażcież panu. Pan nie zna pani Baronowej? —

— Nie.

— Nie zna pan? No proszę, ta to ona nieraz tam u was bywa w Krakowie. Kobieta mociumpanie jak gmach i nieszpeta. No gdzież macie u diaska tę fotografiję? —

Rozpoczęło się poszukiwanie po stoliku, książkach do nabożeństwa, kalendarzach, aż nareszcie znaleziono panią baronową między talją starych kart. Synek gospodarza wsunął ją tam zamiast damy pikowej, zrobiwszy z głowy atramentem znak pikowy. Ten koncept małego pozbawił mnie przyjemności oglądania twarzy nieszpeta gmachu baronowej.

— To tego szelmy Hipka sprawka. Hpecio, Hpecio — zawołał ojciec przez okno.

Hpecio odezwał się na którejs śliwie w ogrodzie.

— Pójdźno tu hunewocie.

Hpecio nie szukał drzwi — wpadł przez okno mając na sobie najniezbędniejsze tylko części ubrania.

Papa nasrożył się.

— Co to? — spytał, pokazując zbezczeszczoną fotografiję.

— To dama winna?

— Tyś winnien osle jeden. Poczekajno, sprawię ja się z tobą.

Nie ciekawy egzekucyi, obróciłem się do Tyneci:

— A panie się nigdy nie fotografowały?

Panienka w pons, jakby się ze śmiertelnego grzechu spowiadać miała.

— My się dopiero będziemy fotografować.

— Nawet musicie — odezwał się papa — bo pani baronowa koniecznie się dopomina o wasze fotografije — a to wypada oddać. Prawda panie? —

— Rozumie się.

— Ano widzicie — ale bo to panie przy gospodarstwie, to człowiekowi i trudno zebrać się na to. Był tu raz mociumdzieju fotograf w miasteczku — ale cóż, kiedy moje panny ani rusz się fotografować bez niebieskich sukien. Zanim się krawca sprowadziło, zanim się materyi kupiło — nie trzeba panu dobrodziejowi mówić — zanim się trzy sukienki poszyły — fotograf — tu pan Telesfor dmuchnął po dłoni — co miało znaczyć zniknięcie fotografa.

Szczęście czy nieszczęście chciało, że w kilka dni po tej rozmowie pan Telesfor dowiedział się od żydka wracającego z jarmarku, że w miasteczku jest znowu jakiś fotograf — postanowiono niezwłocznie na drugi dzień wyprawę, do której i ja byłem zaproszony.

Kiedy przyszło do pakowania, pokazało się, że bry-

czka była niewystarczająca, bo pominawszy pudła, pudełka pełne sukien, tiulików i innych toaletowych drobiazgów, każda z panienek chciała zabrać ze sobą jakiś przedmiot upodobany, z którym się fotografować umyśliła. Tyńcia chciała koniecznie z barankiem, Mincia z psem, a Bincia z krosnami. Dodawszy do tych drobiazgów trzy panny, mnie i tatkę, który wcale nie był drobiazgiem i Hipcia, który się koniecznie napierał jechać, pokazała się niemożebność wyruszenia jedną bryczką, a tatko więcćj koni dać nie chciał, by na tém gospodarstwo nie cierpiało. Były rady i narady, zgodzono się w końcu na to, że Magdusia z psem i barankiem wybiorą się przodem na piechotę, krosna umieszczono na kozle jako przegrodę między chłopską sukmaną furmana a szlachecką tuszą pana Telesfora, mnie wpakowano między panny i pudełka, Hipcia na kolana Tyńci i „w Imię Ojca, Syna i Ducha“, ruszyliśmy do miasteczka.

Zakład fotograficzny był na podwórku zajezdnego domu prowizorycznie umieszczony, fotograf stał przed sienią paląc cygaro, oczekiwał gości. Dzieci z całego miasteczka zaglądały ciekawie przez parkan na aparat fotograficzny.

— Czy pan fotograf? — spytał pan Telesfor, spuściwszy się z trudem z kozła.

— Do usług.

— Jestem Telesfor Mateusz Ogórkowski.

Fotograf się skłonił.

— My panie dobrodzieju chcielibyśmy się fotografować — zaintonował szlachcie uroczystym głosem.

Nowy ukłon fotografa.

— Ale panie łaskawy, wieleby to kosztowało od sztuki?

— Tu pokazał ręką na sztuki wyskakujące z bryczki.

— To zależy od formatu.

— Jakto od formatu? — zwyczajnie jak fotografia.

— Są większe i mniejsze fotografie.

— No tak pan dobrodzieju uważ, żeby była prawie do albumu pani baronowej.

— W biletowej formie — dodałem wyprowadzając fotografa z kłopotu, który jak żył nie widział baronowej i jej albumu.

— W biletowej — to po dwa reńskie od osoby.

— Szajne? —

— Nie, srebra.

Pan Telesfor otworzył oczy.

— Ależ zmiluj się dobrodzieju to niesłychanie drogo. Tuby łaskawco wyniosło dwa, cztery, sześć, ośm, dziesięć reńskich rachując z Hipciem — to prawie dwa korce zboża. To niesłychanie drogo. Nie pamiętasz ty Tyńciu wiele to baronowa dała za swoją fotografię?

— Ośm reńskich za sześć sztuk.

— Ano, widzi pan — a kobieta jak gmach powiadam panu, a tu pan masz drobiazg sam.

— To wszystko jedno.

— No, od czegoż nie będzie?

— To stała cena — odparł fotograf. — Ale możeby państwo razem się fotografowali, to taniej wyniesie.

Spodobala się ta uwaga kieszeni pana Telesfora.

— Richtig, to byłoby lepiej. Jakże dzieci, chcecie z ojcem razem?

Panienki się krzywiły — one sobie wymarzyły, że się fotografować będą osobno.

— Ta to przecież ładniej że z ojcem razem będziecie. Tak, tak panie fotograf — to nas pan zrobi razem.

— W większym formacie — ?

— No do albumu baronowej.

Fotograf ruszył ramionami i poprosił nas do pracowni, czyli właściwie mówiąc, na podwórze.

(Ciąg dal. nast.)

Dla domowego użytku. — Wyciąg mięsny Dr. Liebiga.

Pekelfaisz nie zastąpi nigdy świeżego mięsa, bo przez nasolenie ubywa znaczna ilość części pożywnych. Suszone mięso psuje się po większej części; buliony dotychczasowe są drogie, sprzykrzą się, a mając w sobie wiele kleju, są trudne do strawienia. Tym niedostatkom zaradza nowy wyrób „wyciąg mięsny“, podług sposobów Dr. Liebiga; jest pożywny, strawny, bardzo podajny, nie zawiera tłuszczu przez co nie gorzknieje; ani kleju, przez co nie pleśnieje; jest zdrowym dla chorych, a nie sprzykrzy się zdrowym. Odbyto tego wyrobu zaczyna się i u nas rozpowszechniać.

Wiadomości bieżące. — W zakładzie wychowawczym u

ś. Jana w Krakowie przywrócony został wykład literatury polskiej, itd. — o co i na ostatnim sejmie sprawa się toczyła. Bodaj ten wypadek był zapowiedzią innych zmian i ulepszeń w zakresie wychowania, których tak co do rzeczy jak i osób, napróżno dotąd oczekujemy.

— Dowiadujemy się, że z rozporządzenia duchownej władzy obostrzoną została klauzura w tutejszych klasztorach żeńskich. Nie wiemy przyczyny (?), słyszymy tylko o niedogodnościach ztąd wynikających, zwłaszcza w zakładach, które nie są klasztorami, jak np. u ś. Jana, a gdzie zarząd codziennie ze stronami różne sprawy ma do załatwiania, zakaz wpuszczania świeckich w mury zakładu i ograniczenie ich do mównicy, jest dla obu stron zbyt uciążliwym i wywołuje ciągłą przerwę w pracach. Należy się spodziewać, że ten niestosowny przepis cofniętym zostanie.

Ukończony gimnazjalista C... zdawszy celująco egzamin dojrzałości w Krakowie, znajduje się obecnie w tak opłakanym stanie, bez sposobu do życia, bez lekcji, że z nędzy dostał już początków obłąkania. Jestto ilustracja do stosunków naszych — wypadków takich było już kilka u nas w ostatnich latach. Bliższe szczegóły o tym nieszczęśliwym można powziąć w biurze redakcyjnej „Kaliny“, jak również ofiarujemy chętnie pośrednictwo nasze w przesłaniu jakiegokolwiek pomocy dla niego.

W biurze Redakcyjnej można nabyć:

SZKOŁY W POLSCE
przez ALFREDA SZCZEPAŃSKIEGO — przegląd od początku do dzisiaj,
stron 49. — Cena egzemplarza 50 c.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca TADEUSZ WOJCIECHOWSKI.



Wychodzi co sobota o godzinie 9. rano.

Prenumerata miejscowa wynosi: *rocznie* 6 złr., *półrocznie* 3 złr., *ćwierćrocznie* 1 złr. 50 c. w. a. — Z przesyłką pocztową: *rocznie* 7 złr. 20 c., *półrocznie* 3 złr. 60 c., *ćwierćrocznie* 1 złr. 80 c. — Prenumerata zagraniczna bez mód i bez nut *rocznie* 8 złr. 30 c. w. a.

Mody i kroje *rocznie* 3 złr. 30 c., *półrocznie* 1 złr. 70 c., *ćwierćrocznie* 90 c. w. a.

Nuty *rocznie* 1 złr. 25 c., *półrocznie* 65 c., *ćwierćrocznie* 35 c. w. a.

W Krakowie prenumerować można w biurze redakcyi: ulica żydowska, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni Wgo. Czecha.

We Lwowie można prenumerować i odbierać w agencji Hercoka i Arnolda na Hallickiem.

Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c. następnie po 4 c. Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy

ŻONY NIEWOLNIKÓW.

II.

Ludzie z lasu.

(Cią dalszy.)

Tego samego wieczora w mieście powiatowém, leżącym o półtory mili od miejsca w pierwszym rozdziale opisanego, obchodzono także imieniny w domu burmistrza. Solenizant był typem zmoskwionego Polaka — olbrzymia masa cielska ujęta w mundur, twarz ospowata ogolona, na której obok przybranej powagi, wypisana była beczelna podłość. Burmistrz o dwie tylko rzeczy ubiegał się w życiu: o łaski carskie i o dobre wino. Pierwszych ślad nosił na swoich piersiach, drugiego na fioletowym nabrzękłym nosie. Rozumie się, że w domu takiego człowieka tylko moralne karykatury miasta znajdować się mogły. Ciekawą była ta kolecyja małomiejских eleganek w kwiecistych sukniach, objuczonych kosztownościami dobytymi świeżo z pudełek, tych piszczyków i niższych urzędników zginających się słuźbiście wobec dam i burmistrza. Jedna tylko osoba uderzy nas wśród tych gości. Jest nią młoda kobieta w żałobie. Twarz jęj błada, profilem przypominała egijskie płaskorzeźby — w wązkich cierpko zaciśniętych ustach i w lekkim zmarszczku, co się cieniował czasem między brwiami, znać było energią prawie męską, którą łagodził smętny wyraz jęj spojrzenia. Bujne, czarne włosy okalające twarz bladą, miały coś pogrzebowego

w sobie. Kobieta ta siedząc przy oknie, zdawała się nieuważać na resztę towarzystwa, niedbać o nie, niekiedy tylko wzrok jęj zwracał się w drugą stronę pokoju w lustro, w którym odbijały się osoby siedzące po tęj samej stronie co ona; pomiędzy tymi osobami twarz jakiegoś młodego mężczyzny zwrócona była bezprzestannie w stronę lustra — tam ich spojrzenia krzyżowały się: jego było błagalne, nieśmiałe — jęj trochę ponure a spokojne. Chwilę trwała ta ócz rozmowa — potem kobieta zwróciła się ku oknu i patrzyła czas niejaki na ulicę. Gdy się odwróciła, młodzieniec stał przed nią.

— Kogo pani tak wygląda? —

— Ja? — Nikogo.

Rozmowa się urwała, — młodzieniec spuścił oczy, kobieta przenikliwie na nim zatrzymała spojrzenie, — on widocznie wahał się z nowém zapytaniem. —

— Panno Konstancyo — spytał wreszcie — czy to prawda że...

— No, mówże pan —

— Że kapitan Kryłow ma dziś prosić opiekuna o pani rękę? —

Skrzywiła usta w cierpki uśmiech. —

— Niewiem — być może.

Młodzieniec ruszył się niespokojnie —

— I pani...

— Cóż?

— Pani byś przystała?

— Niewiem jeszcze —

— Jakto? Pani byś się zgodziła iść za moskala? —

wybuchnął młodzieniec na pół z trwogą, na pół z oburzeniem.

Konstancya wsparła głowę na ręce i mówiła z gorzkim uśmiechem:

— Czemu nie? Jeżeli być zależną od mężczyzny — to lepiej przecie od pana niż niewolnika? Jeżeli powierzyć przyszłość i siebie — to takiemu, na którego pomoc i siłę liczyć można. Ale iść do ołtarza i wiedzieć, że ten, który nam ślubuje opiekę jest bezsilny, że nas nie może zasłonić przed obelgą łada żołdaka moskiewskiego, zostać żoną niewolnika — to okropnie!

Ostatnie słowa mówiła żywo, namiętnie — gorączkowy rumieniec zfarbował jęj bladą twarz.

— Pani jesteś bez litości dla zwyciężonych. —

— Dla zwyciężonych? — Ja walki nie widzę. — Jedyną walką waszą słowa, pocię jęczą jak dziady, że źle — a w chwili czynu schwycają naród za poły i zawołają z trwogą: nie czas. Zamiast tej trzody poetów, wolałabym jednego człowieka dzielnego.

— Dziwnie brzmią takie słowa w ustach kobiety. —

— Bo też i życie moje nie poszło zwykłą drogą kobiety.

W ósmym roku życia musiałam już uciekać z ojcem z kraju — los nas rzucał jak wiatr śmieci: w Berlinie jako kwaciarka, w Strasburgu jako szwaczka, w Paryżu jako wyrobnica przy mularzach pracowałam na siebie i na ojca. O! patrz pan, te ręce pamiętają dobrze przeszłość moją; te chwile, w których rozpacz i trwoga mnie brały, z kąd wzięść na zapłacenie komornego, na opał, na życie. Wśród ludzi obcych takie chwile, takie troski — to piekło.

— A ojciec? — przecież on...

— Ojciec w rok po wyjeździe z kraju dostał obłąkanie. Wyrzuty, że porzucił współników spisku i uciekł, dręczyły go, truły, a w końcu pomieszały mu zmysły. Nie chciałam go oddać do szpitala — byłam sama jego dozorcą — nieraz w gwałtownych napadach szaleństwa musiałam się mocować z nim, córka z ojcem — pojmujesz pan? — O! takie chwile mogą przenaturzyć kobiety. Trzydzieści lat tak przeżyłam wśród szamotania się z nędzą, ze złymi ludźmi. W końcu ojciec począł napierać się o powrót do kraju — z każdym dniem ta chęć jego w gwałtowniejszych okazywała się sposobach, tak, że niepodobna było dłużej sprzeciwiać się. Dla obłąkanego łatwo wyrobiono amnestyę; wuj po wielu prośbach zgodził się dać mu chleb łaskawy, i wróciliśmy. Pamiętam ten dzień — stanęliśmy w Warszawie rok temu — 15 października. W kościołach obchodzono rocznicę śmierci Kościuszki. I czy pan wiesz jakie mnie tu czekało przywitanie? — Uściski pijanych rozbestwionych żołdaków moskiewskich i pocałunek, co mi twarz skalął.

Zakryła dłońmi twarz rumianą od wstydu.

— I nikt, nikt dotąd nie pomścił hańby tylu znieważonych niewiast — ha! niewolnicy! —

Po chwili odechyliła rękę i patrząc na Augusta wzrokiem na pół dzikim, nieprzytomnym, rozgorączkowanym, spytała:

— A teraz, będziesz się pan dziwił dla czego taką jestem? —

Nagle zmieniła głos i wyraz twarzy — rozśmiała się nieszczerze, cierpko i rzekła pokazując na drzwi:

— O! mój narzeczony. —

We drzwiach stał kapitan Kryłow w zielonym mundurze piechoty, giętki, zgrabny, wysmukły jak kozak — twarz miał śniadą, wcale piękną, z czarnym wąsikiem — w oczach szelmowski uśmiech — w ruchach dzikość i niby elegancja — ten człowiek z równą przyjemnością szedłby wieszać i tańczyć. Gospodarz wybiegł skwapliwie na jego przywitanie. Kapitan przywitał gości — lecz choć się im grzecznie kłaniał, szyderiskim uśmiechem oczów drwił z nich i lekcewał.

Po niejakiem czasie zbliżył się do Konstancyi. —

— A! pani znowu w żałobie? Pani chce gwałtem do aresztu? — mówił. —

Konstancya przygryzła wargi. —

— No, ale ja pani nie wsadzę, bo taka ładna buzia nie na chowanie, ale na smatreniye.

To miał być komplement — Kryłow był rad z niego.

Konstancya udała że nie słyszy — oczami błąkała się po sali, po gościach — wzrok jęj spotkał się ze wzrokiem Augusta, który naprzeciw nięj stał i bacznie śledził rozmawiających. Spuściła oczy.

— Wiesz pani — mówił siadając przy nięj — ja panią tak kocham, że gdyby pani przyszła ochota w puszku mnie dat' — to ja nie wiem, czybym pani za to jeszcze nie pocałował.

— Wyznanie wcale ponętne — rzekła drwiąco Konstancyja — niech pan kapitan go nie powtarza dwa razy. —

— Jej Boh tak prawdę mówił — ciągnął zapalając się kapitan — bo ja was oczen lublu. Wy wiecie, że ja dziś proszę o waszą rękę? —

Konstancya drgnęła jak kwiat, gdy pod nim gad się przesunie.

— I cóż wy na to? Panno Konstancyjo? — pytał biorąc ją za rękę.

Odephnęła jego rękę ze wzgardą i zapytała go na pozór głosem spokojnym:

— Pan dużo nazabijałeś naszych, panie kapitanie?

Kryłow zerwał się wściekły.

— A! panna się bawisz w patrijotkę — rozumiem! i zaklął. — Więc pani dajesz mi do zrozumienia, że nie pójdziesz za tego, który miateżników karał? Co? —

— Sam sobie odpowiadasz kapitanie.

Górowała nad nim spokojem — to go jeszcze bardziej roznamiętniało.

— Ja was zmuszę, przysięgam Bogu że zmuszę — mówił tłukąc gwałtownie pięścią o ramy okna. — Panno Konstancyjo, wy mnie nie drażnijcie — wy nie znacie jaki pies ze mnie, gdy się rozjuszę. Idę teraz do wuja — pamiętajcie — com powiedział.

To mówiąc wstał i szukał oczami burmistrza. W tej chwili we drzwiach stanął żandarm w niebieskim mundurze, z rewolwerem przy pasie, wyprostowany jak pion. Chciał mówić z kapitanem. Kryłow postąpił ku niemu.

— A szto? —

Żandarm coś szepnął mu po cichu, Kryłow uśmiechnął się dziko, pożądliwie, wziął czapkę i wyszedł z żandarmem.

Konstancya pochwyciła ten uśmiech i niepokój ją ogarnął — coś złego się stanie, gdy Kryłow się uśmiechał. Siedziała więc przy oknie i oczekiwała co będzie. Księżyc jasno oświecał pustą ulicę. Niezadługo coś za-tętniło. Dwaj kozacy schyleni z sterczącymi pikami wysunęli się z za kościoła na małych, nędznych koniach — za nimi bryczka, na której siedziało kilku ludzi. Gdy przejeżdżali koło okien burmistrza, patrząca poznała w nich żandarmów. — Na ostatku jechał jeszcze ktoś — zapewne Kryłow.

Za domem burmistrza szeroka ulica rozdzielała się na dwie drogi, jedna prowadziła na lewo ku najbliższej stacyi kolei żelaznej — druga na prawo ciągnęła się między lasami. Konstancya przestała oddychać, czekała z drzeniem, w którą stronę się obróca. Skręcili na prawo. Zerwała się gwałtownie, przeszła salę pomięszana, blada, mijając Augusta, szepnęła mu: chodź pan za mną — i wyszła. — Po chwili August wyszedł także do sieni — rzuciła się ku niemu:

— Na Boga panie Auguście idź, ratuj ich, przetrzeż ich!

— Kogo? —

— Kogo? Prawda. Jaka ja szalona, co mówię? Nikogo! Ale idź drogą na prawo ku Zawodzie — tamtędy pojechał Kryłow — jada kogoś aresztować, idź, leć, uprzedź ich. Może na gościeńcu koło lasu spotkasz kogo — mów im niech się strzegą. Spiesz pan przez łąki, bo droga o wiele krótsza — uprzedzisz ich.

Prosiła i mówiła bezładnie, nieprzytomnie, z pospiechem, który jęł głos tamował. — August nie wiele z tego zrozumiał — domyślał się tylko, że tu czasu niema do stracenia — uścisnął rękę Konstancyi i pobiegł.

Na drodze słychać było jeszcze tentent galopujących koni — drogą jednak jadący taki kawał okrążyć musieli, że August był pewnym, że ich uprzedzi. Ale gdzie, u kogo ma ich uprzedzić? — Znowu nie umiał na to sobie odpowiedzieć, a czasu nie było na rozmyślanie. Pobiegł więc na chybił trafił.

Za mostem skręcił od drogi na ścieżkę przez łąki — potem wpadł między zarośla — biegł co tchu, by pier-

wój od kozaków stanąć w tym miejscu, gdzie ścieżka wraca napowrót do gościeńca — bo inaczej wyprzedzenie ich byłoby już potem niepodobnym. Zdyszany, zmęczony dobiegł już końca zarośli. — Miał jeszcze przejść kawał lasu — obejść stawy i byłby już u mety. U wejścia do lasu zatrzymał się chwilę, nasłuchiwał i obejrzał się — kozaków nie było jeszcze widać koło figury. To mu dodało sił i nadziei, przyspieszonym krokiem wszedł w las. Nie długo potem zarysował cień człowieka nad stawami. Nie był to jednak August. Człowiek, który sunął ku gościeńcowi, był o wiele wyższym, atletycznej budowy ciała, miał na sobie zezerniałą koszulę z grubego płótna, także spodnie i skórzany fartuch. Ledwie doszedł do gościeńca, kozacy pokazali się niedaleko, zsunął się więc szybko w rów, poszedł nim parę kroków i schował się pod most, prowadzący przez potoczek. — W kilka minut potem zadudniały kopyta po moście, za niemi zaturkotała jedna, druga bryczka i popędziły czwałem dalej. — Koło kuźni skręciły ku dworowi. — Człowiek ów wychylił się, patrzył chwilę za jadącymi — potem rzucił się w bok gościeńca, ale w przeciwną stronę od tej, którą przyszedł, i drapał się z pospiechem w górę ku ogrodowi dworskiemu, przeskoczył płot i biegnąc chyłkiem koło krzaków, doszedł do okien.

Było to właśnie w tej chwili, gdy syberyjczyk i jego brat poznawszy się, stali naprzeciw się — osłupiali jeden z gniewu, drugi z przerażenia — jeden krwawy jak karbunkul, drugi blady i drzący. — Wśród tej sceny drzwi się otwarły i w nich pojawił się kapitan Kryłow i żandarmy.

(Ciąg d. nast.)

Do mojej matki.

(Z HAJNEGO.)

Dziki to szal był, gdy cię opuściłem
Matko! — Po świecie po całym chodziłem
Szukać miłości — zobaczyć gdzie ona,
I miłość miłośnie objąć w me ramiona.

I po ulicach miłości szukałem —
U drzwi jak żebrak ręce wyciągałem
Żebrząc o serce takie, które kocha...
Nienawiść dali mi i śmiechu trocha. —

I wciąż chodziłem, wciąż szukałem przecie —
I nie znalazłem miłości na świecie —
Wróciłem chory — smutek w oczach miałem —
Lecz tyś naprzeciw wyszła matko miła,
A łza, co drząca w twych oczach świeciła —
To była miłość, której tak szukałem.

STANISŁAW MONIUSZKO w świecie muzycznym.

przez St. Dunieckiego.

(Ciąg dalszy.)

Muzyka polska jest jeszcze tak młoda, że o jej historii zaledwie mówić można. Ponieważ jednak Moniuszko oparł się o niedawne jej tradycje, wypada nam powiedzieć kilka słów o jej zawiązku. Gdy za Stanisława Augusta teatr polski nieśmiało rozwijać się zaczął, pomyślano też dla urozmaicenia o operze i balecie; o utworach narodowych nie było jednak mowy, gdyż przedstawiane oryginalne komedye stały dopiero na pierwszym stopniu rozwoju; sprowadzono więc operę włoską, która wywierając wpływ przeważny na gust publiczności, o mało że nie przytłumiła pierwszych zawiązków sceny narodowej. Postrzegł to dobrze ku końcowi XVIII. wieku Bogusławski, a niemogąc i niechęcąc może stłumić opery, starał się przynajmniej stanowczo oddalić cudzoziemców, przełożył mnóstwo oper na język polski i zawiązał pierwsze towarzystwo śpiewaków polskich. Nie mówimy tu o niektórych dawniejszych niefortunnych próbach polskich libretów, do których teraz ani student klas normalnych nieprzyznałby się, cytujemy tu dla ciekawości dwuwiersz, poczynający aryję w jednej z nich:

FILON.

Boście są lube jagnięta
Szczęśliwsze jak ja zwierzęta.

Taki ekliwy styl sielankowy zdawał się wówczas koniecznym do wszystkich utworów pod muzykę.

Stworzywszy operę śpiewaną po polsku, Bogusławski niepoprzestał na tém. Jego jeniuszowi winniśmy pierwszą prawdziwie narodową operę: „Cud czyli Krakowiacy i Górale“. Dziwném przeczuciem umiał Bogusławski uderzyć właśnie w tę strunę, która przejęła wskrós kochających swą ojezynnę słuchaczy. Nie małą w tém zasługę położył kompozytor „Krakowiaków“ Stefani, muzyka jego bez ekliwej przesady (podówczas panującego smaku) starała się utrzymać w formach znanych Mozartowskiej opery; nuty narodowe, czerpane poczęści z pieśni ludowych, poczęści z własnego natchnienia. Partycja Stefaniego to pierwsza nieśmiała próba, a jednak już widać w niej, że ta muzyka polska, ludowa, ma wielką przyszłość. Uroczy duecik „Kochanków“ dotąd czaruje nas rzewną swą prostą nutą. Chór „Górali“, finał pierwszego aktu, pieśni „Studenta“, — wszystko to kompozycje mające prawdziwą wartość, a jeżeli grzeszą może zbyt prostotą i naiwnością, to musimy zważać na to, że Stefani musiał się zastósować do bardzo ograniczonych sił wykonywujących operę. Śmiało na każdy sposób wyrzec możemy: że Stefani

i Bogusławski położyli kamień węgielny muzyki dramatycznej w Polsce. Wkrótce po Stefanim ukazał się Kurpiński. Dzięki staraniom wiecznie zasłużonego Bogusławskiego, znalazł on już pole otwarte, pierwsze trudności zwalzone, jedna przeciwność, krępująca Kurpińskiego, był smak publiczności, która przyjąwszy wprawdzie z entuzjazmem „Krakowiaków“ Stefaniego, zwróciła się znów ku sielankom, pasterzom, pasterkom itp.

To też pisał im Kurpiński: „Pieśni o Filonie“ bez wartości, a które przecież z uniesieniem śpiewane były po salonach całej Warszawy. Jeniusz Kurpińskiego nie mógł jednak ograniczyć się na tém, napisał kilka oper, naśladowując poczęści Mozarta, poczęści Rossiniego, ale włożywszy w każdą z nich cząstkę swęj własnej indywidualności; pare z tych oper, mianowicie: „Laska Imperatora“, Bojomir i Wanda“ są nawet pełne oryginalnych i pięknych myśli. Rzecz szczególna, że ta sama myśl, która już Stefaniego tak szczęśliwie natchnęła, stała się i dla Kurpińskiego motorem do napisania arcydzieła — a mówiąc nawiasem — arcydzieła w swym rodzaju dotąd nieprzewyższonego: „Zabobon czyli Krakowiacy i Górale“, żyją już przeszło lat trzydzieści i długo żyć będą, a jak długo polska scena istnieć będzie, zawsze z rozkoszą słuchać będziemy tęg muzyki pełnej prostoty z jednej, a prawdziwej sztuki z drugiej strony — tych śpiewów polskich naszych. Zasługuje „Zabobon“, byśmy się bliżej mu przypatrzeli.

Rzadkie są w sztuce wypadki, ażeby dwa na tém samym tle osnute utwory, równą i oryginalną zachowały wartość. W „Zabobonie“ zaś tak poeta jak kompozytor o wiele autorów „Cudu“ przewyższyli. Nad pięknościami libretta rozwodzić się nie będziemy, dawno ono już właściwe uzyskało uznanie. Powiedzmy jednak, że muzyka Kurpińskiego dotąd należycie ocenioną nie została. Przejdźmy cały układ opery: zaraz uwertura uderzy nas świeżością swoich motywów, przystępną prostotą, a w której muzyk odkryje męgie piękności techniczne i formy prawdziwie klasyczne; fugato rozpoczynające drugą jej część (nad którym dotąd nikt się nie zastanowił) zachwyca tajemniczym swym motywem i potęguje w sposób nader oryginalny aż do silnej *stretta* końcowej — Radzimy naszym pięknym czytelnikom przy przyszlém przedstawieniu „Krakowiaków“ słuchać jej z uwagą i niezapełniać czasu jej trwania rozmowami lub poprawą toalety — niezawodnie wsłuchawszy się w prześliczną tę uwerturę, podziękują nam za radę. Pierwszy duet i chór introdukcyjny wprowadza nas odrazu w nasze życie sielskie, już to swemi melodyjami, już instrumentacją, którą Kurpiński jakkolwiek używając tylko jak najprostych środków w „Krakowiakach“, po mistrzowsku prowadzi. Cóż to za prześliczny motyw, jaka piękna i pełna harmonia w następnym duecie Bryndusa i Basi, jak ślicznie ma-

luje kompozytor to proste oburzenie niewinnej dziewczyny przy słowach:

Niezaczynaj wojny, niech cię nie dmie pycha...

Temat następującego chóru Górali jest tak oryginalny, tak żywy, żeby pewno Offenbach znalazł go dość *piquant* do swoich najlepszych operetek. Któż nie zna, kto nie ocenił aryi „Studenta“ — dawno ona stała się pieśnią ludową! Perłą jednak tego aktu, jest chór pożegnania — chór, który wiecznie świeży, każdą razą entuzjazmuje całą publiczność.

Melodyjny duet kochanków — to prawdziwa sielanka bez przesady, bez ekliwkości, rzewna a tak prawdziwa; przytém jest to jeden z najbardziej wypracowanych numerów, prawdziwe arcydzieło w prowadzeniu głosów; akt pierwszy kończy się silnym, energicznym chórem, zwanym „pogoni“.

Z drugiego wyjmujemy naprzód śliczne *ensemble* przy wprowadzeniu Basi, a mianowicie wstęp:

„dokądże mnie prowadzicie“ itd

i drugą arję studenta (G-moll) z oryginalnym akompaniamentem skrypcowym, którego ruch nieustanny trafnie cechuje kłótnią i niepokój.

W trzecim akcie najślabszym co do muzyki, spotykamy się najprzód z mazurkiem Zosi, który, przynajmniej musimy, o wiele niższej wartości od innych numerów, zdaje się dopiero późniejszą wkładką, a może wecale nie kompozycji Kurpińskiego. Operę kończy piękny chór o zgodzie, który niestety rzadko bywa dobrze wykonywanym.

Kiedy pomyślimy, że muzyka Kurpińskiego przez trzydzieści przeszło lat słuchana dotąd nie nuży, a nawet ciągle zachwyca, już w tej świeżości odkryć powinniśmy cechę arcydzieła, tymczasem dotąd nikt się nie znalazł, któryby tém mianem ochrzcił muzykę Kurpińskiego. Smutno to dosyć, ale tak to zwykle bywa.

Przypominamy sobie tylko, że przy przedstawieniu tej opery w Wiedniu (1856 r.), muzycy tamtejsi byli pełni podziwu dla tej bogatej oryginalnej klasycznej prawdziwie partycyi, oddając hołd przynależny jej kompozytorowi i mieszcząc go pomiędzy najznakomitszymi.

Tak stała muzyka w Polsce, kiedy wstąpił w świat muzyczny polski Stanisław Moniuszko. Żałujemy, że biografia jego niejest nam dotąd dostatecznie znana, aby ją w całości podać czytelnikom, co jednak o nim wiemy, będziemy się starali skreślić. (Ciąg d. nast.)

KOBIETA

(podług BOGUMIŁA GOLTZA).

(Ciąg dalszy.)

Z powyższego określenia wynika, że kobieta folgując sympatjom i wrażeniom chwili, skłania się zwykle do okoliczności, sytuacje porywają za sobą, nieraz wbrew

poznaniu i woli. Dla tego potrzebuje krępować swoje upodobania formą, ceremoniałem — dla tego jest tak baczna na drobiazgowość nawet formalności. Używa tego niby tarczy, ochraniającej jej spokój — niby broni przeciwko samej sobie. Przeciwnie mężczyzna w codziennym pożyciu jest mniej żenowany, swobodniejszy, zajęty więcej treścią, mniej uważa na formę, na drobiazgi. Na straży jego namiętności zamiast reguł przyzwoitości, stoi rozum.

Dopiero stan matki (mówi Goltz) stawia kobietę na równym mężczyźnie stanowisku obywatelskim i obywatelowym.

Różnica kobiety i mężczyzny uwydatnia się może najwięcej w sprawach sercowych. Natura kobiety w tym względzie jest nierozdzielna — ona się cała oddaje miłości, to wypełnia całą jej istotę; gdy przeciwnie mężczyzna przynosi tu tylko cząstkę siebie, tam zmysłową, tu duchową, bardzo rzadko żeby się zaangażował całym sobą, duszą i ciałem, zapominając o reszcie. Z tej rozdzielności natury żeńskiej, z tego, że tak powiem: „zaasekurowania boków“, wynika też, że daleko łatwiej jest mężczyźnie jak kobiecie wycofać się i podzwignąć z upadku. Niech się pewne struny duszy kobiecej zerwą, to ją złamie i całe jej życie zatruje. Mężczyźni w ogóle nie mają takich „Achillesowych pięt“

W dalszych uwagach surowy p. Goltz sam ze sobą często w sprzeczność wpada. I tak odmawia kobietom zmysłu do techniki, precyzji, ścisłości dla tego, że uwagę swoją zbyt często i nagle rozstrzelują; gdy przecież sama natura kobiet, codzienne doświadczenie, znużone i subtelne roboty kobiece, znana ich cierpliwość, zadają kłam temu twierdzeniu. Równą sprzeczność z przytoczonym twierdzeniem, że kobiety są uszlachetnioną przyrodą; że u nich wszystko płynie a niema *stoccatto*, popełnia Goltz, odmawiając im zmysłu do komfortu, do szyku w obszerniejszym znaczeniu. Jest to niedorzeczność, bo któż nie zna mistrzostwa kobiet pod tym względem? Z najlichszej izby potrafi ich czarodziejska ręka zrobić cacko, byle tylko miały jakie-takie środki po temu; któż im wyrówna w przyjmowaniu towarzystwa, w utrzymaniu go przy swobodnym humorze, w zarządzeniu żeby w całym przyjęciu nie było znać pośpiechu lub zakłopotania. A nawet przy zajęciach, nieporozumieniach jedynie zręczne wzięcie się i pośrednictwo kobiety umie zażegnać burzę. W ogóle ów szósty zmysł Liebelta, posiadają prawie wyłącznie tylko kobiety. Niby na usprawiedliwienie swoje powiada Goltz złośliwie, że zajmuje się mniej tém, czém kobiety przez wychowanie stać się mogą — a przeważniej tém, czém obecnie są. W istocie o wartości i sposobach wychowania są w dziełku jego tylko luźne wzmianki — jest to może najślabsza strona jego dziełka.

Wyprawa do fotografa.

(RAMOTKA.)

(Dokończenie.)

— Niech państwo się grupują.
— Co? co? co robią? Ależ zaraz dobrodzieju, my się jeszcze nie przygotowali, trzebaby nam się naradzić.

Wezwano do narady mnie i fotografa.

— Widzi pan dobrodziej — zaczął tatko — bo my się jeszcze nigdy nie fotografowali, więc chcielibyśmy się zaradzić pana, jak najlepiej byłoby moim pannom: czy w niebieskich, czy w cytrynowych...

— Ależ tatko my nie chcemy w cytrynowych. —

— Ależ moje kochane, to będzie zależeć od tego, jak pan fotograf uzna, bo wyście się jeszcze nigdy nie fotografowały. — No jakże pan sądzi — bo one przywiozły ze sobą i niebieskie, i cytrynowe, i popielate w krateczkę — to jak nam pan radzi? —

— Tak jak panie są teraz ubrane — byłoby naj-
lepiej. —

— Nie chcemy, nie chcemy. —

— Nie, to być nie może. Dziewczęta dziękować Bogu mają się w co ubrać.

— My by wołały w niebieskich.

— Jakże pan myśli, dobre będą niebieskie? —

— Jak panie sobie życzą.

— Niebieskie, niebieskie — prosiły panny — Maciej zdejmuj pudła.

Tatko najął na ubieranie pokój gościnny, wpakował do niego panny i pudełka.

— A możeby i mnie wypadło się ogolić — ? — spytał wracając do fotografa — jakoś człowiek obrósł trochę, od niedzieli się nie goliłem — to mówiąc, gładził ręką szorstki nieduży zarost.

— W tak małym formacie to tego znać nie będzie.

— Ale zawsze lepiej — bo to widzi pan dla pani baronowej. Ja tu w mig będę. Panny spieszcie się — zagrzmiął jak z tuby pod drzwiami córek i poleciał na miasto ogolić się dla pani baronowej.

W pół godziny potem tatko wrócił, ale na panny z godzinę jeszcze trzeba było czekać, bo niedość, że się wystroić musiały, ale każda jeszcze studyjowała przed zwierciadłem po kilkadziesiąt razy, jakby się tu najlepiej wydać. Wreszcie wysypały się na podwórze w niebieskich sukienkach.

— No, teraz nas pan ustaw, bo my się jeszcze nigdy nie fotografowali — zaczął znowu papa.

— A baranek? — zawołała Tyńcia.

— A Nero? — Magdusi jeszcze niema! — dodała

— Jakto, panie by chciały ze zwierzętami? — zapytał fotograf zadziwiony.

— Tylko z barankiem.

— I z Nerusiem.

— Ależ to panie łaskawe jest niepodobieństwem fotografować taką menażeryję.

— Co pan pod menażeryją rozumie? — spytała obrażona Mincia.

— No psa i baranka; trudno utrzymać je w spokoju, fotografija udać się nie może.

Z mozołem zdołał wyperswadować pannom ich zachcenia — zgodziły się wreszcie na ustępstwo lubo nie bez kwasów.

— No, niech nas pan dobrodziej ustawia jak uważa najlepiej, bo my się jeszcze nigdy nie fotografowali. Czy mam stać, czy usiąść?

— Niech pan dobrodziej lepij siada.

— A jakże, bokiem czy przodem, bo widzi pan ja się jeszcze nigdy...

— Jak panu dogodniej — tak jak teraz — rękę zgiąć. —

— Ale którą? bo widzi pan ja się jeszcze —

— Można tę albo tę — mówił fotograf zginając w łokciach rękę pana Kalasantego i wrócił do kamery i schował się pod płachtę czarną.

— Ależ nie potrzeba obydwóch rąk zginać, niech pan jedną opuści. —

— A którą, bo widzi pan, ja się nigdy jeszcze nie fotografowałem. —

Fotograf widocznie się niecierpliwił, wrócił i wyprostował mu jedną rękę — potem wziął się do panien. Tu było mu trudniej, znalazł opozycyją. Panny bowiem dawno już wystudyjowawszy wady i zalety swych twarzy i figur, nie chciały poddać się radom fotografa. I tak Bincia, mająca nosek zadarty, żadną miarą nie chciała się dać nakłonić do podniesienia głowy. — Tyńcia szerokie nieco usteczka zesnurowała jak ściągany woreczek, Mińcia mając rączkę ładniejszą od twarzy, podparła się i zasłoniła tą rączką twarz całą. Próżno fotograf prosił, odradzał, poprawiał, ledwie odszedł, panny wracały do dawnych pozycyji, ciągle się krygując, poprawiając. Jeden tylko pan Kalasanty ani drgnął, ani się obejrzał — ułożony przez fotografa, czekał z uszanowaniem i powagą na operacyją.

— Tak, teraz niech państwo swobodniej nieco odpoczną, niezmieniając pozycyji — za chwilę służę — rzekł fotograf, znikając w ciemnej komórecie.

Córki poczęły znowu robić studyja nad rozmaitemi pozycyjami — tatko ani drgnął, nieruchomy jakby obłożony wizykatoryjami, głosem tylko dawał znaki życia.

— Hipek, co ty tam chrupiesz za uszami?

— Nie tatko — rzekł malec, chowając ciastko do kieszeni.

Pan Kalasanty spojrział na mnie:

— A możeby i pan z nami? No! Jest jeszcze miejsce — Bińciu przysuń się do mnie, to się pan zmieści.

Niewiem czybym się był wymówił przed grzeczo-

ścią pana Kalasantego, gdy na szczęście wyszedł fotograf ze szkłem.

— Sza dzieci! — zawołał ostatecznie pan Kalasanty.

— Proszę spokojnie siedzieć.

To było nad siły panięskie, które od matki Ewy odziedziczyły chęć przestępowania zakazów. Mińcia nie mogła wytrzymać, żeby nie widzieć jak stoi Tyńcia — i obejrzała się.

— Niech pani będzie łaskawa nie ruszać się — zrobił Bińci uwagę fotograf. — No, odkrywam.

— Na miłość boską nie je...

Nie dokończył pan Kalasanty i kichnął jak z morderca.

— A! Bóg strzegł, że dość wczesnie. — No, teraz — rzekł chowając chustkę.

Fotograf odkrył szkło. Podczas odbijania, Hipek korzystając z chwili, w której go nikt nie kontroluje, dobył kawał ciasta i zasadził je w usta.

— Już — rzekł fotograf, zamykając szkło — dziękuję.

Panny i tatko odetchnęli głośno, jakby kilka miesięcy, i rozmawiając o cudach wynalazków tegoczesnych, czekali na wyrok fotografa.

Za chwilę ukazał się.

— No i cóż?

— Niudana, trzeba powtórzyć. Pani się ruszała — rzekł do Tyńci — a ja prosiłem.

— To nie mnie pan prosił, to mojej siostry — odparła naiwnie Tyńcia.

Powtórzone jeszcze parę razy odbicie — aż wreszcie wypadł wyrok: udało się.

— I na kiedyż będą panie łaskawy? —

— Za trzy dni.

Pan Kalasanty zadatkował podług żądania fotografa — Za trzy dni stawił się na termin, a z nim córki i ja.

— No, są fotografie?

— Służę państwu.

Zaczęły się oglądania. —

Tatko zobaczywszy swój konterfekt, rozśmiał się serdecznie z uciechy, inaczej rzecz się miała z córkami — z wzrastającym zdumieniem i nieukontentowaniem oglądały fotografie — poczęły się szepty.

— Cóż ty na to Tyńciu? —

Tyńcia ruszyła ramionami.

— My miały niebieskie, proszę taty — a tu białe.

— Prawda? —

— A twarze czarne, przecież my takich nie mamy dzięki Bogu.

— Proszę pana — ozwała się najśmielsza Tyńcia — czy to mam być ja? —

— Bez wątpienia.

— Ależ to szkarada jakaś.

— To już nie ja winien pani dobrodziejko — odrzekł fotograf uśmiechając się złośliwie.

— A ciekawam kto?

— Ja — rzekł papa, — bo trzeba was było kazać robić w większym formacie.

Nie Stańczyk.

KOESPONDENCYJE.

Wiedeń 14 października.

Z serdeczną radością powitałam wiadomość o wydawnictwie „Kaliny“, jako pisma poświęconego kobietom. — W naszym stuleciu ruchy tak szybkie odbywają się na polu politycznym i umysłowym, ludzkość tak przyspieszonym krokiem dąży do celu wspaniałego cywilizacji ogólnej na zasadach najobszerniejszych, że i nam kobietom nie godzi się wyłączać od pracy, i przypatrywać się obojętnym okiem podczas gdy drudzy się mozolą. A wszakże Polki nasze od dawien dawna słyną z tego, że szczerze i ochoczo, z sercem pełnym zapалу i poświęcenia obejmują sprawy ojczyste i sprawy ludzkości; że mają pojęcie bystre dla owych celów humanitarnych, których źródłem niewyczerpanym jest chrystyanizm!

Niechże w chwili obecnej, kiedy godłem ogólnym jest praca — praca ucziwa w każdym zawodzie — popracują szczerze nad sobą, niechaj popracują i dla drugich, a szczególnie niechaj wesprą słowem i czynem te kobiety, dla których praca nie jest środkiem tylko wydoskonalenia własnego i postępu moralnego, lecz dla których praca jest gorzką — ciężką koniecznością.

Prawda to jest niezaprzeczona, i aż do przesylenia nam wiadoma, że zakres domowy jest najwłaściwszym polem działalności kobiecej, że na ognisku domowym wskrzeszanym bywa owo ciepło dobroczynne, rozwijające wszelkie zarody enoty i piękna w ludzkości; lecz jak powiada pismo święte: „wielu jest powołanych a mało wybranych“.

Grono tych istot wybranych, które na łoniu rodziny pędzą życie szczęśliwe i pieszczone, poświęcone li tylko obowiązkom córki, żony lub matki, jest szczerem w porównaniu z wielką liczbą kobiet powołanych zapracować w pocie czoła na kawałek chleba dla siebie i swoich; — a wszak i to nam wiadome do sytości, jak lichy owoc przynosi praca kobieca, czy to ręczna, czy umysłowa.

W całej prawie Europie cywilizowanej tworzą się obecnie stowarzyszenia w celu wsparcia pracy kobiecej i otworzenia nowych źródeł zarobkowania dla kobiet. W Anglii, która pod tym względem stoi na czele, we Francji, Belgii, Szwajcaryi kobiety pełnią służbę na kolejach przy telegrafach, pracują w drukarniach itp. W Niemczech również coraz więcej rozszerzają się podobne stowarzyszenia, a nawet tutaj we Wiedniu „Sto-

warzyszenie kobiet w celu ułatwienia zarobkowania niewieściego" jest w zarodku. Powiadam że jest w zarodzie, gdyż jeszcze rzeczywiście w życie nie weszło i nie rozpoczęło dotąd czynności swojej.

Doktor Schrank, tutejszy radca gminny, myśl tę pierwszy wzniecił. Ogłosił on w marcu tego roku odczyt: „O zdolności zarobkowania kobiet“. Mowa jego była bardzo piękną i odpowiednią celowi. Odrzucając myśl o emancypacji kobiet, jako wybujałość wyobraźni ludzkiej, wskazuje on jednak konieczność pracy, i że konieczność ta coraz bardziej staje się naglącą, jeżeli byt rodzin ma być zabezpieczonym, że dla kobiet trzeba otworzyć nowe źródła pracy, odpowiednie i lepiej popłacające; że one pracą swoją nie uszczuplą wcale pola czynności męskiej, lecz owszem przyczynią się niezawodnie do podźwignienia dobrego bytu ogólnego. Dr. Schrank nie miał licznych słuchaczy, lecz kilka dam właśnie obecnych zebrało się i uformowało stowarzyszenie, na którego czele jako przełożona, stoi pani Laube, żona cenionego autora i dyrektora nadwornego teatru dramatycznego w Burgu; do wydziału należy również panna Betty Paoli, zasłużona autorka, która bardzo piękny felieton w tym celu napisała do dziennika „Neue freie Presse“.

Zawiązawszy się na wiosnę towarzystwo dam dotychczas nie rozpoczęło czynności swoich, bo częścią wypadki wojenne zajęły wszystkie umysły, częścią to było na zawadzie, że publiczność tutejsza lepszych stanów wiosną i lato do późnej jesieni spędza na wsi w okolicy Wiednia.

Statuta zostały już potwierdzone przez rząd krajowy, a 17go października zwołaniem będzie posiedzenie ogólne, na którym mają się uskuteczyć nowe wybory, i nastąpią obrady o środkach najpraktyczniejszych i najodpowiedniejszych celowi. Należąc do stowarzyszenia, nieomieszkać w czasie właściwym zawiadomić was o skutku obradowania, sądząc, że to czytelniczki wasze zapewne zajmie. *)

Kończąc na dzisiaj korespondencją moją, życzę „Kalinie“ najlepszego powodzenia, niechaj świeżo i uroczko zakwitnie dla publiczności, i niechaj ziarno prawdy i postępu, jakie w niej szanowna redakcyjo zasiejecie, bujnym plonem się rozrośnie na niwie literatury ojezycznej dla pożytku powszechnego.

M.

*) Statuta stowarzyszenia kobiet wymienione w korespondencji, zamieścimy później. (Przyp. red.)

TEATR. Z początkiem tego miesiąca rozpoczęły się przedstawienia teatru polskiego. W ciągu tych kilku dni słyszeliśmy dwie nowe komedye, jest to miłą zapowiedzią gorliwości dyrekcji. Oby tylko wybór był szczęśliwy. Dowiadujemy się także, że w ciągu tego kursu zimowego zobaczymy na scenie naszej komedye „Shakespeare'a“, nieznaną naszej publiczności, jak również „Kupca Weneckiego“. Jakkolwiek recenzent o teatrze w „Przeglądzie Polskim“ wyraził obawę, aby dyrekcya nie zechciała przedstawiać sztuk, którymby artyści nasi poddać nie mogli, my cieszymy się tą zapowiedzią. W jakież bowiem sposób artyści mogą rozwijać i wykształcać swe zdolności dramatyczne — jeżeli dramatów grać nie będą? Potrzeba tylko, o czem recenzent jak również dyrekcya zdaje się zapominać — dobrego kierownika scenie naszej. — W początku było ich aż dwóch: pp. Jasiński i Swieszewski. Nie wchodzimy w to jakimi oni byli, pomijamy zarzut jednostronności, w jakiej rozwijali scenę naszą — dość, że coś było. Teraz o ile wiemy, nie ma nikogo. Trudno, aby aktorowie puszczeni luzem, zostawieni własnym siłom, własnemu sprytowi i upodobaniom, mogli iść naprzód. Wielki talent poradzi sobie w tem bezkrólewiu — mierny zmarwieje, idąc za własnym często złym instynktem i niedość wykształconym smakiem publiczności, zejdzie na prowincjonalnego komedyjanta. Przykładów tego u nas nie brak. Dyrekcya powinna by zwrócić większą niż dotąd uwagę na ten punkt.

Czeka nas także inna niespodzianka: opera polska. Nie wiemy z jak wielkimi rozpocznie się ona siłami i zasobami, cieszy nas jednak choćby skromny zawiązek, który przy gorliwości dyrekcji i współdziałaniu publiczności, bardzo z czasem rozwinąć się może.

Dla publiczności szczególnież zamiejscowej, będziemy umieszczali od czasu do czasu treść nowych utworów scenicznych i ich ocenę.

Dla domowego użytku. Ważna to rzecz w danym razie dla matek wybór środków do karmienia dzieci. Nowa polewka Dr. Liebiga przyrządza się następnie: Bierze się 1 łut mąki pszennej zwyczajnej, 1 łut mąki słodowej (s od jęczmienny zmielony na młynku), 7½ gran dwuwęglanu potażu — co zresztą gotowe w apteece dostać można. Rozrabia się w 2ch łutach zimnej wody, dodaje 10 łutów mleka i mieszając ciągle, grzeje się na bardzo wolnym ogniu póty, aż zaprawa gęstnieje znacznie. Wtedy odstawia się, rozrabia 5 minut, potem znowu rozgrzewa i zagotuje. Nareszcie cedzi się przez gęste sito, aby otrąbki od mleka oddzielić i polewka gotowa. Stósownie do wieku i przyzwyczajenia dzieci rozczynia się wodą. Postępowania opisanego przy gotowaniu, należy się ściśle trzymać, zależy bowiem od tego chemiczny skład polewki i jej strawność.

— Nowy środek tępienia szczurów, nieszkodliwy dla innych zwierząt, przyrządza się w ten sposób: Miesza się żółtę wołową z olejkiem bursztynowym w równych częściach i rozrabia na ciasto z krupami jęczmiennymi i mąką. Gałki z tego ciasta zjadają szczury chciwie, poczem pali ich pragnienie, tak, że nastawioną wodę piją póki nie zdechną.

— Dla ucznia C. odebraliśmy od Y². 1 zlr. w. a.; od pani Lud. Hawel 2 zlr. w. a.; od p. Polityńskiego 3 zlr. w. a. Razem sześć zlr. w. a., które już doręczono za pokwitowaniem, złożonem w redakcyi.

Do dzisiejszego numeru dołącza się dla prenumerujących nuty: „Sonet W. Shakespeare'a“, śpiew z towarzyszeniem fortepianu, przez St. Dunieckiego.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca TADEUSZ WOJCIECHOWSKI.



Wychodzi co sobota o godzinie 9. rano.

Prenumerata miejscowa wynosi: *rocznie* 6 zlr., *półrocznie* 3 zlr., *czwórocznie* 1 zlr. 50 c. w. a.— Z przesyłką pocztową: *rocznie* 7 zlr. 20 c., *półrocznie* 3 zlr. 60 c., *czwórocznie* 1 zlr. 80 c.— Prenumerata zagraniczna bez mód i bez nut *rocznie* 8 zlr. 30 c. w. a.

Mody i kroje *rocznie* 3 zlr. 30 c., *półrocznie* 1 zlr. 70 c., *czwórocznie* 90 c. w. a.

Nuty *rocznie* 1 zlr. 25 c., *półrocznie* 65 c., *czwórocznie* 35 c. w. a.

W Krakowie prenumerować można w biurze redakcyi: ulica żydowska, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni Wgo. Czecha.

We Lwowie można prenumerować i odbierać w agencyi Hercoka i Arnolda na Hallickiem.

Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c. następnie po 4 c. Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy

Od Redakcyi.

Upraszamy Sz. PP., którym przesłane zostały „Listy prenumeracyjne“, o zwrot takowych.

Stanowisko kobiety.

Do tematów niewyczerpanych, do kwestyj wiecznie na porządku dziennym zostających, należy stanowisko kobiet. Jest to jedna z wiecznych zagadek dziejowych, którą starały się rozwiązać narody w pożyciu swém domowém i publiczném, prawodawcy w swych ustawach, myśliciele w świątłych swych radach i rozważaniach. Wiadomo, że podczas gdy u ludów wschodnich kobieta była rzeczą, własnością męża, niewolnicą do najpodlejszych przeznaczoną robót; Grecy ustąpili chętnie kobietom cały zakres życia domowego, a bujna ich fantazyja marząc o samodzielnym rządzie i państwie kobiet-wojowników, wynagradzała mniemaną krzywdę niepełnego uprawnienia Greczynek w publiczném życiu cudnemi baśniami o państwie Amazonek.— Rzymian prawniczy naród kobietom swym tak szeroki zawarował w życiu domowém zakres działania, tak panowanie ich w zakresie tym ustalił i umocował, że często nawet mogło ono służyć za punkt oparcia do wmieszania się w zabroniony Rzymiankom zakres życia publicznego. Romantyzm średnich wieków wyniósł kobietę na najwyższe stanowisko idealne. Na obłoku marzenia uno-

siła ona się ponad wszelką rzeczywistość; ale ponieważ nie miała w téjże silnej podstawy, z idealnego stanowiska wnet strąciły ją codzienne życia stosunki. Realizm naszych czasów w ocenianiu kobiet i ich stanowiska radzi się również rzeczywistych stosunków, prawdziwych warunków ich bytu i dobrego powodzenia, nareszcie niezaprzezonych znamion tak fizycznego jak i moralnego ich usposobienia i uzdolnienia.

Mimo to jak w dawniejszych tak i w nowszych czasach z różnych wychodząc punktów widzenia, różne równocześnie w przedmiocie tym ścierają się z sobą zdania. Jedni wymagają bezwarunkowej podrzędności kobiet pod męzowską władzę; inni są za bezwzględną zpod wszelkich opiekuńczych wpływów emancypacyą; różni zresztą za różnym to większym to mniejszym uprawnieniem kobiet przemawiają.

Niezapuszczając się w ten chaos sprzecznych zdań, wynurzymy tutaj nasze zapatrywanie się, którego stale trzymać się będziemy.

Z natury rzeczy wszędzie i zawsze dwa różne kobiecie i mężczyźnie dostały się zakresy działania. Podczas kiedy wewnętrzny domu i rodziny rząd i porządek zostaje pod kierownictwem kobiet, mężczyznom powierzone są zewnętrzne sprawy domu i rodziny, stosunki ich do narodu i państwa. Tak było i jest wszędzie. Tylko w czasach mniej oświeconych podział taki mógł być uważanym za upokorzenie kobiety jakoby odpowiednie naturalnemu jej upośledzeniu. W naszych czasach, kiedy poznano wysoką ważność wychowania i całego trybu życia domowego, nikt zapewne,

porównyując zakres działania mężczyzn z zakresem działania kobiet, nie będzie lekceważył ostatniego, ale owszem w dwóch tych różnych zakresach znajdzie zupełną równość co do trudności postawionych zadań, co do stopnia uzdolnienia potrzebnego do ich rozwiązania, nareszcie co do ważności i świętości celów mających się osiągnąć. Dziś dwa te zakresy działania nie są jeden drugiemu podrzędny i nie można z nich wnioskować na mniejsze kobiet uzdolnienie. Dziś dwa te zakresy są zupełnie współrzędne, i dla tego też w stosunkach i okolicznościach wymagających tego, (a których z góry żadna teoryja określić ściśle nie może) przejście z jednego zakresu w drugi nienapotyka więcej na żadne w społeczeństwie oświeconem uprzedzenia lub przeszkody. Dziś nie to, w jakim zakresie się działa, ale jak się działa, nadaje działaniom równie kobiet jak mężczyzn wartość. Wartość ta zależy jedynie od moralnej treści czynów i życia. Aby treść ta odpowiadała wymaganiom postępu i nowym czasom ideom, o to dziś równie kobiety jak i mężczyźni starać się winni. Starania te wspólne kobietom i mężczyznom prowadzą ich zarówno na wspólne pole pracy, na pole nauk i umiejętności, na pole oświaty, otwierając im w miarę, jakie gdzie są potrzeby i stosunki, przystęp do różnych zawodów. Wstępując bowiem na pole to w tym samym celu, ubiegając się za równym pracy swęj plonem, równego też doznawać powinny tam uprawnienia. Postęp naszych czasów, łącząc z jednej strony do naturalnego zakresu działania kobiet wyższe jak kiedykolwiek wymagania, wskazał im zarazem wspólne z mężczyznami pole oświaty jako źródło gdzie, aby godnie wypełnić zadanie żywota swego, czerpać powinny zarówno z mężczyznami siły i natchnienia. Nie jest więc (jak mylnie dawniej mniemano) pole oświaty niewłaściwą dla pracy kobiet dziedziną, ale owszem tak samo jak z natury rzeczy różny jest kobiet i mężczyzn zakres działania, tak też i z natury rzeczy wspólne im jest pole oświaty. Tam kobiety równie jak mężczyźni szukają winny rozwiązania zagadki życia swego, tam zarówno ich czeka objawienie tajemnicy ich powołania i posłannictwa. Niewchodzą więc w obcą sferę kobiety, jeżeli na polu nauk i umiejętności bądź biernie, bądź czynnie występują, nie wdzierają one się bynajmniej w dziedzinę wyłącznie mężczyznom należącą. Wchodzą one tam raczej tym samym prawem, wystąpienie ich tam tę samą ma przyczynę. Jak zaś pole oświaty jest nierozdzielne i nieograniczone, jak wpływ jej na życie nie da się wyrazić formułkami, ani ująć w ciasne ramki, tak też dla wstępujących na pole oświaty niema żadnych ograniczeń, oddziałów lub zagród. Zastarzałe są zdania, że kobietom to lub owo wiedzieć, tego lub owego uczyć się należy. Upadły te ograniczenia. Wszystko wszystkim godzi się znać; wiedza uszlachetnia również

mężczyznę jak i kobietę; oświata zarówno ich zdoła. Zniknęły przedziały wielkie i małe przedziały. Nie ma żadnej gałęzi nauk i umiejętności, którejby dziś kobietom jako zakazany owoc odmówiono; nie ma zakątka na polu oświaty, do którego by im wstępu nie dozwolono jako do sanctissimum. Całe pole oświaty wspólne jest kobietom i mężczyznom. Oto więc jest nasze zapatrywanie się.

Różność naturalnych zakresów działania w życiu, a to nie z powodu większego lub mniejszego kobiet uzdolnienia, ale na zasadzie koniecznego podziału pracy; a wspólność i równość na polu oświaty.

ŻONY NIEWOLNIKÓW.

(Ciąg dalszy.)

Kapitan postąpił na środek sali — w oczach, które mi obejmował zdobył swoją, malowała się dzika radość. Goście rozsunęli się tak, że w utworzonym kole zostali jak na arenie z jednej strony kapitan z zbliżającymi się żandarmami, z drugiej strony syberyjczyk, brat jego i Jan. — Role braci w chwili wejścia Moskali zmieniły się — ten który drzał i bladł, teraz odechnął — a syberyjczyk spuścił na dół wyciągniętą rękę, wzrokiem ponurym, beznadziejnym spojrzawszy wokół jakby mówił: zginęliśmy. Żandarmi zbliżyli się wiążąc go.

Człowiek stojący za oknem nie czekał dłużej — szybko przebiegł ogród i wrócił nad stawy. Za stawami zaczynał się las — kiedy się ku niemu zbliżał, kilku ludzi wysunęło się z za drzew.

— I cóż? — spytał jeden.

— Nie skłamał — Moskale są w Zawodziu, areztowali syberyjczyka i kogoś drugiego co był z nimi, ale tego drugiego twarzy nie widziałem.

— Wielu jest Moskali?

— Trzech żandarmów, kapitan i dwóch kozaków.

— Do tego uzbrojonych — a nas ośmiu tylko i bebronnych prawie — to źle. A zostawić ich w ręku Moskali niepodobna.

— A ratując zgubimy siebie i zdradzimy naszą kryjówkę — odezwał się inny.

— Czy myślisz — rzekł ten co pierwój mówił, — że papiery znalezione przy syberyjczyku nie zgubią nas także. Tu dłużej ukrywać się nie możemy — mamy inne schronienie. Ale pierwój trzeba myśleć o ratowaniu uwięzionych. Czy zgoda? —

— Zgoda.

— Idzie tylko o kozaków, z tymi najtrudniejsza sprawa.

— Mam sposób na nich — rzekł ów człowiek, który

wrócił od dworu. — Mostek koło stawów trzyma się na jednym palu i dwóch dylach, dość je przeciąć siekiera, by się most pod jadącymi zawalił. — Kozacy będą jechali przodem.

— Czasu za mało na to.

— Wystarczy. Kapitan nie zaraz opuści dwór — on lubi się bawić.

— Niech więc czterech ludzi idzie do mostu — jeden niech podejdzie pod dwór i da znak gdy Moskale ruszą.

Rozkaz wypełniono. Pod lasem został ten, który wydawał rozkazy, trzech jego towarzyszków i August. Niezadługo odezwał się stłumiony łoskot siekier.

— Plan powinien się udać — za chwilę księżyc zajdzie, ciemność będzie nam dobrym sprzymierzeńcem.

Potem nagle jakby sobie coś przypomniał, zwrócił się do Augusta i rzekł:

— Nie miałem nawet czasu jeszcze podziękować panu za przysługę, jaką nam wyświadczyłeś. Ale kto panu mówił o nas?

— Nie wiedziałem kogo przestrzegę, leciałem na chybił trafił chcąc uprzedzić Moskali. A jednak — tu mówiący zatrzymał się, nad czymś się zastanowił — tak — mówił dalej jakby do siebie — teraz rozumiem co to miało znaczyć: ratuj ich. Ona wiedziała kogo mam ratować.

— O kim pan mówisz?

— O osobie, z której natchnienia jestem tutaj.

— Jedna tylko kobieta mogła to zrobić.

— Tak to była kobieta.

— Moja siostra.

— Siostra?

— Tak, Konstancyja.

— Więc pan jesteś bratem panny Konstancyi? — Nie wiedziałem o tém, że panna Konstancyja ma brata.

— Gorzej się pan zdziwisz, gdy powiem, że brat i siostra nie widzieli się nigdy ze sobą. Gdy z ojcem opuszczała kraj, ja byłem już w wojsku — rok dopiero jak wróciłem z Kaukazu. Dość było mi dotknąć się ziemi ojczyściej, bym zrzucił obrzydliwą skorupę moskiewskiego oficera — dezertowałem. Od tygodnia ukrywam się w tych stronach — z Konstancyją nie widziałem się jeszcze, przez posłańca tylko uwiadomiłem ją, że tu jestem. Mówię to wszystko panu bo wiem, że siostra moja nie powierzyłaby byle komu takiego poselstwa. Znam dobrze jej duszę z listów.

— Zrobiłeś pan jednak krok bardzo ryzykowny. Przy czujności policyi moskiewskiej dłuższe ukrywanie się pańskie niepodobne.

— Jesteśmy w przededniu wielkich wypadków. — Niezadługo może niebędziem potrzebowali ukrywać się po lasach. O z jaką męką czekam ja na tę chwilę — walka! i ja już nie jako moskiewski żołdak bić się

będę, ale za wolność mego ludu. Boże! nie daj mi umrzeć przed tą chwilą.

Uroczyście brzmiała wśród ciszy nocnej taka krótką modlitwa — mężki głos żołnierza drżał wzruszeniem głębokim. Czas jakiś trwało milczenie — potem oficer odezwał się do Augusta:

— Pan jednak nie możesz tu dłużej bawić, cokolwiek się tutaj stanie, pan udziału w tém mieć nie możesz. Wracaj do miasta, by twoja nieobecność nie podała cię w podejrzenie.

— A gdybym was prosił: pozwólcie mi zostać z wami. Tu wśród was czuję zapach wolności.

— Nie, to być nie może; pan musisz wracać. Ci, których tutaj widzisz, gwałtowną koniecznością tylko zmuszeni są kryć się. Dla czegoż masz bez powodu powiększać ten zastęp, być ciężarem — ani ciebie ścigają, ani ci grozi kara śmierci jak nam. Zasoby nasze niepewne, kryjówka niebezpieczna, im nas więcej, tém gorzej się ukryć. Wracaj więc pan — tam w mieście będziesz mógł więcej dla nas zrobić. Miałeś tego przykład dzisiaj. Niedługo na polu walki staniemy razem — a teraz idź pan — pozdrów Konstancyją.

August posłuszny rozkazowi, oddalił się — oficer z towarzyszami poszli ku pracującym. Szli powoli, omackiem, bo po zajściu księżyca zrobiło się ciemno. Za chwilę złączyli się z towarzyszami, którzy właśnie kończyli pracę. Most był podcięty i podpiłowany w ten sposób, że lada ciężar mógł go załamać. Most szedł ponad głębokim parowem gliniastym, spodem którego sączyła się woda czerwonawej barwy, jakby zafarbowana krwią, pochodziło to zapewne z części mineralnych, któremi przesiąkała. Strumyczek ten przeciekał z łąki, wierzechem niepozorny i mały, spodem nurtował i podgryzał gliniasty grunt, tak, że jednego dnia mieszkańcy wsi ze zdumieniem ujrzeni szeroką rozpadlinę, wąwóz prawie tam, gdzie było orne pole. Rozpadlina ta potem rozszerzając się, przekroiliła i drogę — postawiono więc most nad nią. Most był dość prowizorycznie zbudowany, później miano dać silniejsze podmurowanie, bo strumyczek, szczególnie w czasach wylewu, coraz bardziej rozpieierał i rozrywał boki, coraz głębiej wrzynął się.

— I cóż? spytał oficer.

— Skończono — rzekł człowiek w fartuchu. Trzymał siekierę w ręku i patrzył ponuro w przepaścisty parów. Będzie się miał z pyszną kozuń, jak tam zajdzie z koniem.

— Marcinie i wy idźcie do domu. Wy tutejszy, poznać was mogą.

— To panów mało zostanie — a jabym się przydał tu pewnie — rzekł, podnosząc do góry muszkularne łonie.

— Tak, ale tu idzie o was, gdyby was poznali.

— Nie poznają, noc ciemna, zresztą będę w tyle, od przypadku.

Cofnął się w głąb, resta ułożyła się koło mostu za krzakami, sitowiem. Nie mieli innego uzbrojenia prócz kijów i siekier — dwóch tylko miało rewolwery.

— Cyt! coś słyhać, rzekł jeden. —

Zrobiło się milczenie — rzeczywiście od dworu dał się słyszeć powolny turkot kół.

— Siedzieć spokojnie — rzekł oficer — gdy kozacy się zwalą z mostu — to będzie hasło dla nas.

Turkot zbliżał się coraz bardziej — oficer z dwoma towarzyszami byli najbliżsi tej strony, z kąd szedł konwoj — wyteżył wzrok w ciemność — z początku nie nie wiedział, potem rozeznawał już majaczące postacie. Kozacy jechali przodem — dalej żandarmy z więźniami — w końcu Kryłow.

— Kozaki — krzyknął kapitan.

Brodacze skręcili się na małych koniach i podbiegli do kapitana.

— Jechać za mną.

Kapitan znać obawiał się czegoś.

Bryczka więc z więźniami została na przodzie. Zaczajeni zeierpnęli z przerażenia — oficer ścisnął konwulsyjnie rękę swemu towarzyszowi i szepnął z naciskiem: zginą, co tu robić?

W tej chwili przednie koła uderzyły już o most, zatrzeszczał słup, most z przeraźliwym łoskotem zawalił się i runął w przepaść, a za nim bryczka, konie i ludzie.

(Ciąg d. nast.)

Odjazd z Krakowskiego.

Biały dworek na wzgórku
Dwa powozy w podwórku
Spakowane do drogi dalekiej;
W opróżnione pokoje
Smutnych dziewcząt szło dwoje
Każdy kącik pożegnać na wieki.

Wsparte jedna na drugiej,
Pogładały czas długi
Na znajome w ogrodzie ściesieczki —
Ileż szczęścia i smutku
W tym przeżyły ogródku,
Ileż marzeń tu miały dziewczeczki?!

I to wszystko porzucić,
I już nigdy nie wrócić,
Do miejsc obcych przywykać powoli —
Więc czy dziwno, że oczy
Łzawy smutek im mroczy,
Że rozłąka z tém wszystkim tak boli?

Nie daleko za dworem
Sterezy skała nad borem
Na nią brzozy kołyszą się białe; —
Brzozy szumią tak smutnie,
Siostróm tęskno okrutnie,
Więc raz jeszcze pobiegły na skałę.

By oczami smutnemi
Raz się jeszcze téj ziemi,
Téj krakowskiej napatrzeć do sytu.
I wiślanéj téj fali
I tym Tatrom w oddali,
Co się bielą na krańcach błękitu.

I łezkami żegnały
Ten nad stawem dwór biały,
I zieloną Kościuszki mogiłę;
I ten Kraków w dolinie,
I tę Wisłę co płynie —
Wszystko wszystko co cudne i miłe.

A z pustelni bieleńskich
Dzwonek na Anioł-Pański
Raz ostatni zadzwonił dziewczynom,
Jakby na pożegnanie
Paciorek mówił za nie —
A panienkom po twarzy łzy płyną.

Wtem od dworu od siola
„Już jedziemy“ ktoś woła,
Panienki się zerwały spłoszone,
I pobiegły w tę chwilę,
Jak dwa białe motyle,
Ku dworowi przez łąki zielone.

Za nie długi czas potem
Wyjechały z turkotem
Dwa powozy na bity gościniec —
Widać jeszcze przez drzewa
Ktoś chusteczką powiewa
Aż kurzawy zasłonił ich wieniec.

Czyli więcej za nikiem
Jeno za tym gaikiem,
Za tym dworkiem, za ziemią tą cudną —
Łzy i smutek dziewczęcy —
Czyż za nikiem już więcej? —
Niewiem — niewiem, odgadnąć tak trudno.

Maryjan P—.

STANISŁAW MONIUSZKO w świecie muzycznym.

przez St. Dunieckiego.

(Ciąg dalszy.)

Moniuszko urodził się na Litwie, wykształcenie swoje muzyczne otrzymał poczęści w Warszawie pod przewodnictwem znakomitego teoretyka Freyera, poczęści w Berlinie u sławnego Bernarda Marxa (zmarłego w sierpniu b. r.); wróciwszy do kraju, objął dyrekcją opery wileńskiej, tu napisał swoją „Halkę”, — muzykę do opery „Sen Wieszcza“ Syrokomli *). Tu rozpoczął wydawnictwo swoich śpiewników domowych, które tworzą skarby najprześlizniejszych melodj rodzinnych oryginalnych, w których przebija już z całą siłą styl genialnego kompozytora. Ukończywszy „Halkę”, posłał ją do Warszawy, gdzie ją tylko z niechęcią do przedstawienia przyjęto, czemu się jednak dziwić nie możemy, gdy przypomnimy sobie trudności, jakie stawały na przeszkodzie Meyerbeerowi przy wystawieniu „Roberta“. Otóż i „Halka“ dopiero po długim wyczekiwaniu dosięgnęła pierwszej próby, którą wielu tylko z politowaniem słuchało. Pierwsze przedstawienie „Halki“ jednak (w r. 1858) okazało w całym świecie zasługę kompozytora, przyjętą bowiem była z entuzjazmem w Warszawie dotąd niesłychanym. Imię Moniuszki stało się głośnym nie tylko w Polsce, ale i w Europie, a Fr. Liszt słusznie go nazwał „śpiewakiem północy“. Przedstawił był Moniuszko „Halkę“ jeszcze poprzednio w Wilnie, gdzie jednak nie nadał jej jeszcze tej formy wykończonj w jakiej ją znamy dzisiaj, — śpiewali wówczas „Jontka“ p. Kleczyński, a „Halkę“ pani Rostkowska. — W Warszawie obsada ról była następująca: Halka panna Rivoli, Jontek p. Dobrski, Janusz p. Köhler, Stolnik p. Troszel. — Tekst „Halki“ utworu Włodzimierza Wolskiego niemożna nazwać oryginalnym, jestto odwieczna historyja uwiedzionj biednej dziewczyny, widziliśmy już ten przedmiot w „Lindzie“, w „Niemj z Portici“, „Luisa Miller“ i innych, zasługa Wolskiego leży w kolorycie ściśle narodowym, a nareszcie w formie prawdziwie operowj. Moniuszko stworzył na tém tle cały świat nieznanj dotąd muzyki prawdziwie polskj, w muzyce tej przebija się nie tylko boleść biednej zbłąkanj dziewczyny, ale smętność, ale boleść całego narodu; nie będąc wcale sentymentalną, muzyka ta od pierwszj do ostatniej nuty znamionuje głęboki smutek. Przy pierwszych zaraz taktach poloneza, który rozpoczyna operę — wesołość jakby udana, jakby słuchacz przeczuwał, że nie przyjdzie mu się śmiać przez cały przebieg dramatu; że ukryta pod tym świetnym tańcem rzewność — może rozpacz. Raz

*) Opera ta przerobiona z francuskiego „le souge d'une nuit d'été“ — znaną jest z muzyką Ambr. Thomas'a.

tylko występuje muzyka „Halki“ w świetnym blasku zabawy, upojeniu, tj. w mazurze kończącym akt pierwszy, z ostatnią nutą tego aktu, kończy się jednak cała wesołość, a nawet tańce góralskie (akt 3.) nie zdołają przerwać smutnego kolorytu całości.

Znaleźli się jednak wkrótce tacy, którzy wzięwszy ją pod zimny skalpet uprzedzonj krytyki, zaczęli wyszukiwać różne błędy. Skarżyli się nawet na nieumiejętność tej muzyki. Sam słyszałem zdania, że i uczniowie by się do takich błędów nie przyznawali! Niech im Moniuszko przebaczy: „zaprawdę nie wiedzą co czynią!“ O biedny artysta, gdy on dając przy każdym swém dziele część swego istnienia, gdy stara się wlać w nie całą przy pierwszych zaraz taktach Poloneza który rozpoczyna operę. Wesołość jakby udana, jakby słuchacz przeczuwał, że nie przyjdzie mu się śmiać przez cały przebieg dramatu, że ukryta pod tym świetnym tańcem rzewność, może rozpacz, raz tylko występuje muzyka „Halki“ w świetnym blasku zabawy, upojenia, to jest w świetnym mazurze kończącym akt pierwszy z ostatnią nutą tego aktu, kończy się jednak cała wesołość a nawet tańce góralskie (akt 3) niezdołają przerwać smętnego kolorytu całości.

(Ciąg d. nast.)

Z PRZYRODY.

Świat podwodny morski i jeziorny.

(Ustęp z książki świata roślinnego, przez Dr. Karola Müllera.)

Wyłącznie jeszcze aniżeli Mehy ucieka się inna rodzina roślin w głąb wody, aby tu, rozwinąwszy się gromadnie, podobne pełnić powołanie jak cztery poprzedzające (t. j. lasy, zarosty trawiste, wrzosiny itd.) na lądzie. Mówimy o Wodorostach (Algae). One rozpoczynają szereg tej rodziny roślin jako najniższe i najprościej zbudowane. To w postaci pospajanych i najrozmaicij rozgałęzionych rurczek, z wejżenia podobnych do włókna lnu; to znowu w kształcie liściastych roślinek, w przeróżnych formach i zadziwiających okazałościach kolorach osiadają w wodach.

Roślinność porównańby można z drzewem. Wierzchołkiem swoim drzewo zmierza ku niebu, korzeniami w głąb ziemi. Tak samo roślinny świat. O ile pozwala nacisk powietrza i ciepło, zaludniają szczyty gór Porosty i Mehy — zostawując tylko najwyższe punkta panowaniu wiecznych lodów i śniegów. O ile pozwala nacisk powietrza, ciepło i światło, spuszcza się znowu Wodorosty komorkowate w głąbie morskie, a chociaż głębokość ta nie wyrównywa wysokości do jakiejj rośliny pną się po górach stałego lądu, wszelako dla innych powodów zawsze jest zadziwiająca. Dziesięć stóp poniżej szczytu góry Jungfrau, na wy-

sokości 12.818 stóp występują, chociaż nadzwyczaj zbiedniałe, jeszcze niektóre Porosty; na górze *Mont-blanc* nawet 14.780 stóp wysoko. Co większa, blisko góry *Czymborasso* postrzegł Humboldt w wysokości 18.096 stóp paryskich ostatniego mieszkańca roślinnego: Krążnicę (*Leucidea geographica*). Oto rośliny, które mogą jeszcze żyć pod naciskiem najrzadszego powietrza. Głębia śródziemnych wód i morza pokazuje przeciwne zjawisko. Jak tamte od poziomu posuwają się w górę, tak tu najprostsze roślinne utwory zapuszczają się aż do 12,000 stóp w głąb i wytrzymują nacisk 375 atmosfer. Pojedyncze, tylko z jednej komórki utworzone tak zwane Okrzemki (*Diatoma* albo *Baccillaria*, osłonięte pancerzykiem krzemienym), albo delikatne Głony (*Confervae*), których cały ustrój składa się tylko z szeregu ze sobą połączonych komorkowatych, rurkowatych członków — oto są rośliny, które często pilśniowatą błoną pokrywają dno morskie. Lecz mniejsza o to czy tu Wodorosty a tam Porosty są ostatnimi osadnikami świata roślinnego; te ostateczności mają tę wspólną cechę, że obydwie rodziny roślin mają najprostszą budowę komórkową. Kto się zastanowi nad tem, postrzeże na pierwszy rzut oka, że dopiero w tych dwóch ostatecznościach wysokości i głębokości uwydatnią się oba prostopadle bieguny roślinności; że jeden jest naturalnym przeciwieństwem drugiego, azatem głębokość morza jest odwrotnym światem powierzchni ziemi i że to nie potrzebuje prawie usprawiedliwienia, jeżeli te głębiny z ich górami i dolinami, roślinami i zwierzętami nazwalimy światem podwodnym, chcąc je tym sposobem odróżnić od świata roślinnego na powierzchni ziemi. —

Najprzód zastanówmy się nad roślinami jezior. One znajdują się w każdym bagnie, w każdym stawie, rowie, jeziorze itp. Gdzie wody się zatrzymują i w lecie na swą powierzchnię i na dnie pokrywają się kałużowym brudem, tam właśnie znajdują się owe jednokomórkowe rośliny, które jako Pierworośle odróżnić trzeba od Wodorostów, i które zastępują owe Wodorosty w zadziwiającej rozliczności kształtów. Pierwsze (Pierworośle) pojawiają się w 3ch wielkich bractwach, te są: najpierw Pierwotki (*Protococcaceae*), powtóre Krwotoczki (*Desmidiaceae*) i Okrzemki (*Diatomeae*). Pierwsze tj. Pierwotki (*Protococcaceae*) są to miękkie, okrągłe komórki; drugie tj. Krwotoczki (*Desmidiaceae*) są miękkie, graniaste (pryzmatyczne), wewnątrz zielone; trzecie zaś tj. Okrzemki (*Diatomeae* — *Baccillariae*), są sztywne, ostrosłupkowate komórki. Są one tak drobne, że je tylko pod mikroskopem mocno powiększającym odróżnić można, a wyobraźmy sobie ich małość najlepiej, wiedząc, że trzeba 10.000 takich roślinek w szeregu ułożyć obok siebie, aby zajęły przestrzeń jednego cala. Te Pierworośla podobne są to do pojedynczych okrągłych kuleczek, to

do łaseczek; to znów w połączeniu tworzą powabne płyteczki, krzyżki orderowe, wstążeczki lub półksiężycy, rogalki, krążki, strzypki itp. Niepodobna rozpoznać na nich pieńka, ani liścia, ani kwiatów i owoców; całe ich jestestwo koncentruje się w postaci jednej tylko komórki. Rozmnażanie się zaś ich dzieje się przez rozpadnięcie macierzystej komórki na dwie połowice, albo przez rozrost drobnutkich ziarneczek w ich wnętrzu. I możeż to być, aby tak drobnutkie stworzenia miały jakie znaczenie w przyrodzie? Nie przesadzajmy! Właśnie w tej małości pojawia się cała wielkość przyrody. Drobnutkie są to Pierworośla, ale wielkiej nabyły potęgi przez połączenie. Chociaż często na jeden cal potrzeba 10.000 takich roślinek, na dwie stopy kubiczne 140 bilionów, a jeden gram 1.111,500.000 tychże zawiera, azatem jedna z tych roślinek wynosi jedną milionową część miligramu czyli jednej tysięcznej części gramu (467.1101 część pruskiego funta), przecież tworzą one w północnej Ameryce nierzadko pokłady 20 stóp (grube), a w *Lüneburgskich* pustkowiach na 40 stóp.

Znaczenie tego pokładu spostrzeżono tam przy zakładaniu nowego szeregu domów; bo gdzie te małe utwory leżały, tam całe podglebie grzęskie a fundament tych budynków musiałby sięgać aż do dna pokładu, aby można zapobiedz zapadaniu. Z tego jednego przykładu nabędziemy innego wyobrażenia o potędze maluczkich jestestw w ich stowarzyszeniu. Czyż nam to nie przypomina owych olbrzymich budowli, które niemniej maluczkie stworzenia. Polipy pośród Oceanu upiętrzają, aby z nich całe gromady wysp, nowe mieszkania dla ludzi utworzyć! I w istocie te Pierworośla, tak samo przyczyniły się miejscowo do podwyższenia powierzchni ziemi, jak Polipy swojemi budowlami uszczupliły obszar Oceanu. Możliwość nagromadzenia takiej masy najdrobniejszych roślinek, byłaby dla nas całkiem niezrozumiałą, gdyby się nie dała objaśnić za pomocą niepojętej szybkości ich rozplądania się. Jakoż w istocie nie będziemy się dziwili wiedząc, że te pojedyncze komórkowe rośliny rozmnażają się w wzrastających postępkach (progresjach). Komórka rozdziela się na dwie; mamy więc cztery. Te rozdziela się wkrótce na 8, te znów na 16; 16 — na 32, 64, 128, 256, 512, 1,024, 2,048, 4,096 itd. Do tego ta sprawa mnożenia się jest tak nagła, że w 24 godzinach według obliczeń *Ehrenberga*, jedna komórka wydaje 1,000,000 a przy korzystnych wpływach 140 bilionów istot w 4ch dniach; a zatem mogła utworzyć dwie sześciennych stóp ziemi. Ta ziemia dla zasobu krzemionki w komórkach, nawet po śmierci roślinek się nie zmienia, i pojawia się wtenczas w postaci mącznej ziemi, której np. koło Bilina w Czechach używają do gładzenia szkła. Wszelako tyczy się to tylko Pierworośli o pancerzyku krzemienym albo Okrzemków (*Diatomeae*). Oprócz tego jeszcze prze-

znaczeniem tychże podobnie jak Deśmidiaceów i Pierwotek (*Protococcus*) jest służyć za pokarm najprostszym zwierzętom (które na swoim stopniu są tém samém dla zwierząt, czém są tamte dla roślin), bo stworzenie niższego rzędu służy zawsze stworzeniu wyższego rzędu za pożywienie. Tyle o Pierworosłach.

(Ciąg dal. nast.)

KAPRERA.

(USTĘP Z PAMIĘTNIKÓW.)

(Ciąg dalszy.)

Co się tyczy Ponidury lub Panadury, to widać, że myśl chrześcijańska dała początek temu zwyczajowi. Gdy któremu wyspiarzowi wyzdycha trzoda, mocen jest żądać składki w naturze zwanéj Ponidurą, a to nietylko na wyspie Magdaleny, ale i w Sardynii, tym sposobem powróconą ma stratę, nie zaciągając innego obowiązku, prócz wywzajemnienia się takąż samą pomocą gdy jéj od niego wymagać będą.

Obrzędy małżeńskie są jeszcze ozdobione prostotą pierwotnych czasów. Po odbytych ślubie w parafii panny młodéj, zbierają się goście do niéj na śniadanie. Wówczas nowożeńcy pierwszy raz siedząc przy stole obok siebie, powinni jeść zupę (*ministra*) z jednego talerza i tąż samą łyżką. Potém orszak wyrusza i odprowadza pannę młodą do pomieszkania jéj męża.

Uwagi godną jest ceremonia zwana *se porta de sa robba* (przeniesienie wyprawy), połączone z wielką uroczystością, która się dopiero w ośm dni po ślubie odbywa.

Małżonek w towarzystwie krewnych i przyjaciół wychodzi z domu rodzicielskiego, za nimi goście różnie co do ilości. Zaszędzszy przed dom rodziców nowo-zamężnéj, ładują wyprawę i powracają. Dwaj muzykanci na instrumencie zwanym *Kauneda* (rodzaj koźby naszéj tylko że dodane są klapy jak u harmonijek), wybrani z pomiędzy najbieglejszych, idą na czele orszaku; za nimi młodzi chłopcy, dziewczyny i kobiety, wszyscy przybrani w najpiękniejsze suknie, niosą na głowie lub na ramionach rzeczy, których bez uszkodzenia nie można było włożyć na wóz. Jeden z chłopców niesie zwierciadło zwykle w złocistych ramach, drugi dwa obrazy świętych, jaskrawemi kolorami wymalowane, inni niosą fajanse lub porcelanę, doniczki do kwiatów z błękitnego szkła itd. Za nimi idzie cztery lub więcej młodych dziewczyn, niosących na głowie poduszki obszyte wstążeczkami różowego koloru i ozdobione kwiatami i mirtowém liściem. Dzbanek bronzowy lub gliniany, którym nowo-zamężna czerpać będzie wodę ze źródła, niesie najpiękniejsza dziewczyna, naczynie to ma zawsze kształt starożytny. Za taką przednią strażą postępuje

liczny orszak, w którym nowożeniec odznacza się piękném ubraniem. Odgłos grzechotek oznajmia pochod orszaku. Jeżeli wyprawa bogata i złożona na wozach, to te ciągną woły, na ich rogach ozdobionych wstążeczkami, zatknięte są pomarańcze. Nareszcie cierpliwy osioł, przybrany w wstążki, które mu ogon i uszy zdobią, zamyka orszak.

Jeżeli podobna ceremonia odbywa się na której z wysp sąsiednich, porządek taki sam zachowany, z wyjątkiem, że wszystko siedzi w łodziach; osioł jako symbol cierpliwości wieziony na łódce, zawsze zamyka orszak.

Lecz nietylko zaślubiny, urodziny są uroczystościami, które zachowały swój oryginalny i miejscowy charakter, wszystkie zwyczaje dotyczące się głównych wypadków życia, utrzymują jak najwierniej, a te wszystkie zachowują odrębną cechę swoją. Wspomnę tu jeszcze ceremonie żałobne, nazwane *neniami*.

Umarłego ciało kładą na środku izby, z twarzą odkrytą i ku drwiom obróconą. Krewni i przyjaciele zmarłego poprzedzeni kobietami przybranymi w żałobno szaty, z których każda trzyma białą chustkę w ręku, wchodzi do izby w jak najgłębszém milczeniu, udają nawet, że nie wiedzą o zgonie osoby, którą opłakiwać mają. Nagle krzyk podziwu i boleści, po którym następują płacze i łkania, słyszeć się dają, każdy okazuje jak największą rozpacz, szarpia włosy, tarzają się po ziemi. Lecz wkrótce następuje spokojność, jedna z kobiet wstaje jakby natchniona, jéj twarz się zapala i improwizuje wierszem pochwałę zmarłego lub zmarléj. Każda strofa téj pochwały kończy się okrzykiem *ahi! ahi!* który wszystkie niewiasty powtarzają. Te pochwały, gesta, ton i krzyki, zmieniają się stósownie do otrzymanej zapłaty.

Zanim wróciliśmy z naszéj wycieczki, Menotti wyszukał dla nas wygodne pomieszkowanie z trzech pokoi i sali, wspólnej z gospodarzem domu. Kwatera nasza odznaczała się wykwinną czystością, była ona u jednego kupca, którego syn jest admirałem w Meksyku. Prócz tego syna miał jeszcze śliczną córkę w domu, młoda wdowa czy mężatka, sama bowiem nie wiedziała czém jest; mąż jéj puścił się na morze w pierwszym roku po zamęściu i od 4ch lat nie dał znać o sobie.

Przybyliśmy na wyspę w święto, Menotti z kilku oficerami z Kaprery był zaproszony na obiad do tego właśnie kupca, gdzieśmy mieszkałi; niechcąc przerywać téj zabawy, odłożyliśmy wyjazd do Kaprery do jutra.

Nie spieszyło się nam już, będąc tak blisko celu podróży naszéj, bo wszystkich olśniła pięknoscią swoją córka gospodarza Marietta. Widziałem wiele bardzo pięknych kobiet, ale równie powabną poraz pierwszy. Podobnie piękne oczy, włosy, kibić, widziałem już u niejednej, ale ileż to każdy wdzięk nabiera uroku w Mariecie, której dobre wychowanie, dobroć i szlachetność

łącza się z pięknoscia. Jój twarz tak pogodna, staje się promieniem szczęścia, gdy na niój dziecięcy uśmiech zaigra, ta skroń, z których błyska pojętność, owe czoło tak rozropne, a oczy łagodne wielkie, te oczy, oneby napewne i trupa wskrzesić zdołały.

Razem z nami cośmy przybyli, było nas dwudziestu czterech oficerów, przybyło więcej zaraz dziewięć, by według zwyczaju tańczyć, co nawet zaraz przed obiadem rozpoczęto. Wszystkie były piękne, bo nawet podczas dłuższego pobytu mego na wyspie, nie dopatrzyłem ani jednej, coby nią nie była. W takim gronie pięknych dziewięć patrząc na Mariettę, uznać musiałem, że najpiękniejsza twarz w świecie, gdy z ręki hojnej natury odebrała wiele, wychowaniu jeszcze zostawia obszerne pole do zdobycia nowych doskonałości i ztąd to Marietta przewyższała wszystkie. W cierpieniach swych szukała rozrywki w książkach i muzyce, ale nie był to rodzaj żadnej sawantki popisującej się z swymi wiadomościami. Wszyscyśmy ją podziwiali, wielbili, i to nie tylko mężczyźni, ale to samo widocznem było u kobiet, była ona bożyszczem całej wyspy. Hrabia T. tracił przy niój swą śmiałość, on, któren żartuje z całego świata, w nic nie wierzy, admirował ją równie jak drudzy. Wiedziała o szacunku jaki w nas wzbudza, była też za to z nami jak siostra, szczęśliwsi byli powiernikami jój cierpień.

Zabawa ukończyła się późno w wieczór, wszyscy oficerowie z Menottim popłynęli na Kaprę, pozostali na Magdalenie: generał, hrabia T., Władysław R. i ja.

Zauważyłem jeszcze jeden rodzaj zabawy, jaki tam zwykle jest w święto. Człowiek, mający dar opowiadania powiastek, umieściwszy się przed którymkolwiek szynkiem na ulicy, obstawiony do koła słuchaczami, którzy zwykle siedzą na ławkach, opowiada z pantominami i giestami jaką powieść. Śmiech, przestrasz i gniew malują się z kolei na twarzach słuchaczy, a gdy skończy, zadają mu różne pytania, na które ma zawsze odpowiedzi w pogotowiu.

(Ciąg dal. n.)

ROZMAITOŚCI.

Dzisiaj 20go paźd. odbywa się w Krakowie w sali hotelu Saskiego o godzinie 10 zrana walne zgromadzenie *Towarzystwa pszczelno-jedwabniczego i sadowniczego*. Należy się spodziewać, że towarzystwo to otwierające dla kraju nowy przemysł i dochody, znajdzie powszechne poparcie w kraju. Kobiety mogą przystępować na stałych, czynnych członków towarzystwa, co zapewne licznie nastąpi, tém bardziej, że zakres działania towarzystwa dotyczy domowego gospodarstwa. Bliższych wiadomości można powziąć w Krakowie u Dr. Kozubowskiego, Dr. Łuszczkiewicza, i radnego Langie.

— W Ameryce powstał niedawno nowy sposób porozumiewania się. Zamiast *mowy kwiatów*, *mowa wstążek*, za pomocą ich barw i sposobu upięcia przy ubraniu.

— Pod tytułem „Magiczna latarnia“ przedstawiają w Paryżu w teatrze Chatelet sztukę napisaną przez kilku pisarzy. Przedstawia ona kobiety wszystkich wieków i narodów w właściwych ubiorach; są tam i tańce wszystkich stuleci. 300 kobiet potrzeba do przedstawienia.

— Verdi ukończył już swoją nową operę: „Don Carlos“.

— Ostatnia komedia pani George Sand: „Les Don Juan de village“ (donżuanie wiejscy), przepadła po pierwszym przedstawieniu.

— Dla ucznia C. otrzymaliśmy 6 zł. w. a. z podpisem: L... na D... a. Bez podpisu 5 zł. w. a. Od N. N. 2 zł. 50 c. Od p. Horwath not. w Chrzanowie 5 zł. w. a. Od N. Sa. z Sambora 6 zł. w. a. Razem 24 zł. 50 c. w. a.

— Rothschild paryski wystąpił jako autor komedii: „Baron i finansista“. Przedstawiał ją w jego pałacu teatr amatorski.

— Marja Dumas, córka słynnego powieściopisarza (ojca), wystąpiła również jako autorka z romansem: „Hrabia Theix“.

— „Tygodnik ilustrowany“ donosi, że we Florencji mają przedstawiać operę Gabriela Rożniewskiego p. t.: „Ester“; — tekst Teofila Lenartowicza.

— Rzeźbiarka. Wykonanie zawotowanego przez kongres północno-amerykański posąga dla zamordowanego prezydenta Lincoln, powierzono Miss Minnie Rearn.

— Kosztem funduszu *für öffentliche Kunstzwecke* w Dreźnie, wykonuje rzeźbiarz Szilling grupy przedstawiające pory dnia. Do dawniej ukończonych „Nocy“ i „Wieczoru“ przybyło obecnie „Rano“. Grupa przedstawia kobietę pomiędzy dwoma młodziankami postaciami, z których jedna ocuca się właśnie ze snu, a druga rosę sieje.

— Kapelmistrz Straus najął na czas powszechnej wystawy w Paryżu pałac przemysłowy *na polach Elizejskich*, gdzie odbywać się będą olbrzymie koncerty pod kierunkiem Berlioz, Gounod'a Padeloup.

Korespondencja „Kaliny“.

☞ Każdą przesyłkę mój i lut notujem, oprócz zapowiedzenia w numerze i na opasce. Reklamacyj nie należy pieczętować, ani opłacać.

Pani M. S. w Koropcu. Zachowujemy do jednego dalszych numerów. O pamięć prosimy.

Pani L. M. we Lwowie. Jakkolwiek artykuł Pani zawiera wiele uwag trafnych, jednak zużyta i zbyt rozwlekła forma listów przeszkadza do umieszczenia go w piśmie naszym.

Panu J. Ch. Wierszyk pański stósowniejšie znalazłby miejsce w Albumie osoby, dla której był przeznaczony.

Pani A. S. O nie łatwiej, jak o wiersze i powieści — ale o nie tak trudno, jak o dobry wierszyk lub dobrą powieść.

☞ Pojedynczych Nrów **NUT** można nabywać w biurze Redakcyi lub w księgarni W. Czecha po cenie 15 c. w. a.

W biurze Redakcyi można nabyć:

SZKOŁY W POLSCE
przez ALFREDA SZCZEPAŃSKIEGO — przegląd od początku do dzisiaj, stron 49. — Cena egzemplarza 50 c.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca TADEUSZ WOJCIECHOWSKI.



Wychodzi co sobota o godzinie 9. rano.

Prenumerata miejscowa wynosi: *rocznie* 6 zlr., *półrocznie* 3 zlr., *ćwierćrocznie* 1 zlr. 50 c. w. a. — Z przesyłką pocztową: *rocznie* 7 zlr. 20 c., *półrocznie* 3 zlr. 60 c., *ćwierćrocznie* 1 zlr. 80 c. — Prenumerata zagraniczna bez mód i bez nut *rocznie* 8 zlr. 30 c. w. a.

Mody i kroje *rocznie* 3 zlr. 30 c., pół-

rocznie 1 zlr. 70 c., *ćwierćrocznie* 90 c. w. a. Nuty *rocznie* 1 zlr. 25 c., *półrocznie* 65 c., *ćwierćrocznie* 35 c. w. a.

W Krakowie prenumerować można w biurze redakcyi: ul. mikołajska 458, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni Wgo. Czecha. We Lwowie można prenumerować i odbie-

rać w ajencyi Hercoka i Arnolda na Halickiem. W Poznaniu w księgarni Mieczysława Leitgebra, Hotel du Nord.

Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c. następnie po 4 c. Każdą razą dokłada się 30 c. na stempel rządowy

Od Redakcyi.

Upraszamy Sz. PP., którym przesłane zostały „Listy prenumeracyjne“, o zwrot takowych.

ŻONY NIEWOLNIKÓW.

III.

Miodowy miesiąc.

(Ciąg dalszy.)

Drugiego dnia po tych wypadkach państwo młodzi wyjechali do siebie — odwozili ich rodzice pana młodego. Czas był słotny i zimny, gęsty dęszcz zaczął z boku w okna powozu, w którym siedzieli małżonkowie. Czy to pora słotna czy co innego było przyczyną, że i między nimi nie było słońca, uśmiechu, wesołości, pieśczęt. Pan młody był czegoś zaszępioty i poważny. Anna nie uważała tego, bo i ona również była pod naciskiem jakichś przykrych rozmyślań. Porzucenie domu rodzinnego, przejście pod wyłączną opiekę mężczyzny, którego się zna od niedawna, każdą kobietę przejmuje jakąś trwogą — coż dopiero mówić o niej, która w chwili tego przejścia utknęła o jakieś brudne tajemnice rodziny, do której teraz należeć miała. Z drżeniem i niepokojem patrzyła na teścia, którego nazwano łotrem. Dla czego? Nie śmiała o to pytać nikogo — milczenie męża w tym względzie jeszcze bardziej ją przestraszało. Wciąż widziała przed sobą tego człowieka potworniej twarzy, z wyciągniętą ręką, piętnującego słowami jej teścia — i ten człowiek przyszedł razem z Janem. To

wydawało się jej równie dziwnym, zagadkowym i przestraszającym. Zjawienie się Jana w dzień jej wesela, zdawało jej się jakimś wyrzutem; wzrok, jakim spojrział na nią w chwili wejścia, zdawał się oskarżać ją o coś. Przypomniało jej się teraz jak raz Jan był niebezpiecznie chory — ona czuwała przy łóżku śpiącego; twarz jego była rozpalona gorączką, oddech krótki, męczący, a sen niespokojny; gdy się przebudził, spojrział w około nieprzytomnie, z przestachem — potem na niej zatrzymał swe oczy błyszczące, błędne i odetchnął swobodniej. Wtedy ona położyła rękę na jego czole i spytała: musiało ci się śnić coś strasznego? — Okropna rzecz mi się śniła — odrzekł — śniło mi się, że ty Andziu odjeżdżałaś gdzieś, daleko — na zawsze, że cię już nigdy nie miałem zobaczyć. Bogu dzięki, że to był sen tylko. — Anna zapomniała potem o tej chwili, dziś niewiedzieć z kąd stanęła żywo w jej myśli wiodąc za sobą szereg wspomnień z lat dziecińczych, które przeżyła z Janem. Wspomnienia te tłoczyły się gwałtownie — odpychane chwilowym roztargnieniem wracały znowu i męczyły ją swoją obecnością, zdawały się razem z deszczem tłuc w szyby powozu i dobijać się, by je wpuszczono. Anna z wysileniem próbowała otrząsnąć się z tych myśli, — odwróciła oczy od okna w głąb powozu i spotkała się z badawczym, trochę ponurym spojrzeniem męża.

— O czém w tej chwili myślałaś? — spytał topiąc w jej twarzy przenikliwe spojrzenie.

Anna się zarumieniła mocną za swoje myśli — nie wiedziała co powiedzieć — skłamała mówiąc, że o niczym.

Pan młody nie pytał więcej, ale sposepniał jeszcze bardziej i milczał przez całą drogę.

Drugiego dnia wieczorem stanęli na miejscu. Dwór był piękny, nawet elegancki, ale bliskość ciemnego świerkowego lasu czyniła go sposepnym — szczególnie o zmroku. Anna z drżeniem przestępowała próg tego domu. — Przyczyniało się jeszcze do tego postępowanie męża, którego zrozumieć nie mogła. Dawną czułość zastąpił jakąś surową powagą, od której wiało zimno — widocznie przymuszał się do uśmiechu, do rozmowy z nią. Zaraz po herbacie wstał, pocałował ją w czoło i wyszedł. Chciała go zatrzymać, słowa uwięzły jej w piersiach — może nieśmiała prosić, może za dumną była, aby prosić. Odeszła do swego pokoju ukryć łzy i smutek.

Pan młody nie wrócił do siebie — poszedł na górę do ojca. Od owjej chwili na weselu nie mówili prawie ze sobą i ojciec i syn unikali tego — to też trudno im było teraz przerwać milczenie. Rozpoczął syn.

— Powiedz mi ojeze, co zaszło między tobą a wujem? —

— Cóż to — indagacyja? —

— Nie, chęć dowiedzenia się prawdy. Wuj zelżył cię ojeze; jeżeli niesłusznie — to będzie miał ze mną do czynienia — nawet więzienie moskiewskie nie skryje go; ale jeżeli...

Tu zawahał się — nie wiedział jak powiedzieć to, co chciał powiedzieć.

— Przyszedłeś jako sędzia — nie jako syn.

— Ojeze, hańba twoja i mnie piętnuje — rzekł syn z godnością i wyrzutem.

— No i cóż chcesz, żebym ci powiedział? — spytał ojciec niecierpliwie.

— Dla czego dotąd nigdy nie wspominałeś mi, że mam wuja? —

— Bo nie było o czém.

— Jest w tém jakaś nieczysta tajemnica, odkryj mi ją ojeze, uspokój mnie — ja teraz nie umiem spojrzeć ludziom prosto w oczy. Czego ten człowiek chce od nas, cośmy mu winni?

— Alboż ja wiem? Był zawsze szaleńcem, waryjatem. Upatrzył sobie coś do mnie i prześladuje mnie.

— Nie jesteś szczerym ze mną mój ojeze.

— Mój Maurycy, nie męcz mnie dłużej wspomnieniem tego włóczęgi — to mnie drażni — mówił ojciec, chodząc niespokojnie po pokoju.

Maurycy spojrział na ojca dziwnym wzrokiem — i wyszedł. Przechodząc koło pokoju żony, zatrzymał się chwilę, przez dziurkę od klucza padało światło na sien, nie spała więc jeszcze. Maurycy namyślał się czy wejść, już brał za klamkę — naraz zmienił postanowienie i poszedł do siebie. Oddalił służącego, który go chciał rozbiierać i rzucił się w krzesło. Założył ręce w tył

głowy i zapatrzony szklannymi oczyma w płomień lampy, siedział długo tak nieruchomy.

Gdyby można obrazy myśli odfotografować, to myśli Maurycego w tej chwili dałyby nam fotografię owjej sceny na weselu. Przypomnijmy sobie, że Maurycy w chwili wejścia niespodziewanych gości rozmawiał właśnie z Anną pod oleandrem, miał oczy utkwione w jej twarz, mógł więc dobrze pochwycić każdy odcień zmiany na niej. Uważał że Anna wtedy pobladła, że kiedy spojrzenie jej spotkało się ze wzrokiem jednego z przybyłych — młodszego, drgnęła lekko i kwiat oleandru wypadł jej z ręki. To pomieszenie zastanowiło go — nie miał jednak czasu dłużej myśleć nad tém, bo wnet gromkie słowa syberyjczyka zagrzmiały mu w ustach i ogłuszyły go. Ale teraz to chwilowe podejrzenie wypelzło jak szkaradny robak, rozsiadło się na jego szczęściu i gryzło je i plamiło. Annie nie był obcym ten młody człowiek — myślał Maurycy — co więcej, nie musiał jej być obojętnym, kiedy widok jego tak ją wzruszył. I dla czego mu nie nigdy nie wspomniała o tym człowieku?

Zazdrość ukłuła go w serce — hańba ojca paliła mu twarz wstydem — zerwał się i chodził szybko po pokoju — zdawało się, że uciekał przed temi myślami, które go się uczepiły i wlekły się za nim jak węże laokońskie, próżno się duch szarpał, nie mógł się pozbyć tych więzów.

Późno w noc widać było jeszcze światło w pokoju Maurycego i cień jego na szybach okna.

Na drugi dzień rano był u matki. Od niej chciał dowiedzieć się tego, czego mu ojciec powiedzieć nie chciał. Zastał ją słabą, z oczami zapłakanymi. Prosiła go, by nie wspominał o tém przed ojcem, że ją widział zapłakaną. Gdy ją zapytał o wuja, rzekła:

— Maurycy, jeżeli szanujesz mój spokój, nie pytaj mnie nigdy o to.

Milczenie ojca i matki naprowadziło go na dziwaczne domysły, tajemniczość go niepokoiła, bądź co bądź, chciał dowiedzieć się o wszystkim. Zaraz w kilka dni po odjeździe rodziców postanowił wyjechać do powiatowego miasta, gdzie spodziewał się zastać jeszcze wuja w więzieniu, chciał się z nim widzieć koniecznie i od niego żądać wytłómaczenia — wierzył więcej w poręczność syberyjczyka, niż winę ojca — ale chciał pewności, prawdy. — Żonę zdziwił nie mało ten nagły wyjazd — uważała to za nowy dowód obojętności i upokorzenia dla siebie, serce pękało z żalu, że się zawiodła na miłości męża, ale ani go prosiła żeby został, ani pytała o przyczynę wyjazdu — obrażona miłość własna zamykała jej usta.

— Niech jedzie — rzekła do siebie patrząc przez okno za odjeżdżającym. Gdy gęsty obłok kurzu zakrył już powóz, spokój, w którym się utrzymywała dotąd z wysileniem, ustąpił teraz miejsca boleści gwałtownej.

— O! on mnie już nie kocha — mówiła zanosząc

się od płaczu i łkając głośno. — Następnie dnie przeszły jej bardzo smutno w posepnym dworze — szukała pociechy w modlitwie, rozrywki w zajęciach. Zajmowała się gospodarstwem, urządzeniem mieszkania, rozpakowaniem rzeczy i ustawieniem drobiazków. Jednego wieczora przeglądała tekę swoją, między papierami znalazła rysunek robiony przez Jana dla niej na imięninę i fotografię jego. Rysunek przedstawiał wnętrze lasu: z za bluszczów i powoju, z za gęstwiny krzaków i szerokich liści wychylała się giętka postać Rusalki — w jednej ręce podniesionej w górę po nad głowę trzyma lekką gazową zasłonę, która jej twarz okrywa; drugą ręką, uśmiechem i czarnymi oczami, co spotęgowanym blaskiem błyszczy przez zasłonę, wabi do siebie — a sama ucieka. Rusalka miała jej rysy.

Anna długo trzymała rysunek w ręce, przypominała sobie chwilę, w której go dostała od Jana — potem spojrziała na fotografię. Były to jedyne pamiątki po nim — te pamiątki teraz wydawały się jej grzechem — chciała ich się pozbyć. Przysunęła fotografię do świecy, ogień wnet czepił się papieru, popalił brzegi i posuwał się ku twarzy. Twarz Jana była krwawą od blasku płomienia — oczy obrazka patrzyły na nią tak wymownie, jakby człowiek żywy — to ją przeraziło, nie miała odwagi patrzeć jak ta twarz palić się będzie — dmuchnęła i zagasiła ogień.

W tej chwili ktoś wszedł do pokoju.

Anna obejrzała się — i ujrzała jakiegoś nieznajomego człowieka, chciała krzyknąć.

— Na Boga, milczenie — rzekł przybyły. — Przeszedłem tutaj niepostrzeżony od służby prosić pani o schronienie dla nieszczęśliwego, który w lasach kryć się musi przed żandarmami moskiewskimi. Jest mocno chory — umrze jeżeli nie będzie miał wygodnego schronienia i opieki.

— Gdzie on jest?

— W lesie — o kilkaset kroków ztąd.

— Więc trzeba posłać po niego.

— Nie teraz. Skoro służba pójdzie na spoczynek, każ pani jednemu ze służących, do którego masz największe zaufanie, czuwać. Koło północy przyniesiemy go tutaj. Ostrożność konieczna, bo nas tropią. Tu będzie bezpieczny.

— Spiesz pan więc.

Przybyły zawahał się.

— Służba spostrzedz mnie może, czy niema innego wyjścia?

Anna namyśliła się chwilę, potem wskazała okno.

— To okno wychodzi na ogród, który dotyka do lasu. Tędy go także wprowadzić możecie.

Nieznajomy otworzył okno, skoczył między krzaki i znikł w ciemnościach. Anna zadzwoniła. Ta dziwna nocna przygoda ocuciła ją z letargu smutku, w jakim była od dni kilku. Szło o ratowanie człowieka od Mo-

skali i choroby — to dosyć było dla niej, ta myśl wyłączenie ją zajęła — zapomniała zupełnie o sobie.

Wszedł służący, stary Mateusz, który z przywiązania do paniąki, porzucił swego starego pana i przyjechał tu z nią.

— Mateuszu, w gościnnym pokoju przygotuj łóżko dla chorego — zapal w piecu sam — rozumiesz — sam. Niech nikt o tym nie wie.

Mateusz spojrział na nią wielkimi oczami.

— A potem wróc tu stary do mnie.

— Proszę paniąki (nie mógł się stary odzwyczaić tak ją nazywać) ja nic z tego nie rozumiem. Dla kogoż to wszystko?

— Dla nieszczęśliwego.

Mateusz skinął głową na znak, że rozumie i wyszedł, nie pytając o nic więcej. Anna nasłuchiwała szelestu od strony lasu. — Przez otwarte okno zawiął wiatr chłodny, jesienny, dreszcz ją przeszedł, może z zimna, może z trwoźnego oczekiwania. Przeszła się po pokoju, otworzyła swoją domową apteczkę, dobytej z niej cucących kropli i bandaży od przypadku. Mateusz wrócił.

— Już wszystko. Teraz może iść ku bramie.

— Nie trzeba, tędy wejda — pokazała na okno. — Zobacz czy nie idą.

— Słychać chrupotanie suchych gałązek w ogrodzie — muszą iść z ciężarem.

Niezadługo zbliżyli się do okna jaćs ludzie, niosąc na kijach nakrytych burkami i liściami chorego człowieka. Z trudnością wsunięto go przez okno do pokoju. Anna zadrzała — w leżącym poznała syberyjczyka. Za nim na ciemnym tle nocy, bieliła się twarz Jana.

Nieginęli więc w owej fatalnej nocy. Widzieliśmy wtedy jak Marcin nakłaniany przez oficera, aby poszedł do domu, ociągał się — i w nadziei, że będzie potrzebny, cofnął się w tył i czekał. Wkrótce przyszła mu myśl, że kozacy stoczywszy się z mostu, będą może potrzebowali czyjś pomocy, aby więcej nie wyleżeć w górę. Cichaczem więc zsunął się w parów i zaczajony z boku czekał. Uderzenie bryczki o most i jego przeraziło okropnie — takiego wypadku nie przewidywał. Skoro więc bryczka spadłszy roztrzaskała się z łoskotem, pospieszył na ratunek. Konie szamotały się jeszcze z resztkami wózka w ciasnym wąwozie, przecco kaleczyły i tłukły ludzi leżących pod niemi. Marcin skoczył między nie, rozpoznał w ciemności więźniów, schwytał ich w swoje herkulesowe ręce i odciągnął na bezpieczniejsze miejsce. Młodszy wnet przyszedł do siebie — inna rzecz była z syberyjczykiem, Marcin pomacał go był sztywny, czuł jego krew przeciekającą przez palce. Nie było czasu do trzeźwienia. Tam w górze słychać było jak kapitan i kozacy okrążywszy parów, galopem czwałowali do miasta, za godzinę wrócić mogą. Marcin nie namyślał się wiele, wziął syberyjczyka na ręce i unosił go spodem parowu do lasu brodząc po błocie i wo-

dzie — niewiedząc czy niesie trupa czy człowieka — za nim szedł Jan z trudnością z powodu ciemności i momego stłuczenia. Dostali się wreszcie do lasu — tam trzeba się było przedzierać przez zarośla poplątane, przez poobalane spruchniałe pnie drzew. Marcin dyszał jak miech, pot lał się z niego wraz z krwią, co ciekła z ran niesionego — nie ustawał jednak, bo była jeszcze ciągle obawa moskiewskiej pogoni. O świtanu dopiero Marcin i Jan poznali się wzajemnie. Nie było czasu na długie powitanie — reszta towarzyszków nadszła, zrobiono nosze, na które wzięto omdlałego, dającego jeszcze znaki życia — i rozeszli się. Marcin spieszył ku domowi, by uniknąć poszlaki — a reszta zapuściła się w lasy. Szli tak dni pare. Stan chorego w skutek zimna i niewygód coraz się pogorszał — potrzeba było znaleźć dla niego bezpieczne schronienie i pomoc lekarską. Wysłano z tém jednego do pobliskiego dworu. Przypadek (jeżeli wierzyć w przypadek) chciał, że to był właśnie dwór Maurycego. Ludzie, którzy sądzili, że się już więcej nie spotkają w życiu — schodzą się znowu.

(Ciąg d. nast.)

Kapryśna.

Siedzi dziewcze zadąsane

Pod różowym krzewem; —

Wonny wietrzyk leci,

Gwiazdek dużo świeci,

Słowik zaleca się śpiewem.

Siedzi dziewcze zadąsane,

W białych rączkach róża; —

Jasną główką kiwa,

Listki z róży zrywa,

Z oczą upadła łąza duża.

Wietrzyk ją zobaczył w locie,

Rozniósł o nią wieści:

„Że w różyczek gronie,

Gdzie ciche ustronie,

Dzieweczka płacze z boleści“.

Leciał wietrzyk, zdmuchnął dąsy,

Dziewcze włosy splata; —

Po bieluchnej twarzy,

Płomyk się już żarzy,

Figlarny uśmiech przelata.

Ujrzały ją gwiazdy z góry,

Mówią szebiotliwe:

„Z oczek radość błyska,

Z buzi uśmiech tryska,

Jakież to dziewcze szczęśliwe“.

Słowik słuchał nie słuchając,

Nucił sobie swoje:

„Kocham i śmiejące,

Kocham i płaczące

Was wszystkie różyczki moje“.

o.

STANISŁAW MONIUSZKO w świecie muzycznym.

przez St. Dunieckiego.

(Ciąg dalszy.)

Znaleźli się *) jednak wkrótce tacy, którzy wzięwszy ją pod zimny skalpel uprzedzonej krytyki, zaczęli wyszukiwać różne błędy, skarżyli się nawet na nieumiejętność tej muzyki; sam słyszałem zdania, że i uczniowie by się do takich błędów nie przyznawali. Niech im Moniuszko przebaczy: „zaprawdę nie wiedzą co czynią“ — O biedny artysta: gdy on przy każdym swém dziele dając część swego istnienia, stara się wlać w nie całą swą duszę, krytyk szuka tam kwint zakazanych i tematycznych przeprowadzeń; głębokość myśli, charakterystyka, skarby melodyi i harmonii nie u niego nie znaczą, jeśli jedna nuta nie na swym miejscu, jedna modulacja nie podług reguł. O biedna muzyko, czyż długo jeszcze jęczeć będziesz w kontrapunktycznych swych więzach! Muzyka przechodzi niezawodnie na pole zupełnie nowe, a formy wiekowe runą wkrótce, zostawiając tylko wieczną regułę: co piękne, co głębokie i prawdziwe — to jest dobre. Wprawdzie trudno określić co jest pięknem, ale prawdziwy artysta przez zmysł wrodzony nigdy od niego się nie oddali. Jak „Konrad Wallenrod“, jak „Przedświt“ i „Psalmy przyszłości“ — tak i „Halka“ jest wyrazem smutnej lecz wielkiej epoki, którą przeżyliśmy. A jednak, nawet i zarzut owych krytyków wspomnianych jest niewłaściwy; znajdujemy w „Halce“ przeprowadzenia prawdziwie uczone, a że nie naśladuje nikogo, w tém właśnie jest zaleta. Instrumentacja „Halki“ stosownie do kolorytu, niema także tej jasności, którą spostrzegamy w innych utworach; efekta jej są jakby mgłą przyćmione i charakteryzują doskonale smętność śpiewu naszego ludu.

Po świetnym powodzeniu „Halki“, Moniuszko party przez publiczność do napisania jakiejś nowości, napisał w bardzo krótkim czasie operę komiczną: „Flis“ do słów Bogusławskiego. W operze tej może dla pospiechu kompozytora znajdują się ustępy mniej uwagi godne. Jednakże i we „Flisie“ są mnogie piękności, np. śpiew Zosi: „Ach, może on wśród tej burzy“ — pieśń ta pro-

*) Z powodu pomyłki jaka się wkradła przy korekcie w ostatnim ustępie tego artykułu w zeszłym numerze — ustęp ów powtarzamy.

sta pod rytmem mazurka, kryje melodyję uroczą i harmoniję głęboką, klasyczną. Również pierwsza modlitwa i chór flisaków, pieśń Franka — są numera przesłiczne.

Nie długo potem przedstawił nam Moniuszko nowe arcydzieło, jest niém: „*Verbum nobile*“. Muzyka tej opery jest najwięcej napiętnowana oryginalną twórczością mistrza; tu już niema ani jednej nuty, ani jednego zwrotu, któryby nie należał do Moniuszki. O ile „*Halka*“ jest ludową, o tyle „*Verbum*“ czysto szlachecki ma charakter. Słuchając tej muzyki, zdaje nam się rzeczywiście, żeśmy przeniesieni w czasy kontuszów, karabeli, sejmików; że oddychamy miłym powietrzem naszych lasów i łąków. Jak „*Freischütze*“ niemożna oderwać od niemieckiej narodowej romantyki, tak również i „*Verbum*“ niepodobna oddzielić od narodowości staropolskiej, która w najmniejszym ustępie opery przebija. Jeżeli kto nie wierzy, jak się u nas zdarza, w muzykę polską, niech posłucha „*Verbum*“, a pozna ją. Zaraz przy podniesieniu zastony, cudna wiejska serepada, przenosi nas wspomnieniem do wiosek rodzinnych — takie to proste, tak rzewne, a tak głęboko piękne! — Albo „*Recitativo*“ przy wejściu Zosi! W tej zużytej formie „*Recitativo*“ stworzył Moniuszko coś tak uroczego, osobliwie przy słowach Zosi: „*Ja nie wiem*“, że nikt nie pozostanie zimnym słuchaczem przy tej scenie, a niejednemu łza się zakręci! — Również piękna pieśń kochanka: „*Zakaż niech ożywcze słońko*“ — jest tak polska, a tak głęboko pomyślna, że obok niej znam tylko jedną, z którą ją porównać można, tj. „*Pieśń Maksa*“ w akcie pierwszym „*Freischütze*“. — A duet „*Kochanków*“ — a polonez „*Dam ci ptaszka*“, korona wszystkich polonezów, który wygłaszany przez Köhlera, stał się własnością całej Warszawy; — albo duet „*dwóch ojców*“! Czy tam choć jedna nuta, któraby nie malowała jak najściślej charaktery, a wszystko ubrane w melodyje tak ujmujące!

Szczupłe ramy tego pisma nie pozwalają nam przejść jakbyśmy chcieli każdego numeru, odkrywając naszym czytelnikom piękności każdego ustępu, niemal każdego taktu. Nie możemy jednak przemilczeć cudnego krakowiaka: „*Zakończone nasze troski*“ — którego melodyja ujmuje od razu i olśniewa. — „*Verbum*“ jako przystępniejsze od „*Halki*“, zajmie i w wyjątkach, dla tego radzimy z serca każdemu zapoznać się z tą muzyką; w wiejskim zaciszu uprzyjemni ona może niejedną chwilę.

(Dokoń. nast.)

KAPRERA.

III.

Kaprera. — Mieszkanie Garibaldeggo. — Szczegóły jego mieszkania. — *Garibaldi*. — Kilka epizodów z jego życia. — Zajęcia i zabawy generała i jego orszaku.

(Ciąg dalszy.)

Kaprera ma także swój port naturalny, gdzie stoi kilka łodzi i jeden maleńki statek; niedaleko brzegu

jest rodzaj magazynu murowanego na różne przybory, służące do napraw łodzi; tam składają żagle i jest cały arsenał morski. Przybywający jednak nie udają się do portu, bo ten dosyć jest oddalony od domu mieszkalnego, ale płynąc w prostym kierunku z wyspy Magdaleny wysiadają zaraz na kamienistym brzegu wyspy, który przebywszy, wchodzi się dopiero na pola wyspy. Z tych najpiękniejszy kawałek tak do pięciu morgów naszych, jest własnością Angielki, właścicielki pałacyku na wyspie ś. Magdaleny.

Kształt Kaprery jest nieregularny, liczy ona dwadzieścia kilka mil włoskich obwodu, przedzielona jest środkiem pasmem gór skalistych, wznoszących się o 1500 stóp nad powierzchnią morza. Posiada liczne i nieustające źródła, które w różnych kierunkach przeryniają pola płynąc do morza. Klimat jest łagodniejszy jak we Włoszech skutkiem chłodnego wiatru od morza. Grunt żyzny, rodzą się tu wszystkie owoce bez wielkiego nawet zachodu, na wzgórzach rosną rośliny i zioła, których w sąsiednim niema klimacie.

Budynków z przybyciem do wyspy nie widać, zastaniają je skały. Miejsca nie obrócone jeszcze w uprawne pola, trudnemi są do przebycia, ziemia ta nierówna i chropowata, zapelniona jest kamieniami i krzewami zwanymi *makki*, zaroślami z janowcu, które wypalają karczując dla zasiewu ziemi.

Pól uprawnych będzie do stu morgów, są one od reszty wyspy przedzielone murem z ułożonych kamieni, które się wyzbierują przy karczowaniu, mury te są potrzebne dla ochrony pól od zwierząt domowych, które tu dziko są puszczone na wyspie. W stajniach, przy budynkach jest tylko ilość bydła potrzebna do utrzymania domu; za murem przedzielającym pola, znajdują się ogrodzenia tożsame z kamienia z schronieniami równie kamiennymi, pokryte trzcina i przeznaczone dla tychże zwierząt; takie stajenki mieszczą się na całej długości muru w różnych odstępach.

Ścieżka prowadzi pomiędzy pola uprawne pszenicą, jęczmieniem i owsem, potem rozpoczynają się skały, raczej wielkie kawały kamieni, na których różne krzewy i kaktusy z obu stron ścieżki. Kamienie te dziwny mają kształt: jeden z nich jest zupełnie jak olbrzymi grzyb, pod którym nawet jak pod deszczochronem skryćby się można, bogaty pod nim jest kobierzec z mehu nader miękkiego a niemający wilgoci, dodajmy jeszcze rodzaj pięknego bluszczu który się wije ubierając postawę tę kamienną; w rozpadlinach piękne rośliny, długotrwałe, których kwiaty jak z sukna, kaktusy kwitnące a mieć możemy niedokładny obraz ścieżki. Uwagi godnym jest tam także rodzaj krzewu, mającego z liścia, kwiatu, koloru i kształtu podobieństwo do naszego mleczu. Wychodzi się nagle z tak krętej ścieżki z pomiędzy tych kamieni i staje przed domem murowanym z kamienia, którego skrzydło wznosi się na piętro.

Przed nim o jakie kilkanaście kroków na skale młyn wietrzny. Po prawej stronie domu są ogrodzenia z żerdzi, w których z kolei pasie się bydło i konie, służące do użytku lub roboty; po lewej stronie ciągnie się długi szereg ogrodów z warzywem, owocami i winnicą; ilość podobnych murów jak pierwsze, świadczy jak częściowo zakładane były. Wszędzie widać dopiero rozpoczęto pracę, znaczny postęp świadczy o pilności właściciela.

Gdyśmy przybyli, Garibaldi był w ogrodzie. Nie bez wzruszenia zbliżaliśmy się do tego człowieka, który dziś jest sztandarem wolności ludów. Z właściwą sobie łagodnością, z pewną mistyczną poświęcenia aureolą, jaka go zawsze otacza, wyszedł ku nam Garibaldi, po przedstawieniu przez hrabię T. generała i Władysława R., uściślał każdego po kolei za rękę. Chodząc po ogrodzie *il Padre*, jak nazywaliśmy Garibaldegę, żywo rozmawiał z generałem, dowiedziawszy się że przybył dopiero co z kraju, wypytywał go o ostatnie warszawskie wypadki, jakby niedowierzając tym tradycyjnym napadom caratu, niepojmując zwierzęcości państwa wdzierającego się w szeregi państw cywilizowanych Europy.

Z ogrodu powróciliśmy do domu, jest on obszerny postawiony z kamienia, z świeżo przybudowanym skrzydłem na jedno piętro, obrócony jest ku południowi, ażeby zimą lepiej dochodziły promienie słońca a trudniejszy miały przystęp latem, kiedy się słońce wzniesie najwyżej. W sieni przy ścianie jest koło od wodociągu, ażeby mieć zawsze świeżą wodę; po prawej stronie od wejścia dwa pokoje zajmuje Garibaldi, trzeci jeden z adjutantów, po lewej stronie jest obszerna kuchnia, spiżarnia i sala jadalna. To razem stanowi dawny dom. Z sieni, która przez cały dom idzie, wychodzi się na podworec, tu przeszedłszy mały ogródek, zaczynający się spod okna Garibaldegę, idzie się do przybudowanego skrzydła, które się składa z kilkunastu pokoi. Ogródek ten mały obfituje w śliczne kwiaty, których Garibaldi wielkim lubownikiem i sam koło nich chodzi. Przed wchodowymi drzwiami jest także wystawa z kwiatów, formująca altankę. Na dole skrzydła mieści się zbrojownia, niema w niej zabytków starożytnej broni, ale za to wszystkie najnowsze wynalazki karabinów, których próby codziennie się odbywają. Także bilard stoi na dole, na piętrze jest duża sala gościnna, przy tej mniejsza z przyborami i instrumentami do muzyki. Każde miejsce w tym domu ma swe przeznaczenie, sprzęty nie wyszukane ale wygodne, wszędzie jak największa panuje czystość.

Wygodne piwnice kute w skale, dobre są do przechowania wina. Mimo że na całej wyspie Kaprerze nie ma ani jednej kobiety i tylko czasami córka Garibaldegę na pare dni zawita, spiżarnia utrzymana w godnym naśladowania porządku, systematyczność ztąd ta wynika, że Garibaldi nie lubi, ażeby czegoś dopiero szukać.

Zarząd kuchni, cały wydział gospodarstwa wewnętrznego, jest pod panowaniem kucharza, byłego austriackiego żołnierza, rodem z Wiednia. Niemiec ten tak się tam przyzwyczaił, tak przywiązał do Garibaldegę, ujęty szacunkiem jakiego tu doznaje i ufnością, że nie opuściłby swęj posady za żadne skarby świata. Wszystko uważa za swoją własność, pilnuje jak swego i stara się dogadzać każdemu, co przy tylu gościach nie jest łatwą rzeczą.

Z lewej strony domu stoi jeszcze pawilon z forsztow sosnowych, o trzech pokojach, pokryty blachą cynkową. Jeden z tych pokoi zajmuje major Redeschini, jest to zarazem kancelaryja, tam odbiera pocztę, otwiera i odnosi dopiero Garibaldiemu i znów potem według skazanych rozkazów odpisuje. Najwięcej przychodzi zawsze listów z Anglii, są one po największej części albo z prośbą o pare słów własną ręką, albo o fotografię z podpisem, na pamiątkę. Podobnym prośbom Garibaldi zawsze czyni zadosyć. — Pokój drugi zajmuje młodszy syn Garibaldegę, poświęcający się chemii; w trzecim pokoju ma on swoje laboratorium chemiczne.

Dziedziniec napełniony kurami, kaczkami, iudkami, pawiami, całe królestwo ptaków domowych, dla których wspaniały stoi kurnik po prawej stronie dziedzińca; po lewej są stajnie, obory, w których jest dwanaście krów dojnych, konie robocze, jeden wierzchowy, ulubiony ogier kasztanowaty arabski, dwa woły i cztery osły. Wszystkie te zwierzęta domowe w ogólności są znacznie mniejsze, co pochodzi ztąd, iż żyją ciągle w stanie dzikości, aż do czasu, w którym się je obraca do domowego użytku. Krów tak wolno chodzących po wyspie, jest przeszło sto. Osły są małe, zwykle się je strzela, a mięso razem z wieprzowem obraca na salami, które Wiedeńczyk z wielką znajomością swęj sztuki przyrządza.

Za ogrodzeniami, w których się bydło i konie paszą, stoi kilka małych chat, krytych trzcina; te zamieszkuje stali robotnicy, dla których Garibaldi ma jak dla wszystkich równe względy, stara się obudzić w nich uczucie godności i tém skłania ich do ściślejszego pełnienia powinności, bez żadnego nadzoru; takie postępowanie skuteczniejsze nad wszelkie kary. Zaraz za podworcem jest strzelnica — raczej przestrzeń między skałami — odmierzona krokami i na skałach farbą olejną napisana tak odległość, jak szerokość tarczy. Za każdym strzałem za pomocą lornety śledzi się trafu, przez to się oszczędza chodzenie. Tylko przedziurawioną bardzo tarczę się zmienia.

Umyślnie zająłem się najprzód opisem miejscowości i otoczenia — ono bowiem już samo mówi wiele o tym człowieku. Opisać Garibaldegę, nie jest to łatwą rzeczą, tém bardziej dla tego, co w swém piórze prócz dobrych chęci, tak mało ma mocy. Robię jednak tę

próbę, licząc na chwilę natchnienia, które mi udzieli wspomnienie miłych chwil niegdyś doznanych.

(Ciąg d. nast.)

Kronika krakowska.

Ruch towarzyski. — Kasyno miejskie. — Kasyno artyst.-literackie. — Pensjonaty. — Teatr. — Albumy ról. — Wystawa obrazów. — Tow. konsumcyjne.

Baliśmy się już o miasto nasze, że w skutek niedawnej wojny, obecnej cholery, a przyszłego przeniesienia urzędów — wyludni się, zbiednieje i obumrze. Tymczasem właśnie te przyczyny wprost przeciwnie działają — obawa śmierci rodzi życie, przecucie stagnacyi budzi ruch. Nie jest to żaden ruch rewolucyjny, broń Boże — jest to sobie poprostu ruch towarzyski, który jednak w Krakowie podzielonym na kasty i kółeczka niespojone z sobą, ma zawsze coś rewolucyjnego, bo przewrót zapleśniałego porządku. Tej czynności podjęło się kasyno miejskie, związało się ono już i ukonstytuowało.

Jak się dowiadujemy, podano także o koncesyą na kasyno artystyczno-literackie, celem którego ma być obok towarzyskiej zabawy, urządzenie koncertów, teatrów amatorskich, stałych wystaw itd. Łaskawy a chętny współudział Pań, może nadać tym artystycznym usiłowaniom świetności i znaczenia. Podanie o ile wiemy, podpisali panowie St. Duniecki muzyk, Izidor Jabłoński malarz, Hip. Witowski literat.

Wszystko to zapowiada, że w zimie nie będziemy mogli uskarżać się na nudy. Słychać także, że wiele rodzin polskich, bawiących za granicą, ma zjechać na zimę do Krakowa. Niema więc obawy, aby Kraków wyludnił się przez odjazd kilkudziesięciu urzędników. Mało kartek bieli się na domach, z tego łatwo się domyślić, że mieszkańców nie brak — a po szkołach prawdziwe przeludnienie. Czy i w żeńskich pensjonatach podobnie — nie wiemy, wiemy tylko, że liczba ich na ten rok się zmnożyła. O obecnym ich stanie, podamy obszerniejszą wiadomość, gdy zbierzemy statystyczne daty i szczegółowe objaśnienia.

Ale nie dość, że w mieszkaniach i szkołach pełno — nawet w teatrze bywa pełno. Od jakiegoś czasu musimy ten wypadek liczyć do osobliwości. Grano już kilka nowych komedyjek francuskich, dość zgrabnych choć bez wielkiego sensu moralnego. I tak z komedyi „Małe ręce“, wynieśliśmy naukę: że Opatrzność dając komu małe ręce, przeznacza go tém samém, aby nie nie robił, (ale żył z łaski tych, co mają duże ręce i przeznaczeni są do pracy), że hojność jest pracą bogatych. Przyznać jednak trzeba, że komedycja dość zręcznie prowadzona. *Les poseurs* (pozuający się) niewłaściwie „Ko-

medyjantami“ w tłumaczeniu nazwani, pomimo kilku charakterystycznych i wcale zabawnych scen, w ogóle zawiodła nasze oczekiwanie. Autor miał ogromne pole, bo pozowanie się, jest dziś chorobą wieku; tymczasem zamiast pozujących się widzieliśmy poprostu zręcznych oszustów, ludzi bez charakteru lub drobne figurki i epizodziki, nienależące zupełnie do całości. — I jeszcze jedna komedycja (tak przynajmniej stało na afiszu) „Pocięcha Rodziny“ — jest to więcej czuły obrazek dramatyczny niż komedycja, z popisową rolą dla artystki ról naiwnych. Grała tę rolę pani Parżnicka i przyznać trzeba, że jej gra podtrzymywała uwagę słuchaczy i ożywiała sztukę nie zajmującą ani związaniem intrygi, ani efektowemi scenami. Żona nie żyje z mężem, córka postanawia ich pogodzić i to jej się udaje. Oto treść i rozwiązanie sztuki, które przewidujemy od pierwszego aktu. — Dla całości sprawozdania musimy tu wspomnieć o dwóch komedijkach. Pierwsza: „Ciężka próba“ jest tej treści, że jakaś hrabina wdówka zgadza się pójść za mąż za kapitana od marynarki, pod warunkiem, aby przez godzinę wstrzymał się od klęcia. — A kapitan bez tego żyć nie może. Tu sęk. Kapitan długo trzyma się, ale gdy w ciągu rozmowy wszedł na epizod bitwy pod Nawarynem, gdy przyszedł do opowiadania śmierci swego dowódcy, z żalu i boleści zaklął przeokropnie. Ta głębokość boleści i przywiązania ujmuje hrabinę i oddaje mu rękę, choć nie dotrzymał warunku. — „Raptus“ jest komedycja dość żywa, podtrzymywana wyborną grą pana Rapackiego, podobala się.

Ale byłbym zapomniał o dramatach. Na „Barbarze“ Felińskiego nie byłem. Może to grzech przeciw klasycyzmowi — przyznaję się do niego, bez obietnicy poprawy. Jeżeli potrzeba pokuty, to ją odprawiłem już poprzednio na „Annie Oświęcimowni“. Dramat ten czyta się dość przyjemnie, ale słucha z trudnością. Najejkwszą, najbardziej natężającą uwagę słuchaczy rzeczą w dramacie powinny być owo poczynające się uczucie grzesznej miłości brata i siostry, tłumaczące się niejasno, bojaźliwie, gdzieś ledwie naznaczone, a wszędzie przesiąknięte tragicznością, brzemienne katastrofą, którą zdala już grozi. Tymczasem jak skoro Anna w pierwszej chwili ujrzenia brata ucuwa ku niemu miłość a on ku niej — interes dramatu niknie — akcja prawie ustaje, autor posiłkuje się epizodami pięknymi dla siebie, ale niepotrzebnymi w całości — jak ową deklamacją Oświęcima o narodowym chlebie, lub rozwlekłym opisem boju. Do tego jeszcze wiersz zmieniający co chwila rytm, jest na wskrós liryczny, stósowniejszy do opery niż do dramatu. To się najwyraźniej pokazało w roli Łaszczu. Łaszcz jest figurą więcej może dramatyczną, dla tego liryczne deklamacje razily w jego ustach. — Nie pojmuję co zjednało temu dramatowi zeszloroczne pochwały.

Zapowiedziana opera polska miała się rozpocząć we wtorek „Paziami“, nadto mieliśmy słyszeć uwerturę z „Walenroda“ Wł. Żelińskiego. Tymczasem nieprzewidziana słabość p. Borkowskiego odwlekła tę przyjemność na później.

Zanim opuścimy teatr, musimy jeszcze wspomnieć o albumach ról p. Rapackiego i p. Modrzejewskiej, wykonanych z wielką starannością przez p. Rzewuskiego. Album p. Rapackiego zawiera fotografie diabła z „Twardowskiego“, w czterech postaciach; barona z „Drzémki p. Prospera“; wujaszka ze „Ślubów Panięskich“; starego jegomościa, Rubena w „Salomonie“; Tarnowskiego z „Barbary“; Jagiellę z „Jadwigi“. Podziwiać musieliśmy znakomitą charakterystykę i grę fizjonomii artysty. — Pani M. w kilkunastu fotografiach przedstawiła trudną i męczącą skalę uczuć od wesołego, figlarnego uśmiechu do szalonej rozpaczki — a przedstawiła to bez charakteryzacji, bez kostiumów, jedynie grą rysów.

Olbrzymi obraz p. Matejki przedstawiający protektora Rejtana na sejmie, podpisującym rozbiór Polski, jest już na ukończeniu i niezadługo wystawiony będzie na widok publiczny w sali Towarzystwa Naukowego, zanim zostanie wysłany na paryską wystawę świata. Życzyłoby sobie należało, aby i p. Gryglewski umieścił w tej sali swoje dwa obrazy, przedstawiające wnętrza katedry (kaplicę ś. Stanisława) i kaplicy Batorowskiej (część drugą), które jak słyszymy, są już na ukończeniu.

Zakończę tém, czem zwykle kończymy w życiu — z wędrówki po świecie artystycznym, wracamy do chleba powszedniego. Chcę mówić o towarzystwie konsumcyjnym, które się zawiązało w Krakowie. Członkowie płacą pewną wkładkę — za to mają prawo nabywania produktów z pierwszej ręki po znacznie niższych cenach. Przy obecnej biedzie życzyłoby sobie należało, aby podobne stowarzyszenia i w innych miastach naszych rozpowszechnić się mogły. Podobno jednak uzalają się panie gospodynie, że w sklepach stowarzyszenia dotąd sprzedawane produkta nie odznaczają się dobozem. Lepiej by było w każdym razie z początku ograniczyć się na mniejszym zysku, a nie zrażać członków.

Dowiadujemy się w końcu, że uzyskało także pozwolenie i zawięzuje się stowarzyszenie czeladzi rzemieślniczej, którego głównym celem jest pomoc moralna tj. oświata, czytelnia, odczyty itd. Szczęść Boże!

ROZMAITOŚCI.

Dla domowego użytku. — Maszynka do czyszczenia nożów i widelców, wynalazku p. Mackay. Nabyć ją można w Lipsku u Pfitzmana. Jednym z najlepszych sposobów czyszczenia zardzewiałych metali, jest również posypać je popiołem ztytoniu i wycierać skrzypem zasuszonym.

— **Prosty sposób pomnożenia masła.** Po wydejniu mleka nim się takowe do piwnicy wstawił, zbiera się śmietana z dnia poprzedniego i rozdziela się ją w stosunku jednej szklanki na 4 kwarty świeżo udojonego mleka. Śmietana ta miesza się dobrze z pomieszanym mlekiem, a zostając w spokojności, już w 12tu godzinach osadza się na wierzchu nadzwyczajnie gruba warstwa śmietany. Jeżeli powietrze jest bardzo wilgotne, należy więcej dodać śmietany. Starsza śmietana służy do przyspieszenia wytwarzania się śmietany w świeżem mleku. Ponieważ jednak w takim razie śmietana prędzej na powierzchni mleka się zbiera, aniżeli w zwyczajnym stanie tegoż, nie należy więc także tak długo ze zbieraniem śmietany odwlekać, inaczey przez oddzielenie się cząsteczek tłuszczowych masła, cukier mlekowy przemieniłby się w kwas mlekowy. (G. prz.)

— Aby kury wiele jaj niosły. Mieszanie skorup z jaj lub wapna do strawy dawaney kurom, które one z chęciwością pożerają, sprawia to, że kury dwa razy więcej jaj jak zwykle znoszą. Każde bowiem jajo otoczone jest skorupą, a materyjalu na tę skorupę nie dadzą ziarna lub ziemniaki, ale substancyje składające tę skorupę, to jest wapnienie. (G. prz.)

— **Zachowanie kwiatów.** Na ostatniej wystawie w Wrocławiu można było oglądać bardzo piękny wynalazek zachowania kwiatów w całej ich świeżości, piękności i barwie, polegający na tém, że w półokrągłe czarki szklanne wkłada się kwiaty, jakoto: kamelię, azalię, róże i t. p. a następnie otacza się je ze wszystkich stron galaretową, przezroczystą masą, poczem zamyka się je podobną szklaną pokrywą. Kwiaty po sześciu tygodniach wyglądały tak świeżo, jakby dziś zerwane były. Niema piękniejszej ozdoby dla eleganckiego budoaru nad kwiaty tym sposobem zachowane. (G. prz.)

— **Maszyny do szycia,** szczególniej wynalazku Howego, tak się rozpowszechniły w Ameryce, że liczba tych ostatnich, będących dziś w użyciu, wynosi 800,000 sztuk.

— W Paryżu założono polski dom komisowy, który podejmuje się odbierać polecenia z kraju i kupować wedle żądania: wyprawy dla panien, stroje modne i przedmioty do gotowalni potrzebne. Kupuje także i wysyła fortepiana, nuty, tudzież prunumeruje dzienniki francuskie. Adres tego bióra: „Mademoiselle Léocadie Stryjeńska à Paris, rue d'Astorg. 25.“

— Serce ludzkie odbywając na minutę 75 pulsacyj, zużywa w ciągu 24ch godzin siłę taką, która byłaby zdolną cetnar podnieść do wysokości 4463 stóp.

— W roku 1861 wprowadzono do Anglii herbaty 96 milionów funtów. Widać jaki jest ogromny odyt tego nektaru.

Korespondencja „Kaliny“.

Panu M. Z. w Poznaniu. Humoreska Panska nie kwalifikuje się do naszego pisma, bo jęj zbywa na humorze.

Panu W. U. w Strzeliskach. Dla uniknięcia reklamacji wypisaliśmy byli na opasie, że z powodu wyczerpnięcia pierwszego nakładu mód, przesyłka takowych dla W. Pana spóźni się o dni pare. Zapewne W. Pan już je otrzymał.

Bióro „Kaliny“

jest obecnie przy ulicy Mikołajskiej Nr. domu 458 na dole.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca TADEUSZ WOJCIECHOWSKI.



Wychodzi co sobota o godzinie 9. rano.

Prenumerata miejscowa wynosi: *rocznie* 6 złr., *półrocznie* 3 złr., *ćwierćrocznie* 1 złr. 50 c. w. a. — Z przesyłką pocztową: *rocznie* 7 złr. 20 c., *półrocznie* 3 złr. 60 c., *ćwierćrocznie* 1 złr. 80 c. — Prenumerata zagraniczna bez miod i bez nnt rocznie 8 złr. 30 c. w. a. Mody i kroje *rocznie* 3 złr. 30 c., *pół-*

rocznie 1 złr. 70 c., *ćwierćrocznie* 90 c. w. a. Nuty *rocznie* 1 złr. 25 c., *półrocznie* 65 c., *ćwierćrocznie* 35 c. w. a.

W Krakowie prenumerować można w biurze redakcyi: ul. niokołajska 458, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni Wgo. Czecha. We Lwowie można prenumerować i odbie-

rać w ajencyi Hercoka i Arnolda na Halickiem. W Poznaniu w księgarni Mieczysława Leitgebra, Hotel du Nord.

Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c. następnie po 4 c. Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy

Od Redakcyi.

Rozsyłkę miod i krojów, przypadających na listopad, musieliśmy odłożyć do następnego numeru, albowiem takowe odbijają się za granicą, a ruch pociągów towarowych na kolejach, jest z powodu transportów wojskowych tak utrudniony, że niektóre przesyłki już od miesiąca zalegają.

Prenumeratę na „Kalinę“ dla Poznańskiego i Prus przyjmuje księgarnia Mieczysława Leitgebra w Poznaniu, Hotel du Nord. Również i przesyłkę numerów dla wszystkich nowo przybywających Prenumeratorów z tamtąd załatwia też księgarnia.

Narady kobiet w Lipsku i kongres dla nauk społecznych w Manchester.

Niedawnemi jeszcze czasy wiele robiono wrzawy z tak zwaną emancypacją kobiet. Im więcej jednak było hałasu, tém téż i prędzej wszystko przebrzmiało. Ruch ten przesunął się tylko po wierzchu społeczeństwa, oszołomił na chwilę umysły, niezapuszczając się głęboko, albowiem była to budowa na piasku, pozbawiona naturalnej podstawy. Zerwano z pojęciem rodziny, a przynajmniej chciano nie zważać na jój znaczenie, wyzwolić kobietę z węzłów rodzinnych a wprowadzić ją w świat po zadowomoy, niezważając na to, czy jój usposobienie, uzdolnienie i stopień wykształcenia, czy prawa i zwyczaje nie staną tam na przeszkodzie. Ruch ten pozbawiał kobietę stanowiska, jakie dotąd zajmowała w granicach rodziny i domu, a w zamian nie dawał jój nic, prócz takich teoryj o wolności osobistój, które w obecnych stosunkach społeczeństwa nawet tolerancyi nie uzyskały. W ten sposób prowadzona rzecz, nie mogła się utrzymać i musiała wziąć inny obrót. Nawet literatura francuska — zwłaszcza po-

wieściowa — która ów ruch popierała, przyjęła inny kierunek, jak to widać np. w ostatnich powieściach pani Sand. Wbrew dawnym uprawnianiom wybujałości serca i życia, odzyskują tam znowu swoje znaczenie i świętość obowiązki rodzinne, domowe; wartość eichego, pracowitego życia odnosi tryumf, i szczęście nie występuje już w formie ciągłego miotania się, ciągłych czarujących upadków i niespodziewanych zmartwychwstań, ale przeważa praktyczne, ludzkie doświadczenie, że im więcej spokoju i stałości woli, im więcej dobrowolnych zrzeczeń, a im mniej wymagań, tém więcej wewnętrzznego zadowolenia, to jest, tém więcej szczęścia.

Niemniej jednak prąd ów ponieważ był, musiał mieć swoje powody w rzeczywistych stosunkach, musiał być wywołany potrzebami, których dotąd społeczeństwo nie uwzględniło jeszcze, a które dopiero właściwej formy dla siebie szukały. I odbył się tutaj ten sam proces, co z każdą nową ideą. Postawiono najprzód teorią ogólną, która pod wieloma względami była zbyt wybujałą i do stosunków obecnych się nie nadawała. Ale poruszyła umysły, poczęto się głębiej zastanawiać czy ta teoriya ma prawo bytu i o ile. Porzucono formuły, a wzięto się do praktyki. Niema już nigdzie mowy o zrywaniu z tém, co z natury rzeczy wynika — o zrywaniu z rodziną — nowe wymagania uzupełniające dotychczasowe prawa i stanowisko kobiet, mają być uwzględnione o tyle, o ile nie uwłaczają prawom rodziny i nie gaszą domowego ogniska.

Prawodawstwo w rozmaitych krajach Europy i Ameryki różnemi kieruje się zasadami pod względem kobiet. Najpostępowsze równają je z mężczyznami we wszyst-

kich prawach cywilnych, tj. przyznają im własność i osobowość we wszystkim, co dotyczy posiadania i zarządzania majątkiem, ważności ich świadectwa w sądzie, itp. przypuszczania do różnych zawodów, nawet w administracji rządowej, a tylko praw politycznych, mianowicie: głosu przy wyborach i wybieralności im odmawiają. W mniej postępowych większe są ścieśnienia. Gdzieindziej nie myślą wcale o zmianie ustaw, odnoszących się do kobiety, ale o zmianie jej sposobu wychowania, rodzaju jej zatrudnień z powodów czysto ekonomicznych; drogość życia, trudność małżeńskiego menażu, szczypty zakres pracy dającej zarobek kobietom, oto były potrzeby, które tam zajmują umysły.

U nas najmniej dotąd pod tym względem się zajmowano, żadna teoryja nie miała dotąd nawet na jakiś czas przewagi. Z tego się pokazuje, że nie było u nas rzeczywistej potrzeby zmiany, bowiem względy ekonomiczne nas do tego nie zagnały, a co się tyczy praw społecznych i politycznych, to kobiety nasze bardziej niż gdzieindziej przysły do ich używania. Nikogo to u nas nie razi, gdy kobiety zajmują się politycznymi sprawami. Doszły do tego równouprawnienia przez czynny udział w sprawach kraju, przez ciężkie trudy i poświęcenia. Moskwa prześladowaniem swoim równouprawniała je. Kiedy wróg w katowaniu nie miał względu na pleć, czyż mogli mężczyźni stawiać różnicę i odsuwać je od udziału? I bardzo trafnie powiada Mickiewicz w czwartym kursie swojej literatury słowiańskiej, że kobiety w Polsce wyemancypują się najpierw, ale nie na podstawie jakichś teoryj wymarzonych, jeno rzeczywiście, w praktyce, a to dla tego, że się emancypować nie potrzebują, bo we wszystkim razem z mężczyznami biorą udział. Niema u nas nawet wyrazu na ową uludną emancypacją. Nam na każdym polu tylu pracowników potrzeba, że nie może ich być nigdy za dużo; a wartość rodziny jest u nas tak potężną dzwignią, że niema obawy, aby mogła osłabnąć, i że kobiety u nas mogłyby o tém zapomnieć.

Niemniej jednak powinniśmy zwracać baczną uwagę, jaką drogą idzie przemiana stosunków kobiet za granicą, korzystać nam trzeba z doświadczenia drugich i wybierać dla siebie, co rzeczywiście okaże się potrzebnem i zbawiennem. Może niektóre z tych zmian i u nas okażą się potrzebnymi, nie powinna więc nas ta chwila zastać nieprzygotowanych, nie powinno nam być nic obce, co pod tym względem dokonywa się za granicą.

Oglądając się więc za temi różnymi objawami, wypadnie nam się dziś zatrzymać nad niektórymi chwilami, w których one wyraźnie wystąpiły. Chcemy tu mówić o kongresie dla nauk społecznych, odbytym w Manchester i o konferencji kobiet w Lipsku. Na obudwóch tych zjazdach zajmowano się stanowiskiem społecznem

kobiet, ale na obydwóch pod innymi względami. I tu i tam kobiety same swoich spraw broniły. (Dok. nast.)

ŻONY NIEWOLNIKÓW.

(Ciąg dalszy.)

To niespodziewane spotkanie zmieszało Annę i Jana. Chorego przeniesiono już do innego pokoju — oni stali jeszcze przed sobą, nie mogąc się zdobyć na słowo, nie wiedząc, jak przemówić do siebie — to pierwsze sam na sam było dla obojga przykre. Przypadkiem wzrok Jana padł na stolik — zobaczył tam swoją fotografią opaloną, przedarty rysunek — to go jeszcze bardziej zmieszało, był cały w płomieniach, — pragnął teraz, czekał niecierpliwie, by ktoś wszedł, przeszkodził rozmowie, wyrwał go z tego przykrego położenia. Jak na szczęście otwarły się drzwi i wszedł — Maurycy.

Jak wiemy, Maurycy wyjechał do powiatowego miasteczka — tam dowiedział się o owej katastrofie koło mostu, właśnie trafił na pogrzeb trzech żandarmów. Nikt nie wiedział co się stało z więźniami, przypuszczano, że żywi wyjść nie mogli z tej katastrofy, ale gdzie się trupy podziały, kto je uprzątnął, trudno było dociec. Kryłow wściekał się, zarządził ostre śledztwo, porzysyłał kozaków na wszystkie strony, ale daremno. W parowie na glinie rozmięklej znać było wydeptane głębokie ślady nóg; blisko lasu brzeg parowu był oberwany, jakby kto się spinał do góry — na liściach krzaków czerwiniła się zaschła krew — za tym znakiem szli żołnierze aż do drogi przecinającej las — przy drodze leżało trochę gałęzi świeżo poucinanych; jeden z gajowych przytrzymany wyznał, że nocą koło jego mieszkania przechodziło kilkunastu ludzi obcych, i nie w siermięgach ubranych, że nieśli coś ciężkiego, jakby mary przykryte; jakaś kobieta ze wsi za lasem leżącej doniosła, że jednego dnia przed wieczorem przyszło do niej dwóch panów, kazali jej nakupić we wsi chleba, masła, jaj — zabrali to wszystko, zapłacili hojnie i poszli w las. Tyle się dotąd dowiedziano, Kryłow nie ustawał w dochodzeniu, kłął i przysięgał się, że dojść musi zguby.

Maurycy dowiedział się o tém wszystkim urywkowo, nie pytając o nic nikogo, by nie wpaść w podejrzenie u kapitana, któremu się wszyscy podejrzani wydali; zamaskował swój przyjazd innym jakimś interesem w powiecie, załatwił go i po paru dniach wyjechał napowrót do domu. Naglił woźnicę by przyspieszał, jakoś mu tęskno było za domem, za żoną, wyrzucał sobie, że ją tak zostawił nie pożegnawszy, nie powiedziawszy gdzie jedzie — owe podejrzenia, które go dawniej tak trapiły, zmalowały teraz niesłychanie w jego oczach, dziwiło go, jak mógł być zazdrosnym o czło-

wieka, co na chwilę zjawił się i przepadł na zawsze i nigdy mu w drogę nie wejdzie; jak mógł pomieszanie żony brać za symptom jakiegoś innego uczucia. Chciał jak najprędzej przebłagać ją, przeprosić — szczęście domowe uśmiechało się do niego z daleka, serce biło mu z radości gdy wjeżdżał już do wsi swojej. Nie kazał zajeżdżać przed ganek, wysiadł przy bramie i poszedł piechotą ku dworowi, chcąc niespodziewanem zjawieniem się zrobić niespodziankę żonie. Z uszańchem na ustach otworzył drzwi — i stanął osłupiały — zobaczył Annę i Jana zmieszanych, zapłonionych, otwarte okno, w pokoju nieład. Krew uderzyła mu do głowy, potem zbladł okropnie, rysy twarzy pogodne, uśmiechnięte przed chwilą, zdziczały. Wnet jednak opamiętał się, gniew i oburzenie spętał ironią.

— A! przepraszam, jestem zbyteczny — rzekł szydreczo i wyszedł.

Po jego odejściu nastąpiło znowu straszne milczenie, tragiczne zawikłanie odjęło przytomność ofiarom. Anna blada i drżąca zagryzła boleśnie wargi i ledwo dosłyszonym głosem szepnęła:

— Zostaw mnie pan samą.

Jan jak posłuszny niewolnik oddalił się. Za ledwie drzwi się za nim zamknęły, rzuciła się bezwładnie na krzesło, załamała ręce nad głową i oczy zdziczałe z przerażenia wbiła w ziemię.

Za drzwiami w pokoju chorego słychać było łoskot — brzęknęły szyby u okna, ktoś tamtędy wychodził. Nagle rozległ się silny głos syberyjczyka:

— Janie! Janie! gdzie ty idziesz?

Równocześnie dało się słyszeć szamotanie i ten sam głos ochryply, rozstrojony gorączkowym obłąkaniem odezwał się znowu:

— Zostań, ty nie możesz mnie porzucić. Nieszczęście przykuło nas do jednej sztaby żelaznej i pędzi nas razem w mroźny Sybir boleści. Musimy się mścić, okrutnie się pomścimy. Jego syn wydarł ci bóstwo twoje, tak jak on mi wydarł moje. Tyś ją tak kochał — złamała cię nie — wia — rą. —

Jakaś ręka musiała zatykać usta krzyżącemu, bo dalsze słowa wychodziły bezładnie, urwane. Anna zerwała się i uciekła do innego pokoju — te krzyki pędziły ją jak Erynię. W pokoju syberyjczyka uderzyło coś silnie o podłogę, jakby upadający człowiek — Jan szarpnął się i siłą wydarł się z jego rąk, dopadł okna i skoczywszy w ogród, zmierzał ku lasowi za swymi towarzyszami. Już był blisko parkanu, gdy nagle ktoś schwytał go silnie za piersi i głosem stłumionym od gniewu i wzruszenia zasyczał:

— Stój!

Jan poznał w napastniku Maurycego.

— Czego pan chcesz odemnie? — zapytał.

— Twego życia.

— Ono teraz nie do mnie należy. Kiedyś będę mógł może żądać od pana rachunku za tę chwilę. A teraz precz. —

To mówiąc, odrzucił go pogardliwie na bok z taką siłą, że wąty Maurycy zatoczył się kilka kroków i upadł plecami między krzaki.

Jan tymczasem wspiął się na parkan.

— Podły tehrz! — zawołał Maurycy, zerwał się z ziemi i strzelił za uciekającym.

Z drugiej strony parkanu coś jęknęło.

Maurycy wzburzony cały, dyszący jeszcze wściekłością, w poszarpanym bezładnym ubiorze wracał ku dworowi. Przez otwarte okno słychać było krzyk syberyjczyka i gwałtowne szamotanie się jego. To było zagadkowym dla niego, zdziwił go krzyk jakiegoś obcego człowieka w jego domu. Wszedł do swego pokoju i zadzwonił na służącego.

Wszedł Mateusz.

— Kto tak hałasuje po nocy? — spytał.

— Jakiś człowiek chory.

— Obcy? Kto go tu przyjął?

— Pani.

— Karezmę mi robią z domu — rzekł półgłosem Maurycy.

Znowu ten sam krzyk obił się o jego uszy — Maurycy stanął i słuchał — ten głos nie był mu obcym — usiłował sobie przypomnieć gdzie go słyszał, ale na próżno. Poszedł więc do pokoju chorego, który z głową obandażowaną, obłąkanymi oczami, zaciśniętymi pięściami rzucał się po łóżku. Maurycy poznał syberyjczyka. Człowiek, którego szukał, który miał w swoim ręku tajemnicę zbrodni jego ojca, znajdował się pod jego dachem. Rad był temu przypadkowi, dawał on mu sposobność dowiedzenia się prawdy i nagrodzenia krzywd ojca lub pomszczenia się za obelgę. To też wszelkimi staraniami otaczał chorego i od tego czasu często go odwiedzał. Samotność straszyla go przykreimi myślami, dłuższej rozmowy z żoną unikał, skwapliwie więc zajął się chorym i całe prawie dni przy jego łóżku przesiadywał.

Chory powoli przychodził do zdrowia i do sił, przytomność wróciła całkiem i nieraz długie prowadzili ze sobą rozmowy. Syberyjczyk nie wiedział u kogo znalazł gościnę i opiekę — Maurycego bowiem nigdy przed tem nie widział, równie jak jego żony — a Maurycy uważał za stosowne, nie oświecać go w tym względzie.

Jednego dnia Maurycy wrócił późno do domu — zastał chorego siedzącego już w jadalnym pokoju (bo już wstawał i przechodził się po pokoju) czytającego gazety. Syberyjczyk przywitał wchodzącego przyjaznym wyrazem twarzy.

— Gdzież tak długo bawiłeś? siadaj tu obok mnie — jakoś stęśchniłem się za tobą, bo... bo przywiązałem się czegoś do ciebie.

Tu uściśnął jego rękę.

— Dziwny mój los — mówił dalej — kiedy najbliżsi krewni są mi wrogami, u obcych znajduję życzliwą pomoc i serce; obcych muszę błogosławić, a swoich przeklinać.

Maurycy zmieszał się na te słowa.

— Za co przeklinać?

— Za co?

Przypomnienie rozogniło twarz syberyjczyka, w oczach przelatowały błyski gniewu.

— Za co? O! potwory niszczyć trzeba. — Ale nie mówmy teraz o tém; to mnie drażni, wścieka. Przyjdzie godzina, kiedy jak anioł zemsty stanę przed nimi, a wtedy biada im. Cała rodzina odpowie mi za moją krzywdę.

Tu zatrzymał się chwilę, jakby się nad czemś namyślał, potem mówił niby do siebie:

— Nie, nad nią możebym się mścić nie umiał. — I co ona winna, że mnie kochać nie mogła? Ale że poszła za niego właśnie, za tego łotra — to urągawisko straszne. Nie, wszyscy winni.

Tu silnie uderzył pięścią o stół. Maurycy słuchał ze spuszczoną głową, z twarzą rozpaloną od wstydu, słuchał jak winowajca wyroku.

Wniesiono światło i podano herbatę.

— Pani nie przyjdzie? — spytał Maurycy służącego.

— Pani chora — odrzekł Mateusz głosem, w którym znać było skargę i wyrzut.

— Niech Walenty zaprzagnie i jedzie po doktora — rzekł Maurycy spokojnie, zimno.

Po odejściu lokaja, syberyjczyk odezwał się:

— Nie rozumiem cię mój młody przyjacielu, ty taki dobry, taki człowiek z sercem — nie masz serca dla jednej istoty, która może najbardziej na to zasługuje. Daruj że ci to mówię, że wglądam w tajemnice waszego domu — ale mnie bardzo martwi i obchodzi, że ludzie, którzy mogliby sobie raj stworzyć na ziemi, żyją tak, jak wy żyjecie. Nie wchodzę w to, co jest między wami, ale zdaje mi się, że wina jest po twojej stronie — twoja żona to zająca kobieta — jakaś troska ją trawi, wędnieje w oczach, ty zdaje się nie widzisz tego.

Maurycy słuchał tych słów chodząc po pokoju zadumany, potem stanął koło stołu i regulując machinalnie światło lampy, mówił:

— Nie wiem po czyjej stronie wina, możemy się obydwójce zawiedli. Dość o tém.

Rzucił się na kanapę i długo tak siedział zamysłony. —

Syberyjczyk nie badał więcej. Nie długo potem rozeszli się na spoczynek. Maurycy nie poszedł jednak do siebie. Cicho na palcach zbliżył się do drzwi sypialni żony — w pokoju słychać było ciche, tłumione jęczenie chorąg. Maurycy wsparł się o ścianę i słuchał i nie odchodził. Kto wie jakie tam męki, myśli szar-

pały jego duszę, może gwałt sobie zadawał nie wchodząc do jej pokoju, może go ta obojętność wiele kosztowała. Wiemy przecie, że ją kochał.

Turkot bryczki obudził go z zamyślenia — to zapewne doktor zajechał — Maurycy postąpił ku bramie na jego powitanie. Zdziwił go łoskot zbyt głośny na kurytarzu, więcej ludzi widać wejść musiało, jakiś brzęk dał się słyszeć, służący wyszedł ze świecą z kredensu, Maurycy przy tém świetle zobaczył niebieskie żandarmów mundury. W tej chwili przyszedł mu na myśl syberyjczyk, skoczył do pokoju, zamknął drzwi od sali jadalnej, wpadł do swego pokoju, chwycił pistolet ze ściany, zamknął drugie, trzecie drzwi za sobą. Z domu swojego zrobił chwilowo fortecę — wpadł wreszcie do pokoju syberyjczyka i tu drzwi zamknął — szło mu bowiem o zyskanie na czasie.

Syberyjczyk już usypiał. Zbudził go i kazał mu się ubierać co prędzej.

— Co się stało? —

— Żandarmy są już w domu, zdaje się, że ciebie szukają, niema czasu do stracenia. Jeżeli nie obsadzili wszystkich wyjść tędy uciekać możesz do lasu — tam będziesz bezpieczny.

W domu zrobiła się wrzawa i hałas, żandarmi wyłamywali drzwi. Już tylko dwa pokoje dzieliły ich.

— Zapóźno — rzekł syberyjczyk.

— Nie, pozamykałem drzwi, nie prędko się dobędą.

— Zgubisz siebie.

— Ale ciebie ocale, ja ci bardzo wiele dłużny, spiesz się — oto rewolwer, gdyby ci zastąpił kto drogę.

Syberyjczyk wysunął się drzwiczkami na ogród — Maurycy zamknął drzwi, usiadł na łóżku i czekał spokojny z rezygnacją. Niezadługo ostatnie drzwi runęły z łoskotem, po nich jak po pomoście wpadł Kryłow rozjuszony, trzęsący się z wściekłości — za nim żandarmy.

— Ha buntowszczyk. Gdzie on?

— Kto? — spytał Maurycy, patrząc spokojnie, z pogardą na zwierzę umundurowane.

— Ty wiesz kto s.....? — i uderzył go w twarz. Maurycy wstrząsł się z oburzenia, chciał się rzucić na niego, gdy w tej chwili żandarmy pochwycili go z tyłu i spętali. Kilku pobiegło w ogród.

— Ty za niego wisieć będziesz — krzyczał Kryłow pieniać się ze złości — jeżeli się nie znajdzie.

Wtém w sieni rozległ się krzyk przeraźliwy, bolesny, przejmujący aż do kości. Wszyscy się obejrzeli. Anna otulona w szal, przerażona, bielsza od koszuli, co jęł z ramion spadała — wpadła do pokoju i rzuciła się ku mężowi.

— Maurycy, co się to stało? — zawołała głosem pełnym miłości i przestachu i uczepliła się rąk jego — czego ci ludzie chcą od ciebie — puszczajcie go!

Oczy Kryłowa zaświeciły się lubieżnie — chwycił w pól nieubraną i odciągał ją od męża.

— Pani się zaziębi — rzekł katownik z galanterją — a to szkoda tak pięknej osoby — roznamiętniła go piękność i pocałował ją w szyję.

Chora pasowała się z kapitanem, usiłując się wyrwać z jego rąk. Niewolnik związany patrzeć musiał na tę scenę z pomarszczonem czołem, zaciśniętymi z bóleści ustami i nie mógł dać pomocy zelźonej. Z wysilenia omdlała Anna i bezwładnie przegięła się na rękach kapitana, szal opadł jęj z ramion — Moskal pastwił się widokiem tęj kobiety. Maurycy szarpnął się i wyrwał z rąk trzymających go żandarmów, poskoczył naprzód i kopnął nogą kapitana.

— Bierzcie go — zawołał Kryłow z wściekłością. — Będzie wisiał.

Żandarmy powlekli więźnia — hałas odchodzących ocucił leżącą — podniosła się, chciała lecieć, siłą ją opuścili i upadła z łoskotem na ziemię — żona niewolnika.

(Ciąg d. nast.)

Modlitwa wiosenna.

Bóg jest w niebie — ludzie są na ziemi,
Ja z méj celki jakby w tęczę złotą
W jasny lazur, w świat ten ubarwiony
Patrzę — i w dzień i w nocy z tęsknotą.

Ziemia cudna, niebo takie cudne,
Myślę w duszy co wybrać dla siebie,
Kiedy niebo zda się być na ziemi,
Kiedy cała ziemia jakby w niebie.

Lecz nie dla mnie niebieskie jasności,
Ani ziemskie boje i uciechy,
Na mą ziemię zejść nie dadzą wrogci,
A do nieba wyjść nie dadzą grzechy.

Ojczy mój — ulituj się nademną,
Daj mi wolność, daj mi łaskę twoją,
Duszę moją niech opuszczą grzechy —
Niech opuszczą wrogci ziemię moją.

Cytadela r. 1865.

K.

STANISŁAW MONIUSZKO

w świecie muzycznym.

przez St. Dunieckiego.

(Dokończenie.)

Napisał jeszcze Moniuszko trzy opery, z których dwie „Hrabina“ i „Straszny dwór“ z wielkiem powodzeniem dawano w Warszawie. Nie są nam dostatecznie

znane, byśmy swobodnie o nich orzec mogli; ale osobliwie „Straszny dwór“ zjednał sobie powszechne uznanie. Trzecią operę „Rokiczanę“ do słów Korzeniowskiego, przed przedstawieniem w Warszawie zakazano.

Jednym z największych dzieł Moniuszki, są jednak niezaprzeczenie „Dziady“. Myśl oryginalna napisania muzyki do poematu Mickiewicza w formie *oratorium*, — pełno głębokich pięknych myśli, równych zaprawdę słowom poety, zjednało „Dziadom“ miejsce między najpierwszymi tego rodzaju utworami nietylko w Polsce, ale i w całym muzycznym świecie.

Jeżeli w „Verbum nobile“, „Hrabinie“ i „Straszny dwór“ wprowadził nas Moniuszko w świat polski, szlachecki z dewizą: „i do tańca i do różańca“ — malując z całą śmiałością i prawdą wyraz tęj dziwacznej choć dzielnej epoki, to w „Dziadach“ jesteśmy w czasach prawie stawiańskich, muzyka odkrywa, wiernie charakteryzując słowa, cząstkę czasów pogańskich, choć osłonionych chrześcijańskim duchem.

I „Dziady“ dzisiaj są między ludem, nie znajdzie tam jednak owęj sielskiej prostoty, która tak cudnie występuje w „Halce“, mianowicie w akcie 3cim w „Dziadach“ Moniuszko przybrałszy formę *oratoria*, rozszerzył działanie muzyką równie głęboką jak umiejętną, unikając jednak starannie niepotrzebnej gmatwaniny i niejasności. Słyszane w sali koncertowej bez wystawy, bez odpowiedniego otoczenia, „Dziady“ robią na słuchaczach potężne wrażenie samą siłą swęj wielkiej muzyki.

Innym jeszcze skarbem wzbogacił Moniuszko polską muzykę swemi śpiewnikami domowemi. Pieśń płynąca z serca, choć w skromnej swęj szacie, wywiera niezaprzeczenie największy wpływ na ogół narodu — z pieśni wyradza się prawdziwy styl muzyczny, noszący cechę swęj narodowości — tworzyć więc pieśni jak Moniuszko, pełne uroku i prawdziwej wartości, jest zasługą położoną około muzycznego wykształcenia ludu. Pieśniami swemi utworował sobie Moniuszko drogę do pojęcia swoich oper. Pieśń jest wieczna, a gdy inne formy przobrażają się lub giną, ona jedna od wieków jest ta sama i wieki jeszcze żyć będzie, bo pieśń jest duszą, najgłębszym wyrazem całej muzyki. Pojął to dobrze Moniuszko, nie wzgardził nią, ale podniósł do właściwej potęgi i rozwinął — równie jak Schubert w Niemczech — nienaruszając jęj prostoty.

Gdy spojrzymy teraz jak wszechstronnie niezmiordowanie Moniuszko pracował na niwie narodowej, popierany swoim jeniusem — nie będziemy się wahali postawić go na czele muzyki polskiej jako jęj reprezentanta w poczcie kompozytorów europejskich.

Widzieliśmy już podobieństwo między „Halką“ a ustępami „Freischütz“, rzeczywiście zajmuje Moniuszko w naszym kraju miejsce, jakie oddawna zajął w Niemczech Weber. Muzyka niemiecka nawet eszcze za czasów

Mozarta, pod wpływem włoszczyzny, dopiero potęgą geniuszu Webera wylała się z niego i nabrała cechy czysto narodowej, jedynie nieśmiertelnej; — od czasu Webera Spohr, Marschun a dzisiaj Wagner rozszerzyli i ustalili jego idee, które tak jasno wypowiedział w „Freischütz“, a mianowicie w „Euriant“, tym pięknym kwiecie czystej, prawdziwej romantyki niemieckiej. Jak we Francji Auber wylał na papier arcydzieła, napiętnowane francuskim doweipem — *esprit* — i delikatnością odcieni właściwą Francuzom; — tak we Włoszech Bellini wzbogacił naród swój skarbem narodowej melodyi, pełnej namiętnej melancholii i ognia; tak i Moniuszko wlał w swoją muzykę rzewność i smętność bez sentymentalizmu, odznaczającą nasz lud. Ale o ile większą położył zasługę Moniuszko, ocenia nasze czytelniczki, gdy sobie przypomną z przeszłych numerów, jak nierozwiniętą, niemal nieistniejącą znalazł Moniuszko polską muzykę. Czcicie więc i kochać powinniśmy mistrza naszego, jak go już czei i kocha Warszawa, a jak go niezawodnie oceni przyszłość. A jednak dbały tylko o swój naród, pisząc tylko dla niego Moniuszko, zajmuje teraz już nietylko u nas tak chlubne miejsce.

W chwili, gdy każda narodowość usiłuje podnieść swą indywidualność, wszechstronne wykształcenie narodu stało się koniecznością, dla tego powinniśmy być dumni, że i w muzyce możemy się poszczycić kompozytorem, który jej u nas nadał prawo do wystąpienia śmiało w szranki z zagranicą, podniósłszy szczęśliwą ręką sztandar narodowej muzyki polskiej, którą niemal stworzył i w którą wlał duszę, zaczerpnąwszy z odwiecznych skarbów pieśni ludowej. A idąc z ludem, pisząc dla niego, przyjmując jak w „Halce“ jego skargi i cierpienia, Moniuszko długo żyć będzie — tak długo, jak pocziwe polskie serca bić będą; tak długo, jak tylko iskra naszej narodowości nie zagaśnie!

Z PRZYRODY.

Świat podwodny morski i jeziorny.

(Ustęp z księgi świata roślinnego, przez Dr. Karola Mullera.)

(Ciąg dalszy.)

Podobnie działają i Wodorosty w świecie podwodnym jezior, a nawet jeszcze znacznie prześcigają w tym względzie Pierworośla. — Wodorosty składają się ze spojonych i rozmaicie rozgałęzionych rurczek, i występują, jak już wspomniano, w postaci przedziwa zielonego. Zapełniają wody Zielenicami (Glonami, Confervae), Zrośtnicami (Zygneuma), Pęcherzycami (Vaucheria), Ramienicami (Chara) i innymi typami Glonów (Wodorostów wód słodkich), a to w postaci gęstej pilśni, albo Trzęsłami (Batrachospermum) w po-

staci galarety zielonej. W takim stanie równie jak Melny, Trawy i Wrzosiny ochraniają inne wodne rośliny, i dają przytułek licznym zwierzętom. Z drugiej strony podobnie jak Okrzemki (Bacillariae) przyczyniają się do podwyższenia (umiażdżenia) powierzchni ziemi. Posiadają bowiem jak wszystkie rośliny władzę wciągania pokarmu z organicznych i nieorganicznych części, znajdujących się w wodzie, rozkładają sole w wodzie. Tak np. Ramienice (Chara) rozkładają siarczany soli i wydzielają z nich siarkę jako siarkowodor. Przez to bagna stojące tworzą nierzadko tak zwane siarczane źródła. Skoro wysuszmy takie bagno, wtedy znika także ciecz cuchnąca gnilizną i zawierająca siarkowodor, a źródło ginie. Zdarzało się, że siarczane kąpiele, których istnienie zależało właśnie od bliskości takichże wód, utraciły natychmiast swoje źródła, skoro tylko sąsiednie bagna uprzątńniono przez wiadomość. W innych miejscach rośliny wodne, mianowicie Wodorosty, wydzielają węglan wapna. Tak np. dzieje się to w uderzający sposób w baniach solanki w *Nauhejm*, jak pouczają R. LUDWIG i G. THEOBALD. Rośliny, które żyją w solance, odbierają dwuwęglanowi wapna jeden atom węglanu, przez co tenże, jako w wodzie nierozpuszczalne wapno, osiada w postaci kredy. Tak samo magnezycja chlorowa zamienia się w węglan magnezyi, która w pojedynczych miejscach osiada z wapnem w postaci dolomitu. W bliskości *Kloppenhejm*, w *Wetterawri* znalazł LUDWIG na górze między *Münster* i *Espa* pokład węglanu wapna 10 stóp gruby, właśnie tym sposobem utworzonego. To zwraca uwagę na sposób tworzenia się wapiennych, kredowych i dolomitowych skał, i uprawnia wnioski, że w ich powstaniu małe i krótkotrwałe roślinki prawdopodobnie miały tak samo udział, jak owe zwierzęta, które użyły np. wapna z wody do budowania swoich osłon.

Jest to jedną z największych przyjemności dla miłośnika przyrody, gdy dostrzeżga, jak w naturze słabe, znikome jestestwo zdola utworzyć trwałą rzecz, i tén samém człowiekowi za wzór służy. Zresztą nie wolno nam tu zapomnieć, że roślinności jeziorne obejmują także inne rośliny — pływające wodne, na czele których stoją Grzybienie (Nymphaea) i Kosaciec żółty (Iris Pseud-Acorus). Często Wodorosty i inne wodne rośliny pojawiają się w takiej mnogości, że mogą być przeszkodą w krajowém gospodarstwie. Według spostrzeżeń GÖPERTA Pleśniara mleczna (Leptomitus lacteus) zadała niedawnemi czasy taką klęskę miastu *Świdnicy* na Szląsku. Opowiada, że pół mili powyżej *Świdnicy* znajduje się w polskiej *Wistrzycy* fabryka, gdzie wypalają spirytus z burakowej melasy i spuszczają pozostały gąszcz do młyńskiego rowu, który wpada do *Wistrzycy*. Od tego czasu — mówi badacz — postrzeżono w wodzie strumyka białe kosmy w takiej mnogości, że pozatykały rury wodne. W bardzo krótkim czasie woda

przeszła w stan gnicia i stała się do gotowania i prania całkiem niezdatną. Ta masa organiczna sprzyjała rozmnożeniu się owiej Pleśniary tak dalece, że pokryte zostało całkiem dno rowu (6—8 stóp szerokiego), białą, falującą, płatkowatą masą, podobną do wełny, czepiającą się dna. Roślina ta, lubo składająca się tylko z delikatnych, rurkowatych, bezbarwnych niteczek, zajęła jednak 10,000 stóp kwadratowych obszaru, i tém bardziej szkodziła, że rozmnażała się nawet w zimie. Ciekawy badacz postrzeże nieraz podobne zjawiska podczas gorących lat na stojących wodach. Te pływające roślinne niwy składają się zwykle z Glonów (*Confervae*), Wrzeczniców (*Potamogeton*), Wywłóczników (*Myriophyllum*), Rzęśli (*Callitriche*), Rogatków (*Ceratophyllum*). Zdarzyło się w Anglii, że roślina *Anacharsis Alsinastrum* mnogością swoją utrudniała żeglugę. Pozatykała gęstemi kłębami łotki słuz, i zmusiła flisaków używać większej przyprzążki. Te kłęby zapełniały sieci rybaków, rwane prądem albo popychane wiatrem, unosiły ze sobą wędowe haki i sznury. Utrudniają sterowanie, zagrażają nawet pływakowi; bo listki ich opatrzone ząbkami, czepiają się ciała i tamują pływanie. Zatykają zatoki i spusty. Dziwne to zjawisko — dziwniejszy jeszcze jego początek; albowiem tylko jeden egzemplarz, wypielegnowany w botanicznym ogrodzie w *Cambridge*, sprowadzony z północnej Ameryki, rozrodził się tak obficie i zniżył stan wody w rzece *Cam* już prawie o jedną stopę. Nie zrozumielibyśmy zgoła tego szkodliwego rozmnażania się, nie wiedząc, że każdy olamek tej roślinki może wydać nową kolonię, której dalsze rozmnożenie przypomina powyżej wspomniany sposób rozmnażania się Okrzemków (*Diatomae*). Tém większemu niebezpieczeństwu zagraża ów amerykański Przywłoka, zwłaszcza, że nie znaleziono środka wytepienia. Że w takich okolicznościach i ryby wiele ucierpieć muszą — jest rzecz jasna; gdzie takie masy wodnych roślin pokrywają powierzchnię wód, tam trudny jest przystęp powietrza do głębi. Przez to zwierzęta mieszkające w wodzie, pozbawione kwasorodu, nie mogą oddechać, uduszone pływają po wodzie i gnijąc, zapełniają powietrze zarazliwymi wyziewami, które mogą sprowadzić febrę, a nawet zagrozić życiu człowieka. Taka jest potęga stowarzyszenia znikomych, drobnych jestestw! Jest to zjawisko odpowiednie zjawisku owych budowli Polipów drobnych, o których skały roztrzaskują się dyle najwspanialszych okrętów.

(Dokoń. nast.)

KAPRERA.

(USTĘP Z PAMIĘTNIKÓW.)

(Ciąg dalszy.)

Garibaldi liczy lat 64, mimo tego jest jeszcze w sile wieku, wzrostu średniego, blondyn, oko duże

niebieskie, gęsty zarost, dobrze już jest szpakowatym, cera jego blada, fizyonomia wyraża łagodność i energiją, mówi wolno. W mowie jego jest rodzaj deklamacji pełnej ognia, a zapaliwszy się w mowie, giestykuje rękami, mimo to jest nadzwyczaj łagodnym i umiającym panować nad sobą.

Kto jest świadkiem jego dobroci, cierpliwości, wszystkich rzadkich przymiotów, musi się do niego przywiązać, kto pozna całe jego otoczenie, widzi jak z tak pięknego kształcąc się wzoru, ci ludzie muszą stawsć się lepszymi. Mówią o nim, że nie posiada zdolności wojskowych, że się nie rozumie na polityce, lecz on też do tego nie ma pretensyj. Nikt z tych co go bliżej poznali, nie może powiedzieć, że jest zarozumiałym, że hołdy jakie mu oddają, wpoily weń jakąkolwiek dumę. Zawsze on pozostaje jednakim, nie dba o żadne dostojenstwa, ciągle swoje życie i spokojność naraża dla uszczęśliwienia narodu, żyjąc z daleka od tych, których szczęście działał.

Kto przypatrywał się dłuższy czas życiu i działalności Garibaldegó, przyzna mu, że zna lepiej od innych serca i usposobienia ludzkie, że umie kłaść wędzidło swawoli ludu i namiętnościom; tworzy ludzi, których nie skazać nie zdoła, nie dozwala im mieć więcej żądz jak potrzeb.

Daje we wszystkim przykład godny podziwienia, usuwając z odzienia swego wszystko co je zdoła, nie ma też nic w ubiorze, coby różniło oficerów bawiących przy nim. Czerwona koszula z grubej wełny, pantalon sie-raczkowe, pas niebieski w rodzaju szala, na wierzach w razie zimna lub deszczu płaszcz amerykański. Kapelusz czarny kroju jak węgierski, bóty z czerwonej ju-eh towęj skóry, służą za ubiór dla wszystkich.

Na Kaprerze nie można się nudzić, zawsze bowiem jest kilkudziesięciu oficerów. Więc polowanie, rybołówstwo, fechtunek, strzelanie do celu, obznajmianie z bronią najnowszych wynalazków, którą Garibaldiemu przysyłają z Anglii znajomi jego, zajmuje cały czas. Wieczorami rozmowy, treścią ich nie bywa żaden interes materyalny, ale różne śmiałe zamiary, projekta, nauka wojskowa. Wszyscy słuchają jęj chętnie, te rozmowy poważne przerywają często żarty, zwykle kończy je śpiew i muzyka, której Garibaldi jest wielkim lubownikiem. Niema tam nigdy dysput religijnych, bo jak prawie wszyscy wyspiarze, tak większa część bawiących jest prawdziwie pobożną, a ta pobożność jest w uczynkach i w całym sposobie życia, a nie w mowie.

Mimo pogardy śmierci z jaką obojętnie wśród walki widział ginących obok siebie przyjaciół i nad nimi lży nie wylał, nie wydał nawet westchnienia, ma on najczulsze serce. Pierwszą swą żonę stracił w rewolucyi rzymskiej, chroniąc się po rozbiciu oddziału, niósł osłabioną na rękach i tak zabiła ją kula, która inaczej byłaby położyła kres życiu jego. Na imię było jęj Anita. Jeżeli czasem w opowiadaniu kto wymówi to imię, nie może

powstrzymać łez. Razu jednego powracając z polowania, przynieśliśmy zabita koźle, która musiała mieć młode, bo miała jeszcze mleko; wśród zwykłej rozmowy jaką co wieczór się zabawialiśmy, posłyszeliśmy w dali na górach beczenie koźlęcia. „To zapewne to młode po zabitej matce, trzebaby je przynieść, bo zmarnieje“, powiedział. Propozycją tę przyjęto żartami, on już więcej o tém nie mówił, zakończono wieczór jak zwykle, a na drugi dzień rano zobaczyliśmy w kuchni młode koźle, po które w nocy sam poszedł i przyniósł.

Z pierwszej żony miał troje dzieci, dwóch synów i jedną córkę; najstarszy syn jest pułkownikiem, w czynnej jednak służbie nie jest, bo ojciec uważa stan wojskowy w czasie pokoju za próżny ciężar kraju. Córka jest za mężem, mieszka pod Genuą; najmłodszy syn, mający jedną nogę krótszą, poświęca się chemii, bawi najwięcej w Anglii. Po wojnie włoskiej ożenił się Garibaldi drugi raz z córką pewnego markiza z nad jeziora Como, z tą jednak nie żyje.

Ożenienie to jest małym romansem. W ciągu wojny, wysunięty z paru tysiącami ochotników po przed jezioro Como, nagle został otoczony od wojsk austriackich pod dowództwem generała Urbana, tak, że musiałby był broń złożyć, bo o obronie nie można było myśleć. Wyjść z miejsca, gdzie przebywał, można było jedną tylko ścieżką. Markiz znał tę ścieżkę, którą wyjść można było; wypadek wojny nie mógł być wiadomym, mając u siebie kwaterę wojsk austriackich, nie śmiał przesłać wiadomości o tém Garibaldiemu przez pierwszego lepszego, wysłał więc własną córkę. Ta pod pozorem przejażdżki konnej, wyjechawszy z domu, dostała się szczęśliwie do obozu, wskazała im drogę, idącą parę tysięcy stóp nad przepaścią, i tém ocaliła wszystkich.

Po ukończonej wojnie Garibaldi pojechał z wizytą do markiza, by mu za ten czyn prawdziwie patryjotyczny podziękować; odjeżdżając z wizyty, tuż przed tą willą spłoszyły mu się konie, powóz się przewrócił i Garibaldi nogę mocno wywiechnął. Musiał w tym domu pozostać i doznawał opieki od téjże samej osoby, która jego i towarzyszków ocaliła. Chwile spędzane w tym domu, osładzane towarzystwem bohaterki, wywiązały między nią a Garibaldim rodzaj przyjaźni, którą gdy familja panny spostrzegła, skojarzyli małżeństwo; naznaczono dzień ślubu.

Wieść o tém małżeństwie przejęła strachem partyją ruchu, zdawało się niektórym małoduszny, że Garibaldi, łącząc się z familją markiza, przechodzi tém do obozu arystokracji, chcieli więc wszelkimi sposobami projekt tego małżeństwa zerwać. Lombardia pod panowaniem austriackim miała liczne załogi kawalerji węgierskiej. Między jednym oficerem huzarów a markizanką zawiązał się był dawniej jeszcze stosunek miłosny, pisywali nawet do siebie listy. Partyja ruchu

wpadłszy na ten ślad, dolożyła starań i doszła do posiadania tych listów, odkryła nawet, że po zaręczynach z Garibaldem, jeszcze odbywała się korespondencja. Czekali więc na naznaczony dzień ślubu, myśląc o skandalu jaki zrobią, wręczając listy te Garibaldiemu.

Dzień tak oczekiwany nadszedł, a nawet z ramienia króla przybył wysłannik do reprezentowania go na tym obrzędzie. Przed samem wyjściem do ślubu, przybywa jakiś jegomość i żąda pomówienia z Garibaldim, oddaje mu te listy, zwraca uwagę na daty pocztowe, opowiada stosunek miłosny między narzeczoną a rotmistrzem. Garibaldi wysłuchawszy go, wziął listy schował i ślub się odbył, jak gdyby nigdy nie było zaszło. Po odbytej uroczystości i obiedzie, nowożeńcy pojechali zaraz. Dopiero z przybyciem do Mediolanu, Garibaldi oddał listy swęj żonie, dając słowo honoru, że ich nie czytał, prosił ją, by mu przebaczyła, że ślub brał, wiedząc, że kogo innego kocha; niemógł jednak inaczej zrobić, bo trzeba było uniknąć skandalu, a dowiedział się zaś o tém przed samem wyjściem do ślubu. Prosił dalej żeby się uważała za jego córkę a nie żonę i że może zaraz jechać gdzie chce, on jęj zaś zawsze w każde miejsce gdzie będzie, posyłać będzie pieniądze potrzebne na utrzymanie. Chciała, nalegała nawet, by listy te przeczytał, wzbraniał się i zaraz odjechał, ona zaś udała się do Niemiec.

Ci, co stają w obronie markizanki, utrzymują, że list pisany do owego oficera już po zaręczynach z Garibaldim, mieścił właśnie tę wiadomość: opis szacunku jaki dla niego powzięła i radość, że resztę życia swego będzie mogła poświęcić dla człowieka, który tak wielkie dla kraju położył zasługi. Prosiła następnie dawnego kochanka o zwrot listów, gdyż stosunek z nim dawno już był zerwany.

Mówią ci sami: że ta pani dowiedziawszy się potem, że Garibaldi jest ranny, prosiła o pozwolenie, by mogła przyjechać i mieć staranie o jego zdrowie. Odpisał jęj aby się nie unosiła żadnem poświęceniem i że życie na Kaprerze prędko by się jęj sprzykrzyło.

O ile w tych usprawiedliwieniach córki markiza jest słuszności; ile winy w tym stosunku trzeba przypisać uporowi generała — nie mogę rozstrzygać.

Tyle o markizance — wracam do dalszego opisu pobytu na Kaprerze.

(Ciąg d. nast.)

Korespondencja „Kaliny“.

S. R. w P. Jak dogodniej — pruską monetę przyjmujemy według kursu krakowskiego, jak jest podawany w „Czasie“.

Pani L. K. Drezno. Z powodów nie od nas zależnych, drugi artykuł Pani musiał być odłożony na później.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca TADEUSZ WOJCIECHOWSKI.



Wychodzi co sobota o godzinie 9. rano.

Prenumerata miejscowa wynosi: *rocznie* 6 złr., *półrocznie* 3 złr., *czwórcrocznie* 1 złr. 50 c. w. a.— Z przesyłką pocztową: *rocznie* 7 złr. 20 c., *półrocznie* 3 złr. 60 c., *czwórcrocznie* 1 złr. 80 c.— *Prenumerata zagraniczna* bez mór i bez nut *rocznie* 8 złr. 30 c. w. a.
Mody i kroje *rocznie* 3 złr. 30 c., *pół-*

rocznie 1 złr. 70 c., *czwórcrocznie* 90 c. w. a.
Nuty *rocznie* 1 złr. 25 c., *półrocznie* 65 c., *czwórcrocznie* 35 c. w. a.
W Krakowie prenumerować można w biurze redakcyi: ul. mikołajska 458, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni Wgo. Czecha.
We Lwowie można prenumerować i odbie-

rać w agencji Herecka i Arnolda na Halickiem.
W Poznaniu w księgarni Mieczysława Leitgebra, Hotel du Nord.
Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c. następnie po 4 c. Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

Od Redakcyi.

Prenumeratę na „Kalinę“ dla Poznańskiego i Prus przyjmuje księgarnia Mieczysława Leitgebra w Poznaniu, Hotel du Nord. Również i przesyłkę numerów dla wszystkich nowo przybywających Prenumeratorów z tamtąd załatwia też księgarnia.

Narady kobiet w Lipsku i kongres dla nauk społecznych w Manchester.

(Dokończenie.)

W Manchester w liczнім zebraniu męzkim było i kilkanaście kobiet. Szczególniej odznaczyły się dwie: *Maryja Walker* i *Barbara Bodichon*. Pierwsza przybyła w uniformie wojskowym chirurga armii północno-amerykańskiej i brała żywy udział w dyskusyi. Druga wystąpiła z energiczną mową, żądając praw politycznych, prawa głosu dla tych kobiet, których mężowie nie zastępują. Mowa ta dała powód do żywych rozpraw nad obywatelskim stanowiskiem kobiet i emancypacją ich, przyczem głosy kobiet, w połowie z grzeczności (jak mówią sprawozdania), oklaskami obsypywano. Należy tu przypomnieć czytelniczkom, że o ile w Anglii i Ameryce panny większej używają swobody niż u nas, o tyle mężatki więcej są skrupowane, tak dalece, że *Miss Martineau* w dziele swoim „o stanie towarzyskim“, nazywa je niewolnicami. Powód tego leży zapewne w usposobieniu tamtejszej ludności męskiej, z czego dalej pewne zwyczaje wypłynęły. Niema zaś nie trudniejszego, jak zmienić wkorzenione zwyczaje i wpłynąć na usposobienie, a ta zmiana musi poprzedzić zmianę stosunków społecznych i prawnych. Lubo więc naj-

znakomitsi pisarze angielscy, jak *Jon Stuart Mill* stawiają rzecz co do politycznych praw kobiet jako już rozstrzygniętą w teoryi i uważają, że niema już potrzeby rozprawiać nad tém, czy kobiecie pozbawionej opieki męskiej i zmuszonej działać samoistnie, należą się obywatelskie prawa, czy nie; jednak w praktyce daleko jeszcze do tego. Zwłaszcza, że w Anglii (a cóż dopiero gdzieindziej) jeszcze dotąd większa część ludności męskiej nie posiada pełni praw obywatelskich; i dopiero teraz domagają się wszyscy pod tym względem reformy. W Ameryce toczy się również rzecz o prawa rasy czarnej. Jest więc rzeczą naturalną, że dopiero, kiedy te sprawy w zupełności przeprowadzone zostaną, i sprawa kobiet podjęta i przeprowadzona będzie. Prawa i instytucje są wynikiem panujących przekonań i wyobrażeń, skoro te się zmieniają i prawa reformom uleść muszą. A jedynym środkiem do tego przeobrażenia jest oświata, rozechodząca się w coraz szerszych kręgach na niższe warstwy.

Powody te czul widać i kongres w Manchester, bo jakkolwiek przyklaskiwano wnioskom o emancypacji kobiet i udzieleniu im praw politycznych, jednak nie przyszło do żadnej stanowczej pod tym względem uchwały. Natomiast kongres zstąpił na ciaśniejsze pole wymagań ekonomicznych, w czem zeszedł się z uchwałami narad odbywanych w Lipsku. Postanowiono utworzyć stowarzyszenie, aby kobietom uboższych warstw społeczeństwa otworzyć szersze pole zatrudnienia i zarobku. W krajach, gdzie ludność robotnicza, mężowie i żony i dzieci nawet muszą na życie pracować odosobnieni po fabrykach z wielkim uszczerbkiem dla zdrowia, dla życia

rodzinnego i dla wychowania*), w krajach, gdzie w skutek ciągłego pomnażania się ludności coraz droższe się stają wszelkie środki do życia; tam wszelkie usiłowania, aby dla pracy kobiet otworzyć szersze pole, aby pracę tę ułatwić i z fabryk sprowadzić do domu, noszą na sobie cechę prawdziwej miłości bliźniego i trafnego potrzeb rozumienia. U nas, gdzie przemysł dopiero się budzi, niema dotąd i długo jeszcze nie będzie podobnych potrzeb. Są jednak i u nas już pewne potrzeby, którym zaradzić trzeba — mają one wiele wspólności i podobieństwa z temi, względem których naradzano się w Lipsku. Postanowienia więc tych narad nie powinny być obojętne dla pań naszych. Uchwalono tam:

- 1) Że należy zakładać stowarzyszenia produkcyjne kobiecej pracy. Celem ich jest ułatwienie odbytu i rozpowszechnienie prac kobiecych, jako to: wyrobów krawieczyzny, szycia, haftów itp. Do tego mają służyć wspólne sklepy, bazy, bióra następczące pracę, wystawy przemysłu kobiecego tak gospodarskiego jak i innego.
- 2) należy zakładać i urządzać szkoły przemysłowe żeńskie w tym celu, aby dziewczęta w specjalnej jakiejś gałęzi wykształcać się mogły i miały zabezpieczony los, mając chleb w ręku; aby mogły specjalną pracą swoją przyjść w pomoc rodzinie i sobie samęj w razie nieszczęścia, sieroctwa itd.
- 3) Należy zakładać gospody dla służących.

Jest to i u nas bardzo liczna klasa ludności, a wiadomo wszystkim jakie tam jest zaniedbanie co do oświaty i moralności. Jak każdy zawód rzemieślniczy, tak i zawód służebny winien mieć swoje gospody, podające przytułek, będące zarazem biurami wywiadowczemi dla znalezienia miejsca służącym i polecenia ich. Przez co i dobre służące prędko znajdują obowiązek i panie będą miały lepszą rękojmię ich sprawowania się, dotychczasowe bowiem świadectwa w książeczkach służbowych nie wiele dawały rękojmi. Każda światła kobieta rozumie, że służąca to nie rzecz, albo niewolnica, ale bliźni, mający równe prawa do oświaty i szczęścia — a im mniej ma oświaty, tém więcej ma praw do opieki. Zresztą podniesienie moralnej wartości klasy służebnej może wyjść tylko na korzyść całego społeczeństwa. Sprawą więc takiej gospody panie, jako interesowane — szczerze się zająć winny.

- 4) Okazała się także potrzeba stowarzyszeń nauczycielek prywatnych, guwernantek, których celem byłaby wzajemna pomoc i założenie kasy emerytalnej.

Jest to sprawa, która i u nas jest naglącą. Wiadomo,

*) W Anglii pracuje obecnie po różnych fabrykach 802,900 kobiet — drugie tyle zarobkuje w domu.

że dla kobiet niemających, więcej wykształconych, nauczycielstwo jest prawie jedynym u nas sposobem utrzymania. Tymczasem szkół publicznych żeńskich, w którychby takie nauczycielki pomieszczenie znalazły, jest zbyt mało, a nawet i przy tych płaca tak jest lichą, że prawie niepodobna, aby na przyzwoite utrzymanie wystarczała. Pozostaje nauczycielstwo prywatne, a któż nie zna trudności, upokorzeń połączonych z niem — a prócz tego zatrudnienia takie nie zabezpieczają jutra i przyszłości. W razie nieszczęścia, dłuższej choroby, kalendarza, starości, jakież los kobiet oddających się temu zawodowi? Stowarzyszenia więc podobnego rodzaju są konieczne, celem ich powinna być pomoc moralna i materyjalna.

Oto są rezultata owych dwóch narad za granicą. Umieściliśmy sprawozdanie z nich o tyle, o ile nas obchodzą, tj. o ile naszych stosunków i potrzeb dotyczą. Korzystanie z rezultatów tych narad zależy od uznania i dobrej woli naszych Czytelniczek.

ŻONY NIEWOLNIKÓW.

IV.

Noc z 22. na 23. stycznia.

(Ciąg dalszy.)

Była to noc wilgotna. Na polach leżał jeszcze śnieg biały, ale po drogach i ścieżkach już potopniało, i tam, gdzie koła lub nogi wydeptały ślady, stała woda lub błotniste potworzyły się kałuże. Czasami księżyc bladej przez szczeliny chmur wyzierał, jakby oczekiwał na coś strasznego, co się stać miało na ziemi.

Drogą ku dworowi, opisanemu w pierwszym rozdziale naszej powieści, szło dwóch ludzi chlapiąc się w roztopach. Koło kuźni zatrzymali się, jeden z nich rzekł:

— Czekajcie na mnie Marcinie, za godzinę wrócę do was, pójdziemy razem.

Marcin wszedł do chaty — towarzysz jego poszedł do dworu.

Dziedzie siedział w jadalnej sali w krześle poręczonym, zapatrzony w ogień płonący na kominie — wyglądał w tej nieruchomej postawie jak stary portret, tylko że w twarzach zapyłonych portretów buta i wesołość, a u niego boleść i strapienie. Czekał powrotu córki, która wyjechała do miasteczka uprosić Kryłowa, by jej pozwolił widzieć się z mężem i zadumał się stary o smutnych losach swęj ziemi. Obudził go z zadumy skrzyp otwieranych drzwi — wszedł Jan. Trudy i niewygody, które znosił w tułactwie po lasach kryjąc się przed żołdakami moskiewskimi, nadały twarzy jego wyraz ostry, trochę dziki, był w ubraniu powstańca, rewolwer błyszczał mu za pasem.

— Jan? — rzekł dziedzie, wyciągając ku niemu rękę — co znaczy ten ubiór, ta broń? —

— Rozpoczynamy powstanie. —

— Szaleńcy. —

— Mój opiekunie, nie czas na refleksyje, gdy kość już rzucona. Proskrypeyja przyspieszyła katastrofę, więc naprzód. Opiekun odebrałeś zapewne przed kilkoma dniami dwie skrzynie z zagranicy — jest w nich broń przeznaczona dla nas — ludzie bez broni czekają w lesie, dziś w nocy uderzamy na miasteczko. — Ty z nami, stary żołnierzu, poprowadzisz nas do zwycięstwa. Prawda?

— Chyba na nieochybną śmierć.

— To nam wszystko jedno, byle na mogiłach naszych słycać było głosy wolnego narodu.

— Nie, przez Bóg żywy na to nie pozwolę. Zrywacie się jak wążły chłopczyzna na olbrzyma, zngiecie was jego potęgą, zgubicie kraj. Nie, broni nie dam — dość już zawodów — dość ofiar.

— Za mało ofiar. — Gdyby wszysey cierpieli, gdyby każdemu jarzmo niewoli zraniło kark, niepotrzebowalibyśmy dziś wołać, budzić, cierpienie ruszyłoby cały naród i rzuciło na wroga. — Ale za mało cierpielimy, zanadto wielom jest dobrze i żal im tę odrobinę szczęścia jakiej używają w niewoli ponieść na ofiarę dla wolności. Opiekunie — ta broń to nasza własność, ja żądam jęj. —

— A ja kładę protest przeciw temu żądaniu. Janie, nie gub siebie, nie gub nas, jeszcze czas nie nadszedł. Starzec prosi cię, zostań. Gdy przyjdzie czas, ostatek sił moich oddam wam, ale dzisiaj wstrzymajcie się. — Janie, ja byłem ci ojcem, dziś odwołuję się do praw moich. —

— Byłeś mi ojcem, wychowałeś mnie, wyciągnąłeś mnie z nędzy i ciemnoty, pokazałeś mi sławę i świetność mojego narodu i chcesz bym teraz spokojnie chodził w jarzmie niewolnika i w milezeniu gryzł łańcuch, co nas uciska. Nie, chcę walczyć. Choćby zginąć, byle na kilka chwil przed śmiercią uczuć się wolnym.

— Ja na to szaleństwo nie zezwolę — nie wydám broni. —

— Pójdziemy z kijami, z gołemi rękami na bagnety moskiewskie — a nasza krew na was, coście jak Piłaci umyli ręce — obojętność nie uratuje was od katastrofy, pociągnie was jak ofiary, gdy nie chcecie iść jak bohaterowie.

Proroczy ogień tlał w żrenicach młodego powstańca, gdy mówił te słowa — słowa jego przeleciały jak piorun nad siwą głową starca — pożegnał go i wyszedł spiesźnie, bo zbliżała się już chwila napadu i nie czas było zwlekać. Schodząc na dół, wstąpił po drodze po Marcina.

Kowal przygotowałszy się do wyprawy, usiadł był na nieposlaném łóżku — czekał na Jana i czekając

usnął ze znużenia. Na kominie migotało łuczywo i drzące i niepewne blaski rzucało na izbę — w kołysce spało małe dziecko. Wszystko zdawało się tak ciche, spokojne, szczęśliwe. Marcinowi się śniło, że przebył już ciężkie boje, że wrócił do cichego mieszkania swego, żona witała go uśmiechem, mały dzieciak z kołyski wyciągał ku niemu drobne rączkęta — ten spokój napawał duszę jego dziwnym urokiem szczęścia. Wtém zbudziło go z tych miłych marzeń uderzenie w szyby, przetarł oczy, przypomniał sobie straszną rzeczywistość, wziął siekiere w rękę i wstał. Brzęk szyb zbudził i Tereskę, strwożona przeczuwając coś złego, zerwała się z poscieli — zobaczyła męża przybranego do drogi, obok niego Jana uzbrojonego.

— Na Boga, co to jest? Gdzie wy idziecie?

— Idziemy bić się za ojczyznę — rzekł Jan, całując siostrę w czoło.

— Na rany Chrystusowe, ja was nie puszcę, ja nie chcę, żebyście wy zginęli.

Jan wziął ją za rękę, poprowadził do kołyski dziecka i rzekł poważnie:

— Tyś wykarmiła to dziecko, wychowasz je bezsennemi nocami, strapieniami, trudem — a gdy syn podrośnie, Moskal wpadnie jednej nocy, porwie ci syna i zapędzi gdzieś daleko, że go nie zobaczysz więcej, chyba gdy wróci kaleką. — My idziemy bić się za to, by twój syn nie był więcej niewolnikiem.

Tereska stłumiła gwałtem płacz w piersiach i siłac się na spokój, rzekła:

— Idźcie. — Niech was Bóg prowadzi.

Dwaj powstańcy wyszli z chaty i poszli drogą ku lasowi.

Jan milczał przez całą drogę — straszne myśli go trapiły. Liczył na udanie się napadu na miasteczko tylko w tym razie, gdy powstańcy będą w jaką ilość broni zaopatrzeni, bo w mieście była dość silną załoga. Tymczasem broni nie było, cofnąć się nie było podobna, bo umówiono się już z mieszkańcami miasteczka i na godzinę dwónastą naznaczono powstanie. Było już po jedynastej — już nie czas było odwołać. Szedł więc naprzód z oczyma zamkniętymi, naoslep, bez wiary w zwycięztwo, zwątpienie szarpało mu piersi.

Tymczasem w miasteczku był bal — wydawał go kapitan Kryłow dla Konstancyi, o którą się oświadczył. I dziwna rzecz, że Konstancyja ani się sprzeciwiała temu, ani się gniewała — z uśmiechem trochę ironicznym przyjmowała oświadczenie, słuchała rad i namów swojego stryja, a gdy żądano od niej odpowiedzi, rzekła:

— Wszak wy mówicie za mnie, układacie się za mnie, ja się nie sprzeciwiam, czegoż więcej chcecie?

Wszyscy więc uważali rzecz za skończoną, mileżenie Konstancyi za przyzwolenie — kładła tylko jeden warunek, aby jęj dano czas do namysłu do końca stycznia.

Nie uważano za potrzebne sprzeciwić się temu kaprysowi kobiecemu.

August szalał z rozpaczy, niemógł zrozumieć postępowania Konstancyi — kobieta, która wysyłała go dla ostrzeżenia owych ludzi z lasu, dziś nie sprzeciwia się iść za ich wroga — silił się rozwiązać tę zagadkę, głowa mu pękała, boleść mąciła mu zmysły.

— Pani, Konstancyjo — prosił jednego wieczora — przez Boga co pani robisz?

— Chcę nie być niewolnicą, czy się to panu nie podoba? —

— Ja pani pojąć nie mogę.

— Może pan pojmieś kiedy.

Na kilka jednak dni przed balem August nie wiadomo dla jakich powodów był spokojniejszy i nie wyrzucał już nie Konstancyi.

Bal odbywał się w mieszkaniu burmistrza, bardzo wiele osób zgromadziło się, nawet tacy, którzy dawniej nie żyli z burmistrzem i krzywo na niego patrzeli, dziś przyszli. Burmistrz zacierał ręce z radości, kontent był, że wszyscy zgodzili się w końcu iść drogą, którą on szedł. Był pewnym, że i Kryłowowi ta lojalność się spodoba. Kryłowa nie było jeszcze — mała okoliczność wstrzymała go w domu. W chwili, kiedy już wychodził na bal, jakaś dama czarno ubrana zastąpiła mu drogę i prosiła o posłuchanie.

— Niemam czasu — później.

— Panie, ja tu czekam już dzień cały prawie.

— Czego pani chcesz?

— Widzieć się z moim mężem, dowiedzieć się, co się z nim stanie.

— Jak się nazywa mąż pani?

— Maurycy R.

— Co? ten łotr. Jutro wywożą go do cytadeli.

— Panie kapitanie, pozwól pan zobaczyć się z nim choć raz ostatni — prosiła Anna ze łzami.

— To być nie może.

— Ulituj się pan, albo nie jesteś człowiekiem.

— Ja Moskal, a wy Moskali nie uważacie za ludzi.

Chciał już odchodzić, gdy nagle coś mu wpadło do głowy.

— Dobrze, będziesz pani widziała się ze swoim mężem.

Anna chciała mu dziękować.

— Jeden tylko warunek. Dziś bal u nas, pani będziesz na balu — tam każę przyprowadzić jęj męża, będzie się przypatrywał, jak pani tańczyć będziesz ze mną.

— O jak pan jesteś twórczym w pastwieniu się.

— Potem pozwolę wam rozmawiać ze sobą — zostawiam pani wolność wyboru.

Chciała go jeszcze prosić — odepchnął ją i poszedł na bal, stąpając ostrożnie po kamieniach, aby nie powalać lakierów.

Choć wszyscy już goście byli zgromadzeni, nie rozpoczęto jednak balu aż za przybyciem kapitana, był to satrapa powiatu. Gdy wszedł, rozpoczęto tańce. Konstancyja ubrana w białą suknię, tańczyła także, ale twarz jęj białą marmurową nie zarumieniło zmęczenie, oczy nie brały udziału w zabawie, usta były bez uśmiechu, zimne, zamknięte — zdawało się, że posąg Galatei ubrany w suknie i kwiaty, porusza się, ale nie czuje jeszcze. Czasami wzrok jęj głęboki, dziwny, zwracał się ku Augustowi, który roztargniony, niespokojny stał przy oknie i zdawał się na coś oczekiwać. Spojrzeniami rzucali sobie jakieś tajemne znaki i porozumienia.

Muzyka zagrała mazura. Kryłow zły poskoczył do fortepianu:

— Małczat' — kadryl.

Zaczęto kadryla — w tę chwilę w progu sali stanęła jakaś postać niewieścia, czarno ubrana, chwiejąca się z osłabienia, jak lilija nad wodą — postąpiła na środek sali i głosem zmęczonym, słabym, rzekła:

— Jestem panie kapitanie.

Kapitan uśmiechnął się złośliwie, z dziwą radością i wydał żandarmowi stojącemu przy drzwiach, jakiś rozkaz. — Goście przypatrywali się tęj całej scenie pomieszani, patrzeli pytająco po sobie, nierozumiejąc co znaczy widmo tęj kobiety bolesnej na balu. — Kapitan zbliżył się do Anny, podał jęj rękę i stanął z nią do kadryla. Przy czwartęj figurze zwrócił się do nięj z galanteriją i rzekł, pokazując na drzwi pobocznego pokoju:

— Patrz pani jaki ja słowny — tam mąż pani.

Rzeczywiście we drzwiach pod strażą dwóch żandarmów stał Maurycy w kajdanach wynędzniały i zmieniony — patrzył na bawiących się — na żonę swoją tańczącą z kapitanem — w oczach miał pioruny oburzenia i rozpaczy, usta zaciśnięte z boleści jak grobowiec.

— Przez litość panie kapitanie pozwól mi odpocząć — iść do niego — prosiła Anna nieprzytomna już prawie.

— Później, później — pani jesteś jeszcze tak błądą, w tańcu rumieńca pani nabierze, będziesz się bardziej podobać mężowi.

To mówiąc, chwycił ją w pól, krzyknął walca i porwał ją w taniec. Omdlała z nadmiaru męczarni i upadła wysunąwszy się z rąk katownika.

Goście zdrętwieli z przerażenia, w straszném milczeniu przypatrywali się srogim wybrykom Kryłowa i niektórzy rzucali sobie spojrzenia, na których mógł człowiek badawczy przeczytać wyraz: zemsta.

August przesunął się koło więźnia i szepnął mu:

— Miej nadzieję.

Kiedy omdlałą otrzeźwiono i na nowo rozpoczęły się tańce i zabawy, wszedł do sali obłąkany ojciec Konstancyi ze szklannym wzrokiem, rozczochranemi włosami, obwinęty w jakieś płachty i kawałki odzieży.

Staął, spojrzął na bawiących się, potem coś palcem pisał po murze i mówił:

— Baltazarowe uczty — *mane, tekel, fares.*

Burmistrz zapęrzył się z gniewu, że waryjat mięsza im zabawę — skoczył ku niemu i chciał go wyprowadzić, gdy w tém w mieście odezwały się strzały i powstała wrzawa wielka.

Kapitan zbladł ze strachu, despota drzał jak tchórz — spojrzął po biesiadnikach, w oczach ich patrzących na niego surowo, czytał wyrok śmierci. Konstancyja rozśmiała się dziko, szyderezo z trwogi kapitana. Czuł, że tu niebezpiecznie dłużej zostawać, chciał biedz ku drzwiom — August z rewolwerem w ręku rzucił się na niego, chwycił go silnie pod gardło i przytrzymał. Żandarmów rozbrojono. — Maurycy tulił już żonę w swoich objęciach — wielu mieszczan wybiegło na ulicę wziąć udział w walce. — Burmistrz gdzieś przepadł bez śladu. Kobiety strwożone tuliły się do siebie — jedna tylko Konstancyja z twarzą bohaterki stała — huk strzałów i wrzawa bojowa na ulicach zarumieniły jęj twarz zapalem — w oczach błyskała odwaga i radość. August stał wciąż jeszcze na środku pokoju, trzymając kapitana i oczekując w milezeniu końca walki. Wrzawa zbliżała się coraz bardziej ku sali balowej — okna trzęsły się od strzałów, parę kul uderzyło w okna i uwięzły w suficie. — Już na schodach słyhać było krzyki i stapanie, już w sieni rosła wrzawa i hałas — otworzyły się wreszcie drzwi i wpadli żołdacy moskiewscy wołając: sława Bohu kapitanie!

(Ciąg d. nast.)

Pogrzeb dziecka.

Przed furką kościoła — pod cieniem kaliny —
Zatrzymał się wózek ciągniony wołami,
Na wózku leżała trumienka dzieciny
Z deszczek, skromniuchna — ozdoba kwiatami.
Za wózkiem w tém miejscu, gdzie ludzi gromadka
Płacz słyhać czasami — to zapewne matka.
I jeszcze rzecz jedna — pies z sierścią kosmatą,
Z zwieszonym ogonem stał tam nie daleko —
I patrzy w trumienkę — a z ślepiów lzy cieką.
Pies nieraz z tém dzieckiem się bawił przed chatą.

Otworzyła się furtka i dzwonek cmentarny
Zajęczał z dzwonnicy dziecku powitanie —
Wchodzi garstka ludzi i nad grobem stanie —
A orszak żałobny zakończył pies czarny.

Ksiądz trumnę przeżegnał — spuszczone ją wkrótce,
I ludzie nań ziemi rzucili po grudce —
Rzucili po grudce i pacierz zmówili
I poszli i miedzą do wioski wrócili.

U świeżej mogilki, co pod rydlem rośnie,
Pies został się tylko i wyje żałośnie,
I grzebie łapami, bo niema już komu
Go płakać i biegać z nim około domu. —

Amelia P.—

Z PRZYRODY.

Świat podwodny morski i jezierny.

(Ustęp z książki świata roślinnego, przez Dr. Karola Mullera.)

(Dokończenie.)

Wspanialszą jeszcze jest roślinność morska. Ona powstaje w wodach słonych z owych Wodorostów, które w ogólności nazwiemy Morszczynami (*Fucus*). Morszczyny tworzą w morzu swoje pierwolesia, gęstwiny i knieje, u nawet swoje morskie niwy; możemy bowiem za takie uważać owe rozległe zarosty Webła pospolitego (*Zostera*), jednej z niewielu roślin kwiatowych, żyjącej w wodzie morskiej. Gdyby nie było Morszczynów, wówczas morze byłoby podobne do martwej pustyni; żadne z owych zwierząt, które uprzyjemniają teraz żeglarzowi niejedną nudną chwilę, niemogłoby żyć w morzu, bo bez roślin nie miałoby tój wielkiej pośredniczki, która z nieorganicznego państwa, tworzy organizm, przydatny do żywienia zwierzęcia. Teraz dopiero pojmujemy, co *Burmejster* mówi o swoich podróżach po Oceanie: że obszary Morszczynów (*Fucus*) są obszernym polem dla zoologicznych badań, i że ukrywają w swoim łonie niezliczone, najrozmaitsze zwierzęta.

I tu także jak w bagnie: mniej doskonałe musi służyć doskonalszemu. Niepodobna jest dokładnie opisać roślinności morskiej — rozmaitość jej nierównie większa niż na lądzie. Mowa ludzka nie potrafi plastycznie opisać tój obfitości. Tu na wybrzeżu koło palów i skały czepiają się niepozorne Głony i Szrubnice (*Spirogira*); tam dalej na głębini już dziedzina najdziwniejszych olbrzymich Morszczynów. Tam Watka (*Ulva lactuca*) rozściela swoje szerokie, kędzierzawe zielone lub fioletowe liście; tu falują sploty gałęzi Grzebycznie (*Plocamium*) i Drzewlinek (*Ceramium*) na prześlicznym karminowym podestłaniu; tam z głębiny podnosi się trzon Błaszeńca (*Laminaria*) do powrozu podobny i czepiając się korzeniami podwodnych skał, wychyla swoją wachlarzowatą oliwkowozieloną, liściastą wiechę ku światłu; na jego pniu porastają — podobnie jak, w lasach zwykle Liszajce i Mchy — językowaty liść Żebrowca (*Delesseria*), w prześlicznych karminowych kolorach; pomiędzy nimi jakby dłuższe wstęgi falują w żarzącej purpurze galaretowate grube Błonkowce (*Halymenia, Iridea edulis*);

tu wystrzela z wielkiej głębi *Blaszeniec cukrowy* (*Laminaria saccharina*) w postaci wstęgi szerokiej i długiej — słowem już na wybrzeżach północnej strefy, np. Helgolandu, powtarza się pod wodą cały obraz dziewiczych lasów. W południowych morzach pojawiają się olbrzymie postacie *Lesoniów* i *Wielkomorszczołów* (*Macrocytis*). Z ostatnich np. *Wielkomorszczoł gruszkaty* (*Macrostis pyrifera*) wyrasta do kilkuset stóp długi w południowych morzach, i przechodzi wielkością swoją największe olbrzymy drzew na ziemi; znajdowano bowiem egzemplarze na 338 stóp paryskich długie. Jak ogromną byłaby ta roślina, gdyby zamiast wstęgowatego liścia i poziomego rozestania w wodzie miała pionowy kierunek wzrostu. Do najdziwniejszych zjawisk należą owe sławne niwy morszczyznowe wśród Atlantyku. One są znane raczej pod nazwą morszczyznowych zaścieli. Jest ich zaś troje: tak zwana zaściel *Sargasso* (*Mar de sargasso*) między 1° i 34° szerok. północnej; pomniejsza zaściel między wyspami *Bachama* i *Bermuda*, a trzecia — na Oceanie Spokojnym u wybrzeża Kalifornii. Ich obszar ryczałtowo biorąc, jest siedm razy większy od całej Francji, a składają się wyłącznie z pływających *Morszczyznów* gatunku *Morzypla* (*Sargassum bacciferum*). Wielka także morszczyznowa zaściel, koło której każdy żeglarz, płynący z Europy do Ameryki, płynąć musi, leży między Azorami, wyspami Kanaryjskimi i wyspami Zielonego przylądka (*Cap Verd*). Zнали ją już starożytni żeglarze, a jeszcze Fenicyjanie wspominali o galaretowatym morzu z tamtej strony słupców *Herkulesa* (cieśnina *Gibraltaru*), kędy miały ugrzezać okręty. I *Krzysztof Kolumb* doznał na tej morszczyznowej niwie wiele trudu; bo rośliny te jako tamujące pochod okrętu, i jego okręt wstrzymywały w żegludze, załoga więc uważała dalszą podróż za zgubną i zażądała odwrotu. Z daleka zaściel ta zdaje się w istocie dosyć gęstą, i zdaje się, jakby po niej można stapać. Jeni-jaluy twórca jeografii fizycznej morza (hydrografii) Amerykanin *Maurycy*, wyłożył dokładnie powody niezmiennej trwałości tych niw. Mówi on tak: „Jeżeli wrzucimy kawałeczki np. korka, plewę albo jaką inną pływającą rzecz na miednicę z wodą i wprowadzimy wodę w wirowy obrót, wtedy te lekkie ciała zgromadzą się w środku miednicy; ponieważ tam woda zachowuje się najspokojniej. Tak samo dzieje się na Atlantyku. Wyobraźmy go sobie jako olbrzymią miednicę. Jego wodę wprowadza w ruch częścią kolosalny prąd *Golfstrom* od *Indy Zachodnich* ku północnemu *Lodowatemu* morzu zmierzający; częścią drugi równikowy prąd — od Ameryki na poprzek Atlantyku aż do Afryki; a spokojny środek jest właśnie owym miejscem, gdzie się znajdują morszczyznowe zaściela. Dla tego nie jest to koniecznym, ażeby te *Morszczyzny* tam rosły, gdzie się znajdują; owszem jest prawdopodobnym, że od wy-

brzeży, koło których woda jest w ruchu, pędzone bywają ku spokojnemu środkowi Atlantyku.

Niemniej zajmującym jest drugie zjawisko, które zdawien dawna wywierało wielki wpływ na zdania i drogi żeglarzy, mianowicie znajdowanie się tak zwanych *Wodorostów wapiennych* w roślinnej dziedzinie morza. Są to *Wodorosty*, które zewnątrz pokryły się wapienną skorupą. Ich liczba nie mała. To zjawisko — jak mi się zdaje — zgadza się z powyższym wymienionym wypadkiem, że rośliny wód słodkich mogą wydzielać z wody wapno i magnezję. Prawdopodobnie te rośliny wydzielają także z ukwasorodzonego węglanu wapna, zawartego w słonej wodzie, jeden atom węglanu, aby dostać z niego na swoje wyżywienie węglika, przeto wydzielone nieroztwarzalne wapno zatrzymuje galaretowatą powierzchnia rośliny i tworzy naokoło siebie twardą skorupę. W taki sposób rośliny morskie wykonywują całkiem to samo, co solanki w jeziorach. I one także przyczyniają się do tworzenia kredowych pokładów na dnie morza, i podwyższają je powoli.

Z rękopisu *Hipolita Witowskiego*, który wyjdzie w Wydawnictwie dzieł tanich i pożytecznych.

KAPITRA.

(USTĘP Z PAMIĘTNIKÓW.)

(Dokończenie.)

Jednego wieczora generał myśląc że tém lepsze da o sobie wyobrażenie, zaczął bardzo wiele o socyalizmie rozprawiać. Cierpliwie słuchał go *Garibaldi*, a gdy skończył, powiedział że przyznaje, że rodzaj ludzki w niezmierniej zagrzebany jaskini więzami obciążony, próżnemi tylko zajmuje się cieniami. Rozkosze gorycz tylko po sobie zostawiają, dobro blask zwodniczy, enoty słabą mają zasadę, ale by wyjść z tej ciemnicy, trzeba pierwój skruszyć kajdany, wznieść się podwójnym usiłowaniem aż do umysłowego światła. Zbliżać się pomału do najwyższej mądrości, rozważać boską jej naturę w milczeniu zmysłów i namiętności. Wtenczas tylko wypłynąć może wolno w porządku moralnym sprawiedliwość, nauka i prawda. Bez wzniesienia się duszy do wielkiej wysokości, bez uznania powołania naszego do jakiego Bóg nas na tej ziemi powołał, nikt nie zechce gardzić zaszczytami i znikomością, bo mało uznaje panującą ciemność. Tłumaczenia sprawiedliwości ludziom, którzy zaledwie jęj cień tylko znają, wszelkie nowe prawidła tak dzikiemi się zdadzą, tak niebezpiecznemi, że jedni śmiać się będą z tych głupstw, drudzy tę zuchwałosc ukarzą. Przytoczyłem umyślnie tę rozmowę, bo całe życie generała jest komentarzem tego co mówi.

Jeszcze kilka szczegółów życia naszego na tej wyspie. Z rana kaźden z bawiących tam otrzymuje na

zawołanie śniadanie według upodobania. O 11tej zrana zastawiają śniadanie w sali, dla wszystkich razem, a o godzinie 5tej po południu obiad. Oprócz wybornych win, najwyszukańszych owoców jakie pod południową strefą się rodzą, rzadkie ptastwo dzikie, ryby, słowem wszystko co dowcip człowieka znalazł i wymyślił dobrego dla języka swego. Wesola twarz kucharza ukazuje się często we drzwiach, by się przypatrzeć czy potrawy smakują. W zadowoleniu jakie widzi po twarzach, szuka zachęty do wymyślenia lepszych. Każden co mu opowie o jakiej potrawie lub sosie, jest w największem u niego poszanowaniu, zasięga u niego rad czy tę potrawę dobrze przyrządził.

Sam Garibaldi nadzwyczajną zachowuje mierność tak w jedzeniu jak piciu, nigdy nie pije inaczéj wina tylo z wodą; kawałek jakiego mięsa, trochę owoców, są zwykłym jego posiłkiem.

Wszyscy, którzy tylko czas dłuższy bawią na wyspie, mają zaraz swe zatrudnienia, jedni uprawiają sami rolę, drudzy czuwają nad przychodem i wydatkiem, umieszczeniem lub rozechodem zboża, wina, oliwy, owoców, które się do rąk kucharza oddaje. Ze zboża najlepiej się udaje jęczmień. Nie sięją tam nigdy świeżo zebranego ziarna lecz przeszłoroczne. Nasienie jarzyn dopiero trzechletnie. Największe starania odbierają winnice, obcinanie latorośli jest celniejszym przedmiotem, wszędzie dają podpory na których łatwo się pięć latorośli, młode latorośle obcinają krótko, ażeby wzmoćniały, wino bowiem wypuszczone wyżej, więcéj ma owocu, ale prędko tam ginie.

Chodują grona bez pestek, które następnym otrzymuje się sposobem: biorą latorośl, tę przekłuwają lekko w miejscu, które powinno być zagrzebane, wyjmują rdzeń z téj części, łączą w tym otworze dwie gałązki oddzielone, okrywają wilgotnym papierem i w ziemię zagrzebują. Pewniejszem to doświadczenie jeśli przed posadzeniem zamiast obwijania papierem wtyka się w cebulę morską.

Otrzymują także z jednego szczepu grona białe i czarne, a nawet w jednem gronie trafiają się te dwa kolory. Biorą latorośle każdego rodzaju, zgniętą ją w wierzchniej części tak, ażeby się zmiażdżyły i połączyły ściśle, następnie wiążą razem i w tym stanie wsadzają w ziemię.

Zawsze z rana jedni udają się na rybołostwo, drudzy na polowanie; na wyspie są ptaki wędrownne, jako to: bekasy, ortolany, przepiórki, kuropatwy, ale téż zaraz przybywają orły i inne drapieżne ptaki i robią spustoszenie. Na górach prócz kóz dzikich, znajdują się także muffony (owca stepowa), trafiają się także króliki i zające. Najczęściéj jednak jeżeli morze spokojne, płynie się na Sardynią, obfitość zwierzyny tam tak wielka, że gdyby o niej opowiadać lub podać co w krótkim czasie zastrzelić można, wyglądałoby jak przesada my-

śliwca. Rybołostwo także obfite, stosownie do czasu i pogody, płynie się bliżéj lub daléj z małemi sieciami koło brzegu, z wielkimi na pełném morzu. Czasem wszyscy biorą w tém udział. Zawsze jednak przy zamierzonych dalszych podróżach, tak do połowu ryb lub przeprawy na Sardynią, gdzie się trzy godziny płynie, zapytują się o czas Garibaldegó, któren nadzwyczajną ma w tém biegłość.

Razu jednego pamiętam miałem mieć udział w polowaniu na wyspie Sardynii, kiedy Garibaldi zapowiedział nam rano burzę; przyzwyczajeni że jéj nigdy na próżno nie zapowie, zostaliśmy w domu. Po paru godzinach pięknej pogody, widokrag począł pokrywać się ognistą i posępną powłoką, słońce zaczynało blednąć, gładką i niewzruszoną powierzchnią wody ponure, mieniające się coraz zaciągały farby. Powleczone ze wszech stron i zamknięte niebo, mgliste wystawiało tylko sklepienie, przenikał go płomień i ziemię zdawał się przegniatać. Z piętra na skrzydle domu przypatrywałem się temu widokowi, natura była w mileczeniu, w oczekiwaniu niespokojności jakiejś, która do duszy naszej przechodziła. Gęste chmury toczyły się tłumem po powietrzu, zlewały strumieniem na ziemię, rozchukane wiatry gniew swój wywarły na morze, miotając bałwany aż na samém dnie morskiém zerwane. Wszystko huczało, gromy, wichry, fale, wszystko to połączone razem huk przerażający czyniło, unosząc się z całą okropnością swoją w ogniste krainy Afryki.

Najdłuższy nawet pobyt na wyspie, Kaprera nie może się nikomu sprzykrzyć, a szczególniej jeszcze temu, na kim natura robi wrażenie. Tyle tam obrazów przedstawia się oczom, że by te należyście oddać, trzebaby być poetą lub malarzem. Najwięcéj czasu spędzałem na Kaprerze, czasem odprowadzałem na wyspę Magdaleny towarzyszy tam mieszkających. Często śliczna Marietta towarzyszyła nam w takich wycieczkach.

Na takiej to raz przejażdżce wszczęła się dysputa o miłości, stałości mężczyzn. Jenerał opowiadał wiele zdarzeń, stawiał Polaków jako bardzo stałych, wtém hrabia T. przerwał rozmowę, podawszy Mariccie pierścionek, któren od Judyty nabył, mówiąc, żeby prosiła jenerała, by opowiedział historiją tego pierścionka, co również za dowód stałości służyć może. Zmieszanie się jenerała było tak widoczne, żeśmy się nie mogli powstrzymać od śmiechu. Hrabia T. ażeby go wybawić z tego kłopotu, powiedział, że mu go Judyta wraca, bo nie chciała tak drogocennéj dla niego zatrzymać pamiątki, lecz zrobiła tylko próbę, która ją zupełnie zadowolniła.

Jakżeż zajmujące takie przejażdżki dla nas były; wystawić sobie mnóstwo gór urwistych i dzikich, a pomiędzy niemi obszar wody zupełnie spokojnéj, którą gdy słońce pochyla się ku powierzchni morza, ubarwia ostatniemi promieniami i jak niezmierny ogień bengalski

czewonym kolorem pokrywa krajobraz i znika śpiew pięknej kobiety a często i kilku. Dodajcie do tego cały krajobraz oświetlony światłem księżycy, owe krople wody za poruszeniem wiosła, wydające się jak iskry w wodzie i jakby ślad ognia za tobą pozostawiały.

Miła gościnność jakiej doznawaliśmy na obu wyspach, była przyczyną, że zbliżający się odjazd niemiłym był dla wszystkich, jednak zamiary robione na przyszłość, kazały pożegnać właściciela i kolegów w nadziei, że wkrótce zjedziemy się na polach czynu.

Opis ryciny, mód i krojów

załączonych przy dzisiejszym numerze.

Na zimę i jesień najwięcej nosić będą paletoty ogoniaste, po najwikszszej części ubrane guipiurą, jak również szerokie obszyta jedwabne lub aksamitne. Okrycia sukienne najczęściej ubierane bywają na dwa cale ciężką matową materiją, raz lub dwa razy stembnowaną. Dawniej używane guziki ogromnego rozmiaru, dziś już nie mają miejsca. — Używanie złotych i srebrnych obrączkowych guzików, które przy jasno-niebieskich lub różowych wstążkach są przymocowane, mało się podoba, i tylko przy żączkach dosyć jest częste. Moda ta obecnie w Paryżu bardzo wzięta, nie może się nazywać brzydką — owszem przeciwnie — ale potrzebuje właściwej publiczności, ponieważ toaleta taka często musi być zmieniana. — U nas nawet jeszcze czas nie przyszedł na bardzo używane we Francji szlafroczyki, które również nie należą do strojów praktycznych, chociaż o tyle już uznają słuszność ich noszenia, że spodnie z przodu tak krótko krajają, ażeby było widać zimową suknią spod spodu; z tyłu jednak jeszcze bardzo długie robią suknie. Ma to swoje powody, ponieważ spodnica od góry jest zupełnie obcisła, więc także dla równowagi musi być z przodu skrojona krócej.

Suknie te, które nas tak łatwo mogą zająć w pięknym obrazku, wcale nie są ponętne w praktycznym użyciu; — ubierają ślicznie, ale tylko panienki i młode kobiety, dla tego nawet tam, gdzie ściśle trzymają się mody, znalazły wiele przeciwniczek.

O sukniach tyle jeszcze wspomniemy, że zupełnie obcisłe staniki bardzo mało wycięte, ciągle się utrzymują. Ażeby przedstawić najświeższe nowości jesienne i zimowe, bardzo nam przyjemnie, że możemy to uskuteczyć w dzisiejszym najnowszym angielskim żurnalu i tabeli krojów. Bardzo piękny, niezbyt długi płaszcz zimowy na Fig. I. angielskiego żurnalu, jest z mocnej podwójnej materji, tak, że zupełnie przylega. Niezbyt wielka długość tej sukni jest umyślną, ponieważ, gdyby była dłuższą, zbyt byłaby ciężką, gdyż podwójne materje zwykle bardzo są ważne. O kroju pomówimy przy objaśnieniu dzisiejszej tabeli.

Fig. II. żurnalu przedstawia jesienno-zimową suknią, nakształt szlafroczyka zrobioną, zapinaną na guziki aż do dołu, po bokach ubraną wstążkami i kutasami. Krój sukni jest w kliny, stanik gładki, rękawy obcisłe.

Fig. III. przedstawia paletot zimowy, nieznacznie tylko do figury przylegający. Szczegóły krój jego określimy w tabeli. Paletoty te robią się z podwójnej ciężkiej materji lub aksamitne, ostatnie muszą być z podszewką jedwabną i watą pikowane.

Wreszcie podaje żurnal kapelusze angielskie, które swą małością i elegancją zbliżają się bardzo do francuskich, jak zwykle wszystkie mody; zawsze jednak oryginalnością angielską nieco się odróżniają.

Tabela krojów.

Fig. I. do III. krój płaszcza zimowego pierwszej figury żurnalu. Uważmy najprzód plecki figury pierwszej: przedział od A do B oznacza szew w ramieniu, a od B do C tylne przyszyte rękawa. Ten jest oznaczony XXXX. i zgadza się dopasowaniem rękawa z Fig. III., oznaczoną od B do C, której krój także jest oznaczony XXXX. tak, że nie można się omylić. — Przeciwnie przodek tak w szyciu w ramieniu jak całego przodka oznaczony jest OOOO. i litery A. B. C. D. E. F. schodzą się we wszystkich zeszytach. Nim się wszystkie części pospaja, trzeba pierwój umocować przybory, które są oznaczone na żurnalu. Krój ten łatwo wykroić w naturalnej wielkości, jeżeli — jakśmy już raz objaśnili — będzie 48 razy powiększony. W tym pięknym i praktycznym stroju zdaje się, że zadość czynimy licznym zapytaniom o nowe płaszcze, chociaż tej zimy więcej będą używane paletoty.

Fig. IV. do VII. płaszcz paltotowy, według trzeciej figury żurnalu — to ubranie ma głównie zimowy pozór przez kołnierz duży, okrągły. Robi się z podwójnego sukna z watą i podszewką, ubiera się wstążką i guzikami, jak bliżej poznać można według żurnalu Fig. III. W przodkach robi się kieszenie — właściwie pod garniunkiem — ze wstążek jest listewka na kieszenie.

Fig. XI. do XIII. grecki żączek, odrysowany według naturalnej wielkości. Model ten z rozdzielonymi połami, ubiera bardzo zgrabnie, jest ułożony dla wzrostu proporcjonalnego średniej wielkości. Połowa objętości w górze od 43 do 44 cali. Stosunek tej miary jest wzięty więcej dla osób o których się mówi, że mają małą, zgrabną figurkę; wynosi 30 i pół cala długości w plecach, 15 cali w bokach, 16 i pół cala szerokość pleców. Objętość w pasie nie potrzebuje być oznaczoną, ponieważ żączek ten nosi się nie zapięty, ażeby widać było stanik od sukni.

Prześlicznie wygląda żączek podobny z niebieskiego lub ponsowego aksamitu, brzegi, jak to oznaczone na żurnalu, czarnemi krepinkami szeroko obłożone; używany bywa do tego także złoty lub srebrny szutaś, co szczególnie na zabawy wieczorne lub do teatru bardzo świetnie ubiera.

Dodajemy w końcu, że niektórych życzeń, abyśmy podawali kroje zawsze w naturalnej wielkości, uwzględnić żadnym sposobem nie możemy, albowiem dla większej części Sz. Prenumeratorek naszych jest to nierównie dogodniej, że kroje pomniejszone mogą podług podanej miary dowolnie do każdego wzrostu stosować — niż żeby tylko jedna proporcja podaną była.

Korespondencja „Kaliny“.

Panu J. S. w Iwoniu. Wierszyk pański zachowujemy sobie na później. O nadesłanie innych — choćby mniej lirycznych — prosimy.

Anonimowi (kluczków wiolinowego i basowego). Niestety Pani nam zarzuca w korespondencji „Kaliny“ złośliwą ucinkowość. Zarzucani ze wszech stron wierszydłami, musimy się w jaki bądź sposób zasiać przed tą powodzią, ale dla prawdziwej poezji, w której nie rymy ale głos duszy się słyszy — mamy cześć należną. Z nadesłanych nam poezyj — dwa ustępy będą drukowane w najbliższych numerach, inne później. Prosimy o pamięć.

Pani J. w Krakowie. Dziękujemy za przychylnie zdanie o „Kalinie“, ale pochwał własnego pisma drukować nie możemy.

— Dla C... nadesłano z Rymanowa od A. G. 5 zł. w. a. Proszeni jesteśmy od C., ażebyśmy w imieniu jego wynurzyli łaskawym opiekunom jego najczulsze dzięki za pomoc, która go z najprzykrzejszego położenia wydobyła.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca TADEUSZ WOJCIECHOWSKI.



Wychodzi co sobota o godzinie 9. rano.

Prenumerata miejscowa wynosi: *rocznie* 6 zlr., *półrocznie* 3 zlr., *ćwierćrocznie* 1 zlr. 50 c. w. a. — Z przesyłką pocztową: *rocznie* 7 zlr. 20 c., *półrocznie* 3 zlr. 60 c., *ćwierćrocznie* 1 zlr. 80 c. — *Prenumerata zagraniczna* bez mód i bez nut *rocznie* 8 zlr. 30 c. w. a.
Mody i kroje rocznie 3 zlr. 30 c., *pół-*

rocznie 1 zlr. 70 c., *ćwierćrocznie* 90 c. w. a.
Nuty rocznie 1 zlr. 25 c., *półrocznie* 65 c., *ćwierćrocznie* 35 c. w. a.

W Krakowie prenumerować można w biurze redakcyi: ul. mikołajska 458, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni Wgo. Czecha.

We Lwowie można prenumerować i odbie-

rać wajencyi Hercoka i Arnolda na Halickim. W Poznaniu w księgarni Mieczysława Leitgebra, Hotel du Nord.

Inseraty (stosowne) oplacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c. następnie po 4 c. Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

Przy dzisiejszym numerze dołącza się dla prenumerujących nuty: „Les Adieux“ na fortepian, i „Kołysanka“ śpiew, przez Kazimierza Hofmanna“.

Bratnia pomoc.

Jest u nas przysłowie, że kobiety wszystko mogą, co tylko chcą. Jeżeli to przysłowie jest prawdziwem, to możnaby mieć słuszny żal do naszych Pań, że tak mało chcą. Oto przykład:

W takich trudnych stosunkach, w jakich my się znajdujemy, żadne i najzacieńsze przedsiębiorstwo, którego cele i potrzeba są oczywiste — nie powiedzie się, jeżeli w każdym zakątku kraju osoby dobrej woli słowem i staraniem swoim popierać go nie będą. I tak się też u nas wydarza. Wychodzą dzienniki dla ludu, jest wydawnictwo dzieł tanich i pożytecznych itd., a wszystkie mogłyby o sobie powiedzieć: „jam jest głos wołającego na puszczy“, taka jest obojętność ogółu dla własnych swoich spraw. — Podobnie ma się rzecz i z akademickim towarzystwem wzajemnej pomocy w Krakowie. Zdawałoby się, że nie tak nie poruszy serca każdego ojca i matki, jak instytucja, która ma na celu, aby każdy młody człowiek, chcący oddać się naukom, mógł śmiało przybyć na uniwersytet, bez obawy, że nie znajdzie utrzymania, że bieda przymusi go do porzucenia nauk. Zdawałoby się, że do kogo nie przemówi ogólna potrzeba oświaty, a więc potrzeba środków ułatwiających ją, do tego przemówią chociaż inne więcej osobiste względy. Boć każda matka może sobie rozważyć, że jak na trwałość życia, tak w stosunkach naszych na trwałość majątku liczyć nie można.

W razie osierocenia, w razie utraty majątku, pozostają dzieci na łasce Bożej i na ciężkiej łasce ludzi. Ileż to więc przybędzie spokoju każdej matce, jeżeli będzie miała tę pewność, że są w kraju zakłady publiczne, które nie z łaski, bez prózb i upokorzeń, ale z obowiązku opiekują się wszystkimi bez wyjątku młodymi ludźmi, potrzebującymi pomocy, aby mogli w drodze nauki usposobić się do posług krajowych! A tymczasem cóż się u nas dzieje? Instytucja taka istnieje już od roku, a dotąd liczy zaledwo kilkudziesięciu członków popierających — a taka sama we Lwowie zaledwo kilkunastu! Pomimo ogłoszeń, na prowincyi zwłaszcza, mało kto wie o tych instytucjach, a jeszcze mniej rozumie ich ogromną doniosłość i nagłą potrzebę.

Dawniej w Polsce inne były stosunki. Do szkół wyższych uczęszczali wyłącznie tylko synowie majątnych rodziców, a obok nich i po klasztorach tuliły się gromadki biedaków, okupując służbą możność początkowej nauki. Inni chodzili z garnuszkami po domach, lub żywili się jak mogli przy posługach kościelnych. Z czasem musiało się to zmienić. Maluczcy coraz więcej do światła się garnęli, i dzisiaj już większa część młodzieży w wyższych zakładach należy do warstw ubogich. Nie zmieniło się tylko położenie jej, bo można o niej powiedzieć: że pcha biedę tém, że ucina od dołu, a u góry łąta. Powstawały wprawdzie liczne fundacyje i stypendyja; takowe jednak dzisiaj po większej części wartość swoją straciły — bo albo rozdawnictwo ich jest w niewłaściwych rękach, albo są przywiązane do warunków szlachectwa, albo są obliczone na potrzeby, jakie były kiedyś, a które do dzisiaj dzie-

sięćkroć się powiększyły. — Znać potrzeby młodzieży akademickiej i zaradzać im mogą tylko ci, którzy żyją z nią, to jest sami koledzy. Na tej zasadzie polega towarzystwo wzajemnej pomocy, i dla tego jest ono instytucją najlepiej dzisiejszym stosunkom odpowiadającą.

Nie tutaj miejsce, żeby wyliczać inne korzyści, jak rozbudzenie koleżeństwa, solidarności, opinii publicznej, praktyka w zawiadywaniu sprawami ogólnemi, wyzwolenie młodych sił z mordującego jarzma zarabiania na kawalek codziennego chleba, z pańszczyzny pochłaniającej najlepszy czas i ochotę itd... Powracamy do tego, że wbrew najslusznieszym oczekiwaniom instytucja ta nie zyskała dotąd w kraju ogólnego poparcia. Na liście członków honorowych nie czytamy wcale nazwisk posiadaczy fortun magnackich lub kościelnych, nie czytamy nazwiska ani jednej właścicielki dóbr lub kamienia, ani jednej matki. I cóż pomyśleć o stanie społeczeństwa, w którym możliwe są takie wypadki, że młodzież z nędzy życie sobie odbiera, lub obłąkania dostaje? A w ostatnich latach było kilka takich wypadków. — Oto jest także kwestyja głodowa, która zrządza dla kraju daleko większe zło, jak tamta z nieurodzajów wynika. Bo szkód, jakie kraj ponosi w zasobach umysłowych, na guldeny obliczyć się nie da. — I kogoż to nie zastanowi, że kiedy szkoły niższe są wszędzie przepelnione, uniwersytet liczy zaledwie 300 młodzieży; że potrzeby kraju wzrastają, a liczba skończonych ludzi się umniejsza.

Przypominamy więc sprawę tej instytucji zacnym Czytelnikom naszym, zapraszamy je do przystępowania na członków honorowych; zwracamy uwagę, że bez zapisów, legatów itp. instytucja ta wzrosnąć nie może, a że zakwitnięcie i ugruntowanie jej da krajowi jedynie rzetelną rękojmnię, że mu nigdy na ludziach w żadnym zawodzie nie braknie. Ustalenie tej instytucji, jest budowaniem przyszłości! Kończymy, odwołując się jeszcze raz do naszego przysłowia: niechajże kobiety wszystko chcą, skoro jak powiadają: wszystko mogą.

ŻONY NIEWOLNIKÓW.

(Ciąg dalszy.)

Role się zmieniły — bladeść zeszała z twarzy Kryłowa, a wstąpiła na twarz Augusta, którego ten niespodziewany obrot rzeczy zmieszał i przeraził. Chciał skorzystać z krótkiej chwili wolności i strzelił do kapitana, ale ręka jego w tej chwili trącona bagnetem żołnierza, zło skierowała rewolwer i strzał padł w zwierciadło. August pochwycony przez żołnierzy, puścił swego przeciwnika i z ponurym milczeniem poddał się losowi. Inni

usiłowali ratować się ucieczką — wojsko ich ścigało. Na ulicach słyhać było krzyki pijanego żołdactwa, płoch, jęki i wrzawę,

Napad więc nie udał się, pomimo, że był dobrze obmyślany — z trzech stron podeszły oddziały powstańców pod miasteczko, niepostrzeżone przez nieprzyjaciela — uderzyły niespodziewanie i w pierwszej chwili przeraziły nieprzygotowanych i rozespanych żołdaków. Ale brak broni wnet dał się uczuć. Moskale oprzytomniawszy trochę, z mieszkań swoich porobili fortece i zatarasowawszy drzwi, razili z okien naoślep gęstemi strzałami powstańców, którzy z rozpaczem ale bezskutecznym bohaterstwem rzucali się naprzód, usiłowali mimo strzałów dostać się do wnętrza domów i padali ranni. — Na domiar złego zapaliła się szopa, stojąca w bliskości koszar — pożar oświecił pole walki i pokazał szczupłe siły nacierających, co ośmieliło Moskali do zrobienia wycieczki. Temu był winien Kryłow swoje ocalenie.

Powstańcy zaś widząc niepodobieństwo utrzymania się w mieście, cofali się bezładnie za miasto przez płoty, ogrody, po za drzewami. Niejednego w takiej przeprawie odszukała kula, padał gdzie pod płotem, za jaką stodołą i konał bez świadków, wśród nocy.

Rozbitki cofali się w kierunku wioski, w której mieszkał ojeiec Anny.

Starzec po odejściu Jana był niespokojny mocno — zdawało mu się, że dobrze zrobił, że powinien był tak zrobić, a jednak teraz sumienie poczęło mu robić wyrzuty, rozsądek pasował się z sercem. Wydając broń, byłby przyłożył rękę do dzieła zapaleńców, stałby się współwinnym klęsk, jakie oni na kraj sprowadzą — ala przez zatrzymanie broni stawał się znowu winnym śmierci tych, którzy z gołemi rękami polecili zginąć bez walki. Starzec miał duszę prawą — głos tej duszy mówił do niego teraz, że niemogąc ich wstrzymać, powinien był iść zginąć z nimi. — A rozsądek mówił znowu: po co bezpotrzebnie mnożyć ofiary? Garstka się zerwała — ta garstka śmiercią opłacić musi swoje szaleństwo i będzie cicho. — To go uspokoiło trochę — usiadł znowu i modlił się za mających umrzeć. — Po chwili zerwał się znowu z krzesła i zadzwonił na służącego. Przypomnił sobie, że córka jego nie wróciła jeszcze z miasteczka, zadrzał z obawy o los dziecka, gdyby napad zastał ją jeszcze w mieście.

— Siadaj na konia, pędź do miasteczka i proś pani, by natychmiast tu wracała — nie uważaj czy koń padnie, byleś coprędzej —

W tej chwili odezwały się pierwsze strzały w miasteczku — starzec przerwał mowę i słuchał ze wzrokiem sztywnie wbitym w podłogę.

Strzały powtarzały się coraz częściej — te strzały odbijały się w jego piersiach, wiedział, że to Moskwa tak często się odzywa. Krew zaczęła zapalać się w starym

żołnierzu, przypomniał sobie czasy, kiedy wśród dymu i wojennej kurzawy słyszał takie strzały — oczy zatlily się ogniem młodości, pięści ścisnęły się mimo wiedzy. Strzały nie ustawały — płomień zajaśniał na dachach miasteczka — szeroka łuna zakrwawiła niebo. — Stary niemógł wytrzymać dłużej.

— Przez Bóg żywy, oni tam wyginą co do jednego — zaryczał boleśnie. Walenty, zwołaj ludzi — doładz broń zakopaną w piwnicy — trzeba ich ratować — spiesz się.

Począł się wojenny ruch w domu szlacheica — on sam uzbrajał się i gotował do wprawy z rycerskim animuszem.

Niestety zapóźno. Rozbitki cofały się przez wieś — lud wiejski zapał przed nimi chaty swoje, psy wyły i ujadaly. Jeszcze powstańcy nie przeciągnęli całkiem przez wieś, gdy kozacy ukazali się koło mostu goniąc ich. Niezadługo nadeciągnęła piechota i pomaszzerowała prosto ku dworowi. Czeladź już dosiadła koni, przywiązana do pana dla jego łaskawości, nie wahała się ani na chwilę wypełnić jego rozkaz. Już mieli wyruszać, gdy w bramie pokazali się Moskale. Padły strzały — konie nieprzyzwyczajone do nich, zerwały się i ponosiły jeźdźców między bagnety żołnierskie, zrzucały ich po klombach — szalały i rzucały się wśród ciemnej nocy i zamętu okropnego.

Stary dziedzie wypadł z komnat uzbrojony — już teraz nie miał innego pragnienia, tylko zginąć z honorem, po żołniersku. Los i tego mu odmówił, bo w chwili, kiedy wybiegł z ganku, jeden z przestraszonych koni uderzył go silnie w piersi tylnymi kopytami — starzec upadł w błoto i śnieg roztopiony — usiłował się podnieść, ale konie rozszalałe, co chwila przelatywały po nim jak po pomoście, tratowały go i wtłaczały coraz bardziej w śnieg roztopiony. A tymczasem po dworze hulało pijane żołdactwo, rabując, niszcząc, tłukąc wszystko. Spokojny przed chwilą dwór zamienił się teraz w wrzaskliwe piekło, w dziką arenę rozbewstwionych najezdźników, którą oświecał pożar, ogarniający stodoły i spichlerze.

Na drugi dzień z tego całego widowiska zostały szkielety popękanych, szczerniałych i okopconych murów — opalone słupy — i trochę trupów krwawiących ranami brudny śnieg. Z trudem odszukano ciało dziecka, tak głęboko wtoczyły je w ziemię końskie kopyta, pokaleczoną miał twarz, powalaną błotem i splaszczoną.

Taką śmiercią bezczestną zginął w owej nocy człowiek, który stanął z protestem przeciw wezbranym prądom burzy — upadł i burza przeszła po jego piersiach. Neutralność nie ocalila go.

V.

Ofiara.

Przed bramą więzienia stał tłum niewiast, oczekując chwili, w której wolno im było widzieć się z wię-

źniami. Widzenie odbywało się w sali sądowej — każdego z więźniów wprowadzano osobno pod silną strażą, oficer przedzierał rozmawiających, niepozwalając im zbliżyć się do siebie i uważając pilnie, aby gestem lub słowem nie dawał sobie jakich znaków porozumienia. Po pięciu minutach odprowadzano więźnia napowrót do kaźni. Takie widzenie się było raczej męczarnią niż pociechą — bo łkanie tamowało głos, łzy zasłaniały wzrok i często nieszczęśliwi rozchodzili się nie przemówiwszy słowa do siebie, nie usłyszawszy wzajemnie nic prócz płaczu, nie biorąc na długie chwile rozstania nic prócz przypomnienia swych zbiedzonych twarzy, wyrzeźbionych troskami i strapieniem. A jednak na tę krótką chwilę widzenia się z jakimś utęsknieniem czekają żony niewolników, z jakąś męką wyżebrują pozwolenia u satrapy miasteczka, jakimś upokorzeniem, przesładowaniem okupują tę chwilę. Żołnierze urągają im, odtrącają kolbami od bramy, cynicznymi żartami obrażają wstydliwą skromność dziewcz. Okropny jest los kobiet narodu, który utracił swobodę — są to nowożytny Nioby, które nigdy nie mogą skamienieć z bóleści. — Owe grono niewiast skupionych około drzwi więziennych, to ledwie jedna kartka z dziejów tych bóleści, które targają lub hartują wątłe siły niewieście. Spotykamy w tém gronie Annę. Otulona w futro, siedzi na kamieniu pod murem więzienia, obok niej jakaś wiejska kobieta zanoszą się od płaczu i tuli w ramionach chore dziecko. To Tereska, żona Marcina, który także w ową fatalną noc dostał się do niewoli.

— Daj mi to dziecię — rzekła Anna — ono skostniało już od zimna. Ogrzeję je pod futrem.

I wzięła z jej rąk dziecię i otuliła je i usypiała na rękę.

— Jakie imię daliście temu dziecku? — spytała po chwili.

— Jan.

Anna zmięszała się, patrzyła długi czas nieruchomo w siną twarzyczkę dziecięcia, jakby się namyslała i wahała nad czemś, potem spytała nieśmiało:

— Twój brat nie zginął? —

— Niewiem — między trupami go nie znaleziono.

W téj chwili szmer głuchy rozszedł się między kobietami, wszystkie z przerażeniem spojrzwały w ulicę. Dwóch cieśli siedziało na wozie i jechali w ulicę, która prowadziła za miasto. Z wozu sterczały dwa końce świeżo ociosanego drzewa — to była szubienica.

Kobiety przeszedł dreszcz zimny, każda zadrzała o życie swego więźnia, każda bała się spytać drugiej, by nie usłyszeć nazwiska swego męża, brata lub syna.

— Dla kogo to? — spytała Tereska głosem zmienionym.

— Jakiś August skazany na śmierć — rzekła Anna — wczoraj słyszałam oficerów mówiących o tém w mieszkaniu kapitana.

Kobiety patrzyły za wozem czas długi, dopóki nie znikł z oczów. Niezadługo wyszła z koszar rota żołnierzy i uszykowała się przed więzieniem, czekając na skazanego, którego eskortować miała za miasto. Czekano tylko na kapitana. Na ratuszu wybiła dziewiąta, była to godzina przeznaczona do widzenia się z więźniami. Otworzyła się brama, wyszedł oficer i odepchnąwszy kobiety cisnące się do drzwi, oświadczył: że dziś z powodu egzekucji jednego z więźniów, widzenie się jest wzbronione. Jedna z kobiet przypadła do nóg oficera i prosiła rozdzierającym głosem:

— Panie! puśćcie mnie — niech ojciec pożegna dziecko, ono chore, skona mi na rękach, jutra nie doczeka.

Była to Tereska.

Oficerowi lzy stanęły w oczach — może to był Polak, może Moskal z sercem, może i on gdzieś nad Newą zostawił żonę i dziecko, — patrzył na rozpaczającą kobietę dziwnym wzrokiem, ustami kłął ją, a oczami litował się — potem zmarszczył się ponuro, zacisnął wargi i rzekł:

— Nie lża — i odszedł, kryjąc wzruszenie przed ludźmi.

Tereska wybuchnęła gwałtownym płaczem, łamała ręce i szalała z rozpacz. Anna starała się ją uspokoić, choć sama potrzebowała pociechy — i tuliła płaczące dziecko. Wtém coś mokrego dotknęło się jej ręki, spojrziała na dół. Duży czarny pies stał przy niej i lizał ją po ręce i wymownie patrzył jej w oczy. Anna niespokojna obejrzała się wokół, zdawała się szukać kogoś wśród ludzi. O kilka kroków od niej stał jakiś chłop, który w chwili gdy spojrziała na niego, obrócił twarz w inną stronę. Ten człowiek zbliżył się potem do Tereski. Anna uważała, że coś do niej przemówił, że Tereska uspokoiła się trochę, wzięła z rąk jej dziecko i poszła za tym człowiekiem w boczną ulicę. Byłżeby to.... Zawarczały bębny — był to znak do wyprowadzenia więźnia — brama się otworzyła i ukazał się w niej August bladej, ale spokojny i pewny.

W tej chwili Konstancyja przechodziła koło więzienia — szła jakby lunatyczka nie patrząc na nikogo, nawet na więźnia nie — w chodzie jej znać było wysilenie, blada twarz zarumieniła się od pośpiechu. Szła prosto do mieszkania kapitana.

Kryłow wybierał się właśnie na egzekucyjną, stał przed lustrem i gładził włosy — za wejściem Konstancyi obrócił się i z galanterją zbliżył się do niej.

— A! Toż szczęście dla mnie, cóż panią do mnie sprowadza? —

— Pan zapomniałeś panie kapitanie, że dziś ostatni termin naszego ślubu.

Kryłow tak dalece był nieprzygotowany to usłyszeć, że osłupiał z zadziwienia.

— Jakto? Pani byś chciała. —

— Dziś albo nigdy.

Kapitan wściekł się z radości — rzucił się na Konstancyję, chwycił ją wpół i przycisnął do siebie, wydając nie ludzkie prawie głosy.

Nie broniła mu się, choć w twarzy jej boleśnie skrzywionej, w zaciśniętych ustach znać było przymus i odrazę. Odsunęła go lekko ręką i rzekła pokazując na okno:

— Co znaczy to wojsko przed więzieniem?

— Jednego z buntowczyków będą dziś wieszać.

— W dzień naszego ślubu? To zła wróżba. Kapitane, ja na to nie pozwolę.

— Jutro znowu imieniny generała. —

— Więc dwa dni zwłoki, cóż to znaczy. —

— Gubernator rozkazał dziś.

— A żona prosi: za dwa dni.

Kapitan się wahał — potem wydał rozkaz i skazanego wprowadzono napowrót do więzienia.

Konstancyja pożegnała kapitana — mówiąc: do widzenia — wieczorem.

Wyszedszy od niego, nie poszła wprost do domu, ale skręciła od kościoła w lewo w ciasną, pochyłą uliczkę, zabudowaną niskimi domkami, otoczonemi sadami. Do jednego z takich domków weszła, jakaś kobieta wyszła ku niej dygocząca od trwogi, wprowadziła ją w głąb sieni, otworzyła drzwiczki i obydwie zeszyły po wyszczerbionych schódkach do piwnicy. Kobieta owa zatrzymała się przy schodach, Konstancyja zaś poszła dalej, stąpając pewnie, choć ciemno było w piwnicy. W jednym kącie oświetlonym trochę światłem, padającym przez małe okienko z góry, leżał na słomie jakiś mężczyzna, mający nogę obandażowaną. To był brat Konstancyi. Podczas napadu na miasteczko, raniony w nogę, upadł za ogrodem tego domu. Szczęściem, że mieszkańcy spostrzegli go pierwiej niż Moskale i w tę bezpieczną wprowadzili kryjówkę. Siostra uwiadomiona o tém, odwiedzała brata tajemnie. — Obok rannego stał jeszcze jakiś człowiek. — Był to ten sam chłop, którego widzieliśmy przed bramą więzienia. Konstancyja zbliżyła się ku niemu i rzekła cicho:

— Cóż?

— Śpi teraz — dziś rano wyjęto mu kulę. Trudno mu jednak będzie uciekać z nami.

— Trzeba go będzie wynieść w chwili zamieszania — ja będę czuwać nad tém. — Szczęśliwie dostałeś się pan do miasta?

— Rozstawione patrole obrewidowały mnie silnie i puściły.

— Egzekucyja Augusta odłożona do trzeciego dnia.

— To dobrze — inaczej byłby zginął — napad odbędzie się dopiero jutro wieczorem.

Konstancyja zcierpnęła.

— Jakto — wszak na dziś ułożono —?

— Oddział nie zdąży na dziś — posuwać się może tylko nocą.

— Boże, to okropnie. Na dziś [postanowiony ślub mój z Krylowem.

— Staraj się pani odwlec.

— Gotów domyślić się, a wtedy wszystko przepa-
dło. Co tu począć? —

Oslabiona oparła się o mur, pierś jej falowała szyb-
ko, słychać było ciężki oddech.

— Żoną Moskala — to okropnie — wstrząsnęła się.

Jan patrzył na nią w milczeniu — z współczuciem.

— Ha, bądź co bądź, August żyć musi, ocalę go
za jaką bądź cenę.

— Pani odchodzisz już? —

— Czy pan masz mi jeszcze co zlecić? —

— Znasz pani żonę Maurycego R.? —

— Znam.

— Skłoń ją pani do wyjazdu przed jutrzejszą nocą —
w domu będzie bezpieczniejszą niż tu w miasteczku.

— Nie będzie chciała odjechać od męża — ona go
tak kocha.

Jan milczał chwilę — potem rzekł:

— Powiedz jej pani o całym naszym planie — tylko
nie mów jej pani o mnie.

— Pan ją znas dobrze?

— Znałem. —

Z tém rozeszli się.

(Ciąg d. nast.)

PUSTKA.

z „Tarasa Szewczenki“.

Świtem, rano ich pognano
Popisowych z jednéj gminy.
A za nimi nieszczęsnymi
Poszedł biednej cień dziewczyny.

Matka, z sercem krwią zalanem,
Ją rozłącza z ukochanym.
Rozłączyła — tłómaczyła,
Póki w grób ją nie złożyła,
Sama poszła o żebranym . . .

Lata przeszły. Wioska stoi,
Ani się zmieniła;
Tylko pustka w końcu siola
Na bok się zchyliła.

Koło pustki drogą kroczy
I patrzy z daleka
W sadek, okna — serce bije . . .
Żołnierz to — kaleka.

Darmo patrzy — czarnobrewa
Z chaty nie wybieży,
Stara matka nie przywoła
Jego do wieczerzy.

A on kiedyś był wzywany,
Ręczniki się tkwały,
Drobne rączki krasną chustkę
Pelją wyszywały.

Myślał, że swą drogę życia
Uścieli kwiatami,
A przypadło — doło moja!
Umywać się łzami.

Żołnierz usiadł. Na pierś biedną
Zchylila się głowa.
Noc zapada. W oknie pustki
Wyhukiwa sowa.

Paulin Stachurski.

Manon Phlippon Roland.

(Życiorys.)

„Francyja, mówi *Simon*, jest tak grzeczną, że ustę-
puje kobietom pierwszeństwa, nawet na gilotynie“. Grze-
czność ta ma poczęści powód w usposobieniu narodu,
ale przeważnie w kobietach samych. Kobiety zmusiły —
że tak powiem — mężczyzn być grzecznymi, współza-
wodnicząc z nimi przez najtrudniejsze i najniebezpie-
czniejsze ofiary z życia, a często szczęścia i spokoju.
I rzeczywiście przedstawia Francyja świetny szereg ko-
biet, których imiona otacza sława historyczna lub lite-
racka; albo które wdzięczna pamięć narodu błogosławi.
Nieraz rządziły Francyją kobiety, bądź to jako królowe,
bądź jako mające najwięcej wpływu na dworze; panie
Seigné, *Stael*, *Sand*... zajmują znakomite miejsce w li-
teraturze nie tylko francuskiej; a komuż nie znana owa
bohaterka ludowa, męczennica święta, owo dziewczę
z Orleanu, która niby anioł z mieczem ognistym na
czele wojsk Francyją od najazdu cudzoziemskiego wy-
zwala — a sama potem na stosie kończy!...

Ale w całej téj litanii jest jedna postać wybitna nie
wielkością pojedynczych czynów, jakkolwiek i na nich
w życiu jej nie zbywa; nie sławą pismienniczą, jak-
kolwiek jest i znakomitą autorką; nie polityczną rolą,
jakkolwiek była duszą wielkiego stronnictwa, nie nad-
zwyczajnemi przygodami dziejów wewnętrznych, serdec-
znych, jakkolwiek te właśnie walki były szkołą jej
życia i prubą ogniową! Ponad tém wszystkiém stoi ona
jako charakter, jako ideał kobiety, w całej pełni tego
wrażenia, jako wzór doskonałości ludzkiej, o ile takowa
jest możliwą; jako typ kobiety i obywatelki, przedsta-

wiającej się nie w cichém odosobnieniu domowego zakąta, ale właśnie wpośród wiru wielkich i gwałtownych wypadków, w epoce „gdzie na ogromną skalę działy się rzeczy i ogromni występują ludzie“, w epoce rewolucyi francuskiej. Przedstawia się ona jako geniusz w swojej sile, czystości i wdzięku, muza jaśniejąca i surowa w całej aureoli męczeństwa. Porwana prądem, nie zatracza nigdy charakteru, godności i cnót kobiety i pod tym to względem rozważanie jęj życia nastęrcza głębokii pożytek, podaje wzór godny zaprawdę naśladowania; podaje niejedną naukę i tysiące pociech dla dusz myślących o wartości życia. Nie polityczka i nie literatka zajmować nas będzie, ale kobieta. Większych polityczek, większych autorek, sławniejszych heroin było wiele; ale zacniejszych kobiet, ale charakterów nieskazitelniejszych bardzo mało. Rewolucyja, stronnictwa, literatura to tylko tło i dekoracyje, wśród których się odgrywał dramat jęj życia, to dopiero jedna cząsteczka jęj dziejów. Dzieje jęj serca, jęj stosunki, jęj pożycie z mężem, jęj macierzyństwo, oto pojedyncze akta, układające się na jednolity, wspaniały charakter. Będziemy się więc starali przeprowadzić ten charakter, śledząc rozwoju i urabiania się jego od lat dziecinnych aż do ofiarnego zgonu, od pierwszych porywów serca, aż do ostatniego zaparcia się, śledząc czeiwie za upadkami, (bo to rzecz ludzka, i takie tam trudne okoliczności przychodzą, że mimowolnie się je przypuszcza), ale na to tylko, aby się przekonać, że ich nie było. Rozważanie takie na szczęście jest dla nas możliwém. Spowiedź w ostatnich chwilach życia uczyniona, jest zapewne szczerą i prawdziwą; a taką spowiedź zostawiła nam pani *Roland* w swoich pamiętnikach pisanych w więzieniu, które jeden z przyjaciół z narażeniem życia uratował — i w licznych listach pisanych do przyjaciół. Czytanie tych rzeczy pozostanie na zawsze dla każdego człowieka z sercem, puszczającego myśl na wędrówkę za szczęściem, wielce zajmującym i zbawieniem, najwłaściwszém dla poruszenia, napomnienia, pocieszenia i umocnienia.

I.

Wejdzmy do lichęj pracowni przy jednéj z bocznych uliczek paryskich. Widzimy tam dziewczynę piękną, która cały dzień cierpliwie czyta nadweręza rytując na miedzi, zarabiając przez to na życie dla siebie i ojca. Płeć jęj świeża, rumiana okazuje pochodzenie ludowe, ręka kształtna ale nie mała, usta trochę duże, szczęka dolna wydatna, kształty pełne, które — jak mówi *Michelet* — tak są rzadkie u tak zwanych dam z wyższego towarzystwa. Jest to młoda *Manon Phlippon Roland*, sierota. Matka, prosta sobie kobiecina, umarła nie dawno, ojciec rzadko kiedy w domu, zapija się, nie pilnuje rzemiosła, rujnuje się. Cały dom na głowie młodej *Manon*. Domyśla się ona, że ich byt zagrożony,

chciałaby wiedzieć wszystko, a tu z ojcem ani pogadać, owszem trzeba mu się uśmiechać, podtrzymywać go, zasłaniać przyszłość i udawać. „Wolałabym raczej wyrażny świst grotów i okropność samej walki, jak te głuche zapowiedzi ciosów, które mnie wyczerpują; ale jest to walka mądrego, wiodącego bój z losem“. Są to słowa 18to-letniej dziewczyny. Oblicze jęj jaśniejze spokojem i wyrobioną już cnotą życia; niema tam senności i mglistęj sentymentalności, ale widać zdrowie i przedsiębiorczą, ruchliwą czynność. Widać, że praca jest dla niej zbroją i tarczą w ciężkich stosunkach życia i ochroną przeciw wiosennym słońcom, które każdą młodą duszę zakłócają. Na czole jęj myślącym ale pogodnym, promienieje już święta idea, nazywająca się obowiązkiem. „Nikt mnie odemnie nie zaznał uczucia rozkoszy, zawszem umiała panować nad sobą“. — I skądże już tyle hartu i wyrazistości charakteru w tak młodej dziewczynie? Jakież bolesne koleje przechodziła ona już tak weześnie? Pożal się Boże takiej młodości! Zewnętrznych wypadków mało, ale dzieje wewnętrzne bogate, ale walki duszy ciężkie być musiały, skoro przez nie zdobyła sobie takie bogate zasoby wewnętrzne.

Z powodu niekorzystnego wpływu jaki mogło wywrzeć na nią lekkomyślne prowadzenie się ojca, oddała matka podrastającą *Manon* do klasztoru. Przebyła tam kilka lat jako wychowanka, wesoło, odważnie, chociaż w warunkach więcéj jak skromnych, w ubóstwie. Tam piękny nowy świat otwarł się dla budzącęj się duszy. Żywoty *Plutarcha* i dzieła *Russa*, to główny jęj pokarm. W jednym wzory cnót, zasług, zwyciężkich walk, z życiem na przebój, rozpalające widma zapalu, sławy, wytrwałości; — w drugim idealne społeczeństwo ludzkie, szczęśliwe braterstwem, miłością, prostotą, ciszą błogosławionych. Zapragnęła żyć takim życiem — i wnet tworzy się zaufane kółko rówieśnic. Stosunki i pożycie tego małego kółka układają się na modłę prawd, ideałów i obrazów z owych ksiąg zaczerpniętych. Panują tam republikańskie cnoty, ubóstwo, praca, wzajemność, surowość; mała *Manon* przejmuje się nimi zawczasu i to są najpierwsze i najsilniejsze jęj wrażenia. A pozostaje przy tém jeszcze serdeczne uczucie przyjaźni, które uszlachetnia całą jęj naturę. Jeżeli dwie dusze spokrewnią się przyjaźnią i jedna w drugiej ma zwierciadło swoich własnych ideałów o doskonałości moralnej, ma niejako uosobistnienie téj doskonałości, — wtedy każda nabywa wiary w szczęście, pozbywa się zwątpień, znajduje niewyczerpane pobudki do poświęceń. Błogo to jest za łzami smutku widzieć dobrotliwie uśmiechniętą twarz przyjaciela — a w upadku czuć jego rękę, która nas podnosi. Stosunek takiej przyjaźni zawarła *Manon* w klasztorze z Henryką, a zwłaszcza z Zofią *Cannet*. Stosunek ten był dla nich wyborną szkołą; wyrabiał w charakterach otwartość, nawyknięcie do refleksyi, do jasnego zdawania sobie sprawy z wszystkiego co tylko

młode głowy i serca zajmować mogło. Obie przyjaciółki poczęły uważać życie na seryjo, ze strony jego obowiązków. Nie będziemy tutaj zastanawiać się nad tém, czy w ogóle prawdziwa przyjaźń pomiędzy kobietami jest możliwą, tylko przedstawimy poprostu ten stosunek tak jak był, jak się utrzymywał aż do śmierci. Listy przyjaciółek są tutaj przewodnikiem, któremu można zaufać, i który nam przedstawi cały rozwój małej *Manon* z dziewczęcia na dorosłą pannę.

Praca nad sobą samą, wykształcenie, były głównym przedmiotem zajęcia przyjaciółek. Młoda *Flippon* w chciwości wiedzy, w instynktowym poczuciu talentu, czyta co tylko jej pod rękę wpadnie, robi wypiski, rozprawa o wszystkim z przyjaciółkami. „Nie można się nic nauczyć, piszę im, jeżeli się tylko czyta: trzeba robić wyciągi, trzeba przetrwać na swoją własność wszystkie przedmioty, które chcemy zachować, przejmując się ich istotą“. Szczęśliwe i rzadkie usposobienie, które wszystko brało z natury, nawet wychowanie. Tą drogą musiała się wyrabiać u niej samodzielność. Oprócz początków klasztornego wychowania, wszystko zresztą winna była sobie, z niskąd kierunku, pomocy, a otucha i pokrzepienie tylko z przyjaźni. Myślące te dziewczęta zajmują się światem i sobą z pewną sztywną powagą i deklamacją, która nie harmonizuje z młodością i jest widocznie tylko przejściowym szczeblem w ich rozwoju. Skłonność do egzaltacji i dewocyi jest tam tylko przedświttem budzących się dusz, które pragną sprostać wymarzonemu ideałom. Z jakąż to surowością walczą z wadami swojemi. *Manon* pisze, że do 11go roku życia kierowała się pewnym rozumem, owiniętym jeszcze w ciemności dzieciństwa — odtąd dopiero promień jakis boski poczał jej świtać. Ale obudził się nowy wróg, miłość własna i próżność. „Mam słusność, że nienawidzę tego wroga, bo mi liche psoty wyprawia, jest to złodziej sprytny, który mi zawsze coś porwie. Połączmy się, moja ty dobra i kochana, aby mu wypowiedzieć wojnę, ja mu przysięgam nieubłaganą nienawiść“. — Takie rozważania nazywa *Manon* rewolucjami, których teatrem jej serce. I mówi dużo o tém sercu, które jeszcze wcale u niej nie przemówiło. Ale zwolna, w miarę przybytku wiedzy, rozszerzają się i ramy zajęć; niebawem skrzydełka rosną; jeszcze chwila, a może już przyjaźń nie będzie wystarczać. — „Uniwersalność mnie zajmuje, piękne marzenie (jeżeli się godzi zwać to marzeniem — *chimère*) o wszystkiem co pożyteczne podoba mi się i upaja mnie“. Książki już przestają wypełniać potrzeby wewnętrznego jej świata. Już dusza do życia się wyrывa.

A to życie około niej było bardzo przykre z powodu nieładu w domu, lekkomyślności ojca. O matce nie wiele wiemy, widać tylko w tém jej troskliwość, że widząc jak było bystre pojęcie, a żywe i łatwo chwytające wszelkie wrażenia usposobienie córki, zwłaszcza

w wieku, kiedy dusza się otwiera, niby kwiat na przyjęcie promieni słońca, starała się jak najczęściej oddalać ją z domu, by zły przykład ojca nie działał na nią. I tak dłuższy czas musiała bawić u stryja, kanonika w Vincennes, gdzie jej było ciasno i nudno. Oto jak opisuje tamtejszą prozaiczną codzienność. „Podczas gdy kanonik w okularach na nosie rozpuszcza swoje stare basy pod trzęsącym się smyczkiem, ja muszę skrobać po skrzypcach; drugi kanonik towarzyszy nam na piskliwym flotrowersie; oto koncert zdolny wszystkie koty wystraszyć. Gdy skończą ci panowie, wieszają sobie nawzajem i kadzą; ja wtedy ratuję się ucieczką do ogrodu i zrywam sobie kwiaty; idę na podwórze, przyglądam się kurom, zabawiam się z kurczakami, a w głowie zbieram i przypominam sobie co tylko mogę z nowości, z wiadomości, aby orzeźwić otętwiałą wyobraźnię i wyzwolić się z tych konwersacyj kapitulnych, które mnie usypiają: oto moje życie, ciszy nie przerywa nic, chyba pianie kogutków“.

(Ciąg d. nast.)

ROZMAITOŚCI.

Teatr. Zapowiedziane opery rozpoczęło przedstawienie „Paziów“ St. Dunieckiego. Prześliczna muzyka tej operetki, która zawsze do teatru liczną publiczność ściąga, stała się już niemal ludową, a upowszechni się jeszcze więcej, gdy cała partytura niebawem z druku wyjdzie. — Dawano potem Offenbacha „Wesele przy latarniach“. Ocenienie nowych sił zaangażowanych do opery, zachowujemy do kroniki aż po przedstawieniu „Halki“ (22go t. m.) i „Hernaniego“. — Z innych przedstawień wypada zapisać „Poczwarkę“ i „Zbójców“. Efektowy ten zlepek, przerobiony z powieści, może się utrzymać na scenie tylko doskonałą grą artystki, przedstawiającej rolę tytułową. Dziewczyna wiejska, dziecko natury „Kopciuszek“ dzika i obdarta, staje się pod wpływem uczucia i przykrych wypadków życia, zadaną kobietą, charakterem skończonym. Pani Parżnicka, której to zadanie przypadło, zyskała liczne oklaski, na które zasłużyła. — W niedzielę przeszłą przedstawiano „Zbójców“ — dawno już nie widzieliśmy podobnego natłoku w teatrze — krzesła, łóżce, parter, balkon, galeria przedstawiały ruchome ściany głów ludzkich — choć grano sztukę powszechnie znaną i już tyle razy przedstawianą na naszej scenie. To powinno przekonać dyrekcję, jak publiczność nasza spragniona jest dramatów, ale dramatów dobrych. „Zbójcy“ choć nie wytrzymują surowej krytyki, utrzymują się jednak ciągle na scenach z wielkiem powodzeniem, bo grają w nich namiętności ludzkie, choć spotęgowane niesłychanie, które przemawiają zarówno do galerii jak do parteru i są zrozumiałe dla każdego. Tę samą zaletę mają Szekspirowskie utwory, że w nich mówią i działają ludzie — podczas gdy w dramatach polskich, jakie dotąd znamy, mówi albo teoryjka polityczna, albo sam autor; osoby dramatów, owe królowe, mówiące wечно o poświęceniu; owi rycerze z pięknymi frazesami, są to pojedyncze zapatrywania się autora poprzebierane za Jadwigi, Barbary, stojące na kolumnach wierszy nużących słuchaczy.

Jakkolwiek nie leży w programie naszego pisma ocenianie gry artystów, przecież nie możemy zamilczeć o grze p. Rapackiego, (w roli Franciszka), która wywołała burzę oklasków w publiczności. Nawet ci, którzy mieli sposobność widzieć w tej roli takie znakomitości jak Królikowski, Lewińskiego wyszli z teatru zachwyceni i zdumieni. P. Rapacki przedstawił nam Franciszka szcze-gólniej w 5tym akcie, całkiem inaczej, jak go dotąd widzieliśmy —

nie ucieka przed widmami które go straszą, nie widzi ich zewnątrz siebie, ale w sobie. Dusza zbrodniarza jest właśnie siedliskiem tych strachów i niepokoїв, jakie nim miotają — to też Franciszek wpatrujący się w głąb swojej duszy, drżący przed samym sobą — ma więcej prawdy, a zatem siły w swym strasznym monologu. P. Rapacki takim właśnie go przedstawił.

— Donoszą nam w korespondencji z Wiednia, że d. 25 października odbył się tam koncert rzadki, prawie jedyny w swoim rodzaju. Wszysey śpiewacy Wiednia i okolice w liczbie 1200tu — mali prawie korpus muzyczny — stowarzyszili się, by śpiewać na korzyść wdów i sierot poległych w ostatniej wojnie żołnierzy. Produkcja ta odbyła się w szkole ekwitacyi w Burgu, pałacu cesarskim. Jest to sala ogromnych rozmiarów, akustyczna, otoczona dwiema galeryjami, rzadko przystępna publiczności, gdyż rzadko używaną bywa do takich celów; przed laty odbywały się tam oratoryja bardzo słynne, z których dwa ostatnie „Paulus“ i „Eliasz“ Mendelsoina w r. 1846 i 1847. — Już przed rozpoczęciem koncertu widok sali rzesisto oświetlonej, otoczonej dookoła galeryi wieńcem promieni gazowych, publiczności bardzo dobranej i eleganckiej, a szczególnie estrady, na której stanęło 1200 śpiewaków i dwie kapele wojskowe, był nader zajmujący. Między śpiewakami spostrzegano głowy siwe obok czternaścieletnich chłopców. — Śpiew rozpoczęto chórem Bethovena „Na cześć boską“. — Program składał się z ośmiu sztuk: kompozycje były Mendelsoina, Gretaego, Wagnera, Schuberta, Abta, Kretzera, i pieśń gminna czarodziejskiej piękności. — Wrażenie, jakie koncert ten sprawił, było imponujące, olbrzymie, wywołało burzę oklasków, na które rzeczywiście zasłużył. Precyzja i delikatność w wykonaniu nie pozostawiała nic do życzenia, i zdumiewały słuchaczy patrzących na tę masę rozmaitych żywiołów, które w jedną zlały się całość. Koncert ten raz jeszcze w następną niedzielę był powtórzonym, a ponieważ ani jeden bilet wolnego wstępu nie był rozdany, a cena miejsc była dosyć droga, dochód zapewne odpowie szlachetnemu celowi; podobno pierwsze przedstawienie przyniosło 3500 zł. w. a. czystego dochodu.

— Współpracownik nasz Elpidon, autor „Przebudzonych“, napisał nową powieść dwutomową, p. t. „Starzy i młodzi“, która teraz wyszła w Lipsku. Rzecz powieści odbywa się w Galicyi między rokiem 1859—1862, osnuta na wypadkach historycznych. Nabyć można w księgarni Grzybowskiego, w Krakowie.

— W artykule „z przyrody“ podaliśmy niektóre przykłady zbiorowej siły roślin. Pan Plateau w Brukselli wydał obecnie dziełko o sile owadów. Zwykły chrząszcz np. może uciągnąć czternaście razy swój własny ciężar, gdy koń tylko 6—7.

— List miłosny: Gdybyś pani nie była twardszą od porfiru i agatu, dużo miłości mojej pobijane młoteczkami mojej wierności, miałoby jakąś władzę nad panią. Ja, który najsurowszym materiałem nadaję dowolne kształty, spodziewałem się, że kompas rozumu, pilnik stałości, łagodny skrzyż przyjaźni, politura słów moich zrobi z pani jeden z najpowabniejszych posągów na świecie. Lecz niestety, jesteś pani najnieczulszym głazem, a jednak opętałaś duszę moją, chociaż ci marmur mrozu zazdrości. Mię litość, niewiem co mówię, co czynię. Mam rzeźbić dragona, a tu patrzę, amerek spod dłuta mi wyziera. — Taki list odebrała niedawno temu pani Rigault, restauratorka w Paryżu, od jednego ze swoich stołowników. rzeźbiarza. List jako żart obiegał z rąk do rąk. — Smutny jednak koniec żartu, bo rzeźbiarz oszalał z miłości i jest obecnie w domu obłąkanych.

— Na jednej z kolei francuskich zdarzyło się w tym czasie, że w wagonie, który długo stał nieużywany, założyły sobie ptak; gniazdo. Kiedy nareszcie ten wagon zaprzężono, zdziwiło to konduktora, że raz poraz z niego ptaki wylatują. Spostrzeżono nareszcie gniazdo, w którym już były pisklęta. Rodzice nie bojąc się

turkotu, nie opuścili ich, ale owszem wśród dalekich, nieznanomych okolic wyszukiwali żywność, towarzysząc pociągowi i karmili małe. Na uczczenie tej macierzyńskiej odwagi i poświęcenia, kazano za powrotem wagon odstawić i nieużywano go póty, aż pisklęta dorosły i uleciały.

— Poznanie, pokochanie i zaręczyny w jednej chwili odbyły się, nie w teatrze, ale na jednym z cmentarzy wiedeńskich w dzień zaduszny. Panna L. córka kapitana, poległego w ostatniej wojnie, modliła się na grobie matki, również nie dawno zmarłej. Przystąpił do niej młody człowiek i oświadczył, że służył pod jej ojcem i wiele o niej słyszał od niego, że wie o jej osieroceniu, że się utrzymuje z haftowania, i że on byłby najszcześliwszym, gdyby jej rękę mógł pozyskać. Sytuacja i sama rzecz była wzruszającą, p. L. uwierzyła w szczerość oświadczenia i wyszli razem ze cmentarza już jako narzeczeni.

— Fotografie, które dopiero za pomacaniem wodą występują na jaw, posłużyły niedawno temu w Wiedniu do dwóch ciekawych scen. Pani domu, wobec licznych gości, wydobyła za pomocą wody fotografię znanąj tancerki. Mąż na ten widok zmieszal się, goście się uśmiechali, domyślając się, że był to sposób użyty przez panią domu do zdemaskowania pozadomowych spraw męża. Mimo to wieczór odbył się przyzwoicie. Na drugi wieczór za kilka dni, znowu pani fotografje wyciąga, macza wodą i wreszcie zaciekawieni goście zobaczyli odfotografowany list adwokata, w którym donosi pani domu, że wszystkie kroki do jej rozwodu już poczynione.

Korespondencja „Kaliny“.

Panu B. R. we Lwowie. Nie możemy inaczej przypuścić, tylko, że rozsądek pański był na spacerze, kiedy pan układałeś swoją powieść i kiedy ją do nas wysyłałeś.

Pani A. K. w Sn. Artykuły wstępne z Nr. 4, 6, i 7. dotknęły już kwestyi oświaty i to w sposób zupełnie zgadzający się z zapatrywaniem Pani, dla tego umieszczenia artykułu Jęj, lubo napisanego z wdziękiem i precyzją, uważamy za zbyt cenne. — Prosimy o inne.

Dla C... nadesłano 4 zł. w. a. bez podpisu. — Ponieważ w skutek ogłoszenia naszego C. dostał oprócz wymienionych wsparć także stypendium od Towarzystwa Naukowego w Krakowie — przeto nasze pośrednictwo w tym względzie uważamy za skończone.

INSERATY.

Nakładem Fr. GRZYBOWSKIEGO w Krakowie
wyszli i są do nabycia po wszystkich księgarniach
kompozycje fortepijanowe i do śpiewu:
Bendla, Żelińskiego, Mireckiego, Mikuszewskiego.

Do składu A. GUMPLOWICZA w Krakowie
przy ulicy Grodzkiej Nr. 63 na pierwszym piętrze nadszedł świeży
transport najmocniejszych
kap na tózka, serwet na stoły, dywanów salonowych
i sukna na podłogę.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca **TADEUSZ WOJCIECHOWSKI.**



Wychodzi co sobota o godzinie 9. rano.

Prenumerata miejscowa wynosi: *rocznie* 6 złr., *półrocznie* 3 złr., *ćwierćrocznie* 1 złr. 60 c. w. a. — Z przesyłką pocztową: *rocznie* 7 złr. 20 c., *półrocznie* 3 złr. 60 c., *ćwierćrocznie* 1 złr. 80 c. — *Prenumerata zagraniczna* bez mód i bez nut *rocznie* 8 złr. 30 c. w. a. *Mody i kroje rocznie* 3 złr. 30 c., *pół-*

rocznie 1 złr. 70 c., *ćwierćrocznie* 90 c. w. a.

Nuty rocznie 1 złr. 25 c., *półrocznie* 65 c., *ćwierćrocznie* 35 c. w. a.

W Krakowie prenumerować można w biurze redakcyi: ul. niokołajska 45⁴, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni Wgo. Czecha.

We Lwowie można prenumerować i odbie-

rać w agencji Hereoka i Arnolda na Halickim.

W Poznaniu w księgarni Mieczysława Leitgebra, Hotel du Nord.

Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c. następnie po 4 c. Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

ŻONY NIEWOLNIKÓW.

(Ciąg dalszy.)

Po odejściu Konstancyi Jan jeszcze jakiś czas zabawiał przy chorym, czekając aż się przebudzi. Potem rozmawiał z nim trochę, pocieszał go nadzieją prędkiego wyzdrowienia i wolności.

— Wolalbym, żeby mi odjęto nogę — mówił brat Konstancyi — choć o szczydle, byle co prędzej iść bię, to beczynne leżenie mnie męczy, trwoży mnie ta myśl, że tu lada chwila wpadną Moskale i dobiją mnie. To byłoby okropnie zginąć w dziurze jak tchórz.

— Jutro w nocy napadamy na miasteczko, kilku zrobi fałszywy alarm od północy, Moskale tam uderzą, a my tymczasem napadniemy na więzienie i uprowadzimy więźniów.

— A mnie tu zostawicie? —

— Siostra czuwa nad tobą — w chwili napadu cztery ludzi wyniesie cię za miasto, mamy dla ciebie bezpieczne schronienie w lesie.

— Mniejsza o schronienie, choćby paść od kuli, byle nie tu. Ja nie miałem w życiu innego pragnienia, tylko umrzeć, ale umrzeć na polu walki — za Polskę.

— Nam trzeba zwyciężać za nią — inaczej źle będzie.

— Jak stoi powstanie?

— Nie wiem — komunikacje są poprzerywane wojskami. Słychać, że jakiś znaczniejszy oddział naszych zbliża się w te strony — toby nas poratowało, rozproszonym wróciłaby odwaga.

— Wielu was jest teraz?

— Zaledwie dwódziesiętu. Czas mi wracać do nich — w mieście już zrobiłem swoje.

Pożegnał chorego i wyszedł na ulicę niepostrzeżony przez nikogo. Minał kościół, koszary i wszedł w ulicę prowadzącą za miasto. Ulica była w tej chwili pusta, tylko jakiś pacholek sądowy siedział przed szynkiem. Ten pacholek spojrzał najprzód na psa, potem samemu przechodzącemu Janowi przypatrzył się uważnie. Jana zmieształ ten badawczy wzrok (pacholka owego znał we dworze ojca Anny, gdy ten przychodził z różnemi papierami od rządu) — dla tego też uszedłszy kilkanaście kroków zatrzymał się i niby schylając się po coś ku ziemi, zerknął nieznacznie okiem za siebie. Pacholek szedł za nim i widocznie go śledził, nawet przyspieszył kroku. Jan widział że jest poznany, przewidywał grożące mu niebezpieczeństwo, bo pacholek widocznie dla tego spieszył się, by go zdać przed żołnierzami, stojącymi przy rogatece i kazać go aresztować. Skręcił więc w bok w małą uliczkę, ciągnącą się między parkanami ogrodów. Pacholek nie spuszczał go z oka, na każdym zakręcie Jan oglądając się, widział go za sobą — widział, że wymknąć się z miasta, było niepodobniestwem; wrócić do miasta, było również niepodobniestwem, bo pacholek nieochybnie zda go żołnierzom. Przy jednym więc zakręcie przesadził parkan i zniknął w ogrodzie. — Mera została z drugiej strony szczekając. — Był to już największy czas do ucieczki, w tej chwili bowiem ukazał się w ulicy patrol z kilku żołnierzy — z którym pacholek spotkawszy się, począł coś żywo opowiadać i pokazywał na parkan i na psa. Jan patrzący na to wszystko przez szpary w parkanie,

nie sądził się tu bezpiecznym, skoczył więc do sąsiedniego ogrodu, ztamtąd do następnych, aż zmęczony zatrzymał się w jednym. Słyszał krótkie urywane szeżkanie Mery, Moskałe użyli przywiązania psa za denuncyjanta i szli za tropem. Zapadający zmrok był na rękę kryjącemu się. W domach już pozapalano światła. Jan podsunął się cicho pod jedno okno i zajrzał w głąb. W niewielkim pokoiku siedział jakiś starzec dziwaczenie ubrany, lysy — garstka siwych włosów beładnie spadała na wytarty, stary szlafrok. Starzec siedział układając papiery i robiąc dziwne grymasy twarzą; obok niego siedziała jakaś kobieta czarno ubrana, zamyślona mocno. Gdy zwróciła twarz ku światłu, Jan poznał w niej Konstancyją. Był więc w ogrodzie burmistrza — to go zaniepokoiło, bał się, by kto z domowników nie zobaczył go, bo wtedy byłby pewnie wydany. — Po krótkim namyśle uderzył lekko w okno. Konstancyja wstała, zbliżyła się do okna i zasłaniając się ręką od światła, usiłowała zobaczyć kto puka. Jan dał jój znak ręką — uchylila okna.

— Pan tu? — spytała cicho z zdziwieniem.

— Szukają mnie.

— Co tu począć? —

Namyślała się chwilę — potem rzekła:

— Tu może byłbyś pan bezpieczniejszy niż gdzie indziej — tu szukać nie będą. Wejdz pan.

Jan wskoczył oknem do pokoju — dziwiło go, że starzec ani się obejrzał, ani przerywał swój roboty. Konstancyja domyśliła się powodu jego zadziwienia.

— To mój ojciec — obłąkany — rzekła — nie będzie uważał na pana, tylko się nie odzywaj do niego.

Spuściła storę i wskazała Janowi stół stojący między szafą i stolikiem w kącie.

W tej chwili odezwało się pare głosów, powtarzających jój imię. — Konstancyja pobladła.

— To Kryłow musiał przyjść — idę na męczarnie. Boże, co się stanie ze mną. — Siedz pan tu i nieoddalaj się — nikt tu nie wejdzie prócz mnie.

To rzekłszy, wyszła spiesźnie z pokoju.

Jan siedział obok starca i w milczeniu przypatrywał się jego zajęciu.

Obląkany układał różne stare szpargały, zapisane drobnym pismem. Były to przeróżne proroctwa, odezwy, marsze, które starzec spisywał lub wypisywał. Ułożywszy to wszystko porządnie, począł mruzczyć przez zęby:

— Testament powie, co komu. Niech mają, aż się spełni. Sybilla daje wróżby — niech lecą liście po świecie.

Tu nadał obłąkany oba policzki i dmuchnął silnie w kupę papierów, które się rozleciały na wszystkie strony. Jeden z tych upadł na rękę Janowi. Machinalnie rzucił nań okiem — uderzyło go znane mu nazwisko R., było to nazwisko Syberyjczyka. Wziął papier w rękę i uważnie przypatrywać mu się zaczął. Był to

rewers na 100,000 złp. wystawiony przez brata syberyjczyka. Na rewersie było oprócz jego nazwiska jeszcze nazwisko obłąkanego. Jan zastanowił się, dla czego syberyjczyk nigdy nie wspomniął mu o tém; domyślając się ważności tego dokumentu, złożył go i schował.

Tymczasem w salonie odbywała się straszna scena. Kryłow z kilkoma oficerami w paradny mundur ubrany, oczekiwał przybycia narzeczonej; gdy ją zobaczył wchodzącą w zwykłym ubiorze, nie zdradzającym wcale przedślubne przygotowania, poczerwieniał ze złości, potem rozśmiał się szyderezco i rzekł do burmistrza:

— A co? — nie powiedziałem? To była łapka na moją dobrodusność. Pannie zachciało się choć dwa dni życia przyczynieć Laszkowi i otumanila mnie chęcią ślubu. Petrow! — rzekł obracając się nagle do oficera: wyprowadzić więźnia i natychmiast powiesić.

— Ciemno jest już kapitanie.

— Zapalić szopę za miastem — aby namacać szyję i założyć strychezek, nie trzeba wiele światła. — Powiesić w siej czas.

— Kapitanie — rzekła Konstancyja drżącym głosem, jestem mocno cierpiącą, to był jedyny powód, dla którego chciałam odwlec ślub. Jeżeli ci się wydaje mało ważnym —

— Owszém, wasze zdrowie ja szacuję. Ślub się odwlecze, co i mnie na rękę, bo będę mógł spełnić wyrok dziś, jak stoi w rozkazie. Szubienica za miastem czeka.

— Czy wszystko już przygotowane do ślubu? — spytała pospiesznie Konstancyja.

— Wszystko — wyjąwszy pani — rzekł Kryłow, patrząc na nią badawczo, z ironiją.

— Za chwilę będę gotową — wyrzekła słabym, ledwie dosłyszczanym głosem — i wyszła.

W godzinę potem Konstancyja została żoną Kryłowa — wyprosiła tylko sobie, by ją przez pare dni zostawił jeszcze w domu wujostwa.

Na drugi dzień po ślubie obchodzono szumnie imieniny generała — żołnierze popili się i leżeli jak bez duszy. Oficerowie także się spili, tylko nie wódką jeno winem; między żołnierzami a oficerami była tylko różnica trunku — skutek ten sam.

Wieczorem, kiedy resztki illuminacji dopalały się w oknach miasteczk — odezwały się za miastem kilkakrotne strzały. Potrwożone żołdactwo zerwało się na nogi, poczęło się mięszać w beładzie, szukać broń, ubrania — i dopiero po półgodzinnój zwłoce zdołało uszykować się przed koszarami, zkąd ruszyło w stronę, gdzie strzały słyszeć się dały.

Jak wiemy, był to fałszywy alarm. — W chwili, gdy wojsko pobiegło naprzeciw mniemanemu nieprzyjacielowi i ogolociło miasto — jakiś człowiek wysunął się z ciasnej uliczki, prowadzącej kolo więzienia, czając się kolo muru, zbliżył się do sztyldwacha i rzuciwszy się na niego,

chwycił go naraz tak silnie za gardło, że krzyczeć nie mógł. Niezadługo wybiegło kilku innych, otworzono drzwi więzienia i wypuszczono więźniów na wolność. Napadający i uwolnieni co prędzej cofnęli się przez płoty i ogrody za miasto. Jeden tylko August ponury stanął we drzwiach więzienia i opierał się.

— Spiesz się, za chwilę wojsko wróci z wycieczki, a wtedy zginiesz — rzekł do niego jakiś młodzieniaśzek dzwięcznym głosem.

August machnął ręką obojętnie —
— Mniejsza o to.

— Auguście — odezwał się ten sam głos z prośbą i drżeniem.

August zdziwiony, spojrzął na mówiącego i rzekł:
— Kto ty jesteś, ja znam twój głos.

Młody człowiek widocznie nie chciał być poznanym, bo odwracał twarz w przeciwną stronę, tylko naglił niecierpliwie Augusta do ucieczki.

— Nie, ja tu zostanę — ja ją muszę widzieć choćby dla tego, aby jej powiedzieć, że jest podłą.

Nieznajomy młodzieniec jęknął boleśnie.

— O! to okropnie! zawołał i zasłonił twarz rękami. Auguście, jak ty mi uwłaczasz.

August zbliżył się do mówiącego i rzekł osłupiały z zadziwienia:

— Konstancyja! — Więc to nie prawda, żeś ty żoną Kryłowa?

— Nie mów mi o tém, bo będę ci musiała powiedzieć, że dla ocalenia ciebie splamiłam się tém nazwiskiem.

— Dla mnie — o! teraz żyć pragnę — zawołał z uniesieniem August — uciekajmy, ja chcę żyć.

— Już późno — rzekła smutnie Konstancyja — patrz, żołnierze otaczają nas, umrzemy razem — dobrze?

Zbliżyła się i oparłszy głowę na jego piersiach, czekała spokojnie chwili skonu.

August przytulił ją do piersi i chciał na jej czole złożyć pocałunek, gdy grad kul moskiewskich zwałił ich z nóg. August został raniony w piersi — żołnierze zbliżyli się, aby go dobić. Wtedy Konstancyja z ostatniem wysileniem podniosła się na pół z ziemi, chwyciła rękami bagnety moskiewskie i zasłaniała sobą Augusta, aż zmęczona, pokrwawiona, osłabiona wpływem krwi, spuściła bezwładnie głowę na jego piersi. Żołnierze stali chwilę jakby zaczarowani tą sceną; — wtém przybiegł Kryłow.

— Czego stoicie, mordować bez pardonu.

Błysnęły bagnety i utonęły w piersiach kochanków. Kryłow zbliżył się przypatrzeć trupom i cofnął się przerażony — nie miał już żony.

Reszta zaś uwolnionych więźniów szczęśliwie uszła z miasta, cofając się ku lasowi. Kiedy mijali wioskę, Marcin rzekł do Jana:

— Muszę iść zobaczyć żonę i dziecko — kto wie kiedy ich zobaczę znova.

— A jak Moskale cię złapią? —

— Nie. A trudno mi przenieść na sobie, bym przeszedł i nie wstąpił.

To powiedziawszy, odłączył się od garstki i ścieżką między stawami poszedł do swego mieszkania. W chacie widać było światło, ale było cicho, nie słyszał ani płaczu dziecka, ani śpiewki żony, którą dziecko usypiała. Może już usnęło. Serce zaczęło bić z radości Marciniowi, podsunął się pod okno i zajrzał w głąb chaty.

Na dwóch stołkach zwróconych ku sobie leżała z deszczek niemalowanych zbita mała trumienka, w niej siny trupek dziecięcy — obok trumienki siedziała Tereska z założonemi na kolanach rękami i patrzyła przed siebie wzrokiem szklannym nieruchomym.

Marciniowi zbezwładniały nogi na ten widok — lzy zakreśliły się w oczach. Zaciśnął zęby z boleści i wszedł do izby. Długo patrzył na trumienkę — może modlił się, może złorzeczył myślą — potem wstał, pocałował żonę i zabierał się do wyjścia.

— Idziesz znova? — spytała Tereska.

— Moskale gonią nas.

— Kiedyż wrócisz? —

— Bóg to wie — może nigdy.

Tereska zaniosła się od płaczu.

— Niech cię Bóg ma w swojej opiece — rzekł i wyszedłszy z chaty, pospieszał za swoimi. Dogonił ich wśród lasu, gdy już dniało. Trzeba było spocząć i wytchnąć troszkę. Teraz dopiero z świtającym dniem rozpoznawali się więźniowie i ich wybawcy. Maurycy poznał między tymi ostatnimi syberyjczyka — zbliżył się do niego i dziękował mu za swoje ocalenie.

— Nie mnie, ale jemu dziękuj — rzekł tenże pokazując na swego towarzysza.

Maurycy wrócił się w tę stronę ze słowem dziękczynnem — nagle urwał, zmieształ się — zobaczył bowiem Jana. Człowiek, którego on nienawidził, był jego wybawcą, musiał mu być wdzięczny — choć przez grzeszność. Zaczął więc silić się na jakie takie podziękowanie. Jan odwrócił się od niego pogardliwie i rzekł:

— Nie dziękuj pan — nie dla pana to zrobiłem.

(Ciąg d. nast.)

Tylko wspomnienie.

Kiedy mam duszę smutną jak w żałobie,

Kiedy mi tęskno bez ciebie i nudno,

To idę wtedy gdzie w ustroniu odludną,

Na mokrych oczach kładę dłonie obie,

I przypominam urok każdej chwili,

Kiedyśmy jeszcze razem z sobą byli.

I najprzód widzę cię pod świerków cieniem
O szarym zmroku, kiedym się nieśmiele
Pierwszy raz rączki twój dotykał z drzeniem,
I nie nie mówiąc — mówiłem tak wiele.

Od onej chwili myśli i zrenice
Poszły za tobą jak dwie niewolnice,
Lub jak cień wierny, co idzie za człekiem,
I dzień bez ciebie wydawał się wiekiem.

Pamiętam — nieraz tęsknotą trapiony
Wieczór skradałem się pod tve okienko,
I tam liśćiami róży zasłoniony,
Patrzałem jak ty wsparłszy główkę ręką
Siedziałaś sama w dumaniu głębokiem —
O czym ty wtedy dumiałaś i o kim?

Potem szłaś w pokój, gdzie było posłanie,
Jam nie odchodził patrząc, czy nie zoczę
Przez uchylone nieco drzwi — na ścianie
Choć cień twych rączek pletących warkocz.

Jakież w tych chwilach uroki, rozkosze!
Jak relikwie wszystkie w piersiach noszę,
Jak skarby chowam takich chwil nie mało,
Bo prócz tych wspomnień, nic mi nie zostało.

Poszedłem — zwiędły kwiaty w waszym dworze,
Co się naszemu szczęściu przyglądały,
Drzewa i ścieszki śnieg zasypie biały —
Wszystko się zmieni — i tve serce może —
Jakże mi smutno i ciężko — o Boże! —

ELIODOX. —

Manon Phlippon Roland.

(Życiorys.)

(Ciąg dalszy.)

Za powrotem do domu szło znowu swoim trybem dawne życie, surowe, pilne, czynne. Z kolei nauka i zajęcia domowe, od Plutarcha szła do dzieł religijnych, od jeometrii do muzyki, od muzyki do rytownictwa. W takim życiu *Manon* dochodzi 19go roku. Nie się nie zmienia w około niej, ale w niej zachodzą zmiany. Czasami ogarnia ją jakaś nieokreślona melancholia, której sobie nie broni, i zdaje się jej, że to tęsknota za nieobecną przyjaciółką. Ale wkrótce powraca weselość, radość z uczucia sił młodości i niewinności zwycięża znudzenie, odzyskuje spokój i równowagę. „Znajduję w religii pewną drogę do szczęścia, poddana jej przepisom, żyję szczęśliwą; opiewam mojego Boga, moje szczęście, moją przyjaciółkę, chwale ich na gitarze mojej, nakoniec cieszę się sama sobą“. Była to u niej dopiero pierwsza doba rozkwitającej wiosny serca. To

tęż powstaje pewna rzewność, mniej rozprawiająca jak dawniej, unikająca zewnętrznych okazji, bo serce żywiej bić poczęło, więc boi się, żeby się cieniem jakimś, lub jakimś echem nie zdradzić. Jest to zapłonna jutrzienka zwiastunka słońca; nadeszła chwila rajskich uroków, pierwszej miłości. Przyjaźń, która wypełniała dotąd potrzeby jej duszy — nie przerywa się, owszem potęguje, bo miłość potrzebuje jej i nadaje jej tylko gorętszy koloryt. Ta pierwsza miłość była dla niej czaem — zanim się stała zwodniczą uludą, która minęła i przepadła jak błędny ognek. Dzieje tej miłości odbywają się więcej wewnątrz serca dziewczyny, domagało się ono praw swoich, ale jeszcze rej wodziła rozmarzona i płonąca główka. Toż kiedy przyszło oblać się zimną wodą, charakter naszej *Manon* skorzystał na tém i shartowniał o jedno doświadczenie, umocniła się jej moc i panowanie nad porywami serca, które wyszło z tej próby czyste i świeże jak dotąd; bogate i rozbudzone ale podległe. Potrzeba jej było odbyć tę szkołę, zanim, przez śmierć matki zupełnie sobie samą miała być zostawiona. Była to próba jej sił; zdała egzamin dojrzałości zanim samodzielnie wystąpiła w życie.

Posłuchajmy co o tém mówią pamiętniki i listy. W pamiętnikach pisanych już po cierpkich doświadczeniach zbywa późniejsza pani *Roland* ten ustęp swojego życia lekko, niby przelotne mgnienie; inaczej w listach współczesnych: tu widać gorączkę. Z pomocą obydwóch możemy więc przyjrzeć się przebiegowi tej sprawy z bliska i z daleka. „Od chwili, kiedy młoda dziewczyna dochodzi wieku, zwiastującego jej rozwinięcie, rój pretendentów oblega ją wszędzie, tak jak rój pszczoł brzęczy około kwiatu mającego się otworzyć“. Doświadczenie to zrobiła oczywiście i na sobie. Pretendenci zjawiali się tłumnie, ona sobie z tego żartuje; jednak ilekroć dojrzy, że ktoś nią na seryjo zajęty, to ją zastanawia. „Śmieszne jest moje usposobienie, bo czyż może być coś dziwniejszego jak nienawidzić kogoś za to, że nas kocha, a zwłaszcza odkąd ja sama pragnę kochać; jednakże jest tak, maluje ci z natury, co się w mojej duszy dzieje“. Ci pretendenci byli wszelkiego gatunku i profesyi, był tam i handlarz dyjamentów, i lekarz i student, i kupiec korzenny i cukiernik, tak, że *Manon* opisując to „pospolite ruszenie“, dodaje, że gdyby miała przedstawić w obrazie całą tę świtę mniej lub więcej zakochanych, każdego z przyborami jego profesyi, byłby to weale niezgorszy bigosik. Lecz nakoniec przebiera się żartów, listy stają się poważniejsze, czulsze; nie gwałtowne ani burzliwsze, jednak głębsze i dziwnie upięknione. Przyjaźń jest tu tylko sposobnością, pozorem, drzącą zasłoną, za którą świta jakaś myśl niejasna, trwożliwa i skromna. „Niewiem czemu to przypisać, że teraz nie zawsze jestem zdolną zająć się czemś. To mi się właśnie przydarzyło. Wzięłam pióro żeby pisać, a od niechcienia zrobiłam twój portret; zachowałam

go z podpisem, „portret Zofii“. „Bazgrzę po papierze ilekroć mię głowa boli; piszę co mi tylko do głowy przyjdzie, to ulga dla mojego muzgu“... „Adieu, oczekuję kuzynki, idziemy na spacer; moja wyobraźnia galopuje, pióro mnie odbiega, moje zmysły wzburzone, nogi mnie palą“... Widać tu, że ten spacer jest jakimś ważnym wypadkiem. — Spotyka się dużo ludzi, to może i... Ale ona przed przyjaciółką, ona przed sobą jeszcze bała się wymówić prawdę. Trzeba nam wyszukać jej. W pamiętnikach jest wzmianka o niejakim *La Blancherie*; coś niby pisarz, niby filozof, i pani *Roland* mówi o nim z góry, ot jak o kamieniu przy drodze, jak o najwykleszej figurze. A jednak ta figura była od niej rzeczywiście kochaną; i nie lepiej od owego pana nie przekonywuje o tém, że w miłości jest to, co sobie życzymy aby tam było, w co ją sami ubierzemy; a sam przedmiot miłości jest w istocie rzeczą mniejszej wagi: *Manon*, dziewczyna bystra, o pojęciach surowych i prawych wyszczególniła zaraz za pierwszym widzeniem i zajęła się stworzeniem, które było niejako alembikiem wszelkich płaskości, bzdurstw i komunałów, będących właśnie w modzie; i zdawało jej się, że znalazła w nim najponętniejszy typ swoich marzeń. Ten *La Blancherie* był to „młody mędrzec“, pisał wiersze, zawsze się nosił z projektami, wydał rady moralne dla ojców i matek, słowem pozował w takt do usposobienia czasu i umysłów, i nawdziwiał na siebie co tylko mógł z ówczesnej romantyczności, filozoficzności i sentymentalizmu. Wiemy, że pauna nasza marzyła o idealnym społeczeństwie *Rousseau'a*, że się oglądała za wzorami *Plutarcha*, toż nie dziwnego, że taki *La Blancherie* mógł się wydać doskonałością zbiorową; że taki imponujący, pewny siebie „mędrzec“, musiał mieć w sercu młodej dziewczyny, chociażby to miała być kiedyś pani *Roland*, najwięcej powodzenia, przynajmniej przy pierwszym ocknięciu się serca. Bo i z kądżeż ona, która była na wskróś naturą, prawdą, szczerością, mogła przejrzeć, że po za świetnym polyskiem jest pustka, czechość i udanie. Wrażenie jakie na niej zrobił, nie można inaczej określić jak tylko, że jej zaimponował, serce truchlało, i zdało mu się, że to miłość, bo miłości było mu potrzebą. Listy do Zofii tehną całym tém wewnętrznym wzburzeniem; dopiski bez wiedzy matki coraz są dłuższe i częstsze; mały pokoik do pisania już nie jest dosyć bezpieczny, mógłby ktoś podejrzeć. „Żadnej odpowiedzi, chyba że tylko dla mnie będzie zrozumiała. Adieu, serce mi bije za najmniejszym szelestem, drzę jak złodziej“. Oblega przyjaciółkę listami, potrzebuje teraz być więcej kochaną, więcej rozumianą jak kiedykolwiek. Z jakąż niecierpliwością czeka na każdą odpowiedź, z jakimż niepokojem. A jeżeli oczekiwany list nadejdzie podczas obiań, nie może przeczekać, otwiera go natychmiast, wobec wszystkich, zapomina że nie jest samą, zaczyna płakać; rodzice się uśmiechają, a stara

babka odzywa się wtedy: „Jak będziesz mieć męża i dzieci, to tam wnet zniknie ta przyjaźń, i ani wspomniesz o pannie *Cannet*“. Biedna dziewczyna opowiada z uniesieniem te sceny domowe i oczywiście oburza się na takie pojęcia. „Dziwię się, że ludzie mogą uważać przyjaźń jakby jakieś uczucie płochę i chimeryczne. Po większej części wyobrażają sobie, jakoby najłżejsze uczucie innego rodzaju mogło nadwerężyć a nawet wyrugować przyjaźń, która im się wydaje czemś ostatniem od biedy dla serca, które nic lepszego niema do roboty. Czy sądzisz Zofijo, że nowa sytuacja mogłaby zerwać nasz związek?“ Zerwać? to słowo trochę za ostre. Ale dla czegoż ta przyjaźń egzaltuje się właśnie w chwilach, kiedy ma się coś czulszego sobie powierzyć? Dla czegoż w dniu, w którym *Manon* widziała tego, którego nazwać się lęka, kiedy jej czytał pierwszą korektę jakiegoś dzieła swojego, dla czegoż zakończy tak namiętnie list do przyjaciółki: „Przyjmij lzy wzruszenia i pocałunek ognisty, który kładę na tych ostatnich wierszach“. Po raz pierwszy spotykamy się tu z pocałunkiem, listy pełne są rumieńców. Nie ulega wątpliwości, że uczucie dla *La Blancherie* jeżeli nie zasługuje ściśle na nazwę miłości; jeżeli nie wypełnia w całości wyobrażenia, jakiebyśmy sobie mogli tworzyć o pierwszej namiętności powstałej w takiej duszy; to jednak w każdym razie przekroczyło granice zwykłego zajęcia się kimś. Popierało to wielce sprawę *La Blancherie*, że go *Manon* rzadko widywała i to na krótko. Wyjeżdżał często i kiedy po dłuższej nieobecności powrócił, zastał *Manon* już sierotą; matka nie dawno umarła.

(Ciąg d. nast.)

Z PRZYRODY.

Gawęda o kaszmirowym szalu.

Komuż nie znane kaszmirowe szale, owe cieniuchne, różnobarwne i drogocenne tkaniny? Wyrób ten należy do rzędu tych płodów, które są jakby pomniki pewnych krajów i okolic.

Jak tusz i herbata chińska, kapelus „Panama“, szal kaszmirowy stawia nam przed oczy wyobraźni swoją ojczyznę, tak też odwrotnie każda wzmianka np. o Kaszmirze, przypomina nam zaraz szal jego przepyszny. Wyrób ten każdy prawie zna, a przynajmniej słyszał o nim. Jednak nie każdy się domyśli, że jednym z głównych czynników tej ważnej produkcji oprócz wełny z tybetańskiej kozy, jest woda Kaszmiru. Zaprawdę, dziwne i cudowne są sprawy przyrody — i niezbadana potęga różnych jej składów. A przecież wiadomo każdemu, że od jakości wody zależy dobroć tyłu napojów, np. herbaty i piwa, i tyłu wyrobów fabrycznych: jak skór garbowanych, krochmalu itp. Najważniejszy

wszelako wpływ wywiera woda na farbiarstwo, i biada przemysłowi, który nie zbadawszy należyście składu wody, postawi farbiernię, garbarnię lub inną fabrykę, w której używać jej musi. Nawet płótna nie wybieli się jednakowo przy każdym strumieniu.

Otóż właśnie piękność szalów kaszmirowych głównie polega na ich kolorycie — a ten zależy od wody doń użytą.

To pewna, że z pięciu rzek*), które okolice Kaszmiru nadają miano Penduszab (kraj pięciu porzeczy), jednej tylko rzeki Dżelum woda, zdolną jest wyzwarować cudne barwy Kaszmiru.

Napróżno też usiłował sultan Akbar w Delhi, a Kutadszyt Sing w Lahore wytworzyć podobne kaszmirowskie wyroby. Okazało się, że ani Gangesu, ani Dżumny, ani Rawy woda nie ma własności podobnych tamtej; to też 1000 przędzalni urządzonych ogromnym nakładem w Delhi — upadło!..

Aczkolwiek wpływ bezpośredni wody z Dżelum na farbowanie wełny, jest dotąd zagadką, — wszelako nie trudno zrozumieć, że on pochodzi ze składu wody, z zawartości a raczej rozpuszczenia w niej pewnych cząstek mineralnych, stanowiących niezaprzeczenie całą wartość każdej wody.

Każdy strumyczek przepływając wśród różnych pokładów ziemi lub skał, podmywa je, wylugowuje i drobniuchne cząstki łożyska rozpuszczone w swych nurtach unosi, mieszając je w tysiączny sposób i nasycając niemi swą wodę. Mętna zrazu woda strumieni górskich, składających później rzekę Dżelum, oczyszcza się przepływem przez jezioro Wull — a przecież musi zawierać pomimo swój przejrzystości i pozorniej czystości pewne mineralia, które tak znakomity wpływ na barwy wywierają.

Najważniejszym składnikiem ślicznego przetworu ręki ludzkiej, o którym piszemy, jest wełna. Ale nie jest to bynajmniej, jak mniemano zrazu, wełna owiec z nad źródeł Bramaputry. Dostarczycielkami jej są kozy z Tybetu, które li tylko w swojej ojczyźnie tak piękny i cienki puch wydają.

Trzeba też znać Tybet, aby zrozumieć to, cośmy wyżej powiedzieli, bo wełna tamtejszych kóz — stworzoną jest przez mądrą Opatrzność, stosownie do klimatu i do paszy, jaką się jej właścicielki żywią. Słynny podróżnik Hooker tak nam skreślił obraz Tybetu: „Ta barwa powierzchni ziemi przypomina wypaloną pustynię, lub wulkaniczną wyspę — a klimat podbiegunowemu podobny. W wędrówkach całego życia mego nie zdarzyło mi się napotkać okolicy dzikszej, pущеj — i tak po macoszemu przez przyrodę zagospodarowanej. Morze, które pochłonęło Sodomę, nie jest tak

*) Dżelum, Czenab, Rawi, Setledźje i Bedja, które połączone wpadają w Indus.

martwe, jak tutejsze jezioro Czolamu; — i skały Sy-nai, zaprawdę mniej puste od tych, które graniczą z tybetańskim Aranem“.

Tybet jest krajem leżącym najwyżej ze wszystkich i przeto najwięcej wystawionym jest na gwałtowne, mroźne wichry. Siedmnaście tysięcy stóp nad poziom morza wzniesiona skalista płaszczyna, poprzerwana głębokimi rozpadlinami, otoczona niebotycznymi górami, pokrytymi wiecznym śniegiem — oto Tybet, ojczyzna kóz kaszmirowskich.

Ogromne jezioro Czolamu, ograniczone nagimi prawie skałami, dzikie, martwe, — ciągle bałwaniące się od podmuchu szalonych wiatrów — jest jakoby punktem zbornym wszelkich stworzeń, zamieszkujących pustynię tybetańską. Całemi stadami zbiegają się na jego brzegi antylopy, kozy, sarny, zające i bobaki, liżąc łakomo sól wydzielające skały.

Na ubogiej ziemi tamtejszej rośnie drobniutka trawa, służąca tej zwierzynie za pokarm. Lato tam skwarne a zima okropna. HOOKER powiada, że gdy nieraz w zimie wędrowiec wśród puszczy wesprze się na kij i stanie, upadnie dopiero na wiosnę po rozmarznięciu pod wpływem promieni słonecznych. Na tych to lodowatych, wściekłych wiatrami gładzonych wzgórzach, wydaje koza tybetańska słynną swą wełnę.

Podobnie jak gęś islandzką ochrania puch drogocenny pod wierzchnimi piórami ukryty od zimna podbiegunowego, — tak skórę kozy tybetańskiej oprócz długich jedwabistych kędziurów, odziewa miękki, delikatny puch, urągający mrozem i wiatrem Tybetu.

Z tego to właśnie puchu wyrabiają kaszmiry.

Próżne były dotychczas usiłowania naturalistów, aby kozy tybetańskie aklimatyzować w innych świata okolicach, w celu otrzymania ich cennego produktu. Choć i tak bowiem niektóre pojedyncze egzemplarze tych zwierząt utrzymały się tu i owdzie przy życiu, — wszelako nigdy nie wydały puchu tej samej wartości co w swjej ojczyźnie. Klimat każdej okolicy europejskiej był dla nich za mdły, za łagodny; a więc i wełna za rzadka i za gruba. Wreszcie nigdzie nie znalazły owe aklimatyzowane kozy owęj drobniuchnej trawki, rosnącej na słonych wyżynach Tybetu. Wiadomo zaś, że sól jest właśnie pokarmem wpływającym bezpośrednio na działalność skóry zwierzęcia, a zatem i na porost i jakość włosa.

Koza Tybetu większa jest od zwyczajnej, europejskiej; a jednak 20 ich składać się musi na materiał potrzebny do wyrobienia jednego szalu.

W tym celu strzyże się najprzód długi, jedwabisty włos, a następnie dopiero zbiera się delikatny puch za pomocą grzebienia. Czynią to naturalnie na wiosnę, odkąd puszczone kozy hasają w swjej ojczyźnie swobodnie przez rok cały i znowu następnej wiosny pozbyć się muszą drogocennej odzieży swojej, placąc nią stały

haracz nienasyconemu człowiekowi. W czasie strzyżby zbiegają się tłumnie przekupnie kaszmirscy i zakupują wszystką wełnę, którą ładują na wysokonogie owce i przeprowadzają lodowemi jawozami gór himalajskich do domu. Podróż takiej karawany trwa miesiąc cały. Zwykle około połowy grudnia wyruszają kupcy owi z Kaszmiru, wioząc do Tybetu w zamian za wełnę wyrobione już szale.

Widać że i w Tybecie taka apatya i wstręt do przemysłu jak u nas; — my bowiem sprzedajemy zazwyczaj len i konopie tanio zagranicznym spekulantom, a potem od nich kupujemy drogo płótna i inne przetwory z naszych własnych produktów.

Smutno, że przemysłowców z Kaszmircami, a siebie z Chińczykami porównać nam przyszło!...

Korzystny ten handel częścią za gotówkę, częścią zamienny pomiędzy Tybetem a Kaszmiem trwa już od wieków, i co najdziwniejsze, że jest dotychczas wyłącznie w ręku krajowców. Wielokrotne usiłowania Anglików, by choć w części rękę w nim umaczać, pozostały do dziś dnia bez skutku.

Po sprowadzeniu wełny do Kaszmiru i dokładnem wymyciu, umiejętnie ją sortują i blichują za pomocą kwiatu ryżowego, umyślnie na ten cel przyrządzanego. Gdy już pierwotna siwa barwa wełny ustąpi przed świetną białością — bierze się do niej tkacz; a praca jego smutna, bo i zręczności wielkiej i cierpliwości nadludzkiej wymaga — a nie wystarcza na życie! Jakiegoż to podziału pracy — i ile rąk potrzeba, ażeby z wełny już wybielonej, wytworzyć szal kaszmirski, który jest ozdobą wystaw sklepowych na bulwarze pa-rskim?!

Najzdolniejszy z robotników komponuje tkaczom wzory, odpowiednie bieżącej modzie. Zdolność tę jednak nie wielu posiada; tak np. podczas pobytu w Kaszmirze SCHÖNBERGA, któremu opis wyrabiania szalów zawdzięczamy, było tylko trzech takich wzorzystów w całym mieście. Oni wszakże oznaczają tylko ogólne rysy deseni tuszem lub węglem; szczegóły zaś, jak liście, kwiateczki, linijki i drobne floresy dorzucają do powyższych narysów według własnego gustu specjalni rysownicy, którzy cały deseń wykończają pędzlem i tuszem.

Takich mistrzów liczy Kaszmir znacznie więcej, i praca ich też lżejsza, chociaż także talentu wymaga.

Potem przystępuje do dzieła malarz, który wzorom barwy naznacza; — a następnie rachmistrz, obliczający ilość pojedynczych nitek na każdą barwę. Zadanie to nie łatwe i tylko bardzo biegłym przystępne.

Rachmistrz wręcza tkaczowi kartkę, na której liczby i kolory nitek przestrzalowych, poprzecznych, są oznaczone. Tu dopiero zaczyna się właściwe tkanie. (Dok. nast.)

STATUTA

wiedeńskiego stowarzyszenia kobiet w celu zarobku i pracy.

I. Cel stowarzyszenia.

§. 1. Stowarzyszenie ma na celu wsparcie czynności gospodarczej kobiet i dziewcząt, bądź żyjących w rodzinie, bądź od siebie tylko zawisłych.

II. Środki ku osiągnięciu tego celu.

- §. 2. a) Odczyty i wydawnictwo pism, traktujących o zdolności zarobkowania i o polu do zarobku dla kobiet i dziewcząt;
 b) zwalczanie i usuwanie przesądów i przeszkód, stojących pracy kobiecej na zawadzie;
 c) wykształcenie kobiet dla rozmaitych prac na polu handlowem i przemysłowem;
 d) staranie się o pracę i zajęcie właściwe dla kobiet, a szczególnie o założenie kobiecych stowarzyszeń i zakładów ku przysporzeniu dla nich robót odpowiednich;
 e) otwarczenie zakładów, gdzie wyroby kobiece mają być wystawiane i sprzedawane;
 f) założenie kas oszczędności, któreby zarazem pensyje lub chwilową zapomogę udzielać mogły, — jakoteż zakładów, gdzieby w wypadku choroby znalazły kobiety i dziewczęta staranie przytułek

III. Członkowie stowarzyszenia.

§. 3. Do stowarzyszenia przystępować mogą wszystkie dorosłe panny i kobiety dobrze się prowadzące.

Stowarzyszenie rozpoczyna swoje czynności, gdy 30stu członków mieć już będzie.

§. 4. Każdy członek stowarzyszenia płaci rocznie najmniej jeden reński w. a.

Tylko ci, co płacą, są istotnemi członkami i mają prawo głosowania.

§. 5. Zgromadzenie ogólne ma prawo zapraszać na członków honorowych te kobiety lub tych panów, którzy istotne zasługi dla stowarzyszenia położyli.

IV. Posiedzenie ogólne.

§. 6. Posiedzenie ogólne wyobraża całą masę członków stowarzyszenia. Postanowienia jego na zasadzie statutów powzięte, są obowiązujące dla wszystkich członków — nawet nieobecnych. Co rocznie w miesiącu marcu lub kwietniu ma się odbyć posiedzenie ogólne zwyczajne. — Nadzwyczajne posiedzenia ogólne zwołuje wydział, ile razy uważa tego potrzebę, lub na żądanie pismienne 20stu członków, z wyłuszczeniem powodów żądania.

§. 7. Wszyscy członkowie stowarzyszenia mają prawo głosowania na posiedzeniu ogólnem.

§. 8. Zaproszenie do posiedzeń ogólnych dzieje się przez rozesłanie cyrkularza, ośm dni wcześniej, w którym oznajmione bywają przedmioty, o których ma się rzecz toczyć.

§. 9. Posiedzenie ogólne ma prawo działania, jeżeli 20stu członków jest obecnych.

§. 10. Posiedzenie ogólne postanawia zwykle większością głosów członków obecnych. — Przegląda i przyjmuje rachunki wydziału, obraduje i postanawia o środkach ku osiągnięciu celów stowarzyszenia i nominuje członków honorowych. — Wybiera z grona swego 13stu członków wydziałowych i 6ciu zastępujących tychże z większością głosów bezwarunkową. — Postanawia o zmianie statutów, lub o rozwiązaniu się stowarzyszenia dwoma trzeciami głosów członków obecnych. — Oba ostatnie wypadki mają miejsce wtedy, jeżeli wszyscy bez wyjątku członkowie stowarzyszenia byli zaproszeni na posiedzenie ogólne z wyraźnem oznajmieniem powodów zgromadzenia.

§. 11. Protokół ma być prowadzony podczas posiedzeń ogólnych, podpisany przez prełożoną, przez dwóch od zgromadzenia w tym celu wybranych członków i przez osoby prowadzące pióro.

V. Prowadzenie interesów stowarzyszenia.

§. 12. Prowadzenie interesów stowarzyszenia, należy do wydziału. Składa on się z 13tu członków rzeczywistych, 6ciu członków zastępujących, wybranych na rok cały na zgromadzeniu ogólnem. Członkowie ci po roku znowu mogą być wybrani.

§. 13. Wydział pracuje bezpłatnie.

§. 14. Wydział wybiera z pośród siebie większością głosów prełożoną i zastępczynią prełożonej.

§. 15. Wydział zgromadza się co 14 dni. — Może on do obrad swoich zaprosić kobiety lub mężczyzn, nie należących do stowarzyszenia, jako znawców, lecz bez prawa głosowania.

§. 16. Do wydziału należy przyjęcie lub odprawianie urzędników, robotników lub służących stowarzyszenia — Wydział robi zgromadzeniu ogólnemu propozycje co do środków ku osiągnięciu celów stowarzyszenia, stara się o przeprowadzenie postanowień zgromadzenia ogólnego i zdaje sprawę o ważnych sprawach stow. Wydział działa na zasadzie większości głosów, ma prawo powziąć postanowienia, li tylko, jeżeli jest w pełni zgromadzony, dla tego należy zawsze członków zastępujących zaprosić do posiedzeń.

§. 17. Prełożona lub zastępująca ją pani, przedstawia stowarzyszenie na zewnątrz lub wobec rządu.

VI. Majątek stowarzyszenia.

§. 18. Majątek stowarzyszenia składa się z wpłat członków zwyczajnych, z podarków, spuścizny i innych przypadkowych datków, również z dochodów pieniędzy zakładowych. Wydział ma ten majątek pod swoją opieką.

§. 19. Cały majątek stowarzyszenia zostaje własnością tegoż niedotykalną — ani członkowie występujący, ani spadkobiercy członków nie mają prawa rościć sobie do niego jakich pretensyj.

VII. Sąd polubowny.

Wszelkie spory, mogące powstać w łonie stowarzyszenia, wyłączone są od drogi sądowej, i należą przed sąd polubowny, każda strona ma prawo obrać sobie dwóch sędziów, ci obierają sobie prełożonego, i wysłuchawszy obie strony, wydają wyrok, któremu obie strony poddać się muszą.

VIII. Rozwiązanie stowarzyszenia.

Jeżeli stowarzyszenie liczy mniej jak 30tu członków — uważa się tym samym za rozwiązane.

W przypadku rozwiązania, majątek stowarzyszenia przechodzi na dom sierot-dziewcząt w Wiedniu.

ROZMAITOŚCI.

Dla użytku domowego. — Dobre przyrządzanie kawy. Dr. Liebig poucza, że przesączenie, albo napażanie, nie wyciąga kawy dostatecznie i dużo się traci na ilości, tak jak przez dłuższe gotowanie na zapachu. Zaleca więc postępowanie takie: Surową kawę należy pilnie przebrać, obmyć i osuszyć — palić należy się ją tyle tylko, żeby ziarenka utraciły rogowatą własność — należy to robić na wolnym ogniu inaczej pierwiastek kafeina nadający kawie woń i smak ulatnia się w wielkich ilościach. Po upaleniu suszyć w cienkich warstwach i dla zupełnego przeszkodzenia ulatnianiu przez pory ziarenek posypać cukrem — łut wystarcza na funt kawy. Trzymać należy w suchém miejscu i miąć niezbyt drobno, na każdą potrzebę osobno. Gotując, należy brać dwie-trzecie miary potrzebnej i zagotować z wodą aż do zawrzenia — potem wysypuje

się resztę i odstawia. Szczypta kleju rybiego osadza bardzo prędko męty i czyści kawę. Gotowy napój powinien mieć brunatną, a nie czarną barwę i być zawsze mętny jak czekolada, rozrzedzona wodą. Mętność ta pochodzi z tłuszczu, który stanowi 12% kawy. Wywar ciemny, z zapachem przypalonym, jest dla największej części ludzi kawą. Kawa przyrządzona podanym sposobem, nie jest zupełnie rozpalającą — nieatrakcyjność pochodzi tylko z przypalonej kawy.

— Pora kalendarzowa rozpoczęła się już na dobre. Wyszyli już: ulubiony Kalendarz J. Czecha, — Wildta itd. Niebawem wyjdzie Kalendarz Rolniczo-przemysłowy w Wydawnictwie dzieł takich i pożytecznych, mający być zarazem praktyczną książką podręczną.

— Zapowiedziany obraz p. Matejki: Protestacja Rejtana, jest już wystawiony w salach Tow. Naukowego.

— Loteryja fantowa na rzecz akademickiego tow. brat. pomocy odbędzie się za współudziałem Sz. Pań w pierwszych dniach grudnia.

— Znane są dawniejsze sztuczne lalki, automaty, które na fortepianie grały, a nawet niektóre głosy wydawały. Obecnie zręczność ta doszła nierównie dalej. W muzeum figur woskowych w Paryżu pokazują w piwnicy leżącą na stole głowę jakoby straconego człowieka. Leży ona z przymurzonemi oczami, na przemówienie do niej, otwiera oczy, odpowiada na zapytania przytomnie i trafnie, a po ustaniu rozmowy, znowu się przechyla i drzymie. Kilkunastu dziennikarzy zwiędzali to cudo i zgodnie je opisują. Domyślają się, że na to zjawisko składały się mechanika, elektryczność i bruchomowstwo.

— Pewien chłopiec wiejski we Francji zapadł obecnie powtórnie od kilku lat w głęboki sen, który już trzy tygodnie trwa. Pożywienie wlewają do gardła śpiącemu, który leży spokojnie i ma swobodny oddech.

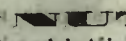
Korespondencja „Kaliny“.

Odpowiadając na zapytania Sz. Czytelniczek pisma naszego, donosimy, że księgarnia Fr. Grzybowskiego w Krakowie, utrzymuje abonament nut — pod następującymi warunkami: zamieszkał na prowincyi mogą prenumerować rocznie za opłatą 15 Zł. w. a. i półrocznie za opłatą 8 Zł. w. a. — przyczem pierwszym służy prawo zatrzymania nut na własność za 10, drugim za 5 Zł. w. a. jako premię; w obu razach udziela się 12—15 sztuk na raz. Koszta przesyłki ponoszą Abonenci. Abonament miesięczny, po 3 sztuk na raz, wynosi 80 c. z kaucyją 3 Zł. w. a.

Pani Mar. Rek. Czarny-Potok. — Pieniądze oddaliśmy do księgarni Grzybowskiego, z kąd Pani żądane utwory do przejrzania i wyboru otrzyma. Zaprenumerować nuty dla Pani możemy również w tejże księgarni, pod warunkami, które wyżej podajemy.

Pani J. S. Zgadzamy się zupełnie — niebawem ogłosimy.

W biurze Redakcyi można nabyć:

pojedynczych egzemplarzy  wydawanych przy „Kalinie“ — po cenie 15 cent. — jakoteż w księgarniach PP. Czecha, i Grzybowskiego w Krakowie; — u P. Hercoka we Lwowie; — u P. Leitgebera w Poznaniu.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca TADEUSZ WOJCIRCHOWSKI.



Wychodzi co sobota o godzinie 9. rano.

Prenumerata miejscowa wynosi: *rocznie* 6 zlr., *półrocznie* 3 zlr., *ćwierćrocznie* 1 zlr. 50 c. w. a. — Z przesyłką pocztową: *rocznie* 7 zlr. 20 c., *półrocznie* 3 zlr. 60 c., *ćwierćrocznie* 1 zlr. 80 c. — *Prenumerata zagraniczna* bez mód i bez nut *rocznie* 8 zlr. 30 c. w. a.
 Mody i kroje *rocznie* 3 zlr. 30 c., *pół-*

rocznie 1 zlr. 70 c., *ćwierćrocznie* 90 c. w. a.
 Nuty *rocznie* 1 zlr. 25 c., *półrocznie* 65 c., *ćwierćrocznie* 35 c. w. a.

W Krakowie prenumerować można w biurze redakcyi: ul. mikołajska 458, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni Wgo. Czecha.
 We Lwowie można prenumerować i odbie-

rać w ajencyi Hercoka i Arnolda na Halickiem.

W Poznaniu w księgarni Mieczysława Leitgebra, Hotel du Nord.

Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c. następnie po 4 c. Każdą razą dokłada się 30 c. na stempel rządowy

Od Redakcyi.

Wzrastająca z każdym dniem liczba Prenumeratorów, przekonywuje nas, że pismo podobnego rodzaju było pożądanem i potrzebnem. Nie ludzimy się, żeśmy dotąd w zupełności odpowiedzieli oczekiwaniu i programowi, czujemy braki i niedostatki, ale staraniem naszym będzie zaradzać im, aby nie zawieść położonego w nas zaufania. Uwzględniając nadsyłane nam życzenia Sz. Prenumeratorek, zaprowadzamy pewne zmiany tak co do treści pisma, jak i zewnętrznej formy. Bliższe szczegóły podamy w swoim czasie, a dzisiaj już zapowiadamy, że: **bez podwyższenia prenumeraty, będzie wychodzić „Kalina“ od Nowego-Roku na welinowym papierze i ze zmianą tytułu.**

Czyniąc również zadosyć licznym zgłoszaniom się, zawarłiśmy stosunki z odpowiedniami zakładami i uwiadami: że przyjmujemy do załatwiania wszelkie sprawunki i komisa damskie toaletowe, krawieckie, modniarskie, księgarskie itd. Osobno do tego ustanowiony zarząd kobiecy, będzie się starał uiszczać z zobowiązań jak najlepiej i najpункtualniej.

Upraszamy o wczesne nadsyłanie prenumeraty, albowiem od tego zależy ilość nakładu, zwłaszcza mód i nut.

ŻONY NIEWOLNIKÓW.

(Ciąg dalszy.)

VI.

S a d.

Wiosenne ciepło już rozbudzało ziemię — pola i lasy odziewały się przejrzystą, młodzieńczą zielonością tak ponętną dla oczów, tak rozbudzającą nadzieję w człowieku. W takim czasie skowronki podlatują nad orzącym rolnikiem, wierzbowe fujarki odzywają się pod lasami. Ale rok 1863 nie znał u nas takiej sielanki — wiosenna zieloność była tłem ciągłych utareczek — balsamiczne lasy były szlakiem i schronieniem powstańczych oddziałów, i świadkami strasznych scen nieraz. W ziemi niewolników nie było wiosny. Wśród najcichszych ustroni słyszysz nagle tentent czwałujących koni, jakiś gwar i ruch w zaroślach lasu, wnet z za leszczynowych krzaków wysuwają się baranie czapki z kokardami, powstańcze burki, błyszczące szable i już po sielance.

Jeden z takich oddziałów ukazał się dnia 13 maja w okolicach miasteczka N., ominął z daleka miasteczko, w którym było kilka rot piechoty moskiewskiej i sotnia kozaków, przeszedł półmilowy las i wyszedł na gościńiec. Był to oddział, o którego zbliżaniu się wspominał był Jan poprzednio. — Na gościńcu kilkunastu ludzi oddzieliło się i skręcili w boczną drożynę, prowadzącą do wsi S.; tych ludzi prowadził brat Konstancyi, już zdrowy zupełnie; — obok niego jechał komisarz województwa — w tyle znajdowali się syberyjczyk i Jan.

Potworna twarz syberyjczyka w tej chwili była rozrzuconą, rozglądał się z zajęciem po okolicy, czasami zatrzymywał konia i zwracając się do Jana, mówił:

— Dziwnie mi jest dzisiaj — serce tłucze się czegoś mocno w piersiach, niby to radość, a pod tą radością jest jakiś niepokój, jakaś trwoga, jakieś złe przecucie. Te miejsca tak pełne wspomnień z dawnych lat cieszą mnie i smucą zarazem, jak uśmiech człowieka, którego żegnamy na długo. Patrz, tam pod tym urwiskiem, gdzie płynie rzeka podmywając gaik olszowy, tam lubiłem czytać i dumać; po tej drodze, którą jedziemy, wyścięgałem się nieraz z bratem.

Na wspomnienie brata zachmurzył się i zamilkł. Po chwili rzekł:

— Już widać dwór, w którym spełni się sprawiedliwość na zbrodniarzu. A jeżeli on uciekł? —

Ta myśl zaniepokoiła go, spiął konia i przyspieszył biegu.

— Po co tak piękne pamiątki brudzisz uczuciem zemsty? — spytał Jan.

— Chcę je oczyścić z błota.

— Obmyj je przebaczeniem.

— Nie, krwią tylko. Ja na tę chwilę czekałem tak długo, wśród bolesnych przeżyć ta myśl, że kiedyś pomszczonym będę, podnosiła mnie i krzepiła, wypieściłem ją w swą duszę, ona stała się celem mego życia i ty każesz mi teraz zrzec się tej myśli. Nigdy, nigdy! — Poświęciłem dla kraju życie — ale się nie zrzekę...

— Zemsty? —

— Nie, sprawiedliwości. I tej żądam.

Wjechali w bramę dworu. Syberyjczyk obstawił strażą wszystkie wejścia. Wszedł furtką do ogrodu, chcąc strażę postawić pod oknami. W tej chwili jakiś chłopiec wybiegł oknem i skrył się w krzakach. Jeden z ludzi zwrócił na to uwagę syberyjczyka.

— Mniejsza o jednego służącego, niech ucieka. Tu idzie o to, aby obwiniony nie uciekł.

To rzekłszy, wrócił do pokoiów i spytał z pośpiechem oficera:

— Jest? —

— Jest w swoim pokoju już pod strażą. Idę złożyć sąd.

— Ja przyjdę za chwilę.

Oficer odszedł. Syberyjczyk upadł w krzesło bezwładny ze wzruszenia. Znajdował się w jadalnym pokoju, było to ulubione miejsce, w którym jego ojciec długie przesiadywał godziny. Stary portret matki zezębinały wiekiem, wisiał wprost naprzeciw niego i patrzył na niego wymownie malowanymi oczyma. Wspomnienia tłoczyły się jedne po drugich bezładnie, rozpierały mu piersi wzruszeniem tak, że zapatrzony w przeszłość, zapomniał po co tu przybył. — Gdy tak siedział, otworzyły się drzwi i weszła do sali jakaś niemłoda już kobieta, z wyrazem niespokojności na twarzy. Ujrawszy syberyj-

czyka, stanęła oniemiała i oboje przez chwilę patrzeli na siebie nic nie mówiąc. Kobieta pierwsza przemówiła:

— Teraz rozumiem pociście przyszli. Pan chcesz się zemścić, prawda? —

Syberyjczyk wstał, ale milczał.

— Mścij się pan, ale na tych, co zawinili — na mnie. Co on wam winien? —

— Oboje ciężkoście zawinili przeciw mnie. Nie przyszedłem się mścić na pani, serce ma swoje popędy, którym rozkazywać trudno. Zresztą po co poruszać stare rzeczy, które czas zatarał. Ja przyszedłem żądać od niego rachunku, za to, co przeciw mnie uczynił. On mnie okradł z majątku — pani musisz wiedzieć o tym.

— Dla czego pan nie przyszedłeś sam, brat z bratem porozumiećby się mogli. Ci ludzie, których przyprowadziłeś ze sobą, mają coś strasznego w twarzy, ja w nich czytam okropny wyrok dla mego męża. Panie ratuj go, oszczędź go, wszak to twój brat, oszczędź nas.

— Pani go kochasz — pani możesz szanować tego człowieka? —

Kobieta spuściła oczy przed badawczym wzrokiem syberyjczyka i milczała.

— Nie, ty nie możesz szanować człowieka, którego brudną duszę poznałaś. —

— On moim mężem. —

— Rozumiem szlachetność twoją.

Dalszą rozmowę przerwało wejście oficera.

— Sąd czeka — rzekł. Syberyjczyk skinął i poszedł za nim.

Rozmowa z kobietą, którą niegdyś kochał, rozbroiła syberyjczyka przeciw bratu, szedł na sąd z myślą przebaczenia; ale gdy zobaczył twarz oskarżonego bez skruchy, owszem impertynencko śmiałą i wyzywającą, zawrzał oburzeniem, uczucie litości odleciało precz — spojżenia braci zmierzły się jak ostrza pałaszy przed pojedynkiem.

Komisarz pełnomocny przeczytał oskarżenie i spytał obwinionego co ma na swoją obronę.

— Bronić się powinien ten, który rzuca oszczerstwa, a nie ja, — rzekł tenże z efronterją.

— Nierozumiemy czego pan chcesz?

— Chcę dowodów, bo przypuszczam, że rząd narodu dobijającego się wolności, nie potępi mnie na proste oskarżenie jakiegoś włóczęgi.

Syberyjczyk zacisnął pięść i chciał skoczyć ku potworemu. Ten stał spokojnie i wzrokiem urągał mu:

— Pięść to nie dowód — rzekł.

— Czy był kto świadkiem owej pozorniej sprzedaży — spytał komisarz. —

Syberyjczyk zastanowił się, coś sobie przypomniał i kombinował:

— Tak, rzekł po chwili, był jeden człowiek znajomy mój. Przypominam sobie, że on jako prawnik radził mi zabezpieczyć się przeciw wszelkim podejsiom,

żądaniem nawzajem od tego tutaj człowieka podlego skryptu na sumę wartości wioski. Nie chciałem przystać na to, nie przypuszczałem wtedy, że przeciw bratu tak prawnie zabezpieczać się trzeba. Ale ów mój towarzysz nalegał na to i ten — rzekł pokazując na brata stojącego w zakłopotanej postawie — dał mi skrypt taki. —

— I zachowałeś go pan?

— Nie chciałem taką niewiarą uwłaczać miłości braterskiej — skrypt został w ręku tamtego świadka.

— Gdzież on jest? —

— Bóg wie.

Oskarżony rozśmiał się szyderczo.

— Jak się nazywał? — pytał dalej komisarz.

— Tadeusz M.

— To był mój ojciec — rzekł oficer wstając.

Oskarżony znowu pobladł i zmienił się — odwrócił się ku oknu, jakby ztamtąd oczekiwał jakiej pomocy. Komisarz dalej śledztwo prowadził, pytając oficera. —

— Czy ojciec pański żyje? —

— Żyje.

— W takim razie mógłby nam udzielić potrzebnych objaśnień.

— To trudno. Ojciec mój cierpi pomieszanie zmysłów. —

— Może ów skrypt znajduje się w jego papierach.

— Wątpię.

Turkot powozu przerwał dalsze indagacje. Maurycy z żoną zajechali przed ganek. Maurycy był w ubiorze powstańca, uzbrojony i gotowy do drogi; przesładowania bowiem moskali, szerzące się powstanie, nie pozwalały mu dłużej siedzieć w domu spokojnie i przypatrywać się bezczynnie walce, w której ważyły się losy jego narodu. Szczególniej jedna chwila wpłynęła na to postanowienie — było to wtedy, gdy widział żonę swoją na balu żelzoną przez kapitana. Strasznie uczył w tej chwili swoją bezsilność, on mąż — obrońcę jej nie mógł. Niewolnik uczył wtedy dopiero ciężar kajdanów, gdy go zraniły w serce, uczył się spętany, więc zapragnął być wolnym. Dziś właśnie odwoził żonę, by ją powierzyć opiece rodziców — a sam chciał udać się do najbliższego oddziału. To też widok uzbrojonych ludzi stojących na dziedzińcu, ucieszył go. Rozpromieniony i wesół wszedł do pokoju i nie pomалу zdziwił się, ujrawszy ojca swego stojącego przed trzema ludźmi, którzy z surową powagą patrzyli na niego.

— Co to ma znaczyć ojeze? — spytał z pośpiechem.

Syberyjczyk, który chciał biedz na jego przywitania — osłupiał na te słowa.

— Ojeze? Więc to twój ojciec — więc ty, któryś mi tyle świadczył dobrego, byłeś synem jego? —

Nastąpiła chwila milczenia i oczekiwania. Na twarzy

syberyjczyka widać było walkę wewnętrzną, widocznie pasował się z jakąś myślą — wreszcie z wysileniem, które go zapewne wiele kosztować musiało, rzekł:

— Nie chcę sądu. —

— Ale ja chcę — odezwał się oskarżony z bezczelną pewnością, ośmielony brakiem dowodów. — Ja chcę, ja domagam się sądu. Rzuciłeś potwarz, udowodnij ją — inaczej ja będę żądał sądu na oszezerce.

Na te słowa sędziowie, którzy już zabierali się do wyjścia, stanęli zdziwieni i pytające zadziwione oczy rzucali to na oskarżonego, to na skarżącego, jakby żądali wytłomaczenia tej zagadki.

Maurycy rozpogodził twarz — śmiało wystąpienie ojca świadczyło o jego niewinności, to go uszczęśliwiało; — jak z drugiej strony oszezerstwo wuja wzbudzało w nim wstręt i odrazę.

Wśród tej niemiej sceny, w której najsprzeczniejsze uczucia miotały sercem aktorów, wszedł żołnierz z depeszą, wzywającą powstańców co prędzej do powrotu do oddziału. Depesza nakazywała pośpiech — niebawem więc opuścili dwór. Syberyjczyk odchodząc, chciał pożegnać Maurycyego — ten cofnął swą rękę ze wstrętem. Syberyjczyk pokiwał smutnie głową i wyszedł.

— Podli — rzekł Maurycy.

— Ten papier powie panu kto podły — rzekł Jan i rzucił mu papier.

— Był to ów dokument, który przypadkiem dostał się do rąk Jana w mieszkaniu Konstancyi.

— Co to za papier? spytał ojciec —

— Rewers z twoim podpisem ojeze — i oddał mu papier, patrząc na niego wzrokiem pełnym wyrzutu i surowej powagi.

Ojciec zobaczywszy pismo, pobladł.

— Kto był ten człowiek, co ci to dał?

— Człowiek, który powinien mnie nienawidzić. O! pomścił się okropnie, pokonał mnie szlachetnością.

Zakrył twarz rękami ze wstydu i zabierał się do odejścia.

— Gdzie idziesz Maurycy? —

— Ojeze, my teraz nie możemy patrzeć sobie w oczy — bez wstydu. —

Chciał odejść — wtém w bramie ukazali się Moskale — przed nimi szedł ów chłopiec, którego strażę widziały wyskakującego oknem. Maurycy cofnął się w głąb pokoju. —

— Ukryj się w pokoju matki tymczasem — rzekł z pośpiechem ojciec — tu nie jesteś bezpiecznym.

Maurycy wyszedł. — Za chwilę wszedł kapitan z żołnierzami.

— Gdzie są powstańcy, o których nam pan donosisz? — spytał dziedzica.

— Już odjechali.

— To kłamstwo. Na dziedzińcu stoi koń jednego z nich, on tu się ukrywa.

Manon Phlippon Roland.

(Życiorys.)

(Ciąg dalszy.)

La Blancherie począł bywać częściej. *Phlippon*, ojciec, nie rad był z tego, żenowała go obecność tego człowieka tak, że mu aż dał do poznania, że niepotrzebnie coś za często ich nachodzi. Te zwroty, półświatła, przeszkody pomagały mu właśnie coraz więcej. Z daleka widywany, zyskiwał w oczach kochanki. Jeżeli *La Blancherie*, którego *Manon* nie ma już sposobności widywać, znajdzie się w kościele na dorocznym nabożeństwie za matkę jej, jakżeż ją to porusza. „Wyobrazisz sobie wszystko to, czém mogła mnie natchnąć obecność jego przy podobnym obrzędzie. Rumieniłam się zrazu za moje grzeszne łyzy, które płynęły zarówno z powodu matki jak i kochanka... Nieba! co za słowo!... lecz czyliż mnie to powinno mieszać i niepokoić? O nie; upewniłam się zaraz co do prawości uczuć moich i wzięłam cię na świadka święty i drogi cieniu“... Widzimy do jak wysokiego tonu wrażenia dochodziły. Jednak te trudności w widywaniu stały się zarazem najlepszym przewodnikiem dla oszłomionej głowy. Wyobrażenie jakie miała o tym niby wybranym, stawało się coraz wyraźniej czystym wytworem jej własnej wyobraźni, i sprzeczność jego z człowiekiem rzeczywistym musiała wypłynąć na jaw. Potrzeba było do tego lada najmniejszej sposobności, aby prawda i jasność jej usposobienia doznały wstrętnego niesmaku i odczarowania na widok przedmiotu, który okazał się wcale innym, jak go sobie wyobrażono; człowiekiem ani złym, ani zbyt głupim, ale najpospolitszym w świecie. Spotkała go w ogrodzie Luksemburskim z pióropuszem na kapeluszu; filozof w piórach — a to okropność! Dołączyły się niektóre śmieszności, jakie o nim opowiadano, i nastąpiło ostateczne skompromitowanie ideału. Gorączka wyobraźni ustąpiła bez wysilenia, najlepszy dowód, że serce w tej całej sprawie nie wiele brało udziału.

W kilka miesięcy po owym spotkaniu w kościele, pisze o nim: „Nie uwierzysz, jak mi się wydał szczególnym; te rysy, chociaż te same, nie mają już tego samego wyrazu, nie malują mi już tych samych rzeczy. O jakżeż potężnym jest złudzenie! Szanuję go po nad innych ludzi, zwłaszcza jego wieku; lecz nie jest to już ideał doskonałości, pierwszy swojego rodzaju, nakoniec, to nie mój kochanek; i ot wszystko“. Jest to wcale drastyczna lekcya o błędnych ognikach. Dla słabszych usposobień jak naszej *Manon*, możeby nie tak łatwe było wycofanie się, bo może zaangażowanie się byłoby większe.

Odbywszy się z tą pierwszą niby miłością, wracamy do tej *Manon*, którąśmy zastali na początku niniejszego rozdziału w pracowni ojca. Czynna i cicha jak zawsze, ale dusza jej wyrывa się, pragnie się rozglądać po

— Proszę mi wierzyć panie kapitanie.
— Ja wierzę tylko własnym oczom — żołdacy za mną.
Kapitan rozpoczął śledztwo, przetrząsał pokój po pokoju — aż zbliżył się do sypialni kobiecej. —

— Kapitanie — rzekł dziedzie drżącym głosem — to sypialnia mojej żony!

— Najlepsza kryjówka — ustąpił pan!

— Kapitanie — powtórzył oburzony — zdaje mi się, że zasługuję na wasze zaufanie, uszanuj pan mój dom. Tam niema nikogo. —

— Zobaczymy.

To mówiąc, odepechnął gospodarza i wszedł do sypialni, w której przerażone i drżące kobiety stały obok Maurycego. —

— A to kto? — spytał kapitan drwiąco.

— To mój syn kapitanie. —

— Więc pan własnego syna denuncyjowałeś — nie minie pana chrest za to. — Wiązać więźnia. —

Ojciec Maurycego jęknął rozpacznie, załamał ręce i upadł w krzesło. (Dokoń. nast.)

Do starego odzienia.

Kiedy me stare kładę odzienie,
W każdym fałdeczku jakieś wspomnienie —
W każdym fałdeczku widzę łez ślady,
Od których wzrok mój teraz tak błądy.
I witam, witam one pamiątki —
I drogie mi są odzienia szczątki,
I trudno bardzo rozstać się z niemi,
Chciałabym zabrać gdy pójdę z ziemi.
I na sąd stanąć w tej sukni stariej,
Aby świadczyła jak do przebycia
Trudną mi była ta droga życia —
A może Pan Bóg zmniejszyłby kary.

Twarz ludzka.

Czemże twarz ludzka — czém czoło — czém lica?
To gładka biała z marmuru tablica,
Na której z czasem będą wypisane
Kreski i znaki boleścią zadane.

Oczy, co blyszczą jako dwie pochodnie
I na świat patrzą zrazu tak swobodnie,
Kiedy je boleść rosi często łzami,
Zbledną, przygasną jak słońce za mgłami.

Usta — siedziba śmiechu — usta one
Wesołą pieśnią szczęścia otworzone,
Gdy ból zaciśnie — to aż na sąd Boży
Podobny uśmiech znowu je otworzy. —

..... a. —

szerszym świecie, pragnie ważniejszych zajęć. Utrata matki, pierwsza miłość, najrozmaitsza lektura, coraz liczniejsze znajomości z znakomitszymi ludźmi, którzy naturalnie pewnie od jęj towarzystwa nie stronili — wszystko to staje się dla jęj duszy w 22gim roku życia energicznym bodźcem, i wartość jęj w całości odstania. Naprózno powtarza nieraz z przedziwnym wdziękiem. „Ja pragnę cienia, półświatło wystarcza dla mojego szczęścia, i jak mówi *Montaigne*, dobrze może być tylko w tylnej izdebce“. Jęj silnej naturze, jęj wyższym zdolnościom nieraz już ciasno po za parawanem i na tej nizinie, na której ją los postawił. Czara jęj życia przepelnia się, porównuje się sama do lwa w klatce, zdaje się jęj, że się powinna była urodzić Spartanką lub Rzymianką, a przynajmniej mężczyzną. I tutaj odslania się nowy rys jęj duszy, wychowanej na Plutarchu i na skromnym mieszczańskim chlebie.

Widzieliśmy światło umysłu, widzieliśmy cnoty domowe i dobroć serca, tutaj potrącamy o patryjotyczny zapal. Ale i ta struna jest — że tak powiem — przestrojoną jeszcze; jęj dźwięk jest jeszcze pomącony pewną przesadą, nieodłączną od pierwszych rojeń i wrażeń, i nieraz zdaje się jeszcze nieharmonijować z dźwiękiem innych strun charakteru, i odbiegać po za wymagania trzeźwego życia. Tony te później dopiero w harmoniją się ułożą. „Przyjeżdż przecie do Paryża, pisze do słodkiej i pobożnej Zofii, wszystko jest niezem w porównaniu z pobytem tutaj, gdzie umiejętności, sztuki, wieley ludzie, wszelkiego rodzaju zasoby dla ducha, gromadzą się na wyścigi. Jakież to wycieczki, jakie zajmujące studia robiłybyśmy razem! O jakże ja pragnę poznać doborowych ludzi wszelkiego rodzaju. Nieraz zbiera mię ochota nawdziać kapelusz i... ażebym mogła iść poszukać i przyjrzeć się pięknu i talentom. Mówią, że znalazły się kobiety, których miłość i poświęcenie skłoniły do tego... Ach, gdybym nieco mniej rezonowała, i gdyby nieco przychylniejsze okoliczności, *tête bleue!* nie brakłoby mi zapalu na to. Nie dziwię się, że Krystyna (mowa tu o szwedzkiej królowej) porzuciła tron, aby mogła żyć spokojnie, zajęta umiejętnościami i sztukami, które kochała... Wszelako, gdybym ja była królową, poświęciłabym moje gusta obowiązkowi — uszczęśliwienia moich poddanych*). Tak! ale cóż to za ofiara! Zatem i przytęm nie martwię się zbyt, że nie noszę korony królewskiej, chociaż bardzo mi brak środków... Lecz plecę piątę przez dziesiątę — kocham cię, adieu.“ Odnośnie do tych jęj pragnień, przytoczymy z pamiętników jeden wypadek. *Rousseau* był przedmiotem jęj czci i uwielbienia, chciała koniecznie poznać go. Korzystając ze sposobności, że jeden znajomy jęj Genewczyk chciał mu dedykować swoje kompozycje muzyczne, napisała list do *Rousseau'a* o pozwolenie na

to, dodając, że sama przyjdzie po odpowiedź. Wybrała się z towarzyszką, zapukała — drząc jak u progów świątyni, ale głos kobiecy odpowiedział jęj prostęm nie. I nigdy go już potem nie widziała. Jest to może najlepszy sposób, ażeby bóstwa umysłu mogły się dłuższy czas ostać w nas cało.

Przyjaźń dla Zofii zyskuje na tym zbiegu i konflikcie różnych wzruszeń i pragnień, jeszcze dla niej samej niejasnych, szukających dla siebie przedmiotu i przestrzeni. Ona sama to wyznaje i daje nam klucz do zrozumienia jęj stanu: „Ach Zofio osądź do jakiego stopnia ja uczuwam przyjaźń, kiedy to jest jedyne moje uczucie, które nie jest ujarzmione“, to jest, które może swobodnie się rozwijać i objawiać. Lecz i ten ton słabnie, slychać coś jak žal: „Zofijo, Zofijo, każesz zbyt długo czekać na twoje listy“... Bo kiedy *Manon* wyrwała się w świat, Zofija myślała o wstąpieniu do klasztoru. Dwie przyjaciółki przestają być dla siebie całym światem, uczucie stygnie, naprózno je pobudzają i zasypują się zaręczeniami; jest to już tylko odgrzywanie, powiedziała to później sama pani *Roland*, że w karyjerze przyjaźni, tak jak na drodze cnoty, poczynamy się cofać w chwili, gdy przestajemy iść naprzód. W samą porę przybyła do Paryża starsza siostra Zofii Henryka, jęj żywość wyobraźni, tryskający humor odpowiadał więcej usposobieniu *Manon*, stała się dla niej „trzecią mną samą“. Stracimy niebawem z przed oczu te panięskie stosunki, musimy więc — uprzedzając kolejność wypadków — tutaj nadmienić, że ta przyjaźń świetnie się udowodniła. Po wielu latach, wielu niezgodach politycznych, nie zerwała się wcale; owszem, kiedy *Manon* w więzieniu na wyrok czeka, przybiega Henryka tajnie, chce ją ratować, ubrać w własne suknie i wyprawić, a sama zostaje na jęj miejscu. *Manon* nie przyjęła ofiary, powtarzając jęj: „o moja ty dobra, stracono by cię za to“.

Obok tęj nowej przyjaźni, pojawia się właśnie teraz i pan *Roland*. Wypadek ten rozpoczyna już drugi peryjod jęj życia. Rozważaliśmy obszerniej pierwszy ten peryjod, aby łatwiej zrozumieć następne. Śledzić rozwoju duszy i charakteru — zwłaszcza tak świetnego — nigdy nie można zanadto. Odsłoniła nam się tutaj prawdziwość tęj idei, że doskonała moralna istota w nas — jeżeli ma być — to jest wczesnie; w dwudziestu latach jest ona już w całej swojej jednolitości i wdzięku. Wtedy prawdziwie nosimy w sobie nasze ideały i naszych bohaterów. Później przeżyje człowiek nieraz samego siebie. W miarę jak się rozwija i jak się odslania oczom drugich, traci sam w sobie; kiedy cały świat poczyna go cenić, jego już niema tyle co przedtęm, czasami już wcale go niema. Swoboda, poświęcenie, wierność i stałość, odwaga, zachowują jeszcze te same nazwy, ale już mało na nie zasługują. Każda dusza postępując, doświadcza wszystkich ciosów i upadków, do jakich

*) Będziemy mieli niżej sposobność porównać te dwa charaktery.

tylko jest zdolną. Przynajmniej u więcej wartających ludzi wszystko to co się nazywa postępem życia, jest nierównie niższe od owego ideału, który na chwilę obiecywała i urzeczywistniała młodość. Jest to więc wielce pojętne zajęcie poszukiwać tego pierwszego portretu u ludzi, których następnie sława za swoje dzieci przybrała. Pani *Roland* okaże się później zapewne nierównie większą — ale nigdy mądrzejszą, głębszą, więcej zachwycającą jak w tych chwilach młodego, serdecznego wylania się. Mogłaby była żyć do końca w tych pierwszych ramach, jakie jej los zakreślił — i nie czulibyśmy, że jest nie na swoim miejscu. Jej przyjaciółom nie przyszłoby nigdy na myśl, żeby ją przenieść do tych sfer burzliwych, gdzie oddychała tak szeroko i umarła tak triumfująco. Była ona w tym drobnym zakresie tą samą, co i później; tylko doskonała jej natura moralna umiała się tak ułożyć, że nie widać przymusu. Prywatne życie obudza ten interes, że się z niego wróży charakter i gieniusz, mający niebawem zajaśnieć. Jakżeż to rzadcy jednak są tacy ludzie, którzyby byli zarówno na swoim miejscu, dobrzy i wyborni w życiu prywatnym, wiele w publicznym, jak *Waszington*, *Kościuszko* i p. *Roland*. Późniejsze życie jej da na to coraz świetniejsze dowody, dotąd przypatrzylśmy się rodzinom i pierwszym szkołom jej charakteru, różnym jego odcieniom. Wśród nieszczęść domowych i przykrości, które oblegają istnienie tej, która przestała już być młodziutką panią, występuje przedewszystkiem jedna zaleta, której nie można dosyć chwalić, która jej nadaje równowagę moralną, prawość i czujność: tj. czynność, przedewszystkiem działająca. „Jest to wielka prawda, powtarza ona nieraz, że szczęście polega jedynie na tej drogocennej czynności, która nas ratuje od czerzości i czyni do wszystkiego zdolnymi“. Z tego zamiłowania pracy, które się stało jej naturą, wynika dla niej szacunek, enota, szczęście, wszystkie rzeczy, w których umiała żyć, i które jej nie opuściły i w godzinę śmierci.

II.

Mamy więc obecnie przed sobą już skończoną kobietę. W dalszym toku opowiadania nie będziemy się wiązać ściśle następstwem wypadków, bo nie o historiją nam idzie. Zresztą znany jest los jej, że jako żona ministra, należącego do jednego z umiarkowanych stronnictw (żirondystów) została w wirze rewolucyjnym na śmierć skazaną i ściętą na gilotynie. Nie będziemy się zastanawiać nad politycznym procesem, ale na tle ówczesnej zawieruchy rysujemy charakter kobiety.

Życie jej dalsze nie da się już rozdzielić na peryjody, tak samo jak charakteru nie można krajać na kawałki bez obawy utracenia całości widoku. Bo wartość charakteru po tém się właśnie poznaje, że w każdym pojedynczym rysie, w każdym wypadku cały się

przebija. Jednak dla jasności obrazu i uwydatnienia pojedynczych części jego, musimy im się przyjrzeć z osobna, a najpierw jej domowemu życiu.

Pan *Roland* pojawił się pierwszy raz przed nią z listem polecającym od przyjaciółek; przychodził potem rzadko, zawsze pełen naturalnej powagi, od pierwszego wejrzenia poznać było w nim surową enotę życia, budzącą sympatją i poszanowanie. I od pierwszego dnia ta, której przeznaczone było uświetnić jego imię, stara się, aby mu się przedstawić korzystnie i zyskać jego szacunek. W jego rzadkich odwiedzinach było zawsze coś uroczystego i pełnego znaczenia. Rozmowa szła o wszystkiem: *Rousseau*, *Voltaire*, Szwajcaryja, rząd, Grecy, Rzymianie, były to przedmioty rozmowy; panna zapala się nieraz, gniewa — on z łagodnym uśmiechem prostuje jej zdania, naprowadza, tłumaczy, poucza, z prostotą trzeźwą ale nie pedantyczną, jakby brat z młodszą siostrzyczką. — Po jakimś czasie wyjechał do Włoch, powróciwszy, bywał jeszcze rzadziej.

Podobne postępowanie drażniło ją nieco, bo czuła, że ona robi na nim wrażenie, a i sama się nim zajęła. Róż marzy o nim, że przyjdzie — na próżno. Píše o tém do przyjaciółek zimno, sucho; że jest to człowiek zbyt zajęty, który się mało udziela; że ona, która tak chętnie opisuje swoich dobrych znajomych, nie czuje się w prawie o nim pisać; jest on odnośnie do niej na odwrotnym końcu zbyt długiej lunety i nie jej nie przeszkadza do przypuszczania, że jest jeszcze we Włoszech.

W ten sposób nie pisze się o kimś, co nas nie obchodzi. Był to dobry znak dla pana *Roland*. Znał on dobrze wielką różnicę wieku, miał bowiem pięćdziesiątkę: był ostrożny i baczny, postępował rzadko, zwolna i bezpiecznie, tak jak rozum, albo przeznaczenie. Wiedział, że trzeba mu przemówić do szlachetnych instynktów, i głębokich prawd, palących się w jej duszy, wiedział, że staranie się nadskakujące, robiłoby go komicznym w jej oczach. Zresztą rzetelność jego wymagała, aby się przedstawił odrazu tém, czém był, człowiekiem sumiennej pracy, kapłanem obowiązku, pojmującym życie na seryjo. Spodziewał się znaleźć w niej przywiązaną towarzyszkę doli i niedoli, miał prawo liczyć na to, że ona zdolna jest ocenić go, tak jak on ją pokochał, i nie zawiódł się, bo istotna, jedyna miłość tę ma potęgę, że wzajemność staje się koniecznością. Ofiarował jej swoje listy z Szwajcaryi i Włoch; oświadczył się z całym spokojem o jej rękę, i został przyjęty.

Wyjechali na prowincyją. P. *Roland* był inspektorem królewskich fabryk, całe życie strawił na pracach i podróżach, jedną tylko myślą zajęty, żeby przemysł Francyi na wszelki sposób podnieść i ulepszyć. Wydał już kilka odnośnych podróży, rozpraw i memoryałów. Był to gorliwy obywatel, który nosił ojczyznę w najgłębszej głębi swojego serca. Każda czynność jego natchniona była gorącym patryjotyzmem, toż nie dziwnego, że

taka kobieta jak *Manon*, była szczęśliwą pod opieką jego miłości, ona, która pracę tak wcześnie nauczyła się cenić.

(Ciąg d. nast.)

Z PRZYRODY.

Gawęda o kaszmirowym szalu.

(Dokończenie.)

Warsztat tkacza bardzo pojedynczy: stołek i kilka igieł drewnianych, z których każda innokolorową nicią nawleczona — oto cały przyrząd nie liczny, ale pracowitego ludu, z którym zapewne długo jeszcze nie ośmiela się konkurować zmyślnie maszyny Liwerpoolu, Lijonu i Wiednia. Najpojedynczego wzoru szale czterech rąk wymagają; nad trudniejszymi pracuje trzech lub czterech ludzi, którzy po skonbinowanych deseniach razem zaledwo o ćwierć cala przez dzień posuwają robotę na warsztacie. Szal bardzo trudnego wzoru tka się na kilku warsztatach w kilku kawałkach, które następnie zręcznie spajają.

Tak zwany „ustand“ czyli mistrz, kieruje całą robotą. Siedzi on przed wszystkimi robotnikami i zwraca ich uwagę na desen, barwy, nitki i sposoby wiernego oddania wzoru, który mistrzowsko namalowany na papierze, ciągle ma przed oczyma.

W milczeniu czeladnicy pełnią swoją powinność, a rytmem niejako ich roboty, jest regularne kiwanie głowy, świadczące, że pracownik oddany duszą i ciałem swój czynności.

Przez cały ciąg tkania przewrócony jest szal na lewą stronę. Ale cóż ten szal przedstawia?... Gdzie czerpał artysta natchnienie do deseni?... Oto w odwrotności a zawsze pięknej, zawsze świeżej i niewyczerpanej przyrodzie. Szal kaszmirski, to istne odwzorowanie przyrody, to dywan kwiatów, jakim się na wiosnę przystraja górzysty kraj „pięciu porzeczy“.

To też w opisach Kaszmiru zgodnie twierdzą podróżnicy, że okolica tameczna na wiosnę istnym jest rajem; a pola rozległe okryte szafranem, narcyzami, tulipanami, tuberozami i innym cudnobarwnym kwieciem, wydają się olśnionemu widzowi jak rozścielony pod stopami olbrzymich rozmiarów i pysznych barw szal kaszmirowy.

Istotnie rzec można, że arabeski i kwiaty szalu rywalizują tak świetnością barw jak i rysunkiem z owym kobiercem ręką przyrody utkanym. Ależ ileż to znoju, ilu różnorodnych a zespolonych sił niedołężnego człowieka potrzeba, żeby odwzorować to, co potężna przyroda garścią rzuconych promieni słonecznych dokazać może....

Szal kaszmirski trudniejszego wzoru, wymaga pracy 3 lub 4ch robotników przez rok cały. Pojedynczego deseni szal może być przez dwóch robotników w kilku

miesiącach ukończonym. Cena też pierwszego dochodzi do 12,000 Zł. austr. — gdy mniej wzorzystych dostać można po 5000, a nawet po 2000 Zł. austr.

Gdy szal już zupełnie skończony, stępują go w urzędzie celnym w Kaszmirze, przyczem właściciel płaci 1/4 część wartości jego, rządowi.

Tym sposobem sultan Rundszyt-Sing, twórca tej zdzierzej akeyzy, wyzyskiwał rocznie około 2ch milionów Zł. a.

Myliłby się, ktoby myślał, że opłacone już szale kaszmirskie idą wprost do Europy okrywać ramiona paryżkich elegantek — bynajmniej... Wszystkie prawie szale zakupują bogaci Indyjanie i dopiero noszone przez siebie a następnie wyprane, wysyłają do Europy.

Na świeżości barw nie prawie szal taki nie traci, ale po deseniu można mniej-więcej starość jego poznać.

Obecnie posiada miasto Kaszmir 16,000 warsztatów tkackich, które wyrabiają rocznie około 80,000 szalów — a sześćdziesięciu tysiącom ludzi dają zarobek. Podanie niesie, że za panowania Wielkich Mongołów miał Kaszmir dostarczać światu rocznie 200,000 szalów z 40,000 warsztatów tkackich. Dawne to jednak czasy i podanie nie pewne. Szale kaszmirowe w trzech wyrabiają gatunkach: kwadratowe cienkie, długie cienkie i długie ordynarne, białe z czarnem pasiaste. Długich używa ludność mahometańska na zawoje i turbany, a kwadratowymi opasują biodra lub jak płaszczyki zarzucają na plecy.

Rzecz dziwna, że ten produkt rękodzielniczy, te pyszne szale, wyrabiane przez na pół dzikich górali, w małym górskim zakątku świata — znanymi są wszędzie jak szeroka i długa ziemia i noszone przez wszystkie narody jako artykuł zbytku i mody.

Najdelikatniejszą cienkość łączą one z najwyższą stosunkowo siłą ogrzewalną; a chociaż są najlepsze ze wszystkich tkanin wełnianych, wszelako najcięższemu płacą się złotem.

L.

Opis ryciny mód i krojów

(które będą przyłączone do następnego numeru).

W dzisiejszych wzorach uzupełniamy mody zimowe — ponieważ w przyszłych musimy przejść do toalet balowych — chociaż zimowe rzeczy także jeszcze będziemy określać w tabeli krojów następnych, ażeby Sz. Pr. wszystko udzielać, co się tylko pod względem mody i elegancji zjawia.

Fig. 1. wzoru przedstawia zupełny ubiór zimowy, który szczególnie dobrze wygląda z pół długą peleryną od płaszcza. Krój łatwy, zwyczajny — peleryna również, a rękaw według upodobania szerszy lub węższy. Taka sama peleryna jest pod fig. 15—16. Opuszczamy więc w dzisiejszej tabeli formę, ponieważ prócz tego dużo rzeczy mamy opisać.

Także do drugiej fig. wzoru przedstawiającego **paletot akamitny**, nie podajemy kroju, ponieważ takie same formy z półoznaczoną figurą jużesmy podali. — Główną cechą dzisiejszego paletota jest bogaty przybór szmuklerski, który bardzo elegancko wygląda.

Paletot ten z aksamitu lub pluszu, musi być mocno watowany, lub też lekkim futerkiem podszyty.

W końcu przedstawia wzór cały jednaki ubiór z cienkiej wełnianej materyi, obłożony czemś ciemniejszym. Żaczek obcisły przykrojony w greckim guście, jakie już podawaliśmy w przeszłym numerze. — Spodnica podwójna, której wierzchnia musi być zupełnie tak wycinana i ubierana jak żaczek. — Nie koniecznie aby spodnia suknia była aż do góry z tej samej materyi — owszem od połowy prawie może być zrobiona z czegoś tańszego.

TABELA KROJÓW.

Fig. 1. **Żaczek wiedeński.** — Chociaż żaczek ten jest bardzo krótki, jednakże zrobiony z ciepłej materyi, lub dobrze watowany, zupełnie jest stosowny na zimę. W sukni boczna kieszeń zupełnie tak jest przybrana jak żaczek, co dowodzi, że musi być zrobiona z jednakię materyi. Oryginalna forma i ubranie epolety przy żaczku, powtarza się na spodnicy w większym formacie. Wyobraźmy sobie ubiór, podobny cały materyi wełnianej popielatego lub srebrnego koloru, okładany niebieskim aksamitem albo mantyną lub morą, to trudno już wymyślić coś równie skromnego a zarazem eleganckiego. Ubranie podobne całe z aksamitu lub mory, jeszcze większy robi efekt, w takim razie obłożenie robi się z mantyny stósownego koloru.

Robimy uwagę, że krój ten tylko do osoby średniej zastosowany — można więc miarę ułożyć od 42ch do 50ciu cali i całość według figury wymierzyć. Stanik żaczka złożony jest z 5ciu części, jak widać na tabeli, boczkwów jest trzy na to, ażeby figura dobrze przylegała, nawet gdyby ubiór ten był robiony z materyi, która się z trudnością daje ułożyć; boczki oznaczone są Fig. 3—5, pojedynczo rysowane, a przez Fig. 2. przodkiem żaczka złączone.

Fig. 8—11. **Żaczek paryski.** Trzeba oddać sprawiedliwość gustowi wiedeńskiemu, że naśladowując modele francuskie i berlińskie, unika ich przesady — widać to i na noszonych obecnie paletotach w greckim smaku, i żaczkach, które dołem jakby posiekane w kilkanaście końców, przy których jeszcze różne świeciła poprzyczepiane, wydają odgłos dzwonek. Tak samo dzieje się z tak zwanymi greckimi „Peplos“, które się tylko przywiązuje jak fartuch ostrokończysty. „Berliński Bazar“ rozszerzył tę śmieszność nawet na kapiszon, tak zwany „kapotka-peplos“, przy której są dwa spadające końce z kutasami po każdej stronie bocznej i także wieszadła, tak, że zupełnie wyobrażają czapkę błazeńską.

Żaczek Fig. 11. jest zupełnie w tym rodzaju posiekany i na końcach kutasami przybrany.

Fig. 12. **Nowy rodzaj obłożenia.** Piękny ten wzór może służyć na rozmaity użytek, głównie jednak do ubrania staników, powtarzając go w równych, niezbyt małych przedziałach. Może być zrobiony z szutaziu w połączeniu ze stembnem, albo też na maszynie do szycia, szczególnie jeżeli się używa przyrządu, gdzie szew formuje wypukły sznurek.

Fig. 13—17. **Zimowy paletot.** Rysunek Fig. 17. oznacza ten pół przylegający ubiór w całości. Jest on cokolwiek dłuższy, jak przepisuje terazniejsza moda paryska i wiedeńska, ale też stósowniejszy do pory. Przody spinane potrzebami (brandenburskie) z dużemi baryłkowemi guzikami; rękawy i kieszenie podobnie przybrane.

Fig. 18—23. **Długi zimowy kaftan.** Eleganckie to ubranie najlepší wygląda, z aksamitu lub pluszu, okładane szmuklerskimi wyrobami według rysunku Fig. 23. — Krój przylegającego paletota, tylko przodki i boczki w szwie bocznym mocno zaokrąglone i od góry przybrane obłożeniem — uzupełniają elegancją tegoż jak bliżej można rozpoznać według Fig. 23. Do tego należy pasek.

Fig. 24—27. **Przestronny krótki żaczek.** Ulubiony ten terazniejszy żaczek jak okazuje Fig. 24., od boczkwów opatrzonej

listewką, która się z tyłu spina, jeżeli sobie ktoś życzy więcej obcisłe nosić. Żaczek ten bardzo ładnie ubiera, przez listewkę układa się w fałdy, jakby przyciśnięty paskiem. W przodkach kieszenie z patkami. Żaczek ten robi się zwykle z podwójnej materyi wełnianej.

Fig. 28—29. Przedstawiają w dodatku do podanych wzorów paryskich szkice mód wiedeńskich. Przedstawiają jedno i toż samo ubranie przodki i plecki. Jest to pół-długie u dołu w zęby wycięte paletto, całe przybrane w zęby — można na formę użyć kroju Fig. 24. do 27., tylko plecki i przodki przydłużyé i wycięć stosownie zęby. — Bogate obłożenie tegoż oznacza Fig. 28—29.

Fig. 30. **Nowy model obłożenia.** Model ten głównie bywa używany do obszycia sukien, od dołu może być bardzo prędko zrobiony maszyną wypukłym ścięciem lub sznureczkową robotą; dobrze także wygląda obszycie szutaziem.

Zwracamy tutaj uwagę, że chcąc się samemu w najnowsze stroje zaopatrywać, potrzeba koniecznie obok wzorów i krojów, ułatwić sobie pracę maszyną do szycia. Użycie jej za granicą, rozszerza się ogromnie.

➡ **Ażeby niefachowym** ułatwić zastosowanie przedstawianych przez nas pomniejszych krojów — podamy przy modach *styczeńowych* jeszcze raz obszerny opis; jak również damy na odwrótej stronie arkusza krojów dokładny szemat redukcyjny, obejmujący naturalne miary wszystkich wielkości ciała, począwszy od dzieci aż do słusznych figur. Sądzymy, że tym sposobem wszystkie życzenia zadowolnimy. Zresztą co do toaletowych potrzeb zwracamy uwagę na ogłoszenie na czele numeru.


Korespondencja „Kaliny“.

Wszystkie reklamacje natychmiast uwzględniamy — uwiadomiamy jednak powtórnie, że każda przesyłka mód i nut jest oprócz zapowiedzenia w numerze jeszcze i na każdym adresie naznaczoną, a mianowicie odpowiednie litery *m*(ody) lub *n*(uty) są czerwonym ołówkiem podkreślone. Jeżeli więc coś nie dojdzie — nie nasza w tym wina. — Nieregularności w przesyłce mód pochodzą ztąd, że dotąd jeszcze z powodu transportów wojskowych koleje zwolnione są od tak zwanéj *Lieferungszeit*, w skutek czego wszelkie przesyłki zalegają w drodze. Jeżeliby więc zaszło jakie spóźnienie bez naszej winy, prosimy o cierpliwość, a niechaj i to mówi za nami, że zaczawszy od 1go paźdz. 1866 — a nie od pierwszej soboty w październiku, dajemy w skutek tego w bieżącym kwartale o jeden numer więcej.

— Pani B. P. w Sn. — Mnóstwo powieści osnutych na życie artystów tak wyczerpały ten przedmiot, że trzeba wielkiego talentu, aby go można uczynić jeszcze zajmującym. Szczegółowych uwag moglibyśmy udzielić w osobnym liście przy odesłaniu manuskryptu, jeżeli Pani zwrotu takowego zażąda.

— Pan Br. Ro. we Lwowie. Nie nasza to wina, że autor niedolnej powiastki, nadesłanej do „Kaliny“, ma te same początkowe cyfry, których Pan używasz. Racz nam Pan wskazać sposób, w jaki uchylić to *qui pro quo*, w jaki sposób wyjaśnić publiczności że pan B. R. — nie jest panem B. R.

W biórze Redakcyi można nabyć:

pojedynczych egzemplarzy  wydawanych przy „Kalinie“ — po cenie 15 cent. — jakoteż w księgarniach PP. Czecha, i Grzybowskię w Krakowie; — u P. Hercoka we Lwowie; — u P. Leitgebera w Poznaniu.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca TADEUSZ WOJCIECHOWSKI.



Wychodzi co sobota o godzinie 9. rano.

Prenumerata miejscowa wynosi: *rocznie* 6 zlr., *półrocznie* 3 zlr., *ćwierćrocznie* 1 zlr. 50 c. w. a. — Z przesyłką pocztową: *rocznie* 7 zlr. 20 c., *półrocznie* 3 zlr. 60 c., *ćwierćrocznie* 1 zlr. 80 c. — *Prenumerata zagraniczna bez mód i bez nut* *rocznie* 8 zlr. 30 c. w. a.

Mody i kroje *rocznie* 3 zlr. 30 c., *pół-*

rocznie 1 zlr. 70 c., *ćwierćrocznie* 90 c. w. a. *Nuty* *rocznie* 1 zlr. 25 c., *półrocznie* 65 c., *ćwierćrocznie* 35 c. w. a.

W Krakowie prenumerować można w biurze redakcyi: ul. mikołajska 458, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni Wgo. Czecha.

We Lwowie można prenumerować i odbie-

rać w agencji Hercoka i Arnolda na Halickiem W Poznaniu w księgarni Mieczysława Leitgebra, Hotel du Nord.

Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c. następnie po 4 c. Każdą razą dokłada się 30 c. na stempel rządowy

Do dzisiejszego numeru dołącza się mody i kroje.

Przepis toaletowy kobiecego serca.

(Przekład z M. G. Safira.)

Już wiele, luba czytelniczko! przeglądałaś przepisów toaletowych: i sekreta do zachowania piękności ciała twego i książeczki toaletowe twego ducha, lecz nie uczono cię jeszcze tajemnic toaletowych twego serca.

Od młodości twój zajmowano się pielęgnowaniem, upiększaniem, kształtowaniem twego ciała; miałaś nauczycieli tańców, konnej jazdy, gimnastyki; — uczyłaś się pływać, miałaś nawet przewodników w ślizgawkach po lodzie itd.; zajmowano się troskliwie kształceniem twego umysłu, znasz muzykę i języki, malujesz kwiaty i rysujesz, piękny kwiatku! — śpiewasz cudnie, znasz opisy krajów i okresy dziejów ludzkich.

Przystrajają twe ciało, jako dzieciom drzewko na Wiliją, i zawieszają na niem tysiące rzeczy pstrokatych i błyskających światełek, ażeby po nie wyciągały ręce niedojrzałe dzieci ludzkości; wietrzą i oczyszczają twój umysł, jako gabinet motyli, ażeby błyszczał blaskiem rozpostartych skrzydełek i mieniącą grą barw rozmaitych ośmiewał wzrok twój przykrótki, — ale nie odświeżają twego serca, nie kształcą go, nie wychowują.

Serce twe jest urną obu siostrzyczek ciała i umysłu. Ciało i umysł twój przedkładają wszystkim zalotnikom na odświątym talerzu ze wszystkimi przyborami i upstrzeniami złudnej terażniejszości, ale serca-urny nikt nie dojrzy. Serce pozostaje skryte, niedojrzane w zmroku

stoi na kominku, podczas gdy ciało i umysł swe łamane pokazują sztuki.

A jednak, luba czytelniczko, jakąż korzyść przynosi istocie niewieściej cała piękność ciała i umysłu, jeśli serce jest szpetne? — Ciało pociąga, umysł krępuje, ale zatrzymać więźnia, na życie całe zatrzymać, do tego zdolne tylko serce.

Cóż po tém, jeśli kształty wasze obfite są i pełne, jak pełny kłos pszeniczny, a serce wasze próżne i puste, jak pusty orzech? Cóż po tém, jeżeli twarzyczka wasza jest śnieżna i biała, jak srebrna morska piana przy cichém wybrzeżu i lica wasze różane, jak zarzący odbłask wieczornego podniebia, gdy je odchodzący dzień uściskiem żegna? — cóż, jeżeli serce wasze pełne skaz brzydkich i piegów i bledniczych rysów? Cóż po tém, jeśli ucho wasze w dziesięciu rozumie językach słowa próżności i usta wasze w tyluż językach odpowiedzą mową lekkomyślną, — a serce nie rozumie skromnego języka rodzimego: mowy serca, które jest glucho-nieme, nie słyszy dźwięków uczucia i nie mówi wyrazami wzruszeń? Cóż, jeśli rączka wasza rzuca na płótno uroczę krajobrazy ze sklepieniem czarownego, palącego nieba, — cóż jeżeli ta rączka wyszywa po mistrzowsku i haftuje gorejące kwiaty, które ognistemi oczy błyszczą się i na nas patrzą; — a tymczasem serce wasze nie zdoła stworzyć domowej ciszy życia, z jego skromném wiecznie czystém niebem, nie zdoła wyszyć ani jednego kwiatka radości i miłości na złotém tle innego serca ludzkiego? Cóż z tego, jeżeli wasze paluszki, jakoby srebrne magiczne kluczyki, otwierają czarowne harmonij królestwo i wywołują z niego zakłęciami lekkoskrzydłne,

dźwięczne wszystkich melodyj duchy; — a serce wasze niezdolne jest uderzyć w jeden ton zgodny na bilionowo-strunnej klawiaturze uczucia i w żadnym innym sercu wywołać bratniego oddźwięku?

O miłe moje czytelniczki, jeśli tak jesteście w błyskające pociski umysłu i błyszczący polerowany rynsztunek ciała uzbrojone, a wewnątrz brak wam serca, ożywczego, wspaniałego, boskiego serca, to zostańcie sobie tak piękne i miłe dla oka, lecz niech was ustawia w zbrojowniach i wystawach towarzystw i salonów; bo nie można was takich przycisnąć do łona, nie można bijącej sercem piersi złożyć na waszym opancerzowanym uzbrojeniu, bo po za tym lśniącem rynsztunkiem niema serca, któreby innemu sercu dało odzew: „Wejźdź tutaj!“

Zaprawdę wiercie mi, przyjazne czytelniczki, że ciało i umysł są to obciążki, któremi chwytacie mężczyzn, a ci w istocie chcą być uprzejmie i łagodnie pochwycony. Miło wprowadzić jest także, jeśli ten chwytany narząd pięknie i delikatnie obrobiony, z srebrnego lub złotego odlany jest kruszcem; — ale serce jedynie jest ową altanką, bluszczem wiecznie zielonym owitą, w której można na zawsze zatrzymać mężczyznę; — serce jest tym muzeum miłości, w którym na zawsze serca męskie można poustawiać. Dla tego winnyście się starać, ażeby muzeum to utrzymać zawsze przezystem i świętym, lecz nie wybijając w niem na wsze strony okien i otworów, bo doń światło z góry tylko — z nieba — spadać winno. Ściany waszego serca nie powinny być przystrojone sztukaterijami i błyszczącymi freskami, lecz winny być zdobne trwałą płaskorzeźbą, wykute herbami prawdziwej szlachetności serca i obite ciężką jedwabno-złocistą materiją cnoty.

O tak! matki i opiekunki dosyć czynią dla ciała swych córek, wiele dla ich umysłu, lecz nie lub bardzo mało dla ich serca. Jeśli ciało krzywiźnie podlega: lamentują, wołają lekarza i wszystko czynią, aby je sprostować; lecz jeśli serce skrzywieje, na to matka nie daje baczenia. Jeśli córeczka czołko swoje marszczy, to matczka gładząc je, zapyta: „Co ci moje dziecko?“ lecz gdy serce córki boleśnie się kurczy i zadrza, o to nie pytają. Przy stole, przy wystawnej uczcie, czuła matka poleca tysiąc razy: „Och drogie dziecko! tylko sobie żołądek nie popsuj!“ ale prowadzi córkę w płoche towarzystwa, do wykwintnych stołów wielkiego świata i nie szepnie nawet: „Drogi dziecię moje, tylko sobie nie popsuj serduszka!“ — A jednak mniej może żołądek potrzebuje pieczy aniżeli serce, gdyż tamten wyrzuca wszystko złe ze siebie napowrót, — a serce przyjmuje właśnie złe strawy najchętniej i przemienia je w krew i soki ustroju duchowego. Przeładowany żołądek wypróżnić jeszcze można o ile potrzeba, lecz serce raz tylko i to śmierć wypróżnia.

Dla tego, miłe moje czytelniczki! proszę was, troszcz-

cie się o toaletę serca waszego. O tak! znajduje się wiele pięknych, eleganckich ozdóbek na stolik toaletowy serca. Wstążki i łańcuszki, pierścienie, zasłony itp., jako to: węzły miłości i przyjaźni, węzeł zgody domowej, złote łańcuszki cnót kobiecych: osłony wstydu i przepaski skromności, płaszczyki miłości bliźniego, perła cnoty, kryształowy czystych wzruszeń i szacowny soliter zbawczej religii. Patrzcie! jak wspaniałe, bogate, błyszczące te wszystkie biżuterije dla toalety serc waszych, pochwyćcie je do swych ozdób! Trzy najpiękniejsze ozdoby szlachetnego kobiet serca są zawsze gotowe, ażeby was upięknąć; trzy boskie serca ozdoby: religija, miłość i cnota.

Krom tego wszystkiego powiem jeszcze, przyjazne czytelniczki! jakie właściwe powinno być serce kobiece i jakie być zarazem nie powinno; wy macie w sobie talizman, który wam je ukształci.

Serce kobiece winno być jako dzwon, radości i cierpienia bliźnich winny w niem znaleźć oddźwięk uczucia; — i nie powinno być jakoby dzwon, który od najmniejszej rysy losem zadanej traci swój dźwięk czysty.

Serce kobiece winno być jako okręt: właśnie wśród największej burzy życia winno się po najwyższych falach unosić ku niebu; — i nie powinno być jako okręt pancerny i gotowy zawsze do odpływu.

Serce kobiece powinno być jako dobry obraz, czas winien łagodzić za ostre kontury i barwy obrazu; — i nie powinno być jako dobry wizerunek, nie powinno na każdego, który się w nie zapatrzy, jednako zawsze zdawać się spoglądać.

Serce kobiece winno być jak jaskółka: tak ciche, skromne i strzechę lubiące domową; — i nie powinno być jak jaskółka, uciekająca przed nadchodzącą jesienią, lub zapadająca w sen zimowy.

Serce kobiece powinno być jak pismo święte, tak pełne boskich wyrazów, tak pojedyncze i wzniosłe: tak wiecznie łagodne: — i nie powinno — jak pismo święte — w tak wielu istnieć językach.

Serce kobiece winno być jak ostryga: tylko raz powinno się otworzyć, na przyjęcie rosy miłości i tę przechować przez całe życie jako perłę drogocenną; — i nie powinno, jako ostryga, zamykać się w tak twardej skorupce.

Serce kobiece winno być jak harfa eolska, która, poruszona miękkim powiewem uczucia, w łagodnych i miłych, uroczych a dźwięcznych odbrzmiewa akordach; — i nie powinno być jako aolska harfa, nie każdy pędziwiatr winien jej odkradać harmonijny oddźwięk.

Serce kobiece winno być jako kalendarz: w którym umieszczone wszystkie znaki niebios; — i nie powinno być jako kalendarz, to jest, codzien nowe sobie wynajdywać święta.

ŻONY NIEWOLNIKÓW.

(Dokończenie.)

XII.

Zakończenie.

Było jeszcze ciemno, kiedy na jednym z podworców Aleksandryjskiej cytadeli słyhać było ruch wielki i wrzawę. Więźniów skazanych w katorżne lub na osiedlenie wyprowadzano z pod numerów, jednych spędzano w kupę i obstawiano strażą — drugich zakowano w łańcuchy po dwóch. Cała ta scena odbywająca się wśród rannego mglistego zmierzchu, oświetlona z boku światłem latarni i ogniska kuźni, wyglądała jak straszny ustęp z Dantejskiego piekła.

Przy tém krwawém niejasném oświetleniu widzimy jakiegoś człowieka zbliżającego się do ognia i podającego ręce do okucia z martwą obojętnością, która się rodzi po bezskutecznej rozpaczce. W ciemnych załomach jego twarzy, w głęboko zapadłych oczach, w zaciśniętych ustach, czytałeś jeden wyraz: bez nadziei. Trup przed śmiercią — automat. Gdy go okuto, stał nieruchomy, wpatrując się szklanymi oczyma w ogień płonący na kuźni i czekał rychło go skuja z drugim i odprowadzą na bok. Przyprawdzono drugiego więźnia. I ten był równie zbiedzony i blady na twarzy — ale nad znękaniem ciała panował spokój — szerokie czoło jego górowało nad boleścią, jak skała nad mętnymi falami i męczeńską pogodą uraęło oprawcom, którzy pewnie wściekać się musieli, że kując ręce, ducha okuć nie mogą.

Kiedy więźniów po dokonanej operacji odprowadzono na bok, niemily brzęk kajdanów obudził owego pierwszego więźnia z apatycznej bezwładności, spojrzął na swego towarzysza.

— Jan — rzekł głosem bezdźwięcznym, jak ten, co przez sen gada.

— Maurycy! —

Obaj wymówili swoje imiona bez uniesienia, bez namiętności — męki jakie przeszli wśród wiru politycznych wypadków, osłabiły ich osobistą nienawiść — cierpienia i łańcuch złączyły rywali. Maurycy wyciągnął rękę do Jana i rzekł osłabionym głosem:

— Przebacz mi.

— Przebaczyłem dawno już.

— Tyś szlachetny. —

— A ty nieszczęśliwy. —

Nie długo potem pognano skazańców ku Wiśle, wpakowano na łódź, która ich miała przewieść na drugą stronę, do stacji kolei Peterburgskiej. —

— Ty w katorżne? — spytał Maurycy.

— Tak. —

— I ja. A na długo?

— Na całe życie. —
— Ja tylko na dwudziestu lat; ale to wszystko jedno — życie moje nie warto już dwódziesiętu lat. —
Gdzie syberyjczyk?

— Kilka dni temu skołał na moich rękach powróciwszy z komisji śledczej, gdzie go bito.

W tej chwili na drugim końcu łodzi powstała jakaś wrzawa, łódź wstrząsnęła się nieco, potem dał się słyszeć plusk wody, a za nim strzały. Więźniowie spojrzeli w tę stronę i zobaczyli jakiegoś człowieka, który z łodzi rzucił się w wodę. — Strzały musiały być celne, bo w wirze, który się zakręcił nad znrzonym, woda się zafarbowała czerwoną.

— Kto to był? — pytał jeden drugiego na łodzi.

— Jakiś kowal, Marcin z pod Nru 10.

— Marcin — rzekł smutnie Jan. —

— Znałeś go? —

— Mąż mojej siostry.

— Szczęśliwy — umarł na swojej ziemi, fale rodzinnej ziemi będą mogiłą — nie każdemu z nas przypadnie takie szczęście w udziale. Umierać tak daleko od swoich, tam w kopalniach wśród śniegów, bez wieści — ta myśl zabija mnie przed śmiercią.

— Odwagi Maurycy. Wytrącono nam oręż z ręki, nie mniej przeto walka trwa — i tam trzeba nam zwyciężać wrogów.

— Czém?

— Wiarą w zwycięztwo naszej sprawy. Oby naród wśród rozpacznych wysiłków powstania nie stracił tej broni, bo bez niej zwątpienie i podłość.

Maurycy słucał i patrzył na zębate gmachy Warszawy, rozromienione brzaskiem jutrzeńki — i on i wielu innych tęskne spojrzenia wyteżone mieli w tę stronę — myśli ich płakały i żegnały ojczyznie miasto. I miasto budząc się wśród białej mgły porannej, odzywało się jękiem dzwonów niby modlitwą za utracone dzieci. Ale łódź szła dalej jak niezblągane przeznaczenie, dobiła już do brzegu i więźniów pognano ku stacji kolei. —

Jakkolwiek wywożenie więźniów z cytadeli osłonięone było zawsze tajemnicą, to jednak niezmordowana czujność osób interesowanych umiała przedrzeć się w głąb tajemnic cytadeli i z twarzy sędziów, z ich półstówek domysleć się umiała kiedy wywozić będą nieszczęśliwych. Każdy więc transport zastawał na stacji kolei gromadkę najbliższych krewnych, oczekujących na nich by choć spojrzeniem, ruchem ręki pożegnać ich.

I dzisiaj taka gromadka skupiła się pod ścianą, oczekując więźniów, złożona przeważnie z kobiet. Gromadka ta przypominała orszak Weroniki, który wyszedł płakać nad męczeństwem Chrystusa i otrzeć twarz jego, zlaną krwią i potem. — Za zbliżeniem się więźniów, poruszyła się ta gromadka, każda kobieta cisnęła się naprzód, nie zważając na kolby i złorzeczenia żołdaków,

byle tylko zobaczyć ostatni raz drogie osoby, i rzucić im na długą drogę wygnania słowo pociechy i pożegnania.

Kiedy Maurycy z Janem mijali tę gromadkę, ujrzeli w tłumie niewiast bladą twarz Anny — była na pół omdlała — wysileniem tylko trzymała się na nogach, by nie stracić ostatniego spojrzenia męża. Gdy go zobaczyła, wyciągnęła ku niemu ręce i głosem, który ledwo dobyła ze ściśniętej piersi, wyjęknęła:

— Maurycy!

W tym jednym słowie streściła całą duszę, całą radość, że go widzi; boleść, że go widzieć nie będzie; i rozpacz, że go nigdy może nie zobaczy.

Maurycy spojrział na nią miłosiernie, wszystkie muszkuły jego twarzy drgały wzruszeniem — rękę obciążoną kajdanami podniósł do góry, by jej rzucić ostatnie pożegnanie. Ale czarna powódź więźniów i żołnierzy wnet zabrała go ze sobą — nie widział już żony, słyszał tylko jej płacz za sobą. Wzruszona przez chwilę twarz jego, znowu zapadła w apatyczne odrętwienie, ponury smutek ją zaciemnił. Spuścił głowę na piersi i wszedł w milczenie do wagonu. Świst odjeżdżającego pociągu poruszył go — spojrział w koło siebie, jakby sobie chciał przypomnieć, co się z nim dzieje — spojrział na Jana i biorąc go za rękę rzekł:

— Widziałeś ją? Została tam bez opieki, bez przyjaciela — a ja ślubowałem jej opiekę i miłość.

Ani żona, ani wdowa.

Wyrwałem ją z zacisznego spokoju rodzicielskiego domu, by ją zostawić bez domu, igrzyskiem losu, i nie jej dać nie mogłem, za przywiązanie do mnie, prócz mnogich cierpień. O okropny jest los żon niewolników!

Potem zapadł znów Maurycy w ponure milczenie, z którego wyrwać go nie mogły nawet łagodne pociechy Jana.

W rok potem Anna, której życie żałobne płynęło wśród modlitw i zajęć domowych, dostała przez jednego z więźniów wracających ze Sybiru list od męża pisany ukradkiem. List był w tych słowach: —

„Żyję, jeżeli to życiem zwać można — walę młotem skały w nerczyńskich kopalniach i płaczę za tobą i za krajem. Los twój i tęsknota moja gniołają mnie do ziemi. Dawno zgniotłyby mnie te dwa brzemiona, gdyby nie dobry duch mój, pocieszyciel mój, który słowem i przykładem uczy mnie cierpieć i mieć nadzieję. Znasz go — to Jan. —

Módl się za niego i za mnie i pamiętaj o nas — twój Maurycy.

Maryjan P. —

NIEZABUDEK.

Jest drobny kwiatek, luba pieszczota,
Nad wodą rośnie, w trawie się kryje,
Świeżym listeczkiem nie tyka błota,
A czystą kroplę korzonkiem pije;
Rzekłbyś, że wykradł z nieba błękitny
Taką jaśniuchną chmurą odziany;
W dziwnym uroku zda się spowity
Kwiat, niezabudką wdzięcznie przezwany.
Któż go nie szuka, któż go nie pieści? —
Kochankom miły wśród utęsknienia,
Bo sercom z dala przynosi wieści
Łącząc tajemnym węzłem wspomnienia;
Droższy nad klejnot, gdy nim obdarzy
W pamiętnej chwili dłoń ukochana,
Wzrok się nim cieszy a dusza marzy:
Zkąd kwiat ten władzę ma talizmana? —
Podanie mówi: że gdzieś na świecie
Kochanek w czułej chwili rozstania
Chcąc po nad wodą rosnące kwiecie
Uszczknąć dla lubej w dowód kochania,
Zbyt nie ostrożny w miłym zachwycie
W przepaść się stoczył z stromego brzegu,
I wśród otchłani zakończył życie;
Rwącym potokiem uniesion w biegu,
Raz tylko z głębi z falą powrócił,
Po raz ostatni spojrział chłopczyńa
I kwiat zerwany kochance rzucił
Błagając: wspomnij o mnie jedyna!
A był to modry kwiat z nad strumienia,
Który ohrzezony dzieweczki łzami
Odtąd pozostał kwiatem wspomnienia,
I odtąd władzę ma nad sercami.

Amelia P. —

Manon Phlippon Roland.

(Życiorys.)

(Ciąg dalszy.)

Nieodstraszała ją suchość przedmiotów, stanowiących zwykle zajęcie męża; kopiowała, tłumaczyła, robiła wyciągi dla niego.

Sztuka przerabiania strzyżonej wełny, słownik przemysłowy, zajmowały jej dużo czasu, zajęły jej najpiękniejsze lata, a rozrywką dla niej było pielęgnowanie córeczki, jedynaczki. Biorąc szczerzy udział w pracach i planach męża, oddawała pełną sprawiedliwość jego charakterowi rzymskiemu i surowemu a natchnionej duszy. Jakkolwiek nazwała raz swój związek z nim małżeństwem z rozsądku, była jednak dla niego z religijnym prawie uwielbieniem. Szacunek jego to dla niej

największy zaszczyt; być dla niego aniołem-stróżem, to dla niej największe szczęście. Z jaką przyjemnością przyrządza sama dla niegoj potrawy, któreby nie szkodziły osłabionemu żołądkowi tego zapracowanego człowieka. Swoboda pożycia domowego, powołanie jej macierzyńskie, cały zarząd domu ożywiają ją jeszcze więcej, ilekroć wyjadą na wiejskie mieszkanie. Samotność i tajemnicze uroki przyrody wywierają zawsze błogosławiony wpływ na czyste dusze. Szczegóły gospodarstwa wiejskiego, orzechy, winobranie, drób, suszarnia, te zajęcia pochłaniały ją. A obok tego przechadzki po wsi, w towarzystwie męża odwiedziny po chatach, opieka nad wiejską dziatwą, obsługa lekarska, to dla nich obojga prawdziwa sielanka i rozkosz.

Za powrotem do miasta, zmienia się tylko scena, osoby te same, ta sama pracowitość i cisza. „Po spokojnej nocy i rozmaitych rannych kłopotach, siedzę sobie przy kominku. Godzina 11ta przed południem: mój przyjaciel przy swoim biurku, moja małeńka nad pończoszką, a ja gawędzę z jednym, poprawiam robotę drugiej i polykam całą piersią to szczęście, że mi jest tak serdecznie dobrze na łonie mojej małej i drogiej rodziny“.

Była współpracowniczką, a nieraz i natchnieniem męża; a jednak kiedy przyjaciele się zejdu, kiedy się toczy rozmowa o najważniejszych sprawach, które i w jej duszy miały ołtarz, ona siada na boku, zawsze zajęta robotką lub córeczką, nie miesza się wcale do rozpraw. Ale mąż zawsze tak umie pokierować, że w sprzeczkach, albo trudnych zagadnieniach zawsze do niej apelacja się zwraca. Ona wtedy roboty swojej nie porzuca, tylko ożywia się nieco i rozwija swoje zapatrywania z taką bystrością i z takim dowcipem, że zwykle wszystkich przekonywuje.

Tych cnót domowych, tego przywiązania wzajemnego, tego cichego szczęścia nie były wstanie zamącić i najśrodsze ciosy życia. Kiedy w więzieniu nasza ją pokusa otruć się, napisała do męża przepraszając i tłumacząc się, że chciała rozrzucić życiem swoim bez zezwolenia jego. Wiedziała, że ten silny starzec miał tylko jedną, prawie dziecinną słabość, to jest, gorejącą miłość ku niej; że ona była wszystkim dla niego. A kiedy jej przeczytano wyrok śmierci, zatrzęsła nią jedna tylko myśl i wykrzyknęła: „*Roland* nie przeżyje, on się zabije!“ I rzeczywiście miłość jej przeczuła rozpacz jego. Przebił się szpadą i znaleziono przy nim kartkę z napisem: „Sznujcie zwłoki cnotliwego człowieka“.

Życie pani *Roland* osłonięte jest w dwie tajemnice. Jedna, że nikt nie wie co się stało z jej córeczką. — Druga tajemnica (o której później) wynagradza jej niejako tę przykrą próżnię.

III.

Przechodzimy do innej części obrazu — do polityki,

Ale sielanki poprzedzającej nie należy ani na chwilę tracić z pamięci, aby się nie pomylić w sądzie.

„Ażeby chcieć Rzeczpospolitą, aby drugich natchnąć potrzebą jej, aby ją stworzyć, potrzeba było nietylko szlachetnego serca, wielkiego ducha, ale jeszcze młodości, tej młodości duszy, tego ognia namiętności, tego zaślepienia niemal, któremu się zdaje, że już istnieje to, co zaledwo w duszy majaczy. Potrzeba było wiary“.

„Potrzeba było zgodności nie tylko woli i myśli, ale także obyczajów i zwyczajów republikańskich; potrzeba było nosić w sobie moralną rzeczpospolitą, aby mieć prawo do politycznej. Słowem, potrzeba było umieć panować nad samym sobą i szukać swojej wolności w pełnieniu swoich obowiązków“.

Poznaliśmy dwie dusze odlane wedle tego wzoru. Toż nie dziwnego, że kiedy ogarnęła Francją owa olbrzymia rewolucyjna burza, która odrodziła wszelkie stosunki społeczne pomiędzy ludźmi, której hasłem była wolność, równość i braterstwo; która wyzwoliła osobistość człowieka z pod jarzma przywilejów i przymusu — toż nie dziwnego, że te dwie dusze musiały wtedy wypłynąć na wierzch, do stępu. I widzimy, że w dniach zmęczenia i zwątpień, w chwilach trwogi i upadku republikańskiej wiary — posłowie, dziennikarze, w ogóle ludzie publiczni zacierpują odwagi i siły w domu, gdzie nigdy tych dwóch podpór nie zabrakło. Był to mały, skromny dom w Paryżu. Wyszędłszy na trzecie piętro, można było być pewnym, że się zastanie zawsze dwie osoby pomagające sobie nawzajem w swoich pracach — państwo *Roland*. W małym saloniku był wielki stół, przy którym oboje pisali. Ona sama opisuje się z uśmiechniętym zadowoleniem, jak siedzi przy tym stole, w tym gabinecie, który *Marat* przeżywał budoarem; jak pomaga mężowi w redagowaniu surowego listu do króla; jak sama pod kopertą ministra pisze i wysłała sławny list do papieża.

Pan *Roland* dwakrotnie na ministra był powołany; pani *Roland* dzieli i popiera wszystkie jego prace; grupuje około siebie całe stronnictwo; cała Francja patrzy na jej polityczną działalność; rozchodzi się sława jej politycznych talentów; rosna z powodu tego obelgi i nienawiści; a jednak i tutaj widać na każdym kroku przedewszystkiem kobietę, i rozpatrując jej polityczne znaczenie, trzeba zawsze pamiętać na jej własne słowa: „cokolwiek tam prawią o korzyściach rozważania i regułach filozofii, ja jednak wierzę nierównie bezpieczniejszemu przewodnikowi zdrowych dusz — uczuciu“. — A wiadomo, że uczucie odznacza się nieloicznością i dobrocią — a zdolność polityczna nieublaganą konsekwencją i dla tego długo jeszcze na tym świecie będą one stanowić przeciwieństwa, nawzajem się wykluczające.

To też nie szukać nam u pani *Roland* polityki pozytywnej, systematów, doktryn, ścisłych planów. Miała żywą wyobraźnię, poczucie obywatelskie, bystre

i wykształcone pojęcie; rewolucja podniosła sprawy i zasady, które były jej zasadami; a więc wszystko co tam było wielkiego i szlachetnego, znalazło w niej swego apostoła — wierzyła w sprawę, bo wierzyła ludziom, którzy nią kierowali, i sądy jej, sądy kobiety, nieodłączne są od sympatyj lub wstrętów osobistych.

Wybuch rewolucji zastał ją w Lionie w cichym domowym ustroniu. Tutaj doszły ją wieści o zdobyciu bastylli przez wzburzony lud. Serce jej zadrzało, piers wezbrała; to nadzwyczajne zdarzenie zdawało się urzęczywistniać wszystkie sny jej młodości, cokolwiek czytała i marzyła o bohaterach. „Gdyby mój zacny przyjaciel był miał nieco mniej lat, byłaby nas dawno Ameryka przyjęła na swoje łono. Lecz mniej już żałujemy tej obiecanej ziemi, odkąd się spodziewamy ojczyzny. Rewolucja zmieniła całą postać Francji, rozwija w niej charakter, a niemieliśmy go dotąd; otwarto szranki dla prawdy; wyznawcy jej mogą z tego korzystać“. Święto braterstwa, gwardyje narodowe, powszechny zapal, podniosłość chwili i uczuć, to nowy, długo oczekiwany świat dla niej. Od wczesnego rana wychodzi na publiczne miejsca i upaja się widokiem ocknionego ludu, świtającą jutrzeńką odrodzenia. Wieczorem pisze natchnione sprawozdanie do dziennika jednego z przyjaciół. Numeru, w którym ono było, rozkupiono 60,000 egzemplarzy.

I nudno jej teraz, ciasno w samotnym zakątku, niezdolną jest do technicznych zajęć. Pamiętniki jej w tym miejscu oddają wiernie całe wzburzenie, wrażenia codzienne, pamiętne wypadki, najsprzeczniejsze wstrząśnienia, nadzieje i wątplenia, sądy namiętne i ostre — później zaraz łagodzone — otwartość, zdrowy rozum, poświęcenie — a zawsze wdzięk i takt kobiecy, który nawet w gorączkowym zaawanturowaniu się, nie zapomina o swojej godności i skromności. — W głębi serca swojego czekała tylko sposobności, żeby do Paryża powrócić. „Skorośmy się urodzili w epoce rodzącej się wolności, przeznaczono nam być straconemi placówkami armii walczącej za nią; trzeba nam spełnić nasze zadanie i przygotować w ten sposób szczęście pokoleń następujących“. „Kto nie nawykł do uważania za jedno własnego interesu, sławy, a powodzenia i dobra powszechnego, tego krok zawsze będzie drobny, sam siebie nieraz gubi, i traci z oczu cel właściwy“... „Adieu — żona Katona nie bawi się w komplementa dla Brutusa“. Czuje ona, że ludziom potrzeba bodźców i zahartowania się; „że bezpieczeństwo jest grobem wolności, że pobłażliwość względem ludzi stojących u władzy, popycha ich do samowoli“. „Rozumu trzeba i ścisłych rachunków“, to wykrzyki jej i rewolucji. „Bębnijmy na pobudkę albo do odwrotu, środka niema“. „Jeszcze nie o to idzie, żeby umierać za wolność; potrzeba więc, trzeba żyć, aby ją ustalić, zasłużyć na nią, bronić jej“. Oburza się na podłych, fałszywych i słabych, na tych

co uwodzą i tych co dają się uwodzić. Obok zapalu modli się o wytrwałość i cierpliwość. Z dziwnym sprytem umie przejrzeć wszystkich ludzi i odkryć ich słabości, stąd też rośnie jej wpływ nad nimi. Jednym rzutem oka, nawet kiedy ją namiętność unosi, umie pochwycić znaczenie sytuacji, wyzwolić i podnieść czyistość zasad z pośród zamętu wypadków i ogląda się naokoło za człowiekiem, któryby charakterem i energią umiał zapanować nad przejściami niebezpiecznymi dla sprawy wolności. Onaby chciała, żeby ludzie publiczni byli bez skazy — ideałami“. Opowiadają nam tu wiele o pani *Stael*, że pilnie uczęszcza na posiedzenia w Zgromadzeniu; że ma tam swoich rycerzy, którym posłała z trybuny bilety dla podtrzymania ich mężstwa i uczuć patrijotycznych... Nie wyobrazicie sobie, jaką wagę przypisują nasi arystokraci tym bzdurstwom, powstałym zapewne w ich mózgu. O, bo oni chcieliby przedstawić Zgromadzenie, jako prowadzone przez kilku zaślepieńców, podleganych przez tuzin kobiet“.

Czuła ona, że jej zapal i jej wpływ jako kobiety był natchnieniem dla całego jej otoczenia, ale szukała tam samodzielności, do jakiej sama czuła się zdolną. W najkrwawszych rozterkach stronnictw, ona jedna nie traci odwagi, po nocy wyszukuje schronienia dla zagrożonych przyjaciół. — Kiedy najazd pruski się zbliża, ona krzyczy: „wojna, wojna, ocalenie i radość, braterstwo“. A kiedy ją wezwą przed kraty konwentu, z powodu denuncjacji o knowaniach i spis-kach, staje śmiało, odpowiada przytomnie i jasno; a pod skromnym jej ułożeniem promienieje radość z tego, że jest tak czynną w publicznych sprawach. — Pani *Roland* nie kochała wtedy nie, prócz Francji. — Kiedy powszechną była chwiejność stronnictw i niepewność, jaki obrot rewolucja weźmie, ona jedna tylko z wiarą w cnoty ludzkie, zapatrzona w słońce zasad, nie widzi potrzeby zatrzymywania się; sama rozpisuje i każe rozsyłać na prowincyje wezwanie, aby się oświadczone, czy ma pozostać królewska władza, czy też chcą Rzeczypospolitej, tak, lub nie.

Potrzeba było dla całego pokolenia zapalić słońce, porwać za sobą. Na czele przedniej straży, której to zadanie przypadło, stoi Pani *Roland*. Na niepewne szale rzuciła miecz swojego przekonania, swojej odwagi, rzuciła ideę prawa. Od niej wyszło to hasło: „Rzeczpospolita“. Oto jej polityczne znaczenie i potęga.

Jej to są słowa w liście do króla: „Ojczyzna, to nie próżny dźwięk, jest to istota, której się przynosi ofiary, którą się stwarza wielkim wysileniem, i którą się kocha równie dlatego, co ona nas kosztuje, jak i dlatego, co mamy prawo oczekiwać i spodziewać się od niej“. Głębokość przekonania otacza aureolą i ostatnie jej chwile. Rewolucja poczęła się od zgromadzeń prawodawczych, następnie wywróciła tron, stała się krwawą; zagrożona zewsząd, wyparła się wszelkich ludz-

kich uczuć, wzięła za hasło wściekłość obrony. Żyrodnyści chcieli wstrzymać ten prąd, ale zapóźno i na próżno. I sami musieli zginąć. Rewolucja pożerała własnych rodziców i własne dzieci.

Kiedy aresztowano panią *Roland*, sprawiło jej to zrazu nawet pewną radość z ofiary. Postanowiła w jasny dzień, w oczach wszystkich umrzeć tak odważnie, jak odważnie żyła. Sądziła bowiem, że swoją nieustraszonnością w obec trybunału, i pewnością z jaką szła po stopniach gilotyny, oddaje cześć Rzeczypospolitej.

Ci, którzy ją widzieli w więzieniu opowiadają, że była piękną i wesołą, pełną wdzięku mimo 39 lat, młodą, świeżą i kwitnącą jak nigdy. Była ona jednym z tych ludzi, którzy zachowują wieczną młodość i zawsze magicznie wywierają czar. Cała postać, ruchy, mowa tej mieszczaneki była to jedna płynąca harmonia. Kiedy już miecz prawie wisi nad nią, ona wtedy z tęsknotą i spokojem rozpamiętywa i spisuje życie swoje, wszystkie boleści i rozkosze, i sielanki i burze.

(Ciąg d. nast.)

Kronika krakowska.

Wystawa obrazu. Halka.

Od kilku dni między godziną 10—12 odbywa się istna procesja do domu Tow. Naukowego — celem tej pielgrzymki jest obraz p. *Matejki*, o którym już parę razy wspominaliśmy, przedstawiający: „Upadek Rzeczypospolitej Polskiej“. Rejtan, kładący się z protestem w progu sali sejmowej, jest wyrazem tego upadku narodu, który jawniej zdradzie magnatów nie umiał nie przeciwstawić, jeno bezsilną boleść, dochodzącą do obłąkania. Branicki w mundurze generała moskiewskiego nachyla się ku niemu i tłumaczy mu niestosowność, niedyplomatyczność takiego kroku. Poniński, marszałek konfederacji, z sękatym kijem w ręku, grozi mu moskiewskimi żołdakami, których widać przez uchylone drzwi sali. Szczęsny Potocki z aktem późniejszej konfederacji targowickiej, zakłopotany tą sceną, waha się i trwożny, by rzeczy za daleko nie zaszły, wstrzymuje za rękę Ponińskiego i oczy ze wstydem spuścił ku ziemi. Jeżeli postać człowieka, któremu dzieje wiecznie będą wyrzucać upadek kraju, może być sympatyczną — to powiedziałbym, że w tej fatalnej trójce młody Szczęsny Potocki najmniej jeszcze w nas wstrętu budzi — bo znać w nim sumienie. Przeciwnie w Adamie Ponińskim artysta upostaciował całą szkaradę zaprzędanego odstępcy, ani cienia szlachetności w tej otyłej masie cielska, na tej twarzy zezwierzęconej namiętnościami — czerwony mundur, na którym błyszczą orderki moskiewskie, czyni go podobniejszym do kata, niż do marszałka.

Za tą trójką w głębi sali sejmowej widać tłum posłów,

pechających się ku drzwiom, których blady Korsak z trudnością powstrzymać usiłuje — przeróżne uczucia wyrażają te twarze wychylające się jedna z zadrugiej; na jednych widać prostą ciekawość, na innych niezadowolnienie, boleść, oburzenie, niechęć itd.

W samym prawie środku obrazu stoi kolosalna postać Salezego Potockiego, który przerażony tém co się dzieje, wstał i wypuścił z ręki pióro, którym podpisywał akt Targowicy. Całą butną, magnacką, starą Polskę widzimy w tym kolosalnym starcu — komuż nie znana ta postać dumnego wojewody z Maryi Malczewskiego — to on — tylko teraz nad przepaścią. Artysta nie żałował na niego atlasów, litych pasów, aksamitów i bogatych futer.

Obok Salezego przewrócony stołek z papierami — a za stołem czerwona zaspana twarz Radziwiłła. Panie kochanku podpisał sobie i usnął — aż upadek Rejtana i wrzawa obudziły go — w pierwszej chwili nie może jeszcze połapać się, co się stało — nie wytrzeźwił się jeszcze. Ta postać głupkowata trochę musi nam koniecznie przypomnieć owego anonimnego śpiącego w kościele, w chwili, gdy Skarga przepowiada upadek Polski.

Z drugiej strony Salezego Potockiego siedzi prymas Poniatowski, w czarne miękkie atłasy przystrojony, zniechęcały i lubieżny. Nie obchodzi go wcale, co się tam dzieje koło drzwi — on bawi się medalionem jakiejś damy, z sybarytowskim zadowoleniem otworzył usta i pokazuje miniaturę siedzącemu obok niego Michałowi Czartoryskiemu, chce obumierającego starca galwanizować wdziękami kobiecemi, ale przeszkadza temu jakiś żylasty szlachcic, który szarpie Czartoryskiego za rękę i pokazując palcem w stronę drzwi, zdaje się mówić: patrz, to twoje dzieło, owoc waszej polityki moskiewskiej.

Za tymi dwoma dygnitarzami widać króla wstającego z tronu — stoi w głębi obrazu bez znaczenia, jako dekoracja tronu — inni działają za niego. Króla nudzi ta wrzawa i Kołłątajowi, który go wstrzymać usiłuje, pokazuje zegarek. Królowi pilno — może obiad, może jaka piękność go czeka.

Obok kotary osłaniającej tron na galerii siedzi w uroczym cieniu wygorsowanych kobiet księżę Repnin i pilnie bystro wpatrując się w to co się dzieje w sali, nie spokojnie zdaje się oczekiwać, jak się to skończy. Potocka, Lubomirska i (zdaje mi się) Jabłonowska wystrojone, obsypane pudrem, obrzucone kwiatami, są niby kolorowemi ramami dla żółto-drewnianej twarzy moskiewskiego dostojnika.

A nad tém wszystkiem panuje portret carycy — protektorki. Ta baba kusząca zmysły, te usłużne bagnety moskiewskie, które widać we drzwiach, imperyjały rozsypane po sali sejmowej i orderki pozawieszane na pierśniach magnackich — to przyczyna upadku. Polakowi trudno bez upokorzenia i bez wstydu stać przed tym obrazem — patrzeć na bezsilne szamotanie się Rejtana

wobec tryumfu łotrów ubranych w atlasy i świetne imiona. — Artysta dotknął najgorszej rany, pokazał okropny upadek nasz moralny i polityczny — ale po kazaniu Skargi obraz tego upadku był koniecznością jako spełnienie proroctwa, rzuconego z ambony, i dziwić się potrzeba płytkości tych ludzi, którzy do wielkiej, głębokiej myśli, jaka kierowała ręką artysty, przyczepiają pasyjki stronnictw lub osobiste cele. Liliputki mierzą ducha artysty łokciem własnej miary. — W obrazach p. *Matejki* jest związek duchowy, natchnienie jego nie rzuca dorywczych chwil, ale idzie wytniętą drogą. Ów błazen w ciemnej komnacie krakowskiego zamku zasnucony wieścią od Smoleńska. podczas gdy na dworze bale i włoskie rozmięczenie — i śmierć Bony intrygantki, która panów polskich uczyla sprzedajności — uzupełniają się wzajemnie.

A kiedy swawola i złe szerszém płynie korytem — już nie sam błazen się smuci, nie sama Bona pokutuje — tu już kapłan natchniony staje wśród sejmujących i grozi upadkiem. Rejtan jest wcieleniem tego proroctwa. Tam trzech rokoszan — tu już trzech zdrajców, — tam Anna Jagiellonka, Ostrogska płaczą nad groźbą upadku — tu obnażone Polki wdzięczą się do tego, co im sam upadek gotuje — nawet ów anonim, który usnął na kazaniu Skargi, straszne ma przebudzenie w księciu Radziwille. — Koniecznym następstwem po tym grzechu narodu — krwawa pokuta. Jeżeliśmy się więc nie pomylili w odgadywaniu myśli artysty — to po Rejtanie spodziewać się nam trzeba coś z dziejów męczeńskich porozbiorowego życia. — Upadek Rejtana rozkrwawia i boli, spalenie jednych, a bezsilność drugich, czynią na widzu przykre, przygniatające wrażenie. Dla złagodzenia tego, dla pociechy, widzimy w głębi sali jakiegoś młodzianiszka, podnoszącego do góry szablę i krakuskę, niby symbol przyszłego powstania Kościuszki. Szkoda, że artysta w inny sposób nie wyraził tu swęj myśli. Co robi chłopczyk w sali sejmowej? — Nie możemy go uważać tylko za alegoryczny dodatek. Trzymając się historii, artysta mógłby nierównie silniej zaakcentować całość obrazu. Pamiętniki mówią, że lud z galerii krzyczał: „zostańcie, nie zdradzajcie nas!” — Ten krzyk ludu, który dotąd tylko jest widzem spraw publicznych bez udziału w nich, te ręce spracowane wyciągnięte z groźbą ku sejmującym panom — większąby nam dawały nadzieję, dobitniej malowałyby przyszłość narodu niż wąły chłopczyk z czapeczką. A przytém jaki efektowny kontrast tej ciemnej galerii, pełnej ludu poruszonego miłością kraju a owęj jasnej łoży księcia Repnina ubranęj w kwiaty i białe ramiona kobiet. — Prawda, że wtedy trzeba byłoby obraz już i tak obszerny powiększyć, ale rzecz tylko zyskałaby na tém, bo i tak w obrazie jest za ciasno. Ten brak miejsca jest może jedyną wadą obrazu.

O artystycznej wartości nic nie mówię — pan *Ma-*

tejko stanął pod tym względem na takiej wyżynie, że wszelka pochwała staje się zbyteczną.

Z sądów i krytyk, jakie kaleczą nieraz uszy na wystawie, z grymasów rozdrażnionych dam i jegomościów dałaby się pocieszna ułożyć humoreska. Pocieszający to widok, że hańba ojeów boli, wstydzi i oburza; bo lepszy wstyd jak bezwstyd — oburzenie jak obojętność. To dowodzi, że obraz nie jest nie na czasie.

O drugiej nowości, która teraz powszechnie zajmuje Kraków — tj. o „Halce“, w następnym numerze damy sprawozdanie.

Korespondencja „Kaliny“.

Sz. Prenumeratorów z **Poznańskiego i Prus**, których prenumerata kończy się z bieżącym kwartałem, upraszamy, ażeby takową odnawiali już za pośrednictwem księgarni p. Mieczysława LEITGEBERA w Poznaniu — odracając nadwyżkę, jaka komu przypada.

Wezwanie. Zamierzając w najbliższym czasie podać w „Kalinie“ sprawozdanie o stanie zakładów wychowawczych żeńskich w Galicyi, w Poznańskim i Kongresówce — wzywamy niniejszém uprzejmie wszystkie dotyczące zakłady prywatne i publiczne, szkoły i pensjonaty, którym zależy na tém, aby podać o nich coś więcej prócz suchych dat urzędowych, aby nam bliższe wiadomości spiesznie nadesłać raczyły.

.....a.....a. Odpowiedź w osobnym liście.

N. z L. P. w R. Dziękujemy i prosimy. Obowiązkiem naszym jest stosować się do życzeń — byle wymagań programu nie zmieniły. Wprowadzać wytknięte kierunki można tylko z wolna. — „Dodatek“ — o czém niezadługo — pomoże w tym względzie.

INSERATY.

JÓZEFA SROPIŃSKA

mieszkająca przy Ulicy Św. Józefa pod L. 497

podejmuje się:

1. wyczyszczenia i wywabiania wszelkiego rodzaju plam ze sukni damskich, także i wstążek bez różnicy gatunku materji i jej koloru;
 2. czyszczenia wszelkiego gatunku rękawiczek;
 3. dokładnego odnawiania wszelkich przez złe zapakowanie lub z jakiegobądź powodu zawilgoconych ubiorów sukiennych, jedwabnych, aksamitnych itp.;
 4. farbowania nanowo na białe wszelkich przez używanie spłamionych lub żółkłych białych materji jedwabnych i wełnianych, chustek krepowych i wszelkich gatunków już gotowych białych mantyl — a to tak dokładnie, iż nie podobna odróżnić ich od nowych;
 5. czyszczenia koronek, blondyn, jakoteż białych szmizetek, czepków i różnych haftów, które chociażby najbardziej żółtkie były, właściwy kolor nowych przybiorą; —
- a wykonując powyż wyszczególnione roboty za **najumiarkowsze wynagrodzenie**, — poleca się łaskawym względem Szanownej Publiczności.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca TADEUSZ WOJCIECHOWSKI.



Wychodzi co sobota o godzinie 9. rano.

Prenumerata miejscowa wynosi: *rocznie* 6 zlr., *półrocznie* 3 zlr., *czwarteroocznie* 1 zlr. 50 c. w. a. — Z przesyłką pocztową: *rocznie* 7 zlr. 20 c., *półrocznie* 3 zlr. 60 c., *czwarteroocznie* 1 zlr. 80 c. — *Prenumerata zagraniczna* bez mód i bez nut *rocznie* 8 zlr. 30 c. w. a. *Mody i kroje* *rocznie* 3 zlr. 30 c., *pół-*

rocznie 1 zlr. 70 c., *czwarteroocznie* 90 c. w. a. *Nuty* *rocznie* 1 zlr. 25 c., *półrocznie* 65 c., *czwarteroocznie* 35 c. w. a. *W Krakowie* prenumerować można w biurze redakcyi: ul. mikołajska 458, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni Wgo. Czecha. *We Lwowie* można prenumerować i odbie-

rać w ajencji Herecka i Arnolda na Halickióm *W Poznaniu* w księgarni Mieczysława Leitgebra, Hotel du Nord.

Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c. następnie po 4 c. Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

Od Redakcyi.

Wzrastająca z każdym dniem liczba Prenumeratorów, przekonując nas, że pismo tego rodzaju było pożądaném i potrzebném, pozwala nam zarazem uwzględniać wymagania Sz. Czytelniczek i zaprowadzać stopniowo ulepszenia i zmiany **bez podwyższania prenumeraty.**

Od 1go stycznia 1867 będzie wychodzić „KALINA“ na **welinowym papierze.** — Pozostajemy przy programie jakiśmy sobie założyli. Pojedyncze części jego zwolna wprowadzać będziemy, aby pismo nie było jednostronném. — Zapewniliśmy sobie stałe korespondencyje z Wiednia, Warszawy i Paryża, jak również sprawozdania z powszechnej wystawy paryzkiej. — Będziemy się starali przyozdabiać od czasu do czasu pismo nasze ilustracyjami, zwłaszcza w objaśnieniu artykułów z przyrody. — Szczególną zwróciliśmy bacność, aby **rubrykę mód i krojów** robić coraz praktyczniejszą; podamy w styczniu jeszcze raz szczegółowy opis sposobów zastosowania pomniejszych wzorów, a na odwrotnej stronie arkusza krojów **dokładny szemat redukcyjny, obejmujący naturalne rozmiary ciała, począwszy od dzieci, aż do słusznych figur.** Będziemy również podawać **wzory deseni i ubiorków na głowę.**

Czyniąc zadosyć licznym zgłaszaniom się, zawarliśmy stosunki z odpowiednimi zakładami i uwiadomiamy: że **przyjmujemy do załatwiania** wszelkie sprawunki i komisa damskie, toaletowe, krawieckie, modniarskie, księgarskie itd. Osobno do tego ustanowiony zarząd kobiecy, będzie się starał uiszczać najlepiej i najpункtualniej.

W celu uzupełnienia zadania pisma naszego, w celu zadosyćczynienia na obszerniejsze rozmiary tak umysłowym jak i praktycznym wymaganiom kobiet — co u nas dotąd jeszcze w ramy żadnego wydawnictwa nie wchodziło, ogłaszamy niniejszém jako dodatek przy „KALINIE“:

Wydawnictwo BIBLIOTEKI dla kobiet.

Biblioteka dla kobiet obejmować będzie trzy działy:

- I. Arcydzieła z literatury pięknej — bądź oryginalne, bądź w przekładach.
- II. Rzeczy dotyczące wychowania i całego utrzymania domu, przedstawiane przystępnie i z należytą gruntownością.
- III. Stosowne przedruki z literatury dawniejszej z objaśnieniami.

W przeciągu roku wyjdzie „Biblioteki dla kobiet“ **50 arkuszy druku.**

Odnosnie do powyższych trzech działów wchodzi w bieżący program następujące przedmioty: *Podręcznik do dziejów literatury polskiej aż do 19go wieku*, obejmujący treściwe poglądy na epoki a obszerniejszy rozbiór prac, których wartość i znaczenie z czasem nie przemija. — *Przewodnik w literaturze polskiej 19go w.* — *Wypisy polskie*, obejmujące ułożone w historycznym porządku wyimki z cenniejszych autorów i autorek polskich — do użytku praktycznego tak w domu jak i po zakładach wychowawczych. — *Lew zakochany*, komedya Fr. Ponsarda. — *Wybór*

poezyj *Heinego*. — Przekład polski jednej z najnowszych, a u nas nieznanych powieści francuzkich. — *Wybór pism pani Sevigné*. — *Wychowanie dziewcząt* podług sławnego dzieła Henryka Martin. — *Dom*, księga praktyczna, obejmująca następujące rozdziały: podział czasu i pracy, zarząd, domowe gospodarstwo miejskie i wiejskie, kuchnia, spiżarnia, piwnica, kredens, apteczka, służba, goście. — Katalog wskazówkowy polskich i obcych dzieł we wszystkich przedmiotach wchodzących w zakres wychowania dziewcząt.

„Bibliotekę“ można prenuwerować albo jako dodatek w biurze „KALINY“ i we wszystkich jej agencjach — albo też osobno przez księgarnię Franciszka GRZYBOWSKIEGO w Krakowie, a za pośrednictwem wszystkich księgarń.

Prenumerujący jako dodatek, będą ją odbierać razem z „KALINĄ“, arkuszami.

Prenumerujący osobno mogą odbierać również arkuszami, albo każde dzieło po skończeniu.

Prenumerata na Bibliotekę dla kobiet wynosi rocznie 6 Zł. w. a. — półrocznie 3 Zł. w. a. — ćwierćrocznie 1 Zł. 50 c. w. — miesięcznie 50 c. w. a.

Upraszamy o wczesne zamówienia tak na „Kalinę“, jak i na „Bibliotekę dla kobiet“ — albowiem od tego zależy ilość nakładu — zwłaszcza mód i nut.

MĘCZENNICA.

(POWIEŚĆ.)

przez

Zofią z pod Karpat.

I.

Dwór pański.

Hrabina R. siedziała przy toalecie, kończąc się ubierać — pokojowa podawała jej czepeczek.

Przed dworem dał się słyszeć turkot powozu.

— Zobacz kto przyjechał — rzekła do służącej.

Po kilku chwilach służąca wróciła.

— Kto taki?

— Guwernantka.

— Niech zaczeka... albo każ jej pójść do pokoju panny.

— To będzie trudno, bo nie sama przyjechała.

— Któż jeszcze?

— Jakaś niemłoda pani, zdaje się matka.

— Pocóż matka? Cóż ona tu chce robić? Niepotrzebny konwoj. — Podaj mi flakonik.

Hrabina przybliżyła twarz do zwierciadła i czerniła siwiejące już brwi.

— Więc cóż im powiedzieć, proszę jasnój pani?

— Niech czekają — odrzekła hrabina obojętnie i znowu utopiła oczy w zwierciadle, rozpatrując się pilnie, gdzie jeszcze starzejące się wdzięki potrzebowały restauracyi.

Tymczasem dwie przybyłe kobiety czekały w salonie — chwile czekania były dla nich okropnie długie, upokarzające — nie wiedziały co począć, jak sobie tłumaczyć to zaniedbanie i lekceważenie ich przybycia, ale słowami nie spowiadały się przed sobą z tego przykrego wrażenia. Obie były blade tą bladością, jaką daje długie cierpienie, co ssie krew z twarzy i trawi, tylko na bladych ustach córki błakał się przymuszony uśmiech,

którym chciała zasłonić przed matką dziwny lęk i nie-miłe uczucie, jakie owładnęło ją za wejściem do tego domu.

Wszedł lokaj, kobiety się spodziewały, że to do nich z jakim poleceniem. Omyliły się; lokaj przypatruwszy się im mimochodem, zbliżył się do stolika i szukał jakiejś książki.

— Mój przyjacielu — odezwała się matka zaschłym głosem — niewiesz gdzie tu nasz pokój — gdziebyśmy się mogły przebrać?

Lokaj ruszył ramionami. —

— Nic nie wiem — odrzekł obojętnie i wyszedł z książką.

Za chwilę w pobliskim pokoju odezwał się głos męzki silny, napięty od gniewu.

— Nie ta, mazgaju — i słyhać było silne uderzenie książki o podłogę. — Że też takiego głupstwa od ciebie mieć nie mogę. —

— Ależ jasny panie....

— Milez.... idź precz!

I w tej chwili wpadł do pokoju dwudziestoletni młodzik, smagławej twarzy, która teraz nieco krwią nabiegła, Czarne brwi zmarszczyły się od gniewu nad oczami. Ujrawszy nieznaną kobietę, młodzieniec zmieształ się nieco i stanął — oczy jego spotkały się z błękitnymi oczami bladłej guwernantki, patrzącemi na niego z przestraszeniem. Jakaś dziwna siła trzymała jakiś czas na uwieży ich spojrzenia — jak ostrze na ostrzu — było to tajemnicze pasowanie się dusz; wreszcie młodzieniec zawstydzony, pierwszy spuścił oczy i wyrzekł:

— Przepraszam. — Wziął ze stolika książkę, skłonił się i wyszedł.

Po jego odejściu matka spojrzała na córkę, która była nieco pomieszana, oczy miała spuszczone ku ziemi, a bladą twarz lekko zarumienioną. Czemu? Ona sama nie mogłaby sobie odpowiedzieć na to, wytłumaczyć; coś podrażniło jej serce, tak jak promień słoneczny

drażni oczy śpiącego, zdawało jej się, że się z jakiegoś snu ocknęła, ale w przebudzeniu było jakieś złe, niewytłomaczone przecucie. Ten niepokój zafarbował blade lica dziewczyny i powiekami nakrył jej oczy.

— To zapewne syn — rzekła matka po chwili.

— Zdaje się — odrzekła cicho córka i niewiedzieć czemu nie śmiała patrzeć matce w oczy. Nigdy nie знаła tego człowieka, a jednak nie mogła go uważać jako obcego, nie mogła o nim myśleć bez pomieszania i lęku, za którym kryło się jakieś przyjemne uczucie. Są ludzie, którzy od pierwszej chwili czynią na zbliżających się wrażenie wstrętne lub porwijące, jest to jakaś magnetyczna siła, przez którą silne duchy złe lub dobre objawia się światu. — Coś podobnego było tutaj.

Matka czytała myśli córki na jej twarzy i zamysliła się.

Obudził je obydwie wykrzyk miły i radosny — spojrzwały. We drzwiach od ogrodu stała panienska w sukience — niby to jeszcze krótkiej — ale już ze spuszczoną listewką, koło rumianej twarzyczki trzęsły się czarne loczki. Twarzyczka nie była wcale piękną, rysy nieregularne, ale w całości wiele życia i wdzięku.

— A! — zawołała spostrzegłszy dwie damy — to może pani jest panną Joanną, moją guwernantką?

Ten głosik jak słoneczny promień wpadł w zadumane dusze niewiast.

— A co, zgadłam?

— Tak moja panienska — odezwała się matka — i rzewnym, serdecznym spojrzeniem witała panienskę, która ze szczerą uciechą przybiegła do kanapy.

Drzwi skrzypnęły — weszła hrabina wyświeżona, odmłodzona, sztywna, dumna.

— Amelko, idź się ubierać — rzekła do swjej córki, skinęła kobietom i odezwała się tonem suchym:

— A, przyjechałaś panna — to dobrze, dziecko jest bez dozoru, od jutra trzebaby zacząć lekcycje, bo się Amelka bardzo zaniedbała.

— To moja matka — odezwała się Joanna, przedstawiając matkę.

Hrabina ledwie się skłonić raczyła i nieuważając na ten epizod, mówiła dalej:

— Panna piszesz niezłe, poznałam to z jej listu, trzebaby Amelce wprawić rękę do dobrego pisania, bo dawna jej guwernantka popsula ją w tym względzie kompletnie. Panna rysujesz także?

— Tak pani.

— To dobrze, bo....

Nie dokończyła — jakiś elegancki powozik zajechał przed ganek, wyskoczył z niego średniego wieku mężczyzna, według wszelkich przepisów mody ubrany — piękny mebel do ozdoby salonu. Hrabina z pospiechem postąpiła ku drzwiom na powitanie i rozpoczęła z nim żywą rozmowę po francusku. Jakże zmieniła się ta

twarz sztywna, lodowa, niby serwis soplicowski; twarde rysy pogięły się w uprzejmy grymas, dumne oczy zmrużyły się do kokieteryjnego uśmiechu, a zaciśnięte usta sypały teraz słowa i grzeczności bez miary.

Kobiety nie przedstawione siedziały na boku, hrabina i przybyły baron P. nie uważali całkiem na nie. Były to straszne moralne tortury dla nieśmiałych i tkliwych niewiast, pogarda deptała ich godność, plwała im w twarze rozpalone od wstydu — i trzeba było to przecierpieć bez jęku — w milczeniu. Matce zał było córki, córka była zmartwiona o matkę — była rozgorączkowana, w głowie był ogień, choć ręce wilgły od zimnego potu. Wreszcie skończyła się ta męka — wszedł lokaj, otworzył drzwi jadalnej sali i rzekł:

— Proszę państwa do stołu.

Baron podał rękę hrabinie; przybyłe kobiety niezaproszone spojrzeniem pani domu zawahały się, czy iść czy zostać, wreszcie poszły i usiadły ostatnie przy końcu stołu. W jadalnym pokoju oprócz młodego hrabiego Adama i Amelki zastały ich ojca. Stary hrabia był ciemny, to kalectwo tém straszniejsze się wydawało na twarzy oszpeconej ospą i drgającej czasem kurczowo spazmatycznie. Amelka siedziała przy ojcu posługując mu i podając wszystko do ręki. Adam wniósł się do rozmowy barona i matki, rzucając czasem krótkie, głębokie spojrzenia na guwernantkę.

Obiad trwał blisko godzinę. Kobietom, które nikt nie zaczął rozmową, siedzącym z oczami spuszczonejmi na talerz, ta godzina wydawała się okropnie długą. Wreszcie wstano od stołu i towarzystwo przeszło do ogrodu. Starego hrabiego wyprowadziła Amelka pod kasztany — usiadł w ich cieniu na czerwonym krześle i usnął, a może nie spał, ale zamknięte powieki wieczny sen kłamały przed ludźmi. Matka z córką poszły w głąb ogrodu — schowały się w ciemny klomb i usiadły na kamiennym ławce.

Matka odetchnęła ciężkim westchnieniem — Joanna zrozumiała mowę tego westchnienia, spuściła głowę ku ziemi i milczała.

— O moje dziecko, ciężko ci tu będzie przywyknąć.

— Nie mam, to tylko tak w pierwszej chwili — ja się oswoję. Amelka jest tak miła, łagodna — to dosyć.

— Ale matka, jakież to łód. Twoja gorąca duszka zmarznie jak kwiatek przy niej.

— To przyjadę wtedy rozgrzać się przy was. W naszej cichej izdebce w Krakowie, tam przy okienku pełnym kwiatków, z klatką z kanarkami, gdzieśmy siadywały zawsze z robotą — odpocznę, nabiorę sił i wrócę.

— I tak będzie zawsze — wiecznie.

Córka nie umiała na to odpowiedzieć matce, nie umiała ją pocieszyć. W domu ich po śmierci ojca była bieda i niedostatek mimo skromnego życia. W końcu nie było za co opłacać mieszkania, nie było za co po-

syłać młodszego brata Joasi do szkoły. Matka jak mogła pasowała się z nędzą, ale daremno, szamotanie ją zmęczyło, opuściła głowę i ręce. Ostatnia suknia z dawnej zamożności, gdy ją sprzedawała, wzbudziła w niej strach i rozpacz o los dzieci. Joasia widziała to i postanowiła iść do obowiązku, aby rodzinę swoją wydzwignąć z biedy.

Nie pytajmy ile kosztowało dziewczynę to postanowienie; porzucić matkę, którą kochała całym niepodzielnym sercem, z którą wiązała każde marzenie o szczęściu — iść między ludzi obcych, to była dla niej rzecz straszna, nie mogła pomyśleć o tém bez wzdrygnięcia, a jednak tała to cierpienie przed matką, nie chciała, aby wiedziano za jaką cenę ratuje rodzinę. Matka, córka i syn przyglnęli do siebie, zrosli się w miłości w jedno; dziś nędza oddarła jedno od drugiego, rzuciła w świat. Przeznaczenie nie chciało osłodzić Joannie téj strasznej rozłąki, dostała się między ludzi, którzy ją przestraszyli swoją dumą i chłodem, a jednak cofnąć się nie chciała i siliła się na odwagę w obec matki i udawała spokój, choć w piersiach było duszno, mętno, rozpacznie. Biedna męczennica.

Długo obie kobiety siedziały na kamiennéj ławce rozmawiając o domu, przypominając sobie najpiękniejsze chwile przeszłości. Zachodzące słońce rzucało na nie przez drzewa snopy złotego światła. Śliczny to był obrazek: te dwie kobiety pochylone ku sobie, ożywione miłymi wspomnieniami, to sklepienie ruchomych liści, szmerzących niby pacierz wieczorny i to słońce w głębi niby tło byzantyńskich obrazów. Ktoby się domyślił, że po za ramami tego obrazka stoi blady smutek i cierpienie bez słów.

Słońce się schowało, kobiety przypomniały sobie, że wracać trzeba ku dworowi, wzięły się więc pod rękę i rozmawiając szły w stronę, gdzie siedział hrabia; nie widziały go, bo był zasłonięty bzewami krzakami. Stary hrabia jednak dosłyszał głos.

— Kto tam? kto tam mówi? Ja nieznam tego głosu — ktoś obcy.

— To ja — to my — odrzekła zmieszana Joanna.

— Ja, my — gdybym miał oczy toby mi wystarczyło: ale...

— Guwernantka — odrzekła Amelka zbliżając się ku ślepcowi.

— A, toś już przyjechała? Nic mi o tém nie mówiono. A jak się nazywasz?

— Joanna Żarońska.

Hrabia rzucił się gwałtownie w krzesło, ospowata twarz nabrząkała wzruszeniem, a niskie czoło zmarszczyło się w nieforemne linije; rękami konwulsyjnie ścisnął poręcz krzesła i nieprzyjemnie wykrzywił usta. Wyglądał jak człowiek, który patrzy na coś okropnego.

— Chodź — rzekła po cichu matka, nie chcąc przeszkadzać zadumaniu starca. Do tego widok ponu-

rego ślepcą w cieniu drzew i zmierzchu, jakiś strach budził w niewiastach.

— Tu jest ktoś więcéj.

— To moja matka, która mnie odwiozła.

— A — matka.

Tu zawahał się chwilę — potem spytał: "

— A ojciec gdzie?

— Umarł.

— Umarł — powtórzył hrabia jak echo, ale głosem dziwnym, grobowym; twarz jego jednak trochę się rozpogodziła.

Moja panienko — odezwał się po chwili łagodniej — każ przyjsię lokajom po mnie. Amelka zapomniała o ojcu.

— O nie zapomniała ojeze — zawołało dziewczę biegnąc szybko aleją; przybiegło do ojca i pocałowało go w rękę. — Spóźniłam się, bo musiałam grać dla pana barona — mama chciała.

Hrabia przy ostatnich słowach córki zrobił grymas niezadowolnienia; wnet się rozpogodził, wyciągnął ręce szukając córki, przyciągnął ją ku piersiom i pieścił się z nią. Twarz jego w téj chwili była mniej brzydka.

Zaniesiono go do pokoju, gdzie się zebrało całe towarzystwo.

Po herbacie matka z córką poszły do pokoju Amelki. Pokojowa przygotowała posłanie tylko dla guwernantki, o jęj matce zapomniano. — To umyślne zapomnienie dotknęło zbyt mocno kobietę, by mogła milczeć.

— Podli — szepnęła cicho, tracąc Eierpliwość.

Ale przybycie Amelki wnet ją pocieszyło. Poczciwe dziewczyniátko chciało nagrodzić złe obejście swęj matki i odstąpiło swego łóżka i zapraszało tak szczerze a nieśmiało, że matka Joanny nie mogła wprost odmówić.

— Połóż się Aniolku — rzekła do nięj — my i tak z córką spać nie będziemy, mamy wiele mówić z sobą.

Nie zdołała ją jednak przekonać. Amelka uparła się spać w karle, oparła główką o poręcz i wnet usnęła. Matka z córką późno w noc rozmawiały. Rano matka pożegnała Joannę i wróciła do Krakowa.

II.

Walka.

Pół roku przebyła już Joanna w domu hrabstwa R. — przeliczyła ten czas długimi chwilami tęsknoty za domem, za matką, przeliczyła go bezsennymi nieraz nocami, płaczem i ciężkimi próbami. Zależność od takiej kobiety jak hrabina, była okropną; każde jęj słowo, spojrzenie, postępowanie obrażało do żywego godność człowieka, raniło każde delikatne uczucie. Hrabina nie przypuszczała pięknych, szlachetnych uczuć w kobiecie gminnego urodzenia, to téż deptała po nich bez litości; przypuszczenie jęj do swego towarzystwa uważała za łaskę, a Joanna nie mogła odrzucić téj łaski, owszem

musiała ję się czepiać jak bluszczyk drzewa, bo jako kobieta nie mogła żyć sama, oddzielnie. Stanowisko kobiety w społeczeństwie jest zawsze zależne; zależna jest jako córka, jako żona — samodzielnego stanowiska świat nie znosi, patrzy na nie przez ciemne szkła uprzedzeń. Jeżeli więc los pozbawi kobietę tych rodzinnych podpór, musi obejrzeć się za innymi, oprzeć się choćby na obcych, jeżeli chce uniknąć dwuznacznych spojrzeń, pokątniej obmowy. W takim położeniu znajdowała się Joanna. Pozbawiona matki, musiała czepić się czegoś, a choć to raniło i kaleczyło ję ręce, puścić nie mogła, by nie utonąć w kałuży oszczerstwa. — Przykre położenie takiej kobiety. Dużo już zdarzyło mi się czytać utyskiwań nad przykrę położeniem nauczycieli domowych, rzadko jednak o guwernantkach. A przecież położenie tych ostatnich o wiele gorsze. Męczyzna umie walczyć, powinien walczyć z brudotą ludzi, z ich przesądami, narowami — w końcu może wśród ludzi, którzy go nie chcą uszanować jako człowieka, stanąć odosobniony, nie znający ich po za granicą przyjętych obowiązków, odpłacać im pogardą za pogardę, obojętnością za obojętność. Kobieta tego uczynić nie może, walka nie przystoi ję, odosobnione życie nazwanoby dziwactwem, awanturczością; musi więc być wciąż z tymi, których nie cierpi, uśmiechać się do ludzi, którzy ją upokarzają i uśmiechem maskować przed ludźmi swoje przykrości. Taką była Joanna. Niczem nie dała poznać hrabinie, że ją boli ję obejście — zносиła wszystko z uległością, z szlachetną łagodnością i chrześcijańskim przebaczeniem. Hrabinie zdawało się to postępowanie bardzo naturalne, bo nie pojmowała, żeby guwernantka rościć mogła sobie pretensje do innego obejścia. — Do tego jeszcze jedna rzecz gniewała dumną panią i podwajała ję cierpkość względem guwernantki. Joanna mimo bladeści była piękną, regularne rzymskie rysy, kształtna i postać zwracały uwagę gości bywających w domu hrabstwa. Szczególniej baron i kilku z sąsiedniej młodzieży czyniło grzeczności „bladęj Westalce“. A hrabina nie bardzo jeszcze stara, miała także chęć podobania się, przywykła od dawna do szumu pochwał, do nadskakiwań i grzeczności — do tego miała córkę już dorastającą, niezbyt ładną. I matka więc i córka traciły wiele w obec guwernantki. Hrabina nie mogła ję tego darować i wnet dała ję uczuć swoje niezadowolnienie. Jednego rana przy śniadaniu odezwała się:

— Co panna robisz tak długo po nocach, wczoraj wróciłam do domu po północy i widziałam jeszcze światło.

— Czytałam, bo w dzień nie ma tyle czasu.

— To zależy od tego, jak się go używa. Jeżeli się za przybyciem każdego gościa wychodzi do salonu, bawi się — to czasu braknąć musi.

— Sądziłam, że dla towarzystwa p. Amelci.

— Amelka w salonie ma matkę.

Joanna zrozumiała chęć hrabiny i odtąd rzadko bardzo pokazywała się przy gościach. Było to zbyt widocznem, aby nie miano spostrzedz tego, szczególnie uderzyło to młodego hrabiego Adama.

Nie mieliśmy sposobności przypatrzeć mu się bliżej — teraz musimy go poznać.

Hrabia Adam był usposobienia gwałtownego, despotycznego. Przyzwyczajony od dzieciństwa do tego, że go słuchano, że ulegano wszelkim jego kaprysom, wczesnie rozwinął w sobie, a raczej rozkładał wolę. Był w tym względzie podobny do matki, z tą jednak różnicą, że miał serce i duszę skłoną często do szlachetnych popędów. Widzieliśmy go w chwili gdy wzburzony, gniewny wpadł do salonu i spotkał się z spokojnym, ale pewnym spojrzeniem Joanny. Zawstydzil się wtedy chwilowo i zmieszal. Czemu? Tego sobie nie mógł wytłumaczyć i zły był potem na siebie, że zmieszal się na widok jakiejś guwernantki, która raczej przed nim powinna była zawstydzic się i spuścić oczy. To też postanowił tę chwilową słabość naprawić pogardą i lekceważeniem. Przeciw tym pociskom Joanna uzbroidła się obojętnością. Prawda, że w pierwszej chwili hrabia Adam zrobił na niej dziwne wrażenie, z którego potem sprawy zdać sobie nie mogła, zdawał ję się wtedy zupełnie innym jak potem, jakieś błyskawicowe światło rozjaśniało na chwilę najgłębsze, najpiękniejsze przepaści jego duszy i ciągnęły ją ku sobie; dziś tę przepaść zasypał gruz i śnieg i patrzyła na niego obojętnie — nie uważała na niego. To obraziło dumę pannie, jego miłość własną. Chciał tę powagę i spokój zburzyć, zranić ją, aby usłyszeć krzyk ję duszy, aby wymórz prośbę z ust zaciśniętych, próbował naprzemian obojętności, ironii, opryskliwości, ale napróżno — Joanna zdawała się nie widzieć, nie słyszeć, nie uważać, była grzeczną, łagodną, ale spokojną i obojętną. Była to walka dusz, która poczęła się skrzyżowaniem spojrzeń przy pierwszym widzeniu. Hrabia Adam uczul się powtórnie zwalczonym. Z dzikiego, gwałtownego, stał się dla niej łagodnym, uprzejmym; ale i tem nie zmienił postępowania guwernantki — taktownem obejściem trzymała go zdaleka od siebie. Hrabia nieprzyzwyczajony był do tego, to też nieraz targał więzy, któremi go krępowała dusza tej kobiety, rzucał się, wybuchał, wyjeżdżał z domu — to znowu wracał i szukał ję towarzystwa, zebrał jednego spojrzenia łaskawego; ale napróżne. Joanna unikała go i czy to po obiedzie czy po herbacie, wracała zaraz do swego pokoju. Raz podczas takiego wyjścia hrabia Adam przygryzł wargi i szukał w głowie sposobów, jakby ją napowrót sprowadzić.

— Czy nie przywieziono dziś gazet z poczty — spytała hrabina.

— Są u mnie.

— Przeczytaj nam co.

— Może nie będę mógł, bo mnie gardło boli. Ale trzeba by guwernantki zawołać, niech nam czyta.

— Prawda — i tak mało z niej mamy wygody.

Zadzwoń — Adam tymczasem wyszedł do siebie po gazety. Gdy wrócił, zastał już Joannę czekającą przy oknie. Z tryumfującą miną i szyderczym uśmiechem podał jej pisma i usiadł naprzeciw. Joanna ani spojrzała na niego, z uległością poczęła czytać — głos jej słaby wnet się zmęczył i cichnął. Adamowi żal się zrobiło, zdawało mu się, że w tym głosie czuł łzy.

— Pozwól pani, ja będę czytał.

— Ciebie gardło boli — rzekła matka — nie pozwolę na to. Wszak tak krótkie czytanie nie powinno panny umęczyć.

— Wcale nie jestem zmęczona — odrzekła Joanna i czytała dalej.

(Ciąg d. nast.)

Napis na książce.

(Z HAJNEGO.)

W róże pachnące i w cyprys dumny
Chciałbym książeczkę tę ubrać ładnie,
Jak się ubiera umarłych trumny,
I pokłaść piosenki me na dnie.

Gdybym i miłość pogrzebać mógł z niemi!
Na grobie dla innych choć może
Wykwitnie spokoju kwiat z ziemi —
Dla mnie zakwitnie, gdy w grób się położę.

Ot leżą pieśni, co jak lawa wrząca,
Gdy z Etny bucha, z piersi méj się ląły,
Z głębin piersi gdy była gorąca —
Błyskały skrami — jak gwiazdy migały.

A teraz leżą jak umarli w ziemi
Jako mgły białe zimne, tak grobowo;
Lecz gdy miłości duch stanie nad niemi,
Pieśni ożyją — zapłoną na nowo.

O ja przecucie mam, że kiedyś stanie
Ten duch miłości mojej po nad niemi,
Że się książeczka ta kiedyś dostanie
W rączki twe luba gdzieś w dalekiej ziemi.

Wtedy powstaną te pieśni rozliczne,
Martwe, litery ożyją z radości,
I patrząc z prośbą w twoje oczy śliczne,
Będą mówiły ci o méj miłości.

Manon Phlippon Roland.

(Życiorys.)

(Ciąg dalszy.)

Zaprawdę, gdyby jakieś prorocze widzenie, jakieś zwierciadło czarodziejskie było jej naprzód ukazało jej karierę polityczną tak krótką, a tak pełną wypadków, jej poselstwa do papieża i króla z głębi skromnego gabinetu, jej pojawianie się przed kratkami zgromadzeń zawsze przyjmowane oklaskami — a na zamknięcie dramatu ją samą w sukni białej, z włosom rozpuszczonym, wstępującą triumfalnie na gilotynę; gdyby była mogła wybierać, nie cofnęłaby się z pewnością, byłaby przeniosła to przeznaczenie wojujące nad jakieś ukryte szczęście przy kominku. A jednak poznaliśmy, że tam było w niej usposobienie i warunki do domowego szczęścia. Tém więcéj cenić należy patriotyczną jej gotowość do ofiarnego życia.

Lecz ta jej rola, jakże różną jest od owéj Krystyny szwedzkiej, która kiedyś dla rozbudzonej duszy ideałem się zdawała. Przytomność umysłu, nauka, niezmordowana czynność to jedyne wspólne im przymioty. Po za tém zupełne przeciwieństwo charakterów. Krystynę pochłaniają polityczne zajęcia, studia robią ją wielojęzyczną sawantką, wstrętne jej wszystko co tylko domowém, serdeczném ciepłem trąci, najwstrętniejsza dla niej myśl pójsia za mąż. Postać jej wspaniała, ale zimna, dumna, usposobienie nie naturalnie wyteżone, brak zadowolenia wewnętrznego, brak rosy niebieskiej — ona nigdy nie płakała. Ten niespokój rzuca ją gorączkowo w politykę, i znowu sprowadza z tronu, rzuca ją w sprzeczki religijne, a potém wiedzie do Rzymu; awanturuje się po bibliotekach i akademiach, trawi ją gorączka, życie jej na pozór pełne, ale w istocie czeze, puste. „Kobieta“, którą w sobie przytłumiła, zemściła się nad nią — życiu jej brak wszelkiego uroku, poezyi, ciszy, spokoju i miłości. A nasza *Manon* przeciwnie: to prawda i natura z jednego odlewu; to kobieta.

Z pani *Roland* chciano zrobić wzór jakiejś kobiety przyszłości, silnej, republikańskiej, będącej bodźcem dla męża, równiej mu lub wyższej, zastępującej szlachetną i jasnowidzącą rzutnością, trwożliwość i poddanie się dziewicze. Były to zdania himeryczne i ambitne. Kobiety takie, jak pani *Roland*, potrafią zdobyć sobie w społeczeństwie miejsce przewodnie; — lecz stanowisko ich zawsze wyjątkowém pozostanie. Nie ulega wątpliwości, że wychowanie zdrowsze i na pewniejszych podstawach oparte, że większe zrównanie się majątków, że małżeństwa coraz więcéj odpowiednie prawdziwym konwenansom, to jest, wzajemnym wymaganiom oświaty i charakteru, zbliżać będą coraz więcéj i stowarzyszać żonę z mężem i zacierać różnice przymiotów duszy i umysłu; lecz nie idzie zatém, żeby należało lub można przekształcać dawne cnoty i wdzięki duszy kobiecej;

owszem tém więcej trzeba je przechować. A ktoby chciał przytaczać panią *Roland*, niech nie zapomina, że ona nie zaniedbywała nigdy tych drobiazgów wdzięcznych, które jęj były wspólne z całym jęj rodzajem; i że ten geniusz, który bądź co bądź wypłynął na wierzech i nieraz się narzucał nawet — nie każdej dany, że należy tylko do nięj samęj i nie może bez złudzenia stanowić powagi i modły dla drugich.

Poznaliśmy więc charakter domowy i publiczny pani *Roland*. Na tych dopięro podstawach możemy się rozpatrzeć w jednęj jeszcze częsci obrazu, w jęj stosunkach osobistych; możemy się przyjrzeć najtajniejszym tajemnikom jęj duszy, zrozumieć je i uwierzyć im.

(Ciąg dal. nast.)

Kronika krakowska.

Dwadzieścia lat właśnie w tym roku minęło, jak burza polityczna potargała pierwsze zawiązki opery polskiej w Krakowie — odtąd słyszeliśmy opery tylko w niemieckim języku i to sporadycznie, dopiero teraz niez morderowana wytrwałość p. Dunieckiego zrobiła to, co na pozór zdawało się niepodobieństwem. Pierwsze przedstawienie „Halki“ możnaby nazwać arcydziełem muzyczném pana Dunieckiego, bo nięm przywiódł do harmonii najprzeciwniejsze i najbardziej niechętnę głosy i zmusił je do śpiewania pochwalnych hymnów. — Nam, którzyśmy z bliska przypatrywali się z jakimi trudnościami miał do walczenia p. Duniecki, jak sam z niczego musiał stwarzać wszystko, jak wszystko było w opozycyi przeciw nięmu od palacza w piecach do samęj dyrekeyi i odmawiało swęj pomocy, zostawiając starania się o najmniejsze drobiazgi — na jego barkach, dziwić się przychodzi, z kąd zaczerpnął tyle siły i zapału do przeprowadzenia swęj myśli; jak również dość naiwnę nam się wydawało ogłoszenie dyrekeyi o wielkich wydatkach, w skutek których nastąpiło podwyższenie cen. O ile wiemy oprócz kilku par butów, paru kontuszów, (o które dawnięj już należało się postarać) i ubiorków do „błękitnego mazura“ dyrekeya o żadnych wydatkach wiedzieć nie chciała, nawet o pensyi dla śpiewaków, wychodząc zapewne z tęj zasady, że głodny cienko śpiewa.

Pierwsze trzy przedstawienia „Halki“ powinnyby dyrekeyją przekonać, że dość znaczne nawet wydatki na operę wrócają się z grubą nadwyżką. Za każdym razem rozrywano sobie bilety, teatr był przepelniony, ale bo tęż wykonanie poszło nad spodziewanie. Ci którzy słyszeli „Halke“ w Warszawie, jednogłownie przyznają, że wykonanie jęj u nas mało pozostawia do życzenia. Pan Niedzielski (Janusz) w rozległości i wdzięku głosu nie ustępuje wcale Kelerowi, a chóry nasze złożone prze-

ważnie z łaskawych amatorów, (którym się publicznie należy podziękowanie) o wiele wyżej stoją od warszawskich.

Nie będziemy wdawać się w bliższe ocenienie samęj opery — w artykule o St. Moniuszce czytelniczki nasze zapoznały się z jęj treścią i celniejszemi ustępkami, zwrócić tylko musimy uwagę na artystyczny układ tęj opery — poeta i kompozytor tak szczęśliwie umieli rozporządzać bogactwem efektów i melodyj, że ku końcowi nie tylko nie nuży słuchacza, ale owszem niesłuchanie potęguje uwagę i coraz wyższe budzi zajęcie.

Początek opery a raczēj cały pierwszy akt jest czysto szlacheckiego zakroju — ów świetny polonez choru, śpiew stolnika pełen animuszu i szczerości staropolskięj i wesolę mazur nie pozwalają się zrazu domyślać owych smętnych ludowych melodyj, owego cięmnego kolorytu smutku, w jaki obleka się dalsza akcyja — wszystko tu wesolę, roztańczone, jasne; jedynie w śpiewie Janusza czuć rozstrój, nieszczerość i lęk nieczystego sumienia. Naraz wesolę tę zmęca bolesny śpiew obłąkanęj dziewczyny odzywający się za sceną;

„Jako od burzy krzew połamany“ itd.

Śpiew kończący się krzykiem wzruszającym duszę. To śpiew Halki, to skarga ludu rzucona przeciw szlacheckiemu sumieniu. Z tą pieśnią wchodzi na scenę pierwiastek ludowy smętny, dunkowy i cała opera przybiera już przeważnie ten charakter. W drugim akcie niby dalekie echo słyhać jeszcze kilka taktów poloneza, ale te wnet giną wśród rzewnych melodyj. Śpiewy Halki, Jontka występkują teraz na pierwszym planie; zamiast chórów szlachty słyżymy chór górali, który szczególnięj w trzecim akcie występkuje w całej sile. Trudno wyobrazić sobie coś bardzēj prostego, pojedynczego a zarazem głębokiego, jak ten chór ludu zrywający się czasami na wesolę melodyję i znowu spadający w ponury pomruk przy wspomnieniu, „że jutro znowu dzień roboczy“ — albo litujący się nad uwiedzioną dziewczyną: „biedna Halka jak zmieniona!“

Ale koroną całej opery jest dopiero akt czwarty i śpiew i akcyja i dekoracyje składają się na to, by zachwycić oczy, uszy i duszę. Scena przedstawia krajobraz górski — w głębi rzeka płynąca wśród skał — nad nią rzucona kładka — na przodzie sceny po prawęj stronie kościół na wzgórkę z cmentarzykiem otoczonym sztachetkami, obok figura Matki Boskięj, przed którą lampa się pali. Nad tą całą smętną dziką okolicą — księżyc. O księżycu dowiadujemy się tylko z tekstu, na scenie oszczędność zarządu teatralnego przedstawiła nam księżyc na nowiu i tylko w chwili, gdy światła księżycowego koniecznie potrzeba, kadzi śpiewającej Halce dymem bengalskiego ognia, co może być zdrowęm dla kieszeni zarządu, ale nigdy dla artystki. Akt czwarty rozpoczyna się znaną już powszechnie pieśnią Jontka: „szumią jodły na gór szczycie“, w któ-

rój niekochany kochanek skarży się w samotności na dziewczynę, co nad niego przeniosła niewiernego panicza. Zdawało się, że Moniuszko w tej pieśni popełnił gruby błąd przeciw prozody, akcentując ostatnią zgłoskę, tymczasem rzecz się ma przeciwnie, ten niby błąd stanowi właśnie charakter pieśni górskich, w których akcent najczęściej pada na ostatnią. — Po tej pieśni następuje prześliczny sekstet i chór, o którym było w artykule o Moniuszce. Następnie cały orszak weselny przechodzi do kościoła, zostawiając Halkę z jej rozpaczą. Scena ta jest najefektowniejsza z całej opery — w niej pani Gruszczyńska rozwija całą potęgę gry i śpiewu. Najobjętniejszego słuchacza musi oczarować i porwać ta scena, każe mu zapomnieć o sobie, z takim przejęciem, z taką prawdą uwydatnia artystka deklamacyją i gestem boleść dziewczyny szarpanej burzą rozpacz. Tragiczny spokój w jakim widzieliśmy dotąd bladą twarz Halki, łamie się w namiętą chęć zemsty nad Januszem, którego ślub w tej chwili odbywa się w kościele. Ten ślub, wspomnienie zmarłego dziecka, niewiara kochanka, miotają strasznie górską dziewczyną.

„Ja zemszczę się, ja serce z piersi wydrę ci“ — woła groźnie. Pani Gruszczyńska oddaje tę namiętą, gwałtowną scenę z taką siłą, że zdaje się, iż ją ta burza ucuć potarga i zniszczy, drobne jej rączki drgające konwulsyjnie w chwili groźby, sprawiają podobne drganie w sercach widzów. Tu kulminacyjny punkt i przesilenie. Halka chwyta głównię, zapala ją od lampki płonącej przed obrazem i leci podpalić kościół. W tej chwili odzywa się poważny głos organów i śpiew ludu w kościele. Halka cofa się, głównia wypada jej z rąk, skruszona klęka przed obrazem i śpiew jej łączy się ze śpiewem ludu. Blask księżyca (bengalskiego ognia) opromienia przemienioną. Twarz artystki przed chwilą wzburzona i groźna, układa się w jakiś anielski, uśmiechnięty spokój — wewnętrzne uszczęśliwienie, jakie daje religija, artystka umie do podziwu wyrazić na twarzy. Zdaje się, że to nie ta sama twarz, którą widzieliśmy w trzecim akcie bladą, znękaną, zbudzoną. I śpiew jej ostatni: „Jażbym cię miała zabić mój drogi — Jaśka i pana mego“ — śpiew podobny do tryumfalnego marszu, technicznie również szczęściem duszy, która się zdobyła na przebaczenie. Gra artystki i czar muzyki sprawiają, że ostatnia scena samobójstwa wcale nie robi przykrego wrażenia, owszem widz zdaje się ucieszony, że ta dziewczyna pojednana ze sobą i ze światem, w tej chwili przestała cierpieć. Ludzie wychodzący z kościoła, rzucają się ratować tonącą i trupa jej przywożą na brzeg w chwili, gdy orszak kościelny wychodzi z kościoła. Trup dziewczyny przegięty na krawędzi łodzi, oświecony księżycem — Janusz osłupiał z przerażenia stojący na skale i tłum ludu, stanowią prześliczny żywy obraz na zakończenie.

Szkoda że dyrekcja poniosłszy (jak nam głoszą afisze) znaczne nakłady na przedstawienie „Halki“, nie postarała się o jaką-taką harfę, która w ostatnim akcie jest niezbędną, a której fortepiano nigdy nie zastąpi; boć wstyd jest, że dyrekcja na to zdobyć się nie może, co lada szlaska harfiarka posiada — tj. na własną harfę.

ROZMAITOŚCI.

Maszyna do szycia. Niema dziś w całej Europie znaczniejszego miasta, w którymby nie znajdował się skład maszyn do szycia, a ajenci wielkich fabryk krążą po wszystkich krajach cywilizowanych, ułatwiając nabycie tych użytecznych przyrządów. Pochodzą one z Ameryki, wynaleziono je w r. 1846, później znacznie udoskonalono. O ich praktyczności świadczy najlepiej ilość i ogrom fabryk, które ich dostarczają. Fabryki *Wheclera* i *Wilsona* wyrabiają ich 200 w ciągu jednego dnia. W sześciu latach sprzedały ich 96,359 sztuk. Zalecają się one pięknością i dokładnością szwu, zupełnie jednakowego po obu stronach, który przytęm ani się nie strzępi, ani nie rozpuszcza. Robota na nich idzie łatwo i szybko. Obliczono i sprawdzono iż dobrze obeznana z maszyną, jest w możności uszyć mężką koszulę w czasie 1ej godziny i 16tu minutach, frak w 2ch godzinach 38miu minutach, jedwabną suknię w 1ej godzinie 13tu min., perkalikową w 57miu min. — W jednej minucie szyjąc cienką bieliznę, można zrobić ręką 23 ścięgi, podczas gdy w tym samym czasie maszyna robi ich 640. W Warszawie jest już kilka składów tych maszyn.

— Piszą nam z Warszawy, że tam przygotowano już wiele rzeczy na wystawę paryską z pola przemysłu i sztuk pięknych. Fotografia i krawiectwo, ogrodnictwo i mechanika wyprzedzają się na wyścigi — a wystawa warszawska sztuk pięknych posiada już cztery obrazy, zaopatrzone legitymacyjno-pretenyonalnemi kartkami z napisem: „Na wystawę paryską“. Są to obrazy: Suchodolskiego, Kossaka, Gersona i Kostrzewskiego. Pierwszy przedstawia „Ucieczkę Kara Mustafy z pod Wiednia“ po przegranej w r. 1683; — drugi: „Jarmark koński na Pradze“; — trzeci: „Apostolstwo germańskie w Słowiańszczyźnie nadodrzańskiej“; — a czwarty nareszcie: „Odpust wiejski na Mazowszu“.

— Tenże korespondent nam donosi o nowym poemacie Deotymy, dotąd nieogłoszonym, p. t. „Poemat o kwiatach“, który jak mówią ci, co go słyszeli, ma być prawdziwem arcydziełem kunsztu pisarskiego.

— Do kalendarzy, które sobie zyskały już prawo obywatelstwa, policzyć także trzeba Kalendarz dla Rodzin katolickich, istniejący już od lat czterdnastu — wydawany dawniej przez W. Wielogłowskiego a teraz prowadzony dalej przez Jaworskiego. Oprócz części astronomicznej i kalendarzkiej zawiera on ładny urywek z poematu Bogdana Zaleskiego: „Księżna Hanka“ — wiersz Syrokomli — i powiastkę p. t. „Kara Boża“.

— Nakładem tegoż księgarza wyszły: „Opowiadanie Pielgrzyma czyli Przewodnik do ziemi świętej“ przez ks. Tyburey. Opowiadanie to pełne prostoty, humoru a zarazem zdrowych poglądów i trafnych uwag — nie tylko dla osób chcących zwiedzać Palestynę, ale i dla tych, którzy tylko myślą mogą podróżować w tamte strony, miłym może być przewodnikiem.

W tejże księgarni wyszła książeczka p. t.: „Przygody Wandzi“, powiastka dla dzieci, która przy zbliżającej się kolendzie miłym może być upominkiem dla dzieci.

Do numeru dzisiejszego dołącza się nuty „Dwie pieśni“.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca TADEUSZ WOJCIECHOWSKI.



Wychodzi co sobota o godzinie 9. rano.

Prenumerata miejscowa wynosi: *rocznie* 6 złr., *półrocznie* 3 złr., *czwórocznie* 1 złr. 50 c. w. a. — Z przesyłką pocztową: *rocznie* 7 złr. 20 c., *półrocznie* 3 złr. 60 c., *czwórocznie* 1 złr. 80 c. — *Prenumerata zagraniczna bez mód i bez nut* *rocznie* 8 złr. 30 c. w. a. *Mody i kroje* *rocznie* 3 złr. 30 c., *pół-*

rocznie 1 złr. 70 c., *czwórocznie* 90 c. w. a. *Nuty* *rocznie* 1 złr. 25 c., *półrocznie* 65 c., *czwórocznie* 35 c. w. a.

W Krakowie prenumerować można w biurze redakcyi: ul. mikołajska 458, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni Wgo. Czecha. We Lwowie można prenumerować i odbie-

rać w ajencyi Hereoka i Arnolda na Halickiem W Poznaniu w księgarni Mieczysława Leitgebra, Hotel du Nord.

Inseraty (stosownie) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c. następnie po 4 c. Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

MECZENNICA.

(POWIEŚĆ.)

przez

Zofią z pod Karpat.

(Ciąg dalszy.)

Adam się zerwał, kazał okulbaczyć konia i wyjechał w pole. Wszystkie nerwy grały w nim jak struny szarpnięte gwałtownie — bódł konia ostrogą i szalał po polach. Po paru godzinach powrócił. Joanna grała w salonie — poszedł tam.

— Pani musisz być bardzo w mnie zagniewaną — rzekł zbliżając się.

— Ja? A za có? — spytała łagodnie, ale zimno.

— O na Boga, nie udawaj pani dobroci, której mieć nie możesz dla mnie. Ja wiem, że jestem złym, mściwym, dokuczliwym, ja sam sobą się brzydę. Przebacz mi pani, już tego więcej nie będzie; ale bo ja sam nie wiem, co robię, pani jesteś tak...

— Pozwól mi pan odejść — rzekła wstając prędko — i odeszła do swojego pokoju.

Hrabia Adam rzucił nuty na ziemię i wyszedł także do siebie.

Tak było do balu, który miał być dany na imieniny hrabiny. Adam cieszył się na ten bal, miał nadzieję przepędzenia całego wieczoru z Joanną, rozmawiania z nią, tańczenia. Nadszedł ten wieczór — mnóstwo gości zjechało się z okolicy, rozpoczęto tany. Adam nie tańczył, siedział na boku mając oczy wlepione w drzwi,

z ką Joanna wyjść miała. Coś zaszumiło, Adam ruszył się, spojrział. To była Amelka w niebieskiej sukni, z czarnymi loczkami, rumiana, wesola, uśmiechnięta. Postąpił ku niej.

— A gdzież panna Joanna? —

— Píše w swoim pokoju.

— Jakto, nie będzie na balu? —

— Nie.

Drgnął gwałtownie, obrócił się i wyszedł do ogrodu.

Joanna rzeczywiście pisała. W chwili, gdy w salonie bawiono się, tańczono, ona pisała list do matki, była to jej najpiękniejsza zabawa. Rządca hrabiny miał jutro rano wyjechać do Krakowa, spieszyła się więc z ukończeniem pisma. Pisała matce że jest zdrową, wesolą i szczęśliwą; że stara hrabina całkiem się zmieniła w postępowaniu z nią, że jest bardzo łaskawą. W końcu dodała:

„O Anielce wiesz kochana mamu jakie to anielskie dziewczętko. Bez potrzeby więc zastraszałyśmy się na początku — nie trzeba się nigdy uprzedzać do ludzi.“

Kłamała biedna, tém kłamstwem chciała okupić spokój matki — nie miała odwagi dzielić się z nią swoją boleścią, zamknęła ją w sobie. Skończywszy list, włożyła w środek pieniądze i już miała pieczętować, gdy nagle drzwi się otworzyły i wpadł hrabia Adam.

Joanna wyprostowała się i spojrziała mu w oczy z siłą, jaką daje głęboka obraza.

— Pani nie będzie na balu? —

— Nie.

— Dla czego? —

— Dla czego pan przyszedłeś mnie o to pytać? —

— Pani będzie na balu, ja panią zmuszę. Niema nam kto grać.

— Będę grać, jeżeli pani hrabina każe.

— Więc tylko wtedy? A dla mnie, a na moje prośby pani nie pójdzie? —

— Panie hrabio —

— Joanno — rzekł Adam rzewnie, miękko, składając ręce jakby do modlitwy — ja panią proszę na wszystko. — Gdzie pani idziesz? — zawołał nagle, widząc, że Joanna zabiera się do odejścia.

— Zawołać służącą.

— Więc pani stanowczo nie wejdzie do sali? — pytał niby łagodnie, ale pod łagodnymi słowami wrzał gniew dziki.

— Nie.

— Pani musisz — rzekł gwałtownie wybuchnąwszy i porwał ją za rękę — ja panią zmuszę.

Oburzenie zmarszczyło białe czoło Joanny, szarpnęła silnie ręką tak, że hrabia potoczył się ku drzwiom. To go oprzytomniło, hart dziewczyny złamał go, zpokorniał; walka ze słabą kobietą zawstydziła go.

— Daruj mi pani — zapomniałem się.

Joanna patrzyła na niego z pogardą, z góry.

— Rozkazuj mi pani, będę posłuszny.

Wskazała mu drzwi.

— Wyjdź pan natychmiast.

— Odechodzę... i także mi pani dziękujesz? —

— Dziękuję panu, że nie chcesz być podłym — powiedziała gorzko.

— Ha — masz słusność — rzekł ze wstydem i wybiegł z pokoju.

Po jego odejściu siła opuściła dziewczynę, chwilowe wysilenie zmęczyło ją, upadła w krzesło i poczęła rzewnie płakać.

III.

Książka do nabożeństwa.

Dzień zimowy miał się już ku schyłkowi, na zachodzie niebo poczerwieniało. Na tle tego zakrwawionego nieba, czerniła się męka Pańska, stojąca przy drodze wśród szerokich równin; koło krzyża jeżyły się krzaki głogowe, z których czarne wrony strząsały śnieg. Już dobrze zmierzchno, kiedy przez zasypane śniegami zbliżyły się ku krzyżowi sanie: zgrzane konie z trudnością szły w wysokim śniegu pomimo zachęty woźnicy. Obok woźnicy na kozle siedział młody hrabia, w saniach były trzy panie otulone od zimna. Młody hrabia często oglądał się na nie. Nagle konie szarpnęły mocno saniami i skoczyły w bok — kobiety krzyknęły.

— To wilk panie — szepnął woźnica.

— Daj mi lejce, ty zatnij konie.

Sanie ruszyły szybko, postraszone konie ledwie dotykały ziemi.

— Co się stało Adamie? — spytała hrabina z pod futra.

— Konie się złąkły wron na krzyżu — rzekł Adam głośno, a woźnicy spytał po cichu: wielu ich jest? —

— Jeden, panie. —

— A od lasu nie widać więcej?

— Nie panie.

— To nie ma obawy. Miej się tylko na baczności. Rzeczywiście nie było niebezpieczeństwa, wilk nie miał odwagi rzucić się na tych ludzi, obrócił się w stronę wsi i przepadł w ciemnościach. Nie zadługo zabielił się dwór; konie w pędzie zajechały przed ganek. Hrabia zeszkoczył z kozła i podawał rękę wysiadającym damom. Kiedy Joanna miała wysiadać, zatrzymała się chwilę w saniach i obejrzała się.

— Czego panienka szuka? — spytał woźnica.

— Ach mój Boże moja książka do nabożeństwa, musiała wylecieć pod krzyżem.

— I cóż wielkiego książka — rzekła hrabina. —

— Jedyna pamiątka po ojcu — rzekła półgłosem smutna guwernantka, westchnęła i wyszła z saní.

Za godzinę we dworze było już cicho i ciemno; tylko stróż nocny czuwał z psami przy bramie. Było już po północy, kiedy boczne drzwi się otwarły, ktoś wyszedł przez nie i poszedł w stronę folwarku, zapukał w jedno okno i schował się w cień.

— Kto tam? —

— Maciej wychodź — odezwał się głos silny mężki.

Po chwili wyszedł służący zaspany, odziany górnicą, obejrzał się w koło.

— Tu do mnie Maciej.

— Chryste Jezu, a dyć to jasny pan.

— Cicho! Weź latarnię i łopatę.

Maciś półwaryjat cel pośmiewiska ludzi, cofnął się i przeżegnał:

— Hi, hi czy to panicz będzie jakiego nieboszczyka grzebał?

— Spiesz się.

Maciś poszedł i za chwilę wrócił.

— A gdzie panie pójdziemy? spytał dzwoniąc zębami.

— Do krzyża.

— Hi, hi, a toć to będzie dziw stróżowi, jak mu w oczy latarnią zaświecę i powiem: widzisz, nie tylko głupi Maciś po nocy łązi.

— Prawda, tam stróż, chodź przez płot.

Przeskoczyli parkan i zniknęli w ciemności.

Nad ranem psy zaszczekały głośno i rzuciły się w stronę parkanu — ale nagle ucichły. Przez parkan przelazł hrabia i Maciś cały skostniały od zimna i strachu.

— Idź spać, a nie piśnij przed nikim o tém, żeś gdzie chodził — rozumiesz? rzekł hrabia i sam udał się ku dworowi, wszedł cicho do sali, coś wsunął w for-

tepian i poszedł do siebie. Był znużony i zziębnięty — rozbierając się, dobył z zapasa pistolet i położył go na biurku. Pistolet był wystrzelony na wilka.

Na drugi dzień Joanna jak zwykle po śniadaniu poszła do fortepianu przegrywać ćwiczenia. Jakże się zdziwiła, gdy otwierając go, znalazła na klawiszach zgubioną książkę, była jeszcze mokrą od śniegu. Otworzyła ją i ucałowała z radością i łzami, potem się zamyśliła mocno i zastanowiła: kto znalazł tę książkę? Mówiła wczoraj o niej woźnicy, ale woźnica nie kładłby jej w fortepianie. Któż więc taki? Nikt inny nie słyszał oprócz hrabiego Adama — a może też on... Zarumieniła się tym domysłem. Boże; jakież on teraz dobry od jakiegoś czasu, jak inny. Radaby go była w tej chwili widzieć, podziękować mu.

Usłyszała kroki — zebrała całą siłę duszy, chciała zapanować nad wzruszeniem. Drzwi się otwały — wszedł... to nie był Adam, to był rządcą wracający z Krakowa.

— Od matki list — zawołała ucieszona, pobiegła ku niemu i wyrwała mu list z rąk.

— Widziałeś się pan z nią?

— Byłem kilka razy u niej.

— Dziękuję panu, bardzo dziękuję.

— O nie ma za co, proszę pani — to mówiąc, pocałował ją w rękę. Joanna cofnęła się, jakieś niemile uczucie przeszło ją w tej chwili. W ogorzałej twarzy rządcy wyczytała coś nieprzyjemnego dla siebie i odeszła pospiesznie.

Z bijącym sercem wróciła do swego pokoiku, ucałowała list, potem go rozpieczętowała i czytała z zajęciem. Nagle rozpromieniona twarz poczęła blednąć, wyraz radości przemienił się w okropną boleść. Przeczytawszy list, zmieła go kurezowo w rękach i poczęła płakać, płacz coraz bardziej zrywał piersi, aż się zmienił w konwulsyjne drganie. W takim stanie zastała ją Amelka wchodząca do pokoju. Wybiegła z krzykiem wołać o pomoc.

— Co się stało? — spytał Adam niespokojnie siostry.

— Panna Joanna zachorowała.

Adam polecił w stronę jej pokoju — u drzwi zatrzymał się, balowa scena stanęła mu przed oczami i cofnął się. Zawołał na pokojową a sam kazał copędzić zaprzęgać i wyjechał po doktora.

Właśnie hrabina weszła do pokoju guwernantki do wiedzieć się o przyczynie tego zamieszania, gdy wszedł doktor.

— A konsyliarz tu żkąd?

— Pan Adam mnie przywiózł.

— On? ruszyła ramionami i wyszła.

Chora wracając do przytomności, słyszała ostatnie słowa i jakieś dziwne, rzewne uczucie roztkliwiło ją. Położono ją na sofie — była mocno osłabioną, w zaciśniętych palcach trzymała list od matki.

Zobaczmy co było w tym liście. Był w tych słowach:

„Kochana Joasiu!

„Nie jesteś szczerą dla twojej matki, piszesz mi, że jesteś wesolą i szczęśliwą, a tak nie jest. Choćby mi nikt o tym nie mówił, domyśliłabym się tego, bo serce matki oszukać się nie da i przeczuć prawdę umie. Ty cierpisz moje drogie dziecię, cierpisz dla nas. Oddawca twego listu opowiadał mi wiele o tym domu, ty tam dłużej zostać nie możesz, oni by cię zamęczyli. Takie jest moje zdanie, tak i on sądził. To człowiek prosty, bez wykształcenia, ale ma serce, to też polubiłam go bardzo. Mówił mi wiele o tobie, z jego mowy domyśliłam się, że ten człowiek prawdziwie cię kocha, ale nie śmiał ci o tym mówić, nie zyskawszy wprzód mego zezwolenia; domyśla się tylko z twego z nim obejścia, że ci wstrętnym nie jest. Czy to prawda Joasiu? Boże, gdyby tak było, jakże nazywałabym się szczęśliwą. Ta myśl, że dziecko moje nie będzie się poniewierać między ludźmi obcymi i złymi, że los twój będzie spoczywał w ręku człowieka kochającego cię szczerze, odmłodziłaby mnie. Ignacy mi mówił, że porzuci służbę i od ś. Jana bierze dzierzawę na siebie — w taki sposób niezadługo byłibyśmy razem. Pojmujesz moje drogie dziecię — na zawsze razem. Nie narzucam ci jednak mojego zdania, nie radzę iść wbrew skłonnościom serca. Namyśl się i odpisz mi“ — Twoja matka.

IV.

Ofiara serca.

Dla czego Joanna zapłakała nad listem matki?

Słowa matki jak błyskawica przeleciały nad ciemną przepaścią jej duszy i zobaczyła w sobie uczucie, które dotąd nie miało słów ani myśli. To uczucie dziś pierwszy raz pomyślało imię: Adam. Strach i żal zatrzęsął jej piersią i wywołał spazmatyczne łkanie. Wśród tylu przykrości, jakich młoda jej dusza doznawała, miała jedną osłodę: marzenia, rojenia piękne. To tajemnica młodości, to czar rozwijającej się duszy, czar, który nawet grobowe sklepienia ubiera w tęcze i kwiaty, nie- szczęścia w białe stroi zasłony i na niebezpieczeństwa rzuca mosty wiary. Któż nie miał w życiu takiej chwili? I nie są to marzenia o czemś, o kimś, ale jakaś suma przeczuć, nadziei bez słów, bez twarzy — i człowiek wierzy w to wszystko, czego się spodziewa za tajemniczą zasłoną przyszłości. — W takiej epoce była dusza Joanny — marzenia trzymały ją jak skrzydła w górze nad ziemią i błotem — nieraz miała dla ducha takie wyżyny, na których ją nie dotykały kolce ziemi i szyderstwa ludzkie. Dziś słowa matki rozwiały przed nią ten cały kraj młodej wyobraźni, kazywały wrócić na ziemię i to jeszcze do człowieka, którego mało знаła, do którego nie czuła żadnej sympatii.

Teraz dopiero przypomniała sobie, jak nieraz podczas spaceru lub przy spotkaniu rządcą rozpoczynał z nią rozmowę. Słuchała go cierpliwie jak człowieka, do którego się nie ma wstrętu. Ten spokój on wzięł za przychylność. I z tym człowiekiem ma iść razem całe życie? To okropnie — wzdrygnęła się na tę myśl i chciała odpisać matce „nigdy“. Wzięła jej list w rękę i zabierała się do odpisu. Ale tam w liście matki stało dalej: „Pojmujesz drogie moje dziecię, będziemy nawsze razem“ — i omdlała jej ręka wypuściła pióro. Być razem — to było słowo jej duszy i miałabym dobrowolnie wyrzec się tego szczęścia, zniszczyć nadzieje matki? Niepodobna. Wzięła więc znowu pióro do ręki i chciała napisać „dobrze“. Wzrok jej zatrzymał się na książce od nabożeństwa, to skierowało jej myśl w inną stronę. W głębi tych myśli stał Adam milczący a mówiący do niej tyle bladeścią twarzy, modlitwą oczów. On teraz inny jak dawniej i taki łagodny a rzewny. Dziewczę zasłoniło oczy, główką uderzyło o ścianę z rozpaczy i załamało ręce.

Nie było to uprzedzenie Joanny, że hrabia Adam się zmienił. Od owej sceny balowej zmienił się do niepoznania; słowo o podłości, jakie w chwili oburzenia wyleciało z ust dziewczyny, było nowym chrztem jego duszy, rozszalałe namiętności jego uciębły jak morze pod stopą Chrystusa i stał się innym człowiekiem. Miłość jego nie szalała, nie rzucała się, nie rozpaczała, ale była cicha, piękna, szlachetna. Pragnął odgadnąć każdą myśl Joanny, przeczuć jej chęci — wszędzie spotykała ślady jego przywiązania, ale nigdzie jej się nie narzucał. Ona widziała to wszystko, mogła nawet domyślać się pod czym wpływem tak zmienił się ten człowiek i dla tego płakała nad listem matki.

Ale nie sama Joanna spostrzegła zmianę w postępowaniu Adama, dostrzegła to i hrabina. Z początku brała to za chwilowy kaprys syna, wybryk młodości; późniejsze symptomy zatrwodziły ją. Od chwili, gdy Adam tak szybko sprowadził doktora do chorej Joanny, poczęła go bardziej uważać i przyszła do tego przekonania, że chłopiec dał się za nadto obalamucić, że w wieku, w jakim on był, człowiek jest zdolny zrobić głupstwo tj. rozkochać się na prawdę — postanowiła więc położyć temu koniec. Nie długo czekała na sposobność.

Raz podczas większego zebrania u hrabiny, hrabia Adam nie pokazał się wcale w salonie. Joanny nie było także. Ona siedziała przy ślepym starcu i bawiła go czytaniem.

— Przestań już moja panno, zmęczyłaś się — rzekł stary.

— Wcale nie jestem zmęczona, może pan hrabia każe...

— Nie, nie, lepiej mówmy, bo widzisz mówimy zwykle o tém co chcemy, co lubimy — a książki często mówią nam straszne rzeczy, przypominają nam grzechy

stare i zapomniane pamiątki. Ale gdzie Amelka?

— W salonie przy gościach.

— Więc się bawia? A ty czemu się nie bawisz — może pójdziesz?

— O nie panie hrabio, ja nie lubię zabaw.

— Tak jak twój ojciec.

— Pan hrabia znał mego ojca? —

Hrabia skrzywił twarz okropnie —

— Nie mówmy o tém.

Po chwili spytał:

— Dobrze ci tutaj u nas?

— Bardzo dobrze. —

— No to chwala Bogu, ja bym chciał, żebyś się tu czuła jak u siebie. Ot gadam dziś za wiele. Czytaj mi lepiej. —

Joanna podniosła książkę i czytała dalej. Młody hrabia siedział w swoim pokoju zamyślony i przez uchylone drzwi słuchał jej głosu i marzył rozkosznie. —

Wtem otwarły się drzwi, weszła hrabina.

— A to co znowu? Sam jeden tutaj, kiedy mamy gości?

— Nie jestem dziś usposobiony.

— Nie od dziś tak. Ja wiem powód tego nieusposobienia.

Adam się zerwał z kanapy.

— Na Boga matko ciszej — prosił wskazując na drzwi uchylone.

— Przed kim cicho, przed nią? Przed lada włóczęgą, która jutro może już być Bóg wie jak daleko od mego domu?

Adamowi krew uderzyła do głowy.

— Matko szanuj tę kobietę, nie poniewieraj tak słowami twój synowej.

— Co? — hrabina rozśmiała się głośno, szydęczo.

Hrabia zamknął drzwi prowadząc do pokoju ojca, potem wrócił do matki i rzekł z siłą:

— Matko to nie dziecinne zachęcenie, to wola mężczyzny, ty mnie znasz, że nie umiem się cofać.

— Zobaczymy, jutro ją wypędzę.

— Aby ją potem przyjąć ze mną.

Hrabina dygotała z gniewu.

— Przekleństwo matki zagrozi ci drogę do ołtarza.

— A jeżeli ja i ten próg przekroczę — to co wtedy matko? rzekł Adam siłąc się na spokój.

— Ha, wyrodne dziecko — jęknęła hrabina.

— Byłbym niem, gdybym się targnął na miłość matczyńską, ale ja występuję tylko przeciw dumie, która nie chce zrobić żadnego ustępstwa — nawet dla mego szczęścia. O, gdybyś ty znała tę kobietę.

Hrabina nie słyszała już tych słów, wyszła zatrzasnąwszy drzwi za sobą. Wróciła do gości zmieniona, drżąca; wnet jednak zapanowała nad sobą, bawiła gości, rozmawiała, zapraszała. Niktby nie poznał co tam wrzało pod tą marmurową twarzą. Hrabina niespodzie-

wala się tego, zdawało jej się, że samo jej wspomnienie o tej niedorzecznej miłości zawstydzi syna — tymczasem trafiła na opór, który obraził jej powagę matczyną. Na tej drodze nie widziała wyjścia, знаła gwałtowność syna, była przekonana, że na wszystko odważyć się gotów. Trzeba było więc uderzyć z innej strony — nie zwlekała długo. Ledwie się goście rozjechali, kazała zawołać Joannę. Guwernantka zabierała się już do spania, zdziwiło ją to niezwykajne wezwanie, zebrała się więc i poszła nie bez wzruszenia i obawy. Hrabina wchodzącej przypatrywała się długo, ironicznie, nie mówiąc ani słowa.

Joannę męczyło już to milczenie.

— Co pani hrabina ma mi do rozkazania? — spytała z pokorą.

— Ja? pannie? rozkazywać? — Gdzieżbym śmiała. Nie długo ty mi rozkazywać będziesz, może mnie i wypędzicie ztąd?

— Nierozumiem pani hrabiny.

Ten spokój zniecierpliwiał hrabinę.

— O rozumiesz mnie ty intrygantko — zastawiłaś sidła na bogatego ptaka i myślałaś że ci się uda. Póki ja żywa, nic z tego.

— Ależ pani hrabino, ja nie nie rozumiem.

— Nie? Więc powiem jasno. Jak daleko zaszła twoja znajomość z moim synem?

Rumieniec oburzenia oblał bladą twarz guwernantki, hrabina inaczej sobie to wytłomaczyła i mówiła dalej:

— Więc dla tego wzięłam cię w dom, abyś zburzyła spokój i szczęście jego? Niegodziwa.

— Pani hrabino, boleść matki tylko tłomaczy tę obelgę. Kto powiedział pani hrabinie, że ja kocham jej syna? — rzekła z godnością.

Hrabina spojrzała jej w oczy i zawahała się, tyle prawdy i spokoju było w głosie i w oczach, że trudno było nie uwierzyć. Winna takby się nie odezwała.

— Więc go nie kochasz?

Joanna chwilę pasowała się z sobą, potem rzekła z siłą:

— Nie.

Hrabina odetchnęła, przeszła się po pokoju — potem wróciła przed Joannę i zapytała nagle:

— Ale jeżeli on cię kocha i zechce poślubić? —

— On tego nie zrobi.

— Dla czego?

— Bez błogosławieństwa swęj matki?

— A jeżeliby i to zdeptał, co wtedy? — pytała rozgorączkowana matka. —

— Wtedy... wtedy...

— Zgodzisz się na wszystko? spytała hrabina drwiąc.

— Nigdy. Ja znajdę sposób, ale nie dziś, nie teraz pani hrabino, miej litość nademną, mnie się mięsza w głowie, słabo mi...

Hrabina zadzwoniła na pokojową.

— Odprowadź pannę do jej pokoju i czuwaj nad nią, bo słaba. Gdyby się pogorszyło, posłać po doktora. Dobranoc moje dziecię, bądź odważna.

(Dokończenie w następnym numerze.)

Smutek Dziewicy.

Czemu ty smutna, czemu twój źrenicy
Wieczna łza smutku zasępią wejrzenie?
Na ustach korny pacierz zakonnicy,
Która li Bogu zwierza swe marzenie.

Czemu gdy grono dziewic cię otoczy
I mówią o swych kochanków stałości,
Ty jedna spuszczasz skromnie na dół oczy,
Jak gdybyś w życiu nie znała miłości?

Czemu gdy śpiewasz, na prośby słuchaczy
Głos twój na *mol* ton rzewnie nastrojony,
Podobny skargą do liry żebraczęj,
Co żebrze łaski, litości, ochrony?

Czemu ty zawždy czarne nosisz stroje,
Pod szyją krwawym koralem upięte?
Czyż tak zbolale biedne serce twoje,
Że świat i ludzie są mu obojętne?

Czemu, gdy Sybir wspomni kto przy tobie
Drżąca, zmieszana wychodzisz z salonu
Błada jak posąg boleści na grobie —
Czy ty już taką będziesz aż do zgonu? —

Iwanie, w grudniu 1866 r.

Józef Sokółowski.

Manon Phlippon Roland.

(Życiorys.)

(Ciąg dalszy.)

IV.

Każda zdrowa nieskrzywiona natura, każda dusza pięknie rozwinięta, nie może się zamknąć w skorupie jednej wyłącznej myśli; jednostronność zadowolnić jej nie może. Każde drgnienie myśli i serca ma swoje prawa, których krzywdzić nie można, bo ucierpi na tém szczęście wewnętrzne lub charakter. Mogą przeważać pewne widoki, pewne zasady; każdy człowiek, jeżeli jego życie ma być coś warte, musi mieć swój cel i obrać swoje drogi; jednak po za tém nie powinien zamykać przystępu do siebie innym wrażeniom, innym uczuciom, które są odpowiednie towarzyskiemu usposobieniu człowieka. Są one owszem wewnętrzną potrzebą, po-

żywiółem niezbędnym do utrzymania harmonii duchowej. Piękna jest pewność siebie, piękne jest owo szlachetne zimno, ostrożność w życiu, równa odwadze życia; ale prawdziwy charakter nie wyklina pokus, bo się ich nie boi — nie waha się zajrzeć i w przepaście, bo czuje u ramion skrzydła, które go ku słońcu każdej chwili wynieść mogą.

Poznaliśmy enoty i republikański charakter p. *Roland*, poznaliśmy zarazem, że nigdy nie przestała być kobietą. Rozważmy teraz trudność sytuacji. Kobieta piękna, młoda, żywa jest żoną zacnego ale starego, znękanego człowieka; naokoło niej tłumy najrozmaitszych ludzi, młodych, rzutnych, znakomitości swojego czasu. Patrzą w nią jak w tęczę i krążą koło niej jak planety koło słońca; słowem jest to wiadomą rzeczą, że ktośkolwiek do niej się zbliżył, przypłacił to spokojem bodaj na jakiś czas: a można wyliczyć cały tuzin takich, którzy się w niej aż do końca życia kochali. I czyliż to podobna, żeby i u niej, która prawa serca tak wczesnie skrępowała i przytłumiła obowiązkiem i pracą, żeby i u niej nareszcie ta strona nie zagrała jako współczujące echo tej serdecznej muzyki naokoło niej? Byłoby to przeciwne ludzkiej naturze, byłby to przymus, którego ona nie zniosła.

Pomimo wskazówek, jakie podają listy i pamiętniki, jest jednak nadzwyczaj trudno zrobić sobie jasny obraz jej stosunków sercowych. O ile charakter jej jest przejrzysty, o tyle przeciwnie usposobienie jej, jej dusza kobieca jest na wskrós zagadkową, mieniącą się wszystkimi barwami. Toż mówi sama o sobie w jednym miejscu: „Przedwczoraj umierałam, wczoraj byłam znudzona, dzisiaj mam się doskonale, jestem wesołą jak ptaszek i rozbudzoną... Jeżeliby mnie kto spytał, dla czego? — alboż ja wiem, ot tak sobie i koniec“.

Trzeba nam zatem rzec się docieczenia wszystkich pobudek i wrażeń, które ją opanować mogły; przyjrzymy się tylko w jakim stosunku były jej serdeczne drgnięcia do moralnej wartości jej charakteru.

Kiedy jeszcze mieszkali na prowincyi, już w ich domu ugrupowało się gronko zaufanych przyjaciół. Ich usposobienie łagodne, wrażliwe, poważna ale pełna zapału dobroć pana *Roland*, ich wspólne umiłowanie wszystkiego co było dobre i piękne, ich przywiązanie do tej kobiety, która im była wzorem doskonałości, wszystko to składało razem pełną, zgodną harmonią. Tak im było dobrze w tym gronku, że powzięli zamiar wspólnem kosztem zakupić majątność, w którejby wечно razem, niby jakaś arkadyjska kolonija mieszkać mogli. Pan *Roland* z całą ufnością i wiarą w przyjaźń i enotę popierał tę myśl, i ta okoliczność daje nam wysokie pojęcie o nim i jego przyjaciółkach. „Przybywajcie zawrzeć ten związek, będzie to urok naszego życia, będziemy tworzyć jedną rodzinę, ożywioną tym życzeniem, żeby być pożytecznymi dla innych“

Ale było to niepodobieństwem. Ci wszyscy przyjaciele mimowoli i bez nadziei wprawdzie — byli jednak zakochani w p. *Roland*. A ona — i ona kochała jednego z nich. Mąż wyjechał do Lionu, z tamąd odesłał jej list owego wybranego, zajmujący się sprawą owęj kolonii. Ona była na wsi sama jedna. Po parnym gorącym powstała ślota i trwała już kilka dni; grzmoty i pioruny nie ustawały; na niebie była burza i na ziemi burza; w jej sercu burza namiętności, a tam na świecie burza rewolucyi. Wszystko wróżyło wielkie niespokojne, powódz wypadków mogących porwać i złamać serce.

Ona czytała ów list i zanosila się od płaczu; począła wreszcie odpisywać, przyznaje się, że jest zaniepokojona, nie tai, że płacze, ale w końcu powiada: „Nie, nie wierzę w szczęście pana i nie przebaczę sobie nigdy tego, że je zaniepokoiła. Mam sobie jednak za obowiązek, wyznać Panu, że szczęście swoje przywiązujeś do środków i widoków, które ja mam za fałszywe, do nadziei, której ja panu zakazuję“. Stosunek ten przerwał się — nie ustała jednak wymiana listów; a kiedy po jakimś czasie dowiedziała się o nowęj miłości owego człowieka, w której na wielkie napotykała przeszkody, ona wtedy z szlachetnym poświęceniem, ofiaruje mu swoje delikatne rady, swoje pośrednictwo.

Lecz nie w tym wypadku należy szukać istotnego uczucia, któregoby się obawiać mogła. Stało się to dopiero w Paryżu. Spostrzegłszy niebezpieczeństwo, jakie grozi jej sercu, uciekła ona na jakiś czas na wieś, aby rozważyć w samotności, i myślami, jakich jej obficie dostarczał wykształcony umysł i surowe zasady „ocalić atletycznym wysiłkiem, jak sama mówi, wiek dojrzałszy przed burzą namiętności“. Ale któż to był ten człowiek, który potrafił pozyskać uczucie takiej kobiety? Różni różnych podają — ale ostatecznie nikt nie wie. I oto jest druga owa tajemnica, o której wyżej była mowa, tajemnica majestatyczna, jakby umyślnie na to, żeby pamięć tej kobiety nieskazitelną pozostała.

Mali i zazdrośni ludzie usiłowali koniecznie wynaleść w jej życiu plamy; i utrzymywali, że pod koniec dramatu, w chwili jej najwyższego wyniesienia, wpośród zawieruchy i niebezpieczeństw rewolucyjnych, ona miała czas i odwagę słuchać galanteryi i pozwolić się kochać. Lecz cóż, kiedy żaden z oszczerców nie jest w stanie wymienić jej nazwiska!

W istocie jednak w podobnym położeniu nie mogło się obejść bez zawiści, obmowy i złości. Ona sama nawet w prostocie swojej i szczeroci nieraz powody i pozory do tego dawała. Nie było jej tajemem ile serce naokoło niej zginało przed nią kolana. Ona cenila własne uczucia, więc cenila je i u drugich, i nie mogła odpychać ich zbytnią stoicznością. Zresztą powiedzmy otwarcie, *Manon* była kobietą, więc nie mogło jej to nie poehlebiać że była słońcem dla wielu: kobieca miłość własna także tam coś znaczyła, i chodziło jej o to

żeby zastęp garnący się do niej, utrzymać pod panowaniem swoim, i żeby się ciągle zwiększał wpływ jej. Lubi ona zespałać przyjaźń z wzruszeniami publicznymi, które ogarniały i unosiły jej duszę. „Jest to — mówi ona — dodawać do wielkiego interesu wspaniałej historii, interes wzruszający szczegółowego uczucia, jest to z patryjotyzmem, który uogólnia, podnosi uczucia; jednoczyć wdzięk przyjaźni, który je wszystkie upięknia i jeszcze udoskonala“. Nikt z otoczenia jej nie mógł się posunąć do jakiegóż nadziei — jednak nie odstąpili jej; bo wzbudzała miłość, nie jak kobieta, ale jakby uosobistniona szlachetność i prawda.

Nie jeden z tych ludzi uległ czarowi, nie zatrzymał się na przyjaźni. Ona to czuje, widzi, nie lęka się tego, i ta młoda matrona rzymska trzyma w swojej delikatnej ale pewnej ręce wszystkie nici tych tajemniczych uczuć, które sama jedna zna, które obudza, którymi kieruje, które dowolnie gasi lub ożywia powabami swymi. Zrobiła ona sobie niebezpieczny ideał, gdy marzyła o tym „żeby być szczęściem jednego, a węzłem łączącym wielu“. I gdyby szło o inną kobietę, możnaby powiedzieć: że ją tylko rewolucyjna, rzeczpospolita, walka, śmierć, ocaliła przed nią samą, przed następstwami niebezpiecznej gry. Tutaj jednak nie zachodzi ten wypadek. Pan *Roland* znał ją dobrze, wierzył jej, nie obawiał się — i wiemy, że się nie zawiódł. Ale też kiedy widział tortury i niebezpieczeństwa jakie jej groziły, umiał być wyrozumiałym na naturalną kolej rzeczy; bolał razem z nią, ale był spokojny, słusznie licząc na to, że cnota, czas i potęga jego przywiązania ukoją burzę i powrócą szczęście zamęczone na chwilę.

(Dokończenie w nast. numerze.)

KORESPONDENCYJE.

(w Grudniu 1866.)

Numer 6ty i 7my „Kaliny“ zawierały sprawozdania o naradach kobiet w Lipsku i o kongresie dla nauk społecznych w Manchester; może więc i niektóre wiadomości o organizacyi i czynnościach stowarzyszenia do wspierania pracy kobiecej, zawiązanego w Berlinie, będą chętnie przyjęte od czytelniczek „Kaliny“.

Do stowarzyszenia tego może przystąpić każda dorosła osoba, tak kobieta jak i mężczyzna, jeżeli zobowiąże się płacić rocznie najmniej 1go talara, albo da jednorazową wkładkę w sumie 10 talarów. Na powszechnem zgromadzeniu stowarzyszenia wybrano wydział zawiadujący, i komitet przewodniczący, któremu powierzony jest główny zarząd wszystkich spraw stowarzyszenia.

Do wewnętrznego zawiadywania różnych gałęzi czynności stowarzyszenia, są ustanowione komitety, składające się z mężczyzn i kobiet, jest ich cztery.

1. Komitet naukowy, ma się zajmować zakładaniem i wspieraniem instytucyj naukowych, kształcących kobiety do przemysłowego lub komercyjnego zawodu; owocem zabiegów tego komitetu jest otworzona w Kwietniu b. r. przez profesora Clément handlowo-przemysłowa szkoła dla kobiet; komitetowi naukowemu zastrze-

żono wpływ doradcy przy układaniu planu naukowego dla téżże szkoły; ma on być także przytomnym przy egzaminach wstępnych i występujących uczennic, i może rozstrzygać o bezpłatnem przyjęciu biednych dziewcząt do instytutu naukowego profesora Clément.

2. Komitet do urządzania sklepów i wystawy dla ręcznych wyrobów kobiecych np. szycia, haftów itp. Wiadomem jest powszechnie jak niską płacę otrzymują kobiety za mozolne i kunsztowne nieraz roboty, podczas gdy publiczność po sklepach i magazynach mógł drogo je opłacać musi, zadaniem więc komitetu jest wprowadzenie w bezpośrednią styczność pracujących kobiet z publicznością, co tak pierwszym jak i drugiem korzyść przyniesie; komitet ten otworzył w Maju br. tak zwany „Viktoria-Bazar“ w którym bywają wystawiane i sprzedawane różne wyroby ręczne kobiece.

3. Komitet do następczenia samoistnie utrzymującym się kobietom stosownego wikt i pomieszkania; działanie tego komitetu będzie nader dobroczynne, bo ochroni kobiety od upośledzenia tak w ekonomicznym jako też i moralnym względzie.

4. Komitet do wyszukiwania zatrudnienia kobietom w zawodzie przemysłowym, i do pośredniczenia między dającymi umieszczenia i szukającymi go, dzieli się na 3 komitety specjalne:

- Komitet statystyczny*, którego zadaniem będzie systematyczne zestawienie różnych zatrudnień i zakładów naukowych kobiecych, jakie w kraju i za granicą istnieją i których skuteczność doświadczone.
- Komitet specjalny* ma zajmować się przemysłowem wykształceniem kobiet i podawaniem im sposobności do osiągnięcia go. Komitet ten umieścił już po drukarniach znaczną liczbę młodych dziewcząt jako zecerki *).
- Komitet do następczenia pracy* kobietom i bezpłatnego pośredniczenia w wynalezieniu umieszczenia, w tym celu urządził komitet biuro wywiadowcze, prowadzone przez kobietę, biuro to przyjmuje wszelkie prośby o umieszczenie i wedle możliwości czyni im zadosyć.

Oto są główne zarysy organizacyi i czynności berlińskiego stowarzyszenia do wspierania pracy kobiecej.

Około 400 osób różnego stanu i z różnych okolic kraju przystąpiło już do tego stowarzyszenia, wspierając go nie tylko pieniężnymi datkami, ale i osobistą pracą.

Nad zbawiennymi skutkami podobnego stowarzyszenia nie będę się rozpisywać, aż nadto wymownie przemawia ono samo za sobą.

Ale teraz zwracam się do tych pań czyżby nie udało się połączonym ich usiłowaniom zawiązać u nas podobne stowarzyszenie? Wiem, że redakcja „Kaliny“ otworzyłaby chętnie szpalty swoje różnym wezwaniom, wiadomieniom i sprawozdaniom takiego stowarzyszenia. Gdyby odezwane się moje, znalazło odgłos w sercach mych rodaczek, gdyby rzucone tu myśli za ich staraniem urzeczywistniły się, ilużby to sercom drżącym o jutro spokoju przybyło, ileżby łez gorzkich przemieniło się w łzy radości i wdzięczności, a co najwięcej? ileżby to moralność na tém uzyskała: Podajmyż pomocną dłoń siostrzom naszym, nie żałujmy pracy i mienia, a pozyskamy sobie najdroższy skarb, jaki w życiu nabyć można, bo dożgonną wdzięczność serc przez nas uszczęśliwionych! —

Alma K.

*) W Wirtembergii wstąpiło obecnie 10 kobiet do służby, jako urzędniczki przy kolejach żelaznych. — (Przyp. Red.)

ROZMAITOŚCI.

TEATR. Opera nęcąc do teatru publiczność, zrobiła przysługę dramatomu, bo odtąd i na przedstawieniach dramatów jest zawsze pełno — idzie teraz tylko o to, aby dyrekcja umiała korzystać

z tego zainteresowania się publiczności i nieodstręczała jej zlemi sztukami. A nie tak wiele potrzeba nam już do świetności: trochę więcej kostiumów i przyborów teatralnych, lepszej maszyneryi (która szczególnie w Szekspirowskich dramatach jest konieczną), gwałtem jakiego dobrego artysty do ról salonowych kochanków i pierwszorzędných bohaterów. Dawniej, tj. za dawniej dyrekcji, zadawalaliśmy się w tym względzie miernościami, ale teraz, gdy na pierwszym planie stanęły takie talenta jak p. Rapackiego i p. Modrzejowskiej, mierny kochanek nie wystarcza. Nareszcie potrzeba koniecznie dyrekcji postarać się o dobrego reżysera (powtarzamy to po raz drugi). W obecnej bowiem reżyserii widać brak zdolności i zaniedbanie. Jak można było np. rolę Tubala w „Kupcu Weneckim“ powierzać aktorowi, którego ruchy, mowa są więcej jak komiczne; przez to najpiękniejsza scena straciła na swęj wartości. Również widzimy, że każdy z artystów zastawiony jest samopas, bez żadnych wskazówek i rad, dla tego najmniejszego nie widać postępu u tych nawet, którzy z początku dość obiecywali. — Powtarzamy jeszcze raz, że jedną z pierwszych potrzeb jest potrzeba zdolnego reżysera. — Dla braku miejsca wstrzymujemy się od dalszych uwag. Chcielibyśmy tylko, aby dyrekcja przyjęła je takimi sercem, z jakim je dajemy — idzie nam bowiem tylko o świetność naszej sceny, a spodziewamy się, że i dyrekcja tego samego sobie życzy.

Zakończamy nasze uwagi krótkim sprawozdaniem. Nie podajemy treści „Kupca Weneckiego“ jako ogólnie znanęj. Dla uciechy pospółstwa, jak powiada Heine, Szekspir rzucił na scenę zniestanowioną postać żyda, ale geniusz jego stworzył z niej arcydzieło. To prawie jedyna wykończona figura w tej komedyi, około niej ruszają się inne, z których połowa jest niepotrzebna. Treść komedyi złożona z powiastek i anegdot krążących wtedy między pospółstwem, wyraźnie pokazuje dla kogo była pisana. Mimo to z zajęciem widzieliśmy tę sztukę choćby dla samej gry pana Rapackiego, która publiczność krakowską z natury dość flegmatyczną w entuzjazm wprowadziła.

O dramacie: „Studenti paryscy“ granym na dochód p. Eker, trudno coś powiedzieć. Całość (jeżeli to całością nazwać można) składa się z osób, które się przez 5 aktów śmieją, i takich, które przez całe pięć aktów płaczą, łamią ręce i mierzwią włosy. Pierwszy akt okropny papla wypowiada wszystko, dalsze cztery są nudnym rozwodzeniem tegoż. Ustęp moralne są arey-nudne, a niemoralne wcale bez dowcipu. Przez całe pięć aktów biedna dziewczyna szuka dla matki umierającej z głodu kawałka chleba czy bułki i znaleźć go nie może, widzimy ją przy stole pełnym indyków, tortów, pomarańcz, niktby jej nie bronil wziąć co z tego, bo współbiedni to jej koleżanki i przyjaciółki. To też każdy rusza ramionami, gdy widzi ją topiącą się dla tego kawałka chleba — a potem szukającą hańby. — Dwie panny się topią, dwóch młodych je ratuje; — oprócz tego wchodzi na scenę zdrada, spadkobierstwo przekleństwa i zemsty i Bóg wie co — a cała sztuka usilnie stara się o to, by słuchacza skłonić do ziewania. I rzeczywiście powodzenie w tym względzie było zupełne. Tylko podczas drugiego aktu publiczność jedną sceną nieco się ożywiła. Ma być bal studentów i gryztek; siostra jednego z tych studentów chce ukryta przypatrywać się tej uczcie, ale odwodzi ją od tego oberzysta, mówiąc: niech panią ztąd ucieka, bo tu ci panowie będą dokazywać takie rzeczy... takie rzeczy... że ja choć stary, bez zgorzenia patrzeć na to nie mogę. — Proszę sobie wystawić położenie wszystkich mam, ciociów i opiekunek po łóżach, które słysząc taką zapowiedź, nie mogły swych córek i kuzynek wyprowadzić z teatru i z trwogą oczekiwały co to będzie. Szczęściem, że skończyło się tylko na zapowiedzi i gryzетки dość przyzwoicie się znajdowały.

Już niezazwracaliśmy uwagę na lepszy wybór sztuk dla naszej publiczności i pomijanie scen, które tylko dla męskiego kółka

są żośne. Posądzono nas wtedy o przesadną pruderyją; pokazuje się jednak, że ona nie była zbyt zbyteczną i że od czasu do czasu pojawiają się na scenie sztuki, przed którymi będziemy musieli ostrzeżać nasze panie.

— **Powszechna międzynarodowa wystawa w Paryżu, w r. 1867.** Mieć zgromadzone w jednym miejscu płody, wynalazki, domy, sprzęty, ubiory, sztuki, wszystko co tylko mają najlepsze cywilizowane narody ziemi — to zaprawdę widok i rozkosz, które się stały możliwe dla ludzi dopiero w wieku, w którym tysiące mil powiązane zostały ze sobą kolejami żelaznymi, w którym po morzach kołyszają się olbrzymie ruchome pałace. Już same przygotowania do tej wystawy obudzają wielkie zajęcie. Na Półu Marsowem pracuje bezustannie mrowisko 5000 robotników z murarzy, cieśli, szklarzy, ogrodników, malarzy... Pałac wystawy, niby żelazny cyrk zajmuje w pośrodku esplanady 147,000 metrów kwadratowych. Dach w części pokryty blachą, w części szkłem, spoczywa na tysiącznych lanych słupach. Z niejakiej odległości wydają się jak nieprzebyte las, a w pośród nich krzątania i hałas do ogłuszenia. Prawa i lewa strona przeznaczona na wystawę obrazów. Tam będzie nasz triumf, bo tam sztukę polską przedstawiać będą *Matejko* i *Grotger*. We środku gmachu olbrzymi przyrząd do ochłodzenia powietrza. Po jednej stronie placu spuszczone jest jezioro, na około trawniki, ścieżki, skały, drzewa. W środku jeziora wyspa z kaskadami, na której stać będzie latarnia morska. Z innej strony wzór gotyckiego kościoła z cegieł, w którym będą ułożone wszelkie naczynia, sprzęty, ornamenta używane przy nabożeństwach. Gdzieindziej powiewają już ponad półkłęścym czerwone chorągiewki, jest to miejsce dla Egiptu, dla jego pawilonów i ogrodów żywcem z nad Nilu przeniesionych. Tam znowu budynki dla fotografii i fotoskulptury, a wszędzie trawniki, drzewa, wesołe wzgórze, wśród których nęci oczy przeźroczyście pawilon maurytański. Dalej pawilon cesarski z dziełami sztuki, marmurami, co razem wynosi wartości 1,000,000 fr. — Gmachy wszystkich narodów mają tam swoje miejsca, a około każdego pracują sami krajowi rzemieślnicy. W akwaryjach napełnionych wodą rzeczna i morską są okazy wszelkich ryb. Około akwaryjów morskich grotty odbijające się w olbrzymich zwierciadłach. Pawilon holenderski przyplynie cały gotowy — potrzeba tylko będzie złożyć pojedyncze części. — Jest osobny gmach na wystawę maszyn, które będą w ciągłym utrzymywaniu ruchu, za pomocą 16tu parowych maszyn, osobny dworzec kolei żelaznej, gdzie będą zajeżdżać pociągi z wszystkich stron świata. Jest on cały z drzewa lekki, na wysmukłych słupach, wygląda jak szwajcarski pałacyk o niezliczonych wejściach i wyjściach. A co za liczba restauracyj, garkuchni; niema fantazyi i smakosza, któryby tam nie znalazł, czego chce. Sześć miesięcy będzie trwać ta wystawa, ażeby ją obejrzeć jako tako, trzeba przynajmniej 3 tygodnie; kto ją zobaczy dokładnie, można niemal powiedzieć, że odbył podróż po całej ziemi.

Ale nie wszystkim będzie to możebnym, podawać więc będziemy dla wiadomości czytelniczek naszych w czasie otwarcia wystawy świata sprawozdania pióra jednego ze znakomitych pisarzy — a stałego naszego korespondenta.

Od zarządu sprawunkowego „Kaliny“.

Paniom A. T. w Dob. — i A. G. w Duk. — odpisaliśmy listownie.

W biurze „Kaliny“ i wszystkich jej ajencyjach można nabyć:

„Cechy i Stowarzyszenia“.

przez *Alfreda Szczepańskiego*. — Cena egzemplarza w miejscu 15 cent. — zamiejscowa 18 cent.

Prenumerata na „BIBLIOTEKĘ dla kobiet“

wynosi rocznie 6 zlr. — półrocznie 3 zlr. — ćwierrocznie 1 zlr. 50 c. miesięcznie 50 c. w. a. Jako dodatek można prenumerować w biurze „Kaliny“ i wszystkich jej ajencyjach; — osobno zaś przez księgiarnię Franciszka GRZYBOWSKIEGO w Krakowie, i za pośrednictwem wszystkich księgiarni.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca TADEUSZ WOJCIECHOWSKI.



Wychodzi co sobota o godzinie 9. rano.

Prenumerata miejscowa wynosi: *rocznie* 6 złr., *półrocznie* 3 złr., *czwórocznie* 1 złr. 50 c. w. a. — Z przesyłką pocztową: *rocznie* 7 złr. 20 c., *półrocznie* 3 złr. 60 c., *czwórocznie* 1 złr. 80 c. — *Prenumerata zagraniczna bez mód i bez nut* rocznie 8 złr. 30 c. w. a.
Mody i kroje rocznie 3 złr. 30 c., *pół-*

rocznie 1 złr. 70 c., *czwórocznie* 90 c. w. a.
Nuty rocznie 1 złr. 25 c., *półrocznie* 65 c., *czwórocznie* 35 c. w. a.

W Krakowie prenumerować można w biurze redakcyi: ul. mikołajska 458, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni Wgo. Czecha.
 We Lwowie można prenumerować i odbie-

rać w agencji Hercoka i Arnolda na Haliickiem
 W Poznaniu w księgarni Mieczysława Leitgebra, Hotel du Nord.

Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazową umieszczenie po 7 c. następnie po 4 c. Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

Od Redakcyi „Kaliny“.

Wzrastająca z każdym dniem liczba Prenumeratorów, przekonując nas, że pismo tego rodzaju było pożądanem i potrzebnem, pozwala nam zarazem uwzględniać wymagania Sz. Czytelniczek i zaprowadzać stopniowo ulepszenia i zmiany bez podwyższania prenumeraty.

Od 1go stycznia 1867 będzie wychodzić „KALINA“ na **welinowym papierze**. — Pozostajemy przy programie jakiśmy sobie założyli. Pojedyncze części jego z wolna wprowadzać będziemy, aby pismo nie było jednostronnem. — Zapewniliśmy sobie stałe korespondencyje z Wiednia, Warszawy i Paryża, jak również sprawozdania z powszechnej wystawy paryzkiej. — Będziemy się starali przyozdabiać od czasu do czasu pismo nasze ilustracyjami, zwłaszcza w objaśnieniu artykułów z przyrody. — Szczególną zwróciliśmy baczność, aby **rubrykę mód i krojów** robić coraz praktyczniejszą; podamy w styczniu jeszcze raz szczegółowy opis sposobów zastosowania pomniejszych wzorów, a na odwrotnej stronie arkusza krojów **dokładny szemat redukcyjny**, obejmujący *naturalne rozmiary ciała, począwszy od dzieci, aż do słusznych figur*. Będziemy również podawać **wzory deseni i ubiorków na głowę**.

Czyniąc zadosyć licznym zgłaszanom się, zawarłiśmy stosunki z odpowiedniami zakładami i uwiadamy: że *przyjmujemy do załatwiania* wszelkie sprawunki i komisa damskie, toaletowe, krawieckie, modniarskie, księgarskie itd. Osobno do tego ustanowiony zarząd kobiecy, będzie się starał uiszczać najlepiej i najpункtualniej.

W celu uzupełnienia zadania pisma naszego, w celu zadosyćczynienia na obszerniejsze rozmiary tak umysłowym jak i praktycznym wymaganiom kobiet — co u nas dotąd jeszcze w ramy żadnego wydawnictwa nie wchodziło, ogłaszamy niniejszem jako dodatek przy „KALINIE“:

Wydawnictwo BIBLIOTEKI dla kobiet.

Biblioteka dla kobiet obejmować będzie trzy działy:

- I. Arcydzieła z literatury pięknej — bądź oryginalne, bądź w przekładach.
- II. Rzeczy dotyczące wychowania i całego utrzymania domu, przedstawiane przystępnie i z należyta gruntownością.
- III. Stosowne przedruki z literatury dawniejszej z objaśnieniami.

W przeciągu roku wyjdzie „Biblioteki dla kobiet“ 50 arkuszy druku.

Odnosnie do powyższych trzech działów wchodzi w bieżący program następujące przedmioty: *Podręcznik do dziejów literatury polskiej aż do 19go wieku*, obejmujący treściwe poglądy na epoki a obszerniejszy rozbiór prac, których wartość i znaczenie z czasem nie przemija. — *Przewodnik w literaturze polskiej 19go w.* — *Wypisy polskie*, obejm-

mujące ułożone w historycznym porządku wyimki z celniejszych autorów i autorek polskich — do użytku praktycznego tak w domu jak i po zakładach wychowawczych. — *Lew zakochany*, komedia Fr. Ponsarda. — *Wybór poezyj Heinego*. — Przekład polski jednej z najnowszych, a u nas nieznanych powieści francuzkich. — *Wybór pism pani Sevigné*. — *Wychowanie dziewcząt* podług sławnego dzieła Henryka Martin. — *Dom*, księga praktyczna, obejmująca następujące rozdziały: podział czasu i pracy, zarząd, domowe gospodarstwo miejskie i wiejskie, kuchnia, spiżarnia, piwnica, kredens, apteczka, służba, goście. — Katalog wskazówkowy polskich i obcych dzieł we wszystkich przedmiotach wchodzących w zakres wychowania dziewcząt.

„Bibliotekę“ można prenumerować albo jako dodatek w biurze „KALINY“ i we wszystkich jej agencyjach — albo też osobno przez księgarnię Franciszka GRZYBOWSKIEGO w Krakowie, a za pośrednictwem wszystkich księgarń.

Prenumerujący jako dodatek, będą ją odbierać razem z „KALINĄ“, arkuszami.

Prenumerujący osobno mogą odbierać również arkuszami, albo każde dzieło po skończeniu.

Prenumerata na Bibliotekę dla kobiet wynosi rocznie 6 Zł. w. a. — półrocznie 3 Zł. w. a. — ćwierć rocznie 1 Zł. 50 c. w. — miesięcznie 50 c. w. a.

Upraszamy o wczesne zamówienia tak na „Kalinę“, jak i na „Bibliotekę dla kobiet“ — albowiem od tego zależy ilość nakładu — zwłaszcza mój i nut.

MĘCZENNICA.

(POWIEŚĆ.)

przez

Zofią z pod Karpat.

(Dokończenie.)

Po jej odejściu hrabina kładąc się, rzekła do siebie zadowolniona.

— Wierzę jej. Nie tak więc straszną jest ta historia, jak myślałam.

Joanna tę noc przepędziła bezsennie, w okropnych męczarniach moralnych. Najrozkoszniejsze pokusy porwały ją ze sobą w półśnie, zdawało jej się, że jakieś rozigrane morze pachnących kwiatów unosi ją ze sobą ku zielonej wyspie, na której czeka ją młody człowiek, piękny, uśmiechający się — ona wyciąga ku niemu ręce; ale za sobą słyszy dwa głosy dwóch matek, jeden prze klina, drugi się skarży. Rzuciła się więc wstecz, odpehnęła kwiaty i pokazała się otchłan, która ją pochłaniała. Chciała krzyżeć, brakło głosu; chciała się ratować, brakło sił.

Zmęczona tym snem, zbudziła się spotniała cała. Ranek był pochmurny, ciężki. Joanna wstała i napisała list do matki, zgadzając się na małżeństwo z rządcą, kłamiąc nawet przed nią, że przyłgnęła do tego człowieka, i widzi, że z nim będzie szczęśliwą.

Z tym listem stanęła przed hrabiną.

— Oto broń moja — rzekła eicho.

Hrabina przeczytała, pocałowała ją w czoło i rzekła:

— Rozsądną jesteś moja panno, nie zapomnę ci tego. —

Męczennica rozśmiała się boleśnie.

Po śniadaniu wyszła na ganek. Rządca wyjeżdżał właśnie w pole; kazała go przywołać.

— Panie Ignacy, oto list do mojej matki, bądź pan łaskaw przesłać go na pocztę.

— Czy mogę spytać się, co zawiera dla mnie ten list, czy mogę mieć nadzieję panno Joanno?

— Więcej jak nadzieję — rzekła poważnie.

Rządca pocałował ją w rękę, nie bronila mu tego, stała nieruchoma jak posąg bez duszy.

W kilka dni po tej scenie hrabina raz podczas obiadu niby od niechcenia zapytała Joanny:

— Miała panna list od mamy?

— Dostałam go wczoraj.

— I na kiedyż dzień ślubu oznaczony?

Hrabia Adam ruszył się na krześle niespokojnie i popatrzył zdziwiony na Joannę.

Ona zebrała całą moc duszy, by nie zdradzić wzruszenia i rzekła powoli:

— Na trzynastego czerwca.

— Powinszować więc pannie.

Wstano od stołu — Joanna wracała przez bawialny pokój do siebie, zastąpił jej drogę młody hrabia, był cały wzburzony, nieprzytomny.

— Pani, co to znaczy, co matka moja mówiła przy obiedzie? — spytał stłumionym, dyszącym głosem.

Joanna pobladła.

— Jakto, co znaczy, to było jasne.

— Więc to prawda?

— Prawda — odrzekła uroczyście.

— Joanno, wy mnie uwodzicie, wy mnie oszukujecie, to nie jest prawda, to nie może być prawda. Ty nie miałabyś serca odrzucić mnie, który cię pokochałem jak nikt kochać nie może...

Joanna wyrwała rękę z rąk jego.

— Nie zapominaj panie hrabio, że mówisz do narzeczonej — cofnęła się z godnością i wyszła.

Adam rzucił się w rozpacz na kanapę.

— O! kto was zrozumie bezczelnicę — zawołał tarzając się z bólu.

Joanna słyszała to szamotanie się, słyszała bluźnierstwo zrozpaczonej duszy i modliła się:

— Nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw ode złego.

V.

Tajemnica starego hrabiego.

Trzynastego czerwca odbył się ślub p. Ignacego S. z Joanną. Po ślubie panua młoda z matką wyjechały na nową dzierzawę pana młodego. Matka była pełna szczęścia i radości, widziała zabezpieczony los dziecka, mogła z nią odtąd być razem, patrzeć na nią i cieszyć się jej powodzeniem. Patrząc na pożycie młodego małżeństwa, powtarzała sobie z uciechą: Jak oni się kochają. Jaka ona szczęśliwa! — Biedaczka nie domyślała się nawet, za jak krwawą ofiarę kupiła córka dla niej to szczęście, Joanna bowiem tak zapanowała nad sobą, tak swoje męczeństwo zamaskowała uśmiechem, wesołością, że najwprawniejsze oko nie byłoby się dopatrzyło przymusu. Nawet mąż jej, który domyślał się skłonności do hrabiego i wiedział o zabiegach jego, odpędził to podejrzenie jako niesłuszne i oddał się cały szczęściu małżeństwa.

Tymczasem młody hrabia rozszalał się w zabawach, hulankach, w grze szukał lekarstwa na ból duszy, z cynicznym aśmiechem mówił o swojej miłości, drwił, szydził, chciał to pierwsze piękne uczucie obryzgać błotem, by je sobie zbrzydzić, ale napróżno. Wspomnienia tych chwil świętych, pełnych zachwyty i czystości, odpychane wracały natrętne i stawały przed oczyma. Nieraz wpatrywał się w nie długo, nagle zrywał się i cynicznym żartem odpędzał te mary i odstraszal je bluźnierstwem.

— Cóż słyhać o Joannie? spytał go raz ojciec.

— Co słyhać, domysleć się nie trudno. Chodzi do chlėwu, do obory, gotuje męzowi kaszę i kontenta, że złapała męza. One wszystkie takie, udają aniołów dopóki się nie uda zostać gospodynią.

-- Ale czy żyją dostatnio?

— Spodziewać się należy. Rządca nie musiał u nas próżnować, zabezpieczył się należycie.

— To dobrze, bardzo dobrze, że im się nie źle wiedzie. Teraz mi lżej.

Adam nie rozumiał mowy ojca — ruszył ramionami i wyszedł. Mimo wiedzy zaszedł do pokoju Amelki, nieraz tam siadywał w zadumie głębokiej. Lubiał rozglądać się w tych miejscach, w których ona była. Dziś usiadł, zapatrzył się przez okno na ogród i w zamyśleniu przewracał kartki kajetu siostry. Z pomiędzy kartek wyleciała éwiartka papieru, kiedyś mocno zmięta, teraz wyprasowana długim leżeniem w kajecie. Adam bawił się niedbale, przelotnie rzucił oczy na pismo. Uderzył go tytuł: Kochana Joasiu! Zadrzał na to imię. Był to list od matki Joanny — Adam począł czytać, polykał

go oczami, twarz jego się ożywiła jakimś pięknym uczuciem. Gdy skończył, zakrył twarz rękami i długo tak stał.

— I jam się tego nie domyślił — rzekł do siebie — że ona nie mogła zgrzeszyć niczym, tylko zbytkiem poświęcenia. I ja śmiałem lżyć tę świętą kobietę. Ach jaki ja mały przy niej, jaki podły.

Łzy żalu rzewnego puściły się z oczów Adama, z temi łzami roztajała dusza jego, co już była skrzepła, prąd czystych, szlachetnych myśli popłynął znowu — hrabia ożył na nowo.

Wyszedł i kazał osiodłać konia. Teraz potrzebował ją koniecznie widzieć, chciał się jej do nóg rzucić, błagać o przebaczenie. Naglił konia do lotu tak mu było pilno. Jazda i chłód wieczorny ostudziły nieco wzburzoną krew, uczył niestosowność takiego kroku, przypomniał sobie męza jej, spóźnioną porę i chciał się wrócić. Ale w zmroku bielił się dworek, w którym ona mieszka; odjechać i nie widzieć jej, to niepodobna. Objechał więc ogród łakami, przywiązał konia do płotu, sam przeskoczył na drugą stronę i zasłonięty cieniami liści, podsunął się pod okna oświecone. Zaparł w sobie dech, zbliżył się ostrożnie i spojrział w głąb. Przy stoliku siedziała matka z robotą, Joanna czytała jej jakąś książkę — twarzy jej nie mógł widzieć, bo lampa zasłaniała, ale słyszał głos cichy, trochę drżący. Męza widać nie było w domu. Dawne postanowienie znowu ocknęło się w nim, chciał iść i rzucić jej się do nóg, ale zatrzymała go jedna myśl. Nie wątpił teraz, że go kochała, że tylko dla szczęścia matki poświęciła to uczucie. Ileż więc ta kobieta cierpieć musiała, zanim zmęczeniem zdobyła sobie tę trochę spokoju dla duszy, którego on tak długo nie mógł znaleźć dla siebie. I mąż on teraz iść i zburzyć jej ten spokój tak mozolnie nabyty? Nie, to byłoby niegodnie, samolubnie. — Pożegnał ją więc spojrzeniem i odszedł. Siadł na konia i szybko odbiegł od miejsce, od których trudno się było oderwać. W drodze spotkał jakiegoś męczyznę czarno ubranego, idącego w stronę dworku. Nie uważał go, ale męczyzna ów poznał go — był to mąż Joanny. Widok hrabiego Adama w tych miejscach o tym czasie obudził w jego duszy dawne domysły i podejrzenia, zazdeość szalona poczęła palić mózg i łaskotać nerwy. Wszedł do domu ponury, niespokojny, choć się silił na spokój. Żona przywitała go pogodnym uśmiechem i podała mu rękę. Przywitał ją chłodno, obojętnie.

— Co tobie jest Ignacy, coś się musiało wydarzyć w polu, jesteś zirytowany.

— Nie mi, trochę chłodno na polu.

Usiadł i czekał z ich ust wiadomości o bytności hrabiego. Niedoczekał się — zaczął więc sam:

— Był tu kto u was?

— Nikogo nie było. Toż byłabym posłała po ciebie.

Ignacy przygryzł wargi i podejrzliwie spojrział na

zonę. Ta była spokojną i nie domyślała się nawet, jaka namiętność targala w tój chwili duszę jój męża. — Ignacy pokonał się, przemógł na sobie lepszy humor, pocieszając się, że to nie ostatni raz była ta wizyta, że będzie mógł tym kobietom robiącym teraz takie święte miny, plunąć w oczy ze wzgardą.

Tak więc równowaga zdobyta wielkiem poświęceniem, chwiać się znowu zaczęła i ku ciemnym przepaściom nachylało się szczęście tój rodziny.

Na drugi dzień o świcie Ignacy wyjechał do miasteczka na targ, by wrócić przed wieczorem na zasadzkę. — Po jego odjeździe w godzinę przybył posłaniec od hrabstwa z listem. Amelka donosiła Joannie, że umierający ojciec pragnie się widzieć z nią i z jój matką, że bez nich nie umrze spokojnie. Pojechały przeto niezwłocznie. Najpierwszą spotkali hrabinę. Nie zmieniła się weale, chwilowo złagodniała i zgrzeczniła dla Joanny, gdy jój ta była potrzebna, dziś miała dla niej znów oblicze dumne, minę sztywną, uśmiech zimny, szyderski.

— Nie próżnowałaś w tym domu — rzekła — nie tylko synowi, ale i ojcu nie dałaś pokoju. Idźcie, czeka was — może jaki zapis...

Kobiety w milczeniu przeszły przez te uszczypliwe słowa jak przez różgi i weszły do pokoju, w którym leżał hrabia. Twarz jego była żółta jak wosk gromniczy, zapadła — w tych załamach i cieniach twarzy śmierć się już rozsiadała. Gdy weszły dwie kobiety, leżał nieruchomy. Myślały że się już spożniły. Poruszył się jednak za chwilę.

— Są już? — spytał z ciężkością.

— Jesteśmy.

— Ha, to dobrze, chodźcie tu, bliżej mnie — i szukał ich rękami i przyciągał ku sobie. — Czy tu oprócz was niema nikogo?

— Niema.

— Drzwi zamknięte?

— Zamknięte — powtarzały kobiety zaniepokojone.

— Słuchajcie więc, mam się wam wypowiadać z tajemnicy, która mi lata długie ciąży na duszy. Ja znałem waszego ojca — mało powiedzieć znałem, żyliśmy blisko ze sobą w szkołach i potem jeszcze. Położenie zbliżyło nas do siebie, (bo ja nie byłem majętnym), choć opinie różniły nas. On był człowiek granitowy, zasad jak je tam zwią liberalnych; — ja byłem słabym i miękkim, a herb kochałem nad wszystko. Nieraz herbownika upokarzał ten człowiek z gminu swoją szlachetnością. Raz pamiętam po Nowym-Roku przyszły nam zkadś pieniądze, wpadło nam na myśl odłożyć kilkadziesiąt złotych i kupić los — popróbować szczęścia. Wzięliśmy na połowę — ja kupiłem bilet i miałem go przy sobie. Los nasz wygrał — wtedy ja... nie patrzcie mi teraz w twarz, nie zniósłbym waszego wzroku choć jestem ślepym — wtedy ja poszedłem do niego i

powiedziałem: wygraliśmy. Ucieszył się, bo suma była znaczna. Ale los jest u mnie, dodałem, i tylko ja mogę zabrać pieniądze. — Spojrzał mi niedowierzająco w twarz, miałem czoło bezczelne, niezrozumiełem się wtedy. — Żartujesz — rzekł głosem dziwnym. — W pieniądzech niema żartów — odrzekłem — jeżeli chcesz, możemy się ułożyć, wrócę ci stawkę i dodam co jeszcze.

Wtedy on plunął mi w twarz, ot tu i rzekł grzmiącym głosem: Ja ci dodam ślinę pogardy. Straciłem dziś tysiące, a zyskałem przekonanie, warte miliony, przekonanie, że magnackim rodem koniec się zbliża, gdy się tak podlić umięją. — Po tych słowach nie widziałem go więcej. —

Tu zmęczony starzec odpoczął. Po chwili ciągnął dalej:

— Więc widzicie jakim jestem, jestem złodziejem, mój majątek to kradzież, ta myśl wciąż stoi przedemną, Bóg mnie ukarał ślepotą, ale ta kara nie uspokoiła mnie, ja zawsze wasz dłużnik, wasze ubóstwo ciążyło na mojem sumieniu. — I cóż? myślicie zapewne, że wam wezwał po to, aby oddać majątek i umrzeć spokojnie? — Nie. —

Skrzywił się gorzko przy tych słowach —

— Nie, stary hrabia nie umie się zdobyć na to, oddając wam co wasze, zrobiłby z własnej rodziny żebraków, bo majątek nasz nadwątlony. Amelka nie miałaby nic. Pojmujesz Joanno, jakby to było okropnie. Ja wam nie dać nie mogę; owszem, ja chciałbym wam prosić jeszcze, prosić o przebaczenie. —

Kobiety podały mu ręce na znak potwierdzenia.

— Nie przypadkowi, ale pracy chcemy zawdzięczać naszą zamożność, rzekła matka. —

— A ha! on cię tych słów nauczył — on mi tak samo mówił tylko inaczej: Wy wszystko — rzekł — winniście ślepeму trafowi, my wszystko zdobędziemy pracą. Tak on mówił, ja pamiętam wszystkie jego słowa. —

Znowu odetchnął, potem dodał:

— O! lżej mi teraz umierać z waszém przebaczeniem. Ale jeszcze jedno — rzekł z trwogą — przysięgnijcie mi, że nigdy nikomu nie powiecie o tém, nie powiecie po com was tu wzywał. Idzie tu o honor moich dzieci. —

— Przysięgamy — rzekły kobiety i pożegnały starca.

Odchodzące, znowu klóła hrabina obelgą, niewiedząc, że lży swoich dobroczyńców.

Zbliżając się do dworku, zobaczyły światło w oknach.

— Ignas już przyjechał. — Nie dobry, nie wyjechał naprzeciw nas, o, połaję go za to. —

I z tą przygotowaną wymówką wchodziła do pokoju; ale słowa zamarły na jój ustach, gdy zobaczyła twarz męża. To nie był człowiek, to zwierz rozwścieczony, szalony, rzucający się — twarz rozogniona, ru-

chy gwałtowne. Gdy zobaczył wchodzące kobiety, pokroczył ku nim i wrzasnął, zaryczał raczej:

— Precz, precz mi z mego domu.

Potrzeba nam kilkoma słowami wytłómaczyć ten okropny stan Ignacego.

Jak wiemy, pojechał do miasteczka z zamiarem wrócenia na czas na zasadzkę. Tak też zrobił, czekał przy drodze i nasłuchiwał tententu konia. Gdy nie nie zachwyił uchem, podszedł pod dworek. I tam było cicho. Wszedł, nie zastał nikogo — od czeladzi dowiedział się, że panie pojechały do hrabstwa. Można sobie wytłómaczyć wściekłość Ignacego — polował koło swego domu na hrabiego, aż tu dowiaduje się, że one same do niego pojechały. Tak podejrzliwy człowiek tłómaczył sobie wyjazd żony. —

— Ignasiu! co się tobie stało? — odezwała się Joanna łagodnie reflektując go.

— Co mi się stało? Jeździsz do niego i pytasz co mi jest? Ja nie ślepy.

— Byłyśmy u starego hrabiego, bo nas wzywał. —

— Po co? —

Córka spojrzała na matkę i nie wiedziały co powiedzieć; przysięga wiązała im usta..

— Naradzacie się jak skłamać. O przeklęta ta godzina, w której dałem się nakłonić do tego małżeństwa. I ty matko, ty sama, któraś mi tyle szczęścia obiecywała z tym twoim Aniołem — wozisz ją tam. Jakie wy bezcelne. —

Matka postawiła w ślup oczy, zrobiła okropny nieprzytomny grymas na twarzy. —

— Słyszysz ty co on mówi? — zawołała na córkę i zaśmiała się okropnym spazmatycznym chichotem.

VI.

Zakończenie.

Znalezienie owego listu, który go przekonał o szlachetności Joanny, chwilowo tylko uspokoiło hrabiego Adama; po kilku dniach smutek wrócił tym okropniejszy, że nie miał na niego lekarstwa. Dawniej mógł drwić i śmiać się z tej miłości, dziś mógł tylko rozpaczać widząc co stracił, jakie skarby serca i duszy zamknęły się przed nim. Z rozpaczy przeszedł w stan apaty, otrętwienia. Ani śmierć ojca nie mogła go wyrwać z tego stanu — szedł za trumną bez lzy, nad grobem miał zacisnięte usta i ręce skrzyżowane na piersiach. Długo po odejściu ludzi stał na cmentarzu zamyślony i może marzył o tym spokoju, jaki daje chłodna mogiła i grobowy kamień. Co po za tém? Myśl jego nie szła dalej — nicosć była dla jego smutku wystarczającym lekarstwem.

Są chwile, w których człowiek z dziwnym spokojem patrzy w grób — i to nie w skutek rezygnacji jaką daje

wiara, ale w skutek zubożenia, braku celu życia, czezości i nudy. W takiej chwili znajdował się Adam. Nie miał nic, coby go wiązało z życiem — związki rodzinne były zbyt zimne, obojętne, by go nęcić mogły; w rodzinie hrabstwa nie było ciepła, miłości — był takt, zwyczaj i forma. Nie miał żyć dla kogo lub dla czegoś.

Wrócił do domu wieczorem i pisał. Długo w noc paliło się światło w jego oknach. Na drugi dzień kazał osiedlać koknia, dobył z pudełka pistolet, włożył go w kieszeń, rzucił listy na biurko i wyjechał. Za wsią skierował konia ku dworowi Ignacego. — Ignacy był właśnie w polu pod lasem, poznał z daleka hrabiego i zatrząsł się cały.

— Otóż jest znowu — szepnął do siebie.

Rozporządził robotnikami i szybko bliższą drogą koło zarośli wracał do domu, wpadł drzwiami od ogrodu do siebie i uchyliwszy nieco drzwi do pokoju żony, czekał z bijącym sercem, z zaschlými ustami, drżący cały. —

Hrabia tym razem zajechał prosto przed dom i wszedł do pokoju. Na twarzy miał jakąś straszną powagę.

— Poproś pani — rzekł do służącej.

Za chwilę weszła Joanna, zobaczywszy go, cofnęła się.

— Chwilkę pani, jedną chwilkę...

— Mnie nie wolno z panem mówić... jestem żoną, uszanuj panie hrabio mój spokój.

— Nie przyszedłem mącić spokoju, chciałem panią pożegnać.

— Gdzie pan odjeżdżasz? — spytała zdziwiona tonem jego mowy.

— Daleko, bardzo daleko — rzekł gorzko i pokazał jęj pistolet — oto plan mój podróży. Nie marszcz pani tego jasnego czoła, nie przyszedłem cię straszyc, ale zobaczyć i pożegnać. Wiem, że to słabość z mój strony, okropnie nędzna w obec twój świętości, ale nie mogłem zdobyć się na odwagę, iść tam bez twego przebaczenia. Dziś, gdy obrączka ślubna okuła twoją duszę, nie będę kalał twych uszów wyznaniem...

— Panie hrabio pozwól że odejdę.

— Bądź pobłażliwą dla umierającego — tak, kochałem cię, dziś widzę co mi wydarto, kobiety tak czystej, świętej, tak umiejaczej cierpieć i poświęcać się, ja nie znałem. Samo patrzenie na ciebie zmieniło mnie do niepoznania — o cóżbyś ty mogła zrobić ze mnie. Dziś ja stracony.

— Panie hrabio, podziwiasz poświęcenie słabiej kobiety — a ty mężczyzna na nie się zdobyć nie możesz. Jedno nieszczęście tak cię złamało, że zrzucasz z siebie wszystkie obowiązki. —

— Jakie?

— Spójrzyj po świecie, ileż tam ludzi cierpi więcej stokroć niż ty panie hrabio, wielu potrzebować będzie twego kierownictwa, rady, pomocy i ty jeden z pierwszych w kraju masz czoło uciec cichaczem ze stano-

wiska i jednym nabojem wykupić się od wszystkich obowiązków. O panie hrabio to niegodnie.

Hrabia spuścił głowę na pierś i zapatrzył się w ziemię.

— O wierz mi pan — ciągnęła Joanna — że w najcięższym poświęceniu dla drugich, jest dla nas samych wiele rozkoszy, jest zadowolenie i spokój.

— Wierzę pani, Twoje słowa mają siłę czaru i natężnienia. Otworzyłaś mi przed oczami świat, którego mi nie pokazano dotąd, wskazałaś cel. Pójdę do niego — moje życie będzie upominkiem od ciebie, o! będę go szanował. Zegnam panią. Wyciągnął ku niej rękę.

— Szczęść Boże — rzekła, podając mu swoją.

Hrabia chciał złożyć pocałunek na jej drobnej, białej ręczce — cofnęła ją prędko i rzekła z powagą:

— Panie hrabio umiej być szlachetnym. To widzenie nasze ostatnie.

Hrabia odszedł — po jego odejściu wpadł Ignacy — był wzruszony, miał łzy w oczach.

— Joanno przebac mi jam cię strasznie obraził, jam nie wart ciebie.

— Ja ci przebaczyłam — idź matkę przeproś.

Wyszedł — mężennica npadła na kolana przed wizerunkiem ukrzyżowanego i prosiła znięczona:

— Boże! dodaj siły. —

Dwie kobiety.

Dwie znałem kobiety i kochałem obie —

Jedna, niby lilja na kryształnej wodzie,

Niby brzoza płacząca, co stoi na grobie —

A druga, jak róża w wiosennym ogrodzie.

Jedna mnie nęciła zławioném spojrzeniem,

I bladém obliczem i spokojem czoła —

Więc ją ukochałem, bom znał się z cierpieniem,

Bom znał już tęsknicy czarnego anioła.

Tęschnilem za drugą — jak za szczęściem życia!

Chciałem jej uśmięchu, swobody, radości,

By ból ten ukoić, com uniósł z powicia —

I dwie miałem w sercu prawdziwe miłości!

Lecz lilja ma matka, gdy fala się pieni,

Zniknęła wśród toni spokojna i święta...

A róży, czas listki pozrywał w jesieni

I w ciemne, światowe pogryzył odmęta.

Jam smutny pozostał z rozwianym urokiem —

Już serce się nie rwie w różanne ogrody,

Lecz lubię się patrzeć pobladłém już okiem

Na ciche, szmerzące, kryształowe wody....

A. W.

! to minie.

Gdzież jest broń moja, gdzie bojażń głęboka,
Nieufnosć, co tak brzęczała zawzięcie?

Ona zachciała, ona, czarnooka,

I pierś otwarłem na gościa przyjęcie.

I była chwila poranna i święta;

Nieufnosć gasła, posnęły obawy,

Uczuć dziecina wyciągła rączęta,

Chciała uchwycić za promień jaskrawy....

Lecz schowaj rączki dziecino, o schowaj,

I przytul główkę do twrogi tajemnej —

Ta czarnooka, to wichrów królowa,

Porwie, porzuci cię w przepaści ciemnej.

Błogosław moja dziecino twój trwodze,

Cyt, cyt, o moje ty piskłę serdeczne; —

Taka już dola duszyczce niebodze

Rozetleć — gasnąć — sama — i tak wiecznie.

t.-d.-

Manon Phippon Roland.

(Życiorys.)

(Dokończenie.)

Jest to jedna z najrzadszych pochwał, które się wielkim i sławnym osobistościom dostają, a która się szczególnie p. *Roland* należy, a mianowicie, że im więcej się zgłębia jej życie, jej pisma i listy, tém więcej całość staje się pojedynczą i jasną. Zawsze ta sama mowa, te same myśli bez ogródek, żadnych fałdów, żadnego powikłania namiętności, żadnych starć życzeń i dążeń. Nawet ta ostatnia jej miłość mistyczna, której przedmiot nieznaną, i którą tylko pewne rysy zdradzają, jest majestatyczną w swoim milczeniu. Zresztą zupełna prawda, wyraźność, płynność, żadnego cienia, żadnych zastón.

To téż w chwilach przedgonnych ona sobie rozważa z całym spokojem życie swoje i maluje je żywemi, niezatartemi barwami poczynawszy od dni dziecinnych, pobytu w klasztorze, pracowni ojca, tylnego saloniku swojego, swoich przechadzek i nauki, pobytu u księdza wuja — wszystko cośmy poznali aż do hałasu rewolucyjnych dzwonów i uderzeń własnego serca. I to zwierciadło pamiętnikowe musiało jej błogi przedstawiać obraz, skoro mogła zakończyć wyznania swoje takim pożegnawczym hymnem: „Żegnam cię moje dziecie, mój mężu, moi przyjaciele. Żegnam cię słońce, którego jasne promienie wnosily pogodę do mojej duszy, tak jak ją po niebiosach roznoszą. Żegnam was sielskie ustronia, których widok mnie tak często przejmował wzruszeniem, i was mieszkańcy wioskowi, którzyście

blagosławili obecność moją, których pot ocierałam, łagodziłam nędzę, których w chorobie pielęgnowałam. Żegnaj was ciche gabinety, w których mój umysł karmiłam prawdą, w których wyobraźnię moją ujarzmiłam nauką i nauczyłam się wespół z eichąj rozwagi państwa nad zmysłami i gardzić próżnością“.

Zakończymy życiorys jej portretem, jaki o niej podaje *Lemontey* współczesny i naoczny świadek: „Widziałem kilka razy p. *Roland* przed rewolucją. Wzrost, oczy, włosy zadziwiającej piękności. Płeć delikatna, przezroczysta, koloryt nadzwyczaj świeży, który dziwnie odmładzał jej rysy zawsze dziewicze i wyraz zawsze skromny... Była piękną, bardzo piękną. Gdy ją ujrzałem pierwszy raz, zdawało mi się, że widzę *Julia* Russa, a gdy poczęła mówić, wzrastało zdumienie... Zazdrośni szeptali, że jej mowy były zawsze przygotowane i obliczone. Śmieszny fałsz. Bystrość, rozum, właściwości wyrażania się, pikujący dowcip obok naiwnej powabności, wszystko tryskało naturalne, niewyszukiwane z białych jej zębów i różanych ustek. Nie można się było oprzeć jej czarowi.

W ciągu rewolucji raz ją tylko widziałem... Ta sama młodość, świeżość i prostota; nic nie straciły. Obok surowego męża wyglądała jak córka. Około niej biegało jej dziecię o długich czarnych włosach, spadających bujnie aż poniżej ramion. Na widok tej prostej rodziny zdawało się, że to są mieszkańcy Pensylwanii, co tylko do salonu przeniesieni. Pani *Roland* nie mówiła już o niczym, tylko o publicznych sprawach, ... dusza jej wtedy egzaltowała się, a serce zawsze było wrażliwe i czujące... Pamiętam ten spokojny i stanowczy ton z jakim oświadczała, że gdyby było potrzeba, poniosłaby głowę swoją pod topór. I wyznaje, że obraz tej czarującej głowy pod toporem, zrobił na mnie głębokie, niezatarte wrażenie. To też później dziwna stałość jej, bohaterska jej śmierć nie były dla mnie wcale niespodzianką. Wszystko w tej kobiecie głęboko uczute, prawdziwe; żadnego szychu, nic udanego. Była ona nie tylko najmocniejszym, ale nadto najprawdziwszym charakterem naszej rewolucji. I już dla tego historia ze złością ją wspomina, a inne narody nam jej zazdroszczą“.

O. —

Lafirynda.

(Szkic obyczajowy.)

Lafirynda najsamprzód z obcych zrodziła się przywar — i dla tego też śp. Witwicki wymawiać każe: *Lafirinde* — *Lafreda*.

Lafirynda jest kamelonem — zmieniającym barwę i formę, stosownie do okoliczności i osób, które jej do smaku przypadły, które jej czémkolwiek bądź zaimponować potrafiły: czyli to stanowiskiem społecznym, roz-

głosem, hrabioską koroną a więcej jeszcze mitrą — narzeczcie elegancją... choćby pięknymi rękawiczkami na trzy guziki — dandyzmem — sportsmaneryją — pietyzmem — racjonalizmem — tańcem itd.

Moda jest dla niej wyrocznią, podstawą wszystkiego — nawet i religijności! — Bo *Lafirynda* bywa także i pobożniśią — biega do kościoła, ale... *pour faire parade*, z pięknie oprawną książką do nabożeństwa, do której dołącza niekiedy i drugą, już zużytą i nowenną jaką.

Strój głowy, zaczesanie włosów, choćby chińsko-japońskie, w którym wygląda jak istny koczkodon, niechaj tylko będzie modnym, to *Lafirynda* przyswoi je sobie z pośpiechem. Krój sukni, kształt kapelusza, powinny być podług ostatnich wzorów, gdyby z niej nawet czupiradło zrobiły, bo: moda dla mody! stało się jej hasłem.

Język francuski jest dla *Lafiryndy* prawidłem. Udaje nawet, że go zna lepiej od własnego: że jej łatwiej mówić po francuzku, aniżeli po polsku — że w pierwszym ma większą obfitość wyrazów. Pisze bez ortografii w tym języku wybranym, ale pisze. We własnym także liczne popełnia błędy — lecz to ją mniej obchodzi. Piśmienictwo polskie po większej części dla *Lafiryndy* leży *tra los montes* — poza górami! i poza morzem. Gotowa powiedzieć, że zna niektóre utwory KORDYANA i poezyje BENIOWSKIEGO.

Dziś *Lafirynda* będzie uprzejmą dla ciebie, słodką, najśodsza, a jutro, w obecności jakiejś świetności salonowej lub mitry — nie zechce ciebie poznać.

Lafiryndy zwykle miewają wzrok krótki, mrużą oczy i używają lornetek.

Lafiryndy mają i złą pamięć — tak samo, jak i wzrok słaby.

Lafiryndy są wielce rozrzutne i wielce skąpe zarazem: wyrzucają na zbytki, a skapią na potrzeby wstrętliwie.

Lafiryndy udają sercowość — a są komedyjantkami tylko.

Lafirynda po największej części nie jest ni złą ni dobrą — bo zbyt jest powierzchowną, ażeby była jednym lub drugim — lecz wiele złego nabroić może.

Lafirynda jest powierzchowną, jak pył, który ze sprzętów zdmuchujesz, bo też i sama jest pyłem — pyłem zalegającym, a szkodliwym często.

Lafiryndy zastawiają się zawsze wielkimi stosunkami rodzinnymi i towarzyskimi — chociażby i kłamkami.

Lafiryndy lubią parawany i potrzebują ich koniecznie.

Lafiryndy wieś nudzi — a lubią miasto, Drezno i Paryż szczególny dla nich mają urok.

Lafirynda jest pieszczotliwą, przytakującą i pochlebniśią... gdy tego potrzeba.

Zazdrość względem drugich kobiet, przyjaciółek swo-

ich, posuwa *Lajirinda* aż do zenitu. Począwszy od bu-
cika aż do wielbiciela. Wszędzie pragnie być pierwszą —
pochyla się wszelako z wdzięczną pokorą, przed hra-
bioską koroną, mitrą, i bankierskimi milionami.

Lajirinda wiecznie goni za adoratorami, dopóki tylko
służą lata. Później osidla ich dla córek — jeżeli je ma —
bo życia jej pozostnie zadaniem, by zawsze młodzieżą
otoczoną była.

Córki wychowa na lalki i porcelanowe figurki. O
prawdziwem wykształceniu umysłu i serca, nigdy tam
nie masz mowy. Celem ich powinno być łowienie kon-
kurentów — a szczytem celów, majątny mąż.

Lajirinda nie ma narodowości żadnej. Dla mody
niestety, bawi się niekiedy w patryotyzm.

Lajirinda kłamie Bogu — ludziom — a nakoniec i
sobie.

P.....a. W.....a.

ROZMAITOŚCI.

— **Dla użytku domowego.** — Nowy sposób oddzie-
lania śmietany; w tym celu mleko niezbieżane stawia się w bla-
szanem naczyniu do machinki odśrodkowej a po 400 obrotach to jest
w przeciągu jednego kwadransa otrzymujemy śmietanę o 75% gę-
ściejszą od śmietany zebraną zwyczajnym sposobem z mleka przez
3 dni stojącego. Ma ona zbitość świeżego masła, rozrabia się łatwo
z gorącemi, a trudniej z zimnemi płynami. W pięciu do 10 minu-
tach można z niej zrobić bardzo dobre masło, zawierające bardzo
mało maślanek. Przy tej metodzie robienia masła jak widzimy, obejść
się można bez piwnic i składów na mleko, nadewszystko robota
idzie bardzo prędko. (G. P.)

— **Na podarunek kolendowy** wyszła w Warszawie wy-
borna książeczka dla dzieci przez *Checińskiego* p. t.: „Dzień
grzecznego Władzia“.

— **Zręczność.** „Chcecie widzieć człowieka zaambarasowanego?
Posadźcie mężczyznę między dwoma kobietami, z których każda
nie jest mu obojętną, potem uważajcie co za komiczna jego po-
stać. Postawcie w tém samym położeniu kobietę między dwoma
mężczyznami (co zapewne nie rzadki wypadek), a zdumiecie się
nad zręcznością, z jaką obu usidli, tak, że jeden z drugiego śmiać
się będzie. Gdyby obom pokazała równe zaufanie i poufałość, wy-
nikłoby z tego, że oba mają równe prawa. To też daleka od tego,
ona udaje wybornie różnicę, jaką między nimi czyni. Jednemu po-
chlebia, i zdaje mu się, że to uczucie — drugiego maltretuje, i zdaje
mu się, że to umyślna gra. Każdy zadowolony z swojego działu,
sądzi, że ona się tylko nim zajmuje — podczas gdy w istocie zaj-
muje się tylko samą sobą“. I. I. Rousseau.

— **Polowanie na włosy.** Prawdziwe polowanie na włosy
odbywają teraz francuzcy komisanci, z powodu ogromnej ich po-
trzeby na terazniejsze stroje głów damskich, którym dostarczyć
nie mogą. We Francji szczególnie Bretania i Auvernia dostarczają
najobficiej tej „strzyży“. Z Bretanii przychodzi rocznie do Paryża
około 20,000 fnt. włosów, z niższej Normandyi 16,000, z Bourbo-
nais, La Marche, Limousiny i Perigerdu 20,000, z właściwej Au-
veronii i wyższej Langwedocyi 8,000 fnt. Oprócz tych 64,000 fnt.
produkcyi krajowej dostarczają obcy spekulanci do Francyi 28,000 fnt.
mianowicie z Belgii 16,000, z Włoch 8,000 fnt., z Niemiec 4,000 fnt.
Pokazuje się ztąd, że dotąd Niemki w dostarczeniu tego towaru są
najmniej chojne, zważywszy, że w tej liczbie oprócz właściwych

Niemiec liczą się jeszcze Węgry, Czechy, Morawy, Polska i Rosyja
południowa. Co do Włoch, to handel ten ogranicza się jedynie na
Wenecyi, Lombardyi i Piemencie. 2000 nożyc pracuje ciągle w tej
gałęzi przemysłu, z których 1,500 na samą Francją przypada. (G. P.)

Korespondencja „Kaliny“.

Cz. F. — Nieprzydatne.

D. Lwów. — Dziękujemy i prosimy nadal — ale abyśmy mo-
gli umieszczać artykuły zajmujące się bieżącemi faktami, musimy
wiedzieć od kogo pochodzą — wiadomość wyłącznie dla Redakeyi.

R. R. — Listownie.

Od zarządu sprawunkowego „Kaliny“.

Pani **ś.** w Z. — Z pierwszej przesyłki pozostało 30 cent. —
w drugiej brakło 1 zlr. 70 c. — pozostaje niedobór 1 zlr. 40 c. w. a.
Pani **Mo.** w L. — Musimy dopiero z Warszawy sprowadzić.

OPIEKUN DOMOWY.

Pismo tygodniowe, poświęcone rodzinom polskim z **ilustracjami**
w każdym numerze, wychodzić będzie w roku 1867 jako trzecim
swego istnienia. — Cena jego roczna w Austrii wynosi zlr. 7 i 20 cent.
Prenumerowane być może na wszystkich stacjach pocztowych, oraz
w Redakeyi „Gazety Przemysłowej“ w Krakowie i wszystkich księ-
garniach. Pismo to obejmuje: 1) Nauki i obrazy religijno-moralne;
2) opisy jeograficzne i podróże; 3) nauki społeczne; 4) wiadomo-
ści z nauk przyrodniczych w zastosowaniu do prac technicznych;
5) rolnictwo, rzemiosła, przemysł i handel; 6) powieści, poezyje,
komedyje, podania, obyczaje i charaktery ludowe; 7) życiorysy
osób wsławionych na polu nauk i przemysłu; 8) rozmaitości; 9) ogło-
szenia w osobnych dodatkach. — Zadaniem tego pisma: rozprzestrze-
nienie oświaty i zamiłowanie rzeczy ojezystych.

GAZETA ROLNICZA,

wychodzić będzie w roku 1867 w Warszawie tygodniowo, w arku-
szu podwójnym większego formatu. Cena pisma tego, poświęconego
obrazowaniu potrzeb i postępowi rolnictwa polskiego, wynosi roc-
cznie w Austrii 10 zlr. Prenumerowane być może na wszystkich
stacjach pocztowych i w Redakeyi „Gazety Przemysłowej“ w Kra-
kowie. Każdy numer zawierać będzie najmniej jedną **ilustrację**
z dziedziny mechaniki rolniczej, nauk technicznych lub przemysłu
gospodarskiego. Nadto stałym prenumeratorom, Redakcyja oddzielne
daje dodatki: w książkach, mappach gospodarskich i leśnych, oraz
nasionach drzew i roślin, które są rzadkością.

Do prenumeraty na „Kalinę“ można dołączać pieniądze
na „KALENDARZ KRAKOWSKI“ *Józefa Czecha* w ilości 42 c. —
również na KALENDARZ „KRAKOWIANIN“ 60 c. — jakoteż na
KALENDARZ „Wydawnictwa dzieł tanich i pożytecznych“
(18 arkuszy druku) i zlr. w. a.

W biurze „Kaliny“ i wszystkich jej agencyjach można nabyć:
„Cechy i Stowarzyszenia“.
przez *Alfreda Szczepanskiego*. — Cena egzemplarza w miej-
scu 15 cent. — zamiejscowa 18 cent.

Dla uniknienia nieporozumień, podajemy niniejszem wy-
jaśnienie dla Sz. Prenumeratorów miejscowych: że „Kalina“ wy-
chodzi co sobota o godz. 9tej rano, — a odbierać ją można
codziennie, ale tylko między godz. 9tą a 12tą rano.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca TADEUSZ WOJCIECHOWSKI



P. 260